ZBIORY OŚRODKA KARTA

18

PROZA
POEZJA
ESEJE
KRONIKA

ZAPIS

kwiecień 1981

w numerze:

Zbigniew HERBERT
Andrzej BRAUN
Marek NOWAKOWSKI
Andrzej KIJOWSKI
Tymoteusz KARPOWICZ
Zyta ORYSZYN
Andrzej SZCZYPIORSKI
Eugenia SIEMASZKIEWICZ
Anna BOJARSKA
Lech DYMARSKI
Marek BATEROWICZ
Lothar HERBST
Jan POLKOWSKI
Leszek BUDREWICZ
Jacek BOCHEŃSKI
Jan KELUS
Andrzej DRAWICZ
Stanisław BARAŃCZAK
Piotr KROPOTKIN

niezależna
oficyna
wydawnicza

"Zapis"jest pismem niezależnym, nie podlegającym cenzurze, inspiracji politycznej i doktrynalnej, otwartym dla współpracy wszystkich pisarzy w kraju i za granicą, bez względu na ich przekonania. Zwracamy się tą drogą do wszystkich ludzi piszących z serdeczną prośbą o przekazywanie nam prac odpowiednich, ich zdaniem, dla naszego kwartalnika, niezależnie od tematu, wyrażanych poglądów, gatunku twórczości i miejsca zamieszkania. Prosimy zarazem usilnie o przestrzeganie zasady, że teksty powierzone "Zapisowi" nie mogą być wcześniej publikowane w innych pismach krajowych lub zagranicznych ani jednocześnie z "Zapisem" ofiarowane innym redakcjom.

ZAPIS

Copyrights by authors
ZAPIS nr 18, Warsaw,
1981

SPIS TREŚCI

Zbigniew Herbert: Potęga smaku 5
Andrzej Braun: Głos w dyskusji na Zjeździe Literatów 6
Marek Nowakowski: Głos w dyskusji na Zjeździe Literatów 12
Andrzej Kijowski: O Pawle Jasienicy 15
Tymoteusz Karpowicz: Wiatr od morza 21
Zyta Oryszyn: Maala 34
Andrzej Szczypiorski: Stroma ścieżka do nieba 46
Eugenia Siemaszkiewicz: Punkty przecięcia 61
Anna Bojarska: Śmierć Cwietajewej 68
Lech Dymarski: Kantata totalna 81
Marek Baterowicz: Sylogizmy - Sonet z piasku i liści 83
Lothar Herbst: Przeraża mnie - Krzyk 85
Jan Polkowski: Kwestia przyzwyczajenia 86
Leszek Budrewicz: 56 68 80 - 87
Jacek Bocheński: Marzec 88
Jan Kolus: Dzień Zmarłych w Górnej Grupie 95

Recenzje

Andrzej Drawicz: Na dnie rusycystyki 105
Tadeusz Sobota: Dalszy ciąg ewolucji 111
Stanisław Barańczak: Wyobraź sobie, że piszesz po polsku 114
Stanisław Barańczak: Książka dla każdego 117

Gwóźdź w numerze

Piotr Kropotkin: Zapiski z ostatnich dni 119

List do redakcji

Kto się boi Pawła Jasienicy 128

KRONIKA

O czym mówiono na zjeździe literatów 129
Co uchwalono na zjeździe literatów 131
Organizacja, statut i wybory na zjeździe literatów 132
Echa zjazdu w prasie 134
A co u dziennikarzy 135
Forum strachu 136
Z życia PEN-Clubu 137
Skonfiskowany Conrad 138
Pisarze wyjeżdżają za granicę 138
Powrót Herberta 138
Filmowcy-dokumentaliści w Ustrzykach Dolnych i Rzeszowie 138
"Zapis" nadal "nie istnieje" 139
Seanse zarezerwowane 140
Jeszcze raz wybory i obrady literatów 140
Jeszcze raz Andrzej Wasilewski 141
Nagroda londyńskiej "oficyny" dla Ficowskiego 141
Czy wznawia się represje wobec pism niezależnych? 142
Dejmek i Braun o Marcu 142

Nowe władze Związku Literatów o Marcu 143
Czytać rano w dzień słoneczny 143

Książki i czasopisma nadesłane 144

Noty o autorach 146

Zbigniew Herbert

POTĘGA SMAKU

Pani
Profesor Izydorze Dąmbskiej

To wcale nie wymagało wielkiego charakteru
nasza odmowa niezgoda i upór
mieliśmy odrobinę koniecznej odwagi
lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku
Tak smaku
w którym są włókna duszy i chrząstki sumienia
Kto wie gdyby nas lepiej i piękniej kuszono
słano kobiety różowe płaskie jak opłatek
lub fantastyczne twory z obrazów Hieronima Boscha
lecz piekło w tym czasie było jakie
mokry dół zaułek morderców barak
nazwany pałacem sprawiedliwości
samogonny Mefisto w leninowskiej kurtce
posyłał w teren wmuczęta Aurory
chłopców o twarzach ziemniaczanych
bardzo brzydkie dziewczyny o czerwonych rękach

Zaiste ich retoryka była aż nazbyt parciana
/Marek Tuliusz obracał się w grobie/
łańcuchy tautologii parę pojęć jak cepy
dialektyka oprawców żadnej dystynkcji w rozumowaniu
składnia pozbawiona urody koniunktiwu

Tak więc estetyka może być pomocna w życiu
nie należy zaniedbywać nauki o pięknie

Zanim zgłosimy akces trzeba pilnie badać
kształt architektury rytm bębnów i piszczałek
kolory oficjalne nikczemny rytuał pogrzebów

Nasze oczy i uszy odmówiły posłuchu
książęta naszych zmysłów wybrały dumne wygnanie

To wcale nie wymagało wielkiego charakteru
mieliśmy odrobinę niezbędnej odwagi
lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku
Tak smaku
który każe wyjść skrzywić się wycedzić szyderstwo
choćby za to miał spaść bezcenny kapitel ciała -
głowa

Zbigniew Herbert

Andrzej Braun

GŁOS W DYSKUSJI NA ZJEŹDZIE LITERATÓW

Szanowni Państwo!

Będę mówił o teatrze i o szkole.

Decydując się uczestniczyć w naszym kolejnym i nieco przyspieszonym /tylko dzięki zażartej walce ogółu/ aczkolwiek zwyczajnym, a nie Nadzwyczajnym Zjeździe - w niecale trzy lata po niechlubnej pamięci Zjeździe Katowickim - decydując się więc uczestniczyć, z wyboru Kolegów w tym Zjeździe, mam świadomość całej odmienności towarzyszącej mu atmosfery i odmiennego klimatu w życiu publicznym kraju.

Popularne jest dzisiaj wytykanie trwającej od lat "teatralności" owego życia publicznego, jego kłamliwej obrzędowości oraz pustego rytuału, który ukrywał treści i styl gwałcące podstawowe zasady demokracji, związkowej samorządności, czy wręcz jakiegokolwiek prawa. Za napuszoną fasadą frazesów i ogólników o "jedności moralno-politycznej narodu", o "rozwiniętym społeczeństwie socjalistycznym" i tak dalej mieliśmy właśnie głęboki rozziew pomiędzy władzą i oficjalnym życiem - a losem, bytowaniem, świadomością i uczuciem zwykłych ludzi, zaś rozwinięty socjalizm polegał w praktyce na codziennym naruszaniu prawa i konstytucji, na najostrzejszym chyba podziale między p r z y w i l e j a m i, tak obywatelskimi, jak i po prostu materialnymi, coraz liczniejszej, niestety, warstwy służalców i lokai - oraz o b o w i ą z k a m i, to znaczy zaciskaniem obroży przymusu na szyi większości mieszkańców kraju.

"Teatralność" owa, której świadkami byliśmy ostatnio w Katowicach, to z jednej strony - rzec by można, n a ś c e n i e - uroczyste i krągłe frazesy, że Polska jest krajem wolności i suwerenności, że nie ma "polowań na czarownice", że wszyscy twórcy są jednakowo cenni, że "każdy pisarz ma prawo do wydawania książek i do paszportu zagranicznego", że kultura polska jest pluralistyczna /w formie/, różnowątkowa, że się rozwija wspaniale i przynosi nam zaszczyt, że gruntuje pozycję Polski w świecie /w odróżnieniu od naszych produktów w handlu zagranicznym/, że cenzura będzie ograniczona do niezbędnych interesów, et cetera... - a z a k u l i s a m i, w kuluarach tego teatru: targi i pogróżki, interwencje i poważne ostrzeżenia, że wichrzycielstwo i nieodpowiedzialność, że władza się gniewa, że nie będzie z nami rozmawiać, że zakaże, zawiesi, weźmie głodem. Za kulisami - rozzłoszczeni dygnitarze, ludzie nie mający nic wspólnego z twórczością i sztuką, jej potrzebami czy jej dobrem, ludzie, których nikt nie wybrał, ani też nie wprowadził do wymagającej pokory świątyni kultury - anonimowi sekretarze, prezesi od fabryki kłamstw publicznych, ministrowie od górnictwa i policji, ci, którzy zamiast dbać o węgiel, nie doprowadzać gospodarki do ruiny, uważają, że ich powinnością jest zaprowadzić "porządek" w kulturze - otóż za kulisami ci ludzie straszą, grożą, wyrokują, kto, co i jak ma myśleć, co mówić, pisać, czytać i jak działać.

W Katowicach część owej prawdy zza kulis ośmieliła się nawet wyjść na scenę.

Proszę Państwa!

Dziś nie widać już w pierwszym rzędzie wielu złowrogich i zaciętych twarzy tamtych gości Zjazdu. Nie widać w loży honorowej dwóch największych szkodników kultury ostatniego dziesięciolecia - Łukaszewicza i Szczepańskiego /Macieja/. Dziś zgromadzeni tu jesteśmy nie na zasadzie odgórnego "klucza", ale osobistego zaufania i prestiżu, jako autentyczna, wybrana przez ogół reprezentacja właśnie ogółu pisarzy, w klimacie zdrowego buntu oraz żądania

żyć musieliśmy. Tej sytuacji, w której my, p
w Europie, w końcu XX wieku, byliśmy w każdej, nawet najbardziej osobistej
dziedzinie życia, w ł a s n o ś c i ą p a ń s t w a, owego państwa, któ-
re dyktowało nam wszystko: gdzie mamy mieszkać, co czytać i czego słuchać,
co pisać i co mówić - wbrew prawom ludzkim i obywatelskim - w imię dowolnie
ustalanego interesu państwa, w imię niewiadomego sensu i pożytku, bowiem ów
sens i pożytek bywały później z reguły przekreślane, i nie były ani pożyt-
kiem ani dobrem człowieka czy kultury. Zmuszano nas żyć bez godności, bez
praw oraz bez swobód, i w niedostatku na dobitek. Było to życie nie obywate-
li, lecz egzystencja poddanych. A lata płynęły, starzeliśmy się, ulegaliśmy
deprawacji, jaką niosła owa codzienność, uczyliśmy się z konieczności mil-
czeć - gdy trzeba, klaskać - gdy trzeba, uczyliśmy się oportunizmu i tej
t o t a l n e j p o d l e g ł o ś c i - aby robić, jeśli komuś się jesz-
cze chciało, specyficzne "peerelowskie kariery". Kariery, polegające nie na
powszechnym, spontanicznym uznaniu za wiedzę, talent, za charakter, nie na
tym, że się ktoś stawał szanowanym autorytetem moralnym, lecz że trafił do
jakiejś "puli", jakiejś "nomenklatury", i mianowano go, z dziś na jutro,
człowiekiem wybitnym, kimś ważnym i uprzywilejowanym. Jakież to wszystko wy-
naturzone i niegodne społeczeństwa naprawdę r o z w i n i ę t e g o.

Zebraliśmy się więc dziś w momencie, kiedy ten ruch protestu i żądanie
zmiany wyszły oraz zabrzmiały słyszalnym w całym świecie głosem, od milio-
nów strajkujących robotników Wybrzeża. Okazało się - dzięki Ci Panie Boże -
iż ktoś jeszcze w tym kraju rozumie i czuje wagę spraw, zasad życia wolnego
i godziwego, a tym kimś są właśnie ludzie pracy, sól tej ziemi, klasa robo-
tnicza, nie zaś jej rzekomi, samozwańczy, "aparatowi" wyręczyciele. Pochyla-
my z szacunkiem głowy przed tymi "robolami", którzy się okazali najmniej
skażonymi i najbardziej światłymi ludźmi w kraju. To oni zadecydowali -
wbrew całej furii szczekaczek i pomówień wokoło - że wolna reprezentacja
związkowa jest prawem elementarnym każdej społeczności, że cenzura i więzie-
nie ludzi za swe przekonania są złem, że owoc pracy zbiorowej ma jego twór-
com służyć, że najbiedniejsi i potrzebujący, że chorzy, starzy i najsłabsi -
największej wymagają pomocy. Że społeczeństwo to nie wilczarnia, gdzie każdy
chwyta swój kęs - byleby tylko należał do najsilniejszej grupy - ale że spo-
łeczeństwo to ludzka, sprawiedliwa i mądra rodzina. Że w tej rodzinie konie-
czne są do życia nie tylko chleb i kiełbasa, ale też godność, prawda i kul-
tura.

Dzisiaj więc w pierwszym rzędzie naszego teatru siedzi, po raz pierw-
szy od lat, minister kultury obdarzony naszym zaufaniem i człowiek popular-
ny. Obywatel Tejchma. Tutaj mała dygresja. Bo czyż to nie dziwne, iż dotąd
każdy objaw popularności i zaufania w środowisku, którym się ma kierować,
traktowany był jako obciążenie, nie mówiąc o jakichkolwiek konsultacjach z
zainteresowanym kręgiem na temat jego urzędowego opiekuna. Zasadą było, że
ci, którym wyrażaliśmy votum nieufności, natychmiast byli nagradzani i awan-
sowani przez władzę. I odwrotnie: komuśmy tylko wierzyli, kto miał pośród
ogółu jakiś autorytet, natychmiast stawał się podejrzany, był "rywalem",
należało go usunąć. Wszelkie decyzje personalne podejmowane były "na złość"
zainteresowanym. Czy tak się miała kształtować owa "jedność moralno-polity-
czna narodu"?

Zebraliśmy się więc nie przy wtórze zagłuszaczek i gwizdków policyjnych,
kłamstw, aresztów oraz pogróżek - a w każdym razie nie ten akompaniament do-
minuje. Towarzyszy nam powszechny ruch związkowy, postępujący zasięg prawdy
głoszonej publicznie, głosy tych mądrych, a zelżonych ludzi, którzy dotąd
oficjalnie musieli milczeć, i nie istnieli. Zebraliśmy się w tej odnowionej
atmosferze, aby zmienić w naszej dziedzinie wszystko, co złe, wyprostować
wszystko, co skrzywione i wynaturzone. Nie mówię tego z nadmiernym entuzjaz-
mem. Zwracam się nie do starszych, którzy swoje wiedzą, ale do tych Kolegów,
co mają mniejsze niż my rozeznanie. Doświadczyliśmy wiele razy owych złu-
dzeń odnowy. Pewien sceptycyzm jest zrozumiały. Nie chciałbym gasić czyjejś
wiary, ale "już szron na głowie, już nie to zdrowie..." A jednak istnieją

prawa tego zawodu nie-zawodu, posłannictwa - nazwijmy to jak chcemy. Istnieje, bądź co bądź, wielusetletnia "silniejsza niż śmierć" t r a d y c j a, która ciąży i zobowiązuje.

Zanim przegłosowywać tu będziemy kwestie konkretne i szczegółowe, organizacyjno-statutowe, chciałbym poruszyć tym razem sprawę z pewnością n a j w a ż n i e j s z ą: problem d e p r a w a c j i d e m o r a l i z a c j i, jakie się szerzą coraz pełniej - problem s z k o ł y, w jakiej się nas od lat wychowuje. Tu, na Zjeździe Pisarzy, jest obowiązkiem mówić o tym.

Podstawowymi źródłami owej deprawacji, jakiej na co dzień jest poddawane społeczeństwo, są w moim głębokim przekonaniu: k ł a m s t w, traktowane instrumentalnie, a więc w oderwaniu od ludzkich wyobrażeń dobra i zła, a także narzucanie ludziom j e d n e g o t y l k o k r y t e r i u m: politycznej korzyści, czy politycznej miary. Innymi słowy: jednego tylko źródła prawdy - bezalternatywnie - jednego wyłącznie systemu wartości, i jednego, a więc jednostronnego kryterium oceny. Wmawia nam się, że nie istnieją równorzędne, czyli odmienne i konkurujące ze sobą wartości - artystyczne, moralne, społeczne czy metafizyczne nawet. I że nie w y b ó r m i ę d z y w a r t o ś c i a m i stanowi o godności, o męstwie, o sensie życia jak i rozwoju człowieka.

Kłamstwo, czy delikatniej mówiąc: nieprawda, są u nas stałym elementem edukacji narodowej. Kłamstwo, albo też przemilczenie, czy półprawda, bądź wreszcie prawda jednostronna i tendencyjna - a to jest przecież także kłamstwo... Owe nieprawdy serwuje się już w szkole, jak gdyby w absurdalnym przekonaniu, iż niewiedza, bądź też wiedza częściowa, skrzywiona i ułomna - mocniej mogą uzbroić młodego człowieka, dać mu lepszą podstawę czy oparcie dla późniejszej orientacji w świecie, dla sensownego działania w skomplikowanym, dorosłym życiu.

Będę wracał z uporem do nauki historii, choć absurdy te dotyczą wielu dziedzin. Korzysta się z niewiedzy wciąż nowych pokoleń, z dziewiczości młodych umysłów - przed wszystkim w zakresie dziejów ojczystych, wiedzy o społeczeństwie oraz współczesnym świecie. Miast problemów do rozwiązania - wsącza się z miejsca dogmaty, formułki. Coraz mniej ludzi pamięta, co i jak było, ale przecież są jeszcze tacy, i żyją w wielu domach, którzy fakty z historii najnowszej odcierpieli życiem.

Zdawałoby się, według powszechnych odczuć, iż nie ma gorszej rzeczy niż okłamywanie dzieci. Często nie mają one jeszcze żadnej wiedzy faktycznej, ale już posiadają rozeznanie w mechanizmie rzekomych konieczności, w manipulacjach społecznego życia. Prawdę tę streszcza znana anegdota szkolna: "Nasza pani twierdziła, że szkło robi się z piasku. My wiemy, że to bujda, ale ona musi tak mówić..." Nauka deprawacji poprzedza naukę samą.

Teraz już, na szczęście, głośniej o tym. Jest faktem przerażającym - o czym mówiło się nawet w Sejmie - że przez ostatnich kilkanaście lat nie istniała nauka historii ojczystej we wszystkich szkołach zawodowych, że całe zatem pokolenia przyszłych robotników-fachowców pozbawiono kompletnie podstawowej znajomości dziejów polskich. Bo po cóż im historia, o sprzecznej i wieloznacznej wymowie, czy nie lepiej od razu im wszczepiać jednostronny propagandowy katechizm? Przecież kłamstwo, czy też niewiedza, przestają być kłamstwem czy niewiedzą, jeśli spełniają określone polityczne zadanie...

Tak myślą nasi urzędowi nauczyciele. I tak więc już dziecko, czy uczeń, dowiadują się, wbrew prawdzie, o zawsze jakoby patriotycznym i narodowym charakterze ruchu robotniczego - nic nie wiedząc o podstawowym rozdwojeniu tego ruchu na niepodległościowe i internacjonalistyczne jego nurty. Nie dowiedzą się na przykład, że SDKPiL była p r z e c i w n a niepodległości państwa polskiego, że była przeciw powstaniom i plebiscytom, przyłączeniu do Polski Warmii i Śląska; że sprzeciwiała się obronie kraju w roku 1920, etc. etc. Powiedzenie o Piłsudskim, "który wysiadł z czerwonego tramwaju na przystanku Niepodległość" - z czego przepytywano nas na egzaminach - przedstawiane jest dotąd j a k o a k t z d r a d y - zdrady czego? r u c h u, czy o j c z y z n y?

Nic dziwnego, że współczesny Polak nie bardzo wie, czemu ma być wierny - interesom socjalistycznej wspólnoty czy interesom własnego kraju. Do ta-

kich rozróżnień i wyborów nie jest przyuczony. W świadomości młodego pokolenia nie istnieje historia PPS, czy to w lekturach literackich /Brzozowski, Andrzej Strug, Sieroszewski/, czy w rodowodzie teraźniejszości. "Bibuła" Józefa Piłsudskiego jest nadal konfiskowaną bibułą. Nie znana mu jest z m i a n a s t o s u n k u k o m u n i s t ó w d o I I w o j n y ś w i a t o w e j - w 39 roku wojny "imperialistycznej", w 41 roku "narodowej i antyfaszystowskiej. A także wszelkie związane z tym dylematy i wybory. Biedny ten młody Polak, ma się nad czym głowić. Żonglowanie podstawowymi wartościami, relatywizm zasad i pojęć czynią straszliwe spustoszenie w ethosie Polaka.

Kultywuje się nieprawdziwe mity - rozciąga je w czasie. Młodzieży wmawia się na przykład, że podczas wojny cały nasz naród walczył o Polskę socjalistyczną, której powstanie było zwycięstwem naszym w owej wojnie i celem, do którego dążyli Polacy. A przecież 14 tysięcy dzieci i młodzieży dobrowolnie oddało życie w Powstaniu Warszawskim bynajmniej nie za sprawę socjalistycznej Ojczyzny - ale za ojczyznę w o l n ą , po prostu. Czyż taki ostateczny fakt nic nie znaczy? Oczywiście, byli też tacy, którzy marzyli o kraju socjalistycznym - ja również, muszę to przyznać, do nich się zaliczałem - ale to była znikoma m n i e j s z o ś ć. ZWM śpiewał: "Było nas stu..."

Nie chcę mnożyć tych irytujących i drażliwych faktów z historii. Do wczoraj były one tabu. Dziś zaczyna się o nich mówić - ale jak?

Przerażający jest moralny aspekt tej jednostronnej edukacji. Chcemy uczyć patriotyzmu, dumy i godności - a podważamy w ludziach podstawowe zasady etyczne. Uczymy strachu, cynizmu, nieczułości. Trudno zapomnieć lekcje "telewizyjnych historyków" w 60-lecie niepodległości. Kiedy wreszcie wspomniano datę 17 września 1939 roku, nasz kolega związkowy, pan Ryszard Wojna napisał, iż na to, co się wówczas stało, "nie można patrzeć z wąsko emocjonalnego punktu widzenia". A z jakiego punktu widzenia, Kolego Wojna, należy patrzeć? Więc po co uczyć młodzieży patriotyzmu - że za Ojczyznę oddaje się krew? Istotnie, według pewnego rodzaju edukacji wszelkie pojęcia, czy słowa, tracą swój podstawowy sens. Wychowanie, jakie się nam serwuje, jest demoralizacją i szkołą nihilizmu.

Nie dotyczy to przecież tylko przeszłości. Mamy tego przykłady i w obecnych dramatycznych miesiącach. Gdy zrozpaczeni robotnicy Wybrzeża i Śląska zdecydowali się wreszcie naprawić Rzeczpospolitą - jakaż była reakcja naszych publicznych nauczycieli? Poważne ostrzeżenia. Znów pan Wojna, przywołując pamięć rozbiorów, wzywał do realizmu i rozsądku. Należałoby odpowiedzieć naszemu historykowi, że są dwie tradycje realizmu i rozsądku, dwojakie rozumienie tych kategorii. Istniał r e a l i z m i r o z s ą d e k t w ó r c ó w S e j m u C z t e r o l e t n i e g o, dzieła naprawy Rzeczypospolitej, uwieńczonego Konstytucją Trzeciego Maja. Istniał także r e a l i z m i r o z s ą d e k B r a n i c k i c h i P o t o c k i c h. Obydwa przeszły do historii z niejednakowym znakiem.

I tak się nam dodaje ducha w chwili najcięższej próby.

Bo czegóż nas się uczy w istocie? Strachu i posłuszeństwa, niewiary w słowa i w ideały, zobojętnienia i nieczułości, a nie - myślenia przede wszystkim. Kiedy rosło napięcie wewnętrzne, w dniach robotniczej rewolty, z byłych najwyższych ust usłyszeliśmy: można się spierać i negocjować o tym i o owym, pewne rzeczy jednakże nie podlegają dyskusji... Nie podlegają dyskusji - a więc nie podlegają myśleniu, dyskusja bowiem, dialog, jest najwyższą formą myślenia. Są więc regiony spraw, o których narodowi myśleć nie wolno.

Czy my, pisarze, możemy się zgodzić na to?

Jedną z niszczących cech tej naszej edukacji jest umieszczanie miar oceny politycznej na szczeblu najwyższym wszelkich ocen. Wszystko, co w politycznych kategoriach oceniamy na plus, co politycznie aprobujemy - jest dobre, szlachetne, słuszne i moralne. Wszystko, czemu przywiesić można, z jakichkolwiek względów, ujemną polityczną etykietę - jest podłe, niskie, egoistyczne i niemoralne. Być może w "czystej polityce" to prymitywne rozdzielanie światła i ciemności do czegoś prowadzi. W bogatej i złożonej materii życia społecznego prowadzi do demoralizacji i cynizmu, do pogardy dla bezinteresownych uczuć i czynów. Albowiem z wielu sensów każdego faktu, jego sens polityczny

nie zawsze bywa najistotniejszy. Być może tak jest dla profesorów owej szkoły, ale społeczność nasza nie składa się z politruków.

Tu muszę parę słów poświęcić sprawie KSS "KOR"-u. Nie należę do tego Komitetu, choć mam tam kilku przyjaciół. W ogóle złe mam doświadczenie z przynależnością. Nie znam, jak wielu w Polsce, skupionych tam osób. Nie muszę znać poszczególnych poglądów politycznych Jacka Kuronia, czy kogoś innego; z pewnymi spośród jego poglądów mogę się zgadzać - z innymi nie. Kuroń nie jest też żadną instytucją i poglądy jego nie muszą nikogo obowiązywać - również ludzi z KOR-u. Ale ci ludzie - kimkolwiek są - w tym także Jacek Kuroń, ci ludzie przez lata całe głodowali i poświęcali się na rzecz nieznanych im, żyjących gdzieś na drugim końcu Polski, współobywateli, którym działa się krzywda czy niesprawiedliwość. Ci ludzie bronili ich, tych swoich bliźnich, jeździli na procesy, służyli pomocą prawną, wsparciem moralnym i materialnym, protestowali, ujmowali się za nimi, kiedy w innym wypadku nikt by nawet o krzywdzie owych biedaków nie wiedział, w y d o b y w a l i z ł o n a ś w i a t ł o d z i e n n e, a ofiary tego zła - z otchłani nakazowego milczenia, byli po prostu z tymi nieznanymi sobie osobami s o l i d a r n i. I za to ci ludzie z KOR-u, broniący robotników przeganianych przez "ścieżki zdrowia", spędzali doby w aresztach, za to ich bito, porywano z domów, lżono, poniewierano. Wyrzucano ich z pracy, rezygnowali z karier "peerelowskich" - głodowali, powtarzam, i byli bici za innych. W imię przywrócenia sprawiedliwości i prawa. W imię odnowy, którą dziś realizują masy. I z powodu jakichś poglądów Jacka Kuronia mamy się zgadzać, ażeby tych ludzi opluwano dzisiaj?

Istnieją jeszcze inne, ważniejsze kryteria oceny ludzi w społecznej opinii, niż polityczne etykietki.

Czesław Miłosz i był, i jest przeciwnikiem Polski Ludowej, w jej obecnym kształcie - a jednocześnie był i jest wielkim pisarzem. Jeszcze do wczoraj, jako przeciwnik i krytyk PRL, nie istniał - i nie istniała dla Polaków jego wielka poezja. Kto na tym tracił? A więc czy najważniejsze były polityczne kryteria?

Manipulacja pojęciami dobra i zła, godności i służalstwa, prawdy i kłamstwa, poświęcenia i egoizmu, obojętności i patriotyzmu, dla doraźnych politycznych interesów - oto szkoła, w której się nas wychowuje. Stary poeta "proletariacki", który całe życie powoływał się na to, że jest "krwią z krwi, i kością z kości" klasy robotniczej, przemawia na policyjnym stadionie, gdy biją robotników w Ursusie i w Radomiu i miesza tych robotników z błotem... Oto jest koniec drogi, którą mamy iść.

Więc kodeks naszych zasad w tej szkole brzmi: Jeśli gdziekolwiek biją, więżą, czy krzywdzą człowieka - nie odzywaj się, milcz, udawaj, że nie wiesz o tym. Nie podpisuj żadnych protestów - ty się przecież nie angażujesz w akcje polityczne; a że to czasem chodzi o czysto humanitarną sprawę - nie myśl o tym. Nie angażuj się w żaden ruch przemian czy odnowy; to się i tak źle skończy - a najważniejsze jest to, co piszesz. I czekaj na instrukcje z góry - czy te zmiany są postępowe, czy wsteczne... A jeśli spalił się dobrowolnie na placu jakiś Czech - to pewnie chory psychicznie... zresztą podobno pijany. B ó j s i ę i n i e m y ś l, pracuj, i niech cię nic nie obchodzi - a będziesz wybitnym pisarzem, obwieszą cię orderami, nie będziesz wychodził z Telewizji - a może nawet znajdzie się papier na twoje dzieła zbiorowe.

O postaciach tych publicznych mentorów mówić nie warto. Ostatecznie w każdym ustroju bywają gangsterzy. Tyle, że Al Capone nie próbował być równocześnie prezydentem Lincolnem. To nie był jego "job". U nas człowiek, który kradnie miliony, mówi, że "na strajki nas nie stać" - u nas, i to jest nasza "specyfika", człowiek takie pragnie być jeszcze wychowawcą narodu.

Podobno Lenin gdzieś napisał, iż "państwo policyjne to takie państwo, w którym policjant zarabia więcej, niż nauczyciel"... A jeżeli milicjant jest jedynym nauczycielem?

Szanowni Koledzy!

Być może przerysowałem ten niewesoły obraz tu i ówdzie w jakimś szczególe, choć nie sądzę. Uważam jednak, iż w tych sprawach pisarze muszą najgłośniej bić na alarm.

Andrzej Braun

Marek Nowakowski

GŁOS W DYSKUSJI NA ZJEŹDZIE LITERATÓW

Dla mnie jest to ważny zjazd. W związku z tym chcę powiedzieć kilka uwag z moich osobistych doświadczeń. W tej trzyletniej kadencji byłem członkiem Zarządu Głównego, co prawda tylko członkiem, to jest osobą bez funkcji, ale byłem.

A jakiś czas przedtem, znaczny czas przedtem, zacząłem mimo woli brać czynny udział w naszym życiu literackim. Mówię: mimo woli, gdyż z natury jestem raczej outsiderem, pojedynkiem chodzącym własnymi drogami. I myślę, że jest to jednak stała formuła mojego udziału w życiu.

Ale dlaczego od tego zacząłem? Zacząłem od tego dlatego, że chciałbym na własnym przykładzie pokazać zebranym, jak bardzo ciśnienie aparatu władzy zaczęło się od pewnego czasu w sposób brutalny i dokuczliwy intensyfikować, jak ten aparat władzy coraz bardziej wdzierał się w tę minimalną nawet sferę wolności jednostki.

Wtedy następuje reakcja analogiczna do zachowania się dzikich zwierząt. Są one spokojne, dopóki się nie przekroczy pewnej sfery bezpieczeństwa, może to być w ich przypadku metr, dwa. Później atakują, bo czują się zagrożone. Tak było ze mną również.

Ta eskalacja ingerencji władzy w różnych postaciach zaczęła się na dobre w latach 1966-68. Wtedy to środowisko twórcze zostało szczególnie tym zainteresowaniem dotknięte. Między innymi ja też.

Wezwanie do MSW w sprawie zabójstwa syna wodza PAX-u, Bolesława Piaseckiego, tajemnicze taśmy magnetofonowe, co pan wie o bramie kamienicy przy ulicy takiej a takiej? czy bywał pan w tym domu? następnie starym trybem policyjnym - tusz, arkusz papieru i delikatnie biorą odciski moich palców. Pacyka - tak nazywa się ten zabieg w języku zawodowców z kręgu złodziejskiego.

Mój pierwszy wyjazd za granicę w 1969 roku i długie rozmowy z oficerem resortu, a co, a gdzie, a po co?

Na razie bawiłem się tym, gdyż przypominało mi to moją nieco kryminalną młodość.

Pamiętam też taki incydent, kiedy jadąc za granicę, pożyczyłem walizkę od swego przyjaciela, korespondenta z RFN-u, i wtedy powtarzało się to ich natarczywe pytanie: - To nie mogliście od Polaka pożyczyć, musieliście od Niemca? Było to literacko zabawne. Mógłbym przytoczyć jeszcze wiele podobnych przykładów. A cel był jasny - chcieli zastraszyć i odpowiednio wytresować.

No, starczy już tych wspominków. Patrząc wokół zobaczyłem, jak ta minimalna sfera swobody jednostki jest coraz bardziej ograniczona. Robi się ciasno i duszno.

Moja żona dostała pocztówkę z widokiem Treblinki i odpowiednią pogrżką. Dla wyjaśnienia: wynikało to z powodów rasowych, według hasła, które było wtedy hasłem partii: "Syjoniści do domu!"

I wtedy ja, człowiek apolityczny, jak siebie nazywałem, zrozumiałem, że nie może być złotego środka. Według powiedzenia Leszka Kołakowskiego: "Kiedy jest do wyboru kawa albo herbata, nie można prosić o mazagran!"

Życie w kraju od tamtych właśnie lat zaczęło dostarczać coraz więcej dowodów na prawdziwość tego powiedzenia filozofa. Widziałem świat fikcji i kłamstwa, zgody na wszystko zło i apoteozy wszystkiego zła. Ludzie z tego świata obrastali w piórka, rangę i znaczenie. Ludzie, którzy wybrali taką drogę, stali się naszymi nauczycielami i reprezentantami. Czytałem gazety, słuchałem przemówień przywódców i ideologów, gdzie groźba była w ścisłej symbiozie z fałszem.

Obserwowałem pustynne zniszczenie w społeczeństwie, panowanie niby-kultury, opartej na kiczu i telewizji. W efekcie wyrastali jałowi ludzie, stwory zredukowane do kilku czynności, według recepty - żreć, chlać, kraść i tak kręcić!

Widziałem jak ci, którzy nie wytrzymali ciśnienia, rezygnowali z czystości i uczciwości, już nie widząc innej alternatywy, zanurzali się w mętnym błotku konsumpcji, okraszając to pseudo-mądrością życiową, która sprowadzała się do niewolniczej dewizy - "nie może być inaczej, trzeba się pogodzić!" Powstała też w tamtych czasach na pewno wynikająca ze szlachetnych intencji życiowa filozofia: przechować co się da przechować, ratować co się da ratować, posuwać się choćby ćwierć-kroczkami, i mieć nadzieję, że władza zrozumie, bo ona, ta władza w gruncie rzeczy ma dobrą wolę, tylko jest nieufna, oporna czy ociężała. Więc próbować oswajać ją, jak tygrysa z ussuryjskiej tajgi. Coś w tym sensie. Chwilami ulegałem temu mniemaniu.

Ale widziałem także świat, który starał się odrzucać zgodę na ten umowny, kłamliwy system pojęć, służących chwalbie każdego etapu, w który kraczała władza. A ludzie w tym świecie działający różne mieli poglądy, bliższe mi i dalsze, ale intencje ich były zgodne - nie dać się zakłamać, bronić prawa do swego indywidualnego zdania, do swych przekonań i mieć prawo mówienia o tym pełnym głosem.

Czyli zobaczyłem, że wybór jest prosty - prawda i po drugiej stronie kłamstwo. Nie ma nazagranu. Dlatego z pełną aprobatą i osobistym zaangażowaniem powitałem fakt powstania "Zapisu" i innych pism poza cenzurą oraz Niezależnej Oficyny Wydawniczej. Nawet jakiś czas uczestniczyłem w tym aktywnie.

Równocześnie nie mogłem nie widzieć tej swoistej schizofrenii literatury, która powstała w wyniku istnienia dwóch obiegów: oficjalnego i podziemnego, nie mówiąc już o istniejącym od kilkudziesięciu lat obiegu literatury emigracyjnej. W sposób wieloraki dezintegrowało to kulturę. Ponadto, mówiąc brutalnie, dzieliło środowisko twórcze na nieprzejednanych i pojednanych. Jeszcze brutalniej: na kolaborantów i konspiratorów. Jak po powstaniu styczniowym. W dalszym efekcie ten stan rzeczy niszczył literaturę, powodując anormalny rodzaj recepcji. Moi znajomi, małżeństwo, młodzi inteligenci, około trzydziestki, którzy czytają wszystko, co można czytać, dwa razy mówili z bezsilnością i goryczą: - Co to jest ta "Mała apokalipsa" Konwickiego? Jak to zdobyć? Drugi raz znów ostatnio, kiedy gruchnęła wiadomość o trzecim Noblu dla Polaków: - Kto to jest Miłosz?

Kiedy na Zjeździe w Katowicach padały z trybuny przenikliwe diagnozy o dewastacji kultury i świadomości historycznej Polaków, wypowiadane przez Andrzeja Brauna i innych, obserwowałem dygnitarzy centralnego szczebla władzy, obecnych na zjeździe: siedzieli z pychą i pogardą na twarzach, słuchając tych przemówień, wygłaszanych przez chudych, wyszarzałych gryzipiórków-literatów. Sprawiali wrażenie osobników głuchych, tępych i bezgranicznie pewnych swoich racji. Albo inaczej - byli jak surowi wychowawcy w zakładzie dla nieletnich przestępców, którzy pozwolili swoim wychowankom na eksperyment wygadania się po nic i donikąd.

Po trzech latach swoistą wizualną pointą była dla mnie wystawa fotografii strąconych z piedestału dostojników, którą widziałem w Gdańsku podczas uroczystości odsłonięcia pomnika poległych stoczniowców. Chwycił ich fotoreporter w chwilach szczególnej satysfakcji, uciechy, dumy. Jakby dopadł szulerów rozluźnionych po grze w swoim gronie. Przede wszystkim jeden z tych dygnitarzy, odpowiadający na pytania zagranicznych dziennikarzy w pierwszym etapie strajków letnich. Był on też na naszym zjeździe w Katowicach. Pyszny, butny i cholernie pewny swego, upał chyba wtedy, bo bez marynarki, koszula z krótkimi rękawami i krawat. To zdjęcie najmocniej zapadło mi w pamięć.

Więc po zjeździe w Katowicach, biorąc udział w obradach Zarządu Głównego, obserwowałem bezsilną walkę o naszych kolegów pisarzy, wykreślonych ze społecznego obiegu, o ich niewydawane książki, o ich prawo do wyjazdu za granicę. A sam często zamieniałem się w skrzynkę listów, do której wrzucali swe skargi koledzy, którym podczas rewizji zabrano maszynę do pisania, książki, maszynopisy, rękopisy. Zarząd walczył, pisał, chodził na rozmowy. Ale

przeważnie dochodził do muru. Był to mur zbudowany ze złej woli, tępoty i pogardy dla takich anachronicznych potrzeb jak prawo artysty do swobody twórczej czy choćby do zwyczajnej ludzkiej egzystencji.

I ciągle ten szantaż groźnych, pustych słów: siły antysocjalistyczne, wroga propaganda, wrogie ośrodki, ich mocodawcy!!! Szantaż słów straszaków.

Bo przecież szło tu często o tom wierszy, dobrą prozę czy głęboki, odkrywczy esej.

Zarząd jako reprezentacja pisarzy wykazywał uczciwość i odwagę w obronie praw swoich kolegów, a Komisja Interwencyjna pod przewodnictwem Andrzeja Wasilewskiego starała się załatwiać różne trudne sprawy. Co prawda często bez skutku. Ale to nie wina komisji przecież.

Zarząd też odznaczył się zdrową, pisarską intuicją w sprawie przyjęcia do ZLP dziennikarza i komentatora telewizyjnego Ryszarda Wojny. Dopiero po kilku głosowaniach, nieznaczną większością głosów, Ryszard Wojna został literatem. Mówię o zdrowej intuicji, bowiem tenże dziennikarz w okresie strajków wystąpił w telewizji jak Kassandra, strasząc społeczeństwo i próbując w ten sposób sparaliżować robotniczy ruch społeczny dążący do uzdrowienia życia w kraju. Zresztą linia kierownictwa partii później daleko odbiegła od tego paternalistycznego humanizmu Ryszarda Wojny.

Tak minęły trzy lata. To, co nastąpiło w ostatnich miesiącach, jest doskonale wszystkim znane. Nastąpił zdrowy odrzut organizmu. Proces posuwania się gangreny został na razie powstrzymany.

A wracając do naszego rewiru, do literatury. Sądzę, że musimy teraz, jako ten jeden z nielicznych związków, który w tamtych złych czasach nie dawał się na miarę swych skromnych możliwości tej niszczącej presji, z czujną konsekwencją patrzeć władzy na ręce; w żaden sposób dopuścić, żeby tak bardzo już zdewastowana literatura została zdewastowana do szczętu. Po prostu musimy potraktować ten czas, który następuje, z pełną odpowiedzialnością i wiarą, że my, nauczeni doświadczeniem tylu etapów, poczynając od października 1956, nie damy się zwieść obietnicom i pozorom. Czuwać należy, żeby słowa odpowiadały faktom. Moim zdaniem pierwszym naszym obowiązkiem jako pisarzy jest: nie poddać się zaleceniom o rozsądku i rozwadze. W innych dziedzinach życia społecznego jest to rzecz do dyskusji. Tylko nie w pisaniu. Starać się trzeba wypisać tamten czas, dokopać się do dna tamtych lat. Do samych przegniłych korzeni. Niech w ten sposób chociaż dana będzie przestroga. W słowie zapisanym. Przestroga taka nie pozwoli może znów tak łatwo propagandystom rozmaitym poszybować w sferę fikcji i kazać nam wierzyć, że to, co wymyślili, jest rzeczywistym światem. W tym jest także nadzieja. Może pierwsza od kilkudziesięciu lat. To było ostatni raz! Tego już nie będzie!

Na koniec wspomnienie z zebrania Oddziału Warszawskiego ZLP. Kazimierz Brandys powiedział tam o dialogu władza-literatura: dobra władza nie prowadzi dialogu z dobrą literaturą. Po prostu obie istnieją.

Może zbyt długo mówiłem. Ale to pierwszy raz. Nigdy dotąd nie zabierałem głosu na dłużej niż pięć minut. Przeważnie zresztą czytywałem rozmaite listy.

Marek Nowakowski

Andrzej Kijowski

O PAWLE JASIENICY

Paweł Jasienica: reporter, publicysta, historyk, działacz społeczny.

Reporter przyczółkowych terenów nadwiślańskich, archeologicznych wykopalisk i pracowni uczonych.

Publicysta przede wszystkim lat 1947-1948, tzn. właściwie publicysta jednego roku, może półtora, od ujawnienia do aresztowania. Pisywał wtedy głównie do "Tygodnika Powszechnego" o sprawach, jakie dzień przynosił, jakie nasuwała lektura książek i gazet, jakie wynikały z ówczesnych polskich niepokojów i rozterek i jakie dopuszczała ówczesna cenzura, niewiele różna od dzisiejszej. Bronił zasług armii wrześniowej i polskiej dyplomacji sprzed 1939 roku; bronił praw politycznych dla katolickiej większości; bronił młodzieży przed pomówieniami jej o demoralizację i cynizm; bronił pojęć abstrakcyjnych, takich jak honor i bohaterstwo. Taka postawa obronna charakeryzowała w ogóle ówczesny "Tygodnik Powszechny", pismo, którego sytuacja w pierwszych latach jego istnienia w powojennej Polsce podobna była do próby przejścia przez rwącą rzekę po ruchomych lodach. Społeczeństwu, które w większości odnosiło się wrogo do nowej rzeczywistości, "Tygodnik" proponował konstruktywną współpracę z władzą, która odnosiła się wrogo do społeczeństwa. Jednocześnie zwalczał panującą ideologię, stawiając jej opór tam, gdzie to było możliwe, np. w kwestii własności prywatnej, centralizacji, prawa małżeńskiego, stosunku do tradycji, i, oczywiście, w kwestii nauczania religii oraz swobody uczuć, przekonań i praktyk religijnych. Przez sam fakt swego jawnego istnienia działał na rzecz spokoju społecznego, przeciwstawiając się myślom o kontynuowaniu konspiracji, zwalczaniu sił komunistycznej władzy i rachubom na nową wojnę światową, bardzo jeszcze wówczas rozpowszechnionym. Cóż, kiedy władza umacniając swój byt legalny, przeciwdziałała wysiłkom na rzecz pokoju społecznego, wzniecając sztuczną psychozę rewolucyjną i utrzymując kraj na stopie stanu wyjątkowego, a z kolei ZSRR pod kierownictwem Stalina, który na arenie międzynarodowej unikał zręcznie wojny, w krajach swej strefy wpływów posługiwał się jej groźbą jako czynnikiem polityki wewnętrznej. Pokojowa i konstruktywna retoryka "Tygodnika" i Jasienicy trafiała w próżnię. Zjednoczona partia niebawem przejęła ideę frontu narodowego, współpracy z bezpartyjnymi, a nawet katolikami, ale w zupełnie innej oprawie ideologicznej, w której ani "Tygodnik" ani Jasienica miejsca już nie mieli. To znaczy: "Tygodnik" dawno zniknął, a w "Nowej Kulturze" i w "Przeglądzie Kulturalnym" zjawił się Jasienica nowy, w niczym nie przypominający dawnego.

Władza ówczesna nie szukała poparcia większości, za które musiałaby płacić politycznymi ustępstwami; zamierzała posłuch wymusić. Tę większość organiczną, powstałą w dwudziestoleciu, okrzepłą podczas okupacji i w pierwszych miesiącach spontanicznej odbudowy, zamierzała rozbić, zamienić w odizolowane, prześladowane kolejno i zalękłe mniejszości, potem je wymieszać jak kości do gry w zaciśniętej pięści i w nowym układzie rzucić na sukno. Z goryczą czyta się dziś reportaże Jasienicy z przyczółka, które oprócz świadectwa nieszczęść doznanych przez ludność w czasie wojny przynoszą też świadectwo solidarności, jedności i sprawności w dziele odbudowy. Wystawiają świadectwo narodowi ujawniającemu siłę swych ograniczonych, lokalnych, przez historię od wieków okrzepłych układów. Komunistyczny partyzant u władzy, akowiec, który ledwo wynurzył się z ukrycia, przedwojenny starosta, ksiądz, wysadzony z siodła ziemianin, prywatny przedsiębiorca i robotnik-PPR-owiec, który stał się dyrektorem fabryki, pozostawieni sami sobie, z wolnością podejmowania decyzji, tworzą społeczność, która jest nowa i stara zarazem - nowa co do tytułów i sytuacji, stara co do wartości, których porządek trwa,

Dzieło społecznej zagłady, którego natężenie przypadło na lata pięćdziesiąte, a którego skutki dopiero dziś dają się odczuć w całej grozie, nie uderzyło w układy przedwojenne, kapitalistyczne, lecz w tę żywiołową, w warunkach okupacji i odbudowy narodzoną, autentyczną, organiczną, historycznie ugruntowaną, powiatową i gminną demokrację. Jasienica był jej wielkim epikiem. W 1956 roku zdawało mu się, że ogląda jej odrodzenie. Szkoda, że zabrakło go w Gdańsku i Szczecinie latem 1980 roku.

Jasienica bronił polskiego stanu posiadania, stworzonego przez całą historię Polski; bronił rzeczywistości polskiej przed zamianą jej na fikcję pseudo-polską. Występował przeciwko pewnej praktyce i przeciwko pewnemu myśleniu. Praktyka polegała na zawłaszczeniu przez monopartyjne i monoideologiczne państwo wszystkich elementów owej rzeczywistości: ziemi i warsztatów pracy, organizacji i inicjatyw społecznych, grup i związków, wreszcie umysłów i dusz, a na koniec słów i wartości. Tej praktyce towarzyszyło myślenie, którego zasadą była degradacja. Idee to "zmistyfikowane formy klasowych czy klikowych interesów", walka o idee to "walka egoizmów", talenty i ambicje to "wyraz gniewu i zemsty", instytucje publiczne i prawa to "parawany machinacji". Całe dzieje kraju, całe dzieje ludzkości, cała natura człowieka zostały zredukowane do motywu ekonomicznego, a więc właściwie unicestwione, bo skoro tak jest, to nie warto znać szczegółów.

"Żywot grabarza jest wesoły,
grzebie systemy, wiary, szkoły
i ziemię uklepuje gładko
piórem, naganem czy łopatką"

- pisał w 1949 roku Czesław Miłosz.

Ponieważ ten degradujący, redukcyjny system myślenia, uprawiany pod hasłem "demistyfikacji" albo "demitologizacji", stanowił oficjalną doktrynę szkolną i ponieważ ze szczególnym zapałem wprowadzano go do szkolenia partyjnych kadr naukowych i administracyjnych, warto może zadumać się nad tym, jaki miał udział w wykształceniu aparatu, który nas dziś zdumiewa cechami powstałymi jakby z wyłącznego studiowania dziejów ekonomicznego człowieka.

Z oporu przeciw wszechogarniającemu literaturę i szkołę systemowi degradacji zrodził się Jasienica-historyk. Pozbawiony pola dla działalności publicystycznej, Jasienica podjął wielki zamiar opowiedzenia na nowo i dowartościowania całej historii Polski. I zamiar ten wykonał; w pięciu tomach opowiedział historię do III rozbioru, a w książce pt. "Dwie drogi" - to, co z historii porozbiorowej najważniejsze, to jest wieczny polski dylemat: brać co dają, czy dobijać się rzeczy niemożliwych.

Jasienica jako historyk nie był ani bezstronny, ani obiektywny, ani nawet sprawiedliwy. Miał wyraźne sympatie i wyraźne antypatie, przy czym w najogólniejszym zarysie jego preferencje były zgodne z tradycją historiografii lewicowo-liberalnej. Cenił bardziej renesans niż średniowiecze i barok; cenił niezmiernie wysoko wiek XVIII, a za punkt centralny dziejów europejskich uważał Wielką Rewolucję Francuską, której inspiracji dopatrywał się nawet w Powstaniu Styczniowym. Patrzył na Polskę z uniwersalnego punktu widzenia; a więc nie to głównie go interesowało, jak naród realizuje swe partykularne cele, jak wypowiada swe aspiracje, jak swój byt umacnia, jak go broni, lecz to, jak nas widzą, jak nas piszą i co wnosimy do skarbca ogólnej kultury. Konfederacja Barska nie znajdowała w jego oczach najmniejszej nawet łaski. A zarazem był lekko, może podświadomie, anty-zachodni i równie złą notę uzyskiwali u niego wszyscy, co się zanadto tamtejszym stolicom i wpływom kłaniali. Przewodnim tematem jego opowieści o dawnej Polsce było jej promieniowanie na wschód, w czym widział jej polityczną i kulturalną oryginalność. Kładł nacisk na wysiłki tych Piastów, którzy zabiegali o utrzymanie niezależności od cesarzy i od papieży. Był bardzo antyniemiecki i antypapieski. W klasycznym sporze polskiej historiografii o śmierć św. Stanisława Biskupa stanął zdecydowanie po stronie króla i gniewnie odrzucał całą wersję hagiograficzną. Nawet pokutę Bolesława w Osjaku kładł między bajki i twierdził, że został on na dworze w Budzie skrycie zamordowany przez wysłanników z Polski. Nie zastanawiał się wiele nad wyborem pomiędzy współdziałaniem z cesarzem lub z papieżem; obie zależności były dla niego złe. Niecierpliwie bowiem

zmierzał do pełnej realizacji polskiej misji historycznej, jaką była dla niego unia z Litwą i Rusią i wymieszanie polskiego katolicyzmu rzymskiego z prawosławiem. Był, oczywiście, przeciwnikiem unii brzeskiej. Polska powinna była według niego odegrać na wschodzie i północy Europy tę rolę cywilizacyjną i jednoczącą w stosunku do całego kontynentu, jaką wzięła później na siebie Rosja Piotra, Katarzyny i Aleksandra. Polska była do tego lepiej przez los wybrana, bo niosła z sobą ideę demokracji i współżycia narodów, ideę tolerancji i wolności. Rosja przystąpiła do swej mocarstwowej roli z mieszanką nawyków nabytych w tatarskiej niewoli, bizantyńskich uproszczeń i cynicznej doktryny politycznej Oświecenia, a wykonali ją niemieccy władcy na rosyjskim tronie, niemieccy dyplomaci i niemieccy generałowie w rosyjskiej służbie. Polska idea unii musiała paść w konfrontacji z prusko-rosyjską ideą państwa-koszar.

Nota bene w procesie połączenia Polski i Litwy i przenoszenia na zacofaną Litwę mechanizmów społecznych z Polski oraz wypróbowanych tu praw i praktyk, Jasienica dostrzegł niebezpieczeństwo grożące wszelkim ponadnarodowym związkom: "był to mariaż zaawansowanego importu z prymitywnym podglebiem" - pisał - "te same zasady, które na zachód od Bugu stworzyły demokrację szlachecką, na wschód od niego pomogły wyrosnąć niebywale groźnej anarchii. Litera i treść programu nie grają roli decydującej" - kontynuował, odpowiadając jakby na dylematy aktualne - "Najważniejsze są okoliczności, materia historyczna, w której ideologia ma się realizować" /"Dzieje agonii", str. 75/.

Ilekroć w historii dochodziło do konfrontacji ideologii z rzeczywistością, z konkretem historycznym, z ową historyczną "materią", Jasienica był przeciw ideologii, po stronie "materii"; znamienny jest tytuł rozdziału, w którym opowiedział o panowaniu swego osobistego wroga - Zygmunta III Wazy: "Sługa doktryn".

Jasienica był wyraźnym zwolennikiem reformacji, a w każdym razie przeciwnikiem kontrreformacji, jezuitów i Habsburgów. Polską tolerancję, wyrażoną w ugodzie warszawskiej, przyznającej równouprawnienie dysydentom religijnym, miał za skarb największy, warto zapamiętać to, co o niej napisał:

"Swoboda myśli, słowa i sumienia, jaką sobie mieszkańcy Rzeczypospolitej w XVI stuleciu zapewnili, należała do zjawisk z kategorii najważniejszych. To było coś grubo większego niż zamiłowanie do wygodnego życia. Ta swoboda pełniła u nas rolę państwowego wyznania wiary. Jego znamiona to uznanie religijności za nienaruszalną podstawę porządku publicznego i wolności dla wszelkich jej form" /"Srebrny wiek", str. 169/.

Te słowa też uznać można chyba za odpowiedź na poczynania władz, które zwłaszcza w latach sześćdziesiątych, kiedy powstawały kolejne tomy "Rzeczypospolitej Obojga Narodów", usiłowały brutalnie wyeliminować czynnik religijny z życia i z historii; wtedy przecież milicja urządzała obławy na obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, wtedy rozpętano kampanię o interpretację millenium, wtedy wyłączono Kościół z obchodów 600-lecia UJ.

Był zarazem w tych słowach ukryty żal do samego Kościoła o sprzeniewierzenie się bogactwu swej misji, o powierzenie swych losów ziemskich doczesnym potęgom, które instytucjami Jego i doktryną manipulowały wedle swych zamiarów. Cały okres zawarty między soborami trydenckim a watykańskim II Jasienica traktował jako jednorodny i dopiero z pontyfikatem Jana XXIII wiązał nadzieje na prawdziwą odnowę Kościoła i Jego wyjście z kontrreformacyjnej psychozy.

Polskę miał za ofiarę kontrreformacji, bo dla niej wyzbyła się idei federacji, ducha tolerancji, oryginalności, przez nią wpadła w szowinizm, w ciemnotę, nauczyła się politycznych mrzonek, a kulturę swoją poddała pod uniformistyczny, jezuicki strychulec, od którego wyzwoliła się dopiero w XVIII wieku. Jasienica ulegał tu w dużej mierze myśli Władysława Smoleńskiego.

A czy to wszystko prawda?

Na Zachodzie reformacja czyniła postępy i wybuchały wojny na tle reli-

gijnym nie dlatego, że bardziej wojownicze, pryncypialne i religijne były tam umysły, lecz dlatego, że reforma religijna posłużyła za zapalnik ruchów politycznych i społecznych, dla których u nas nie było żadnych przesłanek. Ruchy te związane były z przesuwaniem się centrów władzy i jej "redystrybucją"; dokonywały się wśród zewnętrznych i wewnętrznych rywali cesarstwa. Na wschodzie Europy układ sił pozostawał bez zmian; bo rolę podobną do cesarstwa odgrywała tu właśnie Rzeczypospolita. W 200 lat później spotkało ją to, co Habsburgów w XVI wieku ze strony ich poddanych, wasali i rywali. Jak na quasi-religijnym konflikcie XVI wieku wyrosły mocarstwa Francji i Anglii, tak w wieku XVIII z quasi-religijnego konfliktu /gwarantowania praw dla innowierców/ wyrosły po bokach Polski mocarstwa, które miały rychło dokonać jej rozbioru. Wyczerpywały się w całej Europie możliwości pokoju społecznego w wielonarodowych i wielowyznaniowych frakcjach, takich jak Rzesza Niemiecka i takich jak Rzeczpospolita Obojga Narodów. Reszta Austrii i reszta Polski kryły się pod osłonę rzymskiego Kościoła, który je utwierdzał w jedności i tożsamości. Nie o totalizm katolicki można mieć pretensję do ówczesnych Polaków, ale o to, że potencjału, jakim była ideologia zreformowanego katolickiego uniwersalizmu, nie użyli jak Austria, jak Francja do zreformowania własnego państwa. Ale ile w tym było winy Wazów, i czy nie lepiej było w takim razie wziąć Habsburgów na królów i złączyć z sobą dwie potęgi rozwijające się i słabnące w tym samym rytmie i z podobnych przyczyn? Miał rację Jasienica, nienawidząc wręcz Zygmunta III, ale czemu w takim razie radował się wygnaniem Maksymiliana, który był już królem Polski?

Nie za dużo więc było doktryny, lecz za mało; za dużo było pompy i dewocji. Ale co się dziwić ówczesnym Polakom, że mając we wszystkich równorzędnych państwach przykłady wyrastania ponad narody królów obdarzonych nadmiarem władzy i środków, swym własnym nakładała wędzidła? Cóż im się dziwić, że nie chcieli mieć u siebie ani Ludwika XIV, ani Marii Krwawej, ani Iwana Groźnego, skoro my, Polacy dwudziestowieczni też nie chcieliśmy - ku zgubie własnej - mieć własnego Hitlera ani własnego Stalina. I w końcu nam się ten opór opłacił. W XVII wieku, w oporze przeciw "absolutum dominium", w niechęci do zewnętrznej i wewnętrznej wojny, w formach lokalnej demokracji, w katolickim łożysku kulturalnym, powstało to, co można nazwać "polskim życiem" - a jest to pewien skształt domu, pewien styl wychowania, pewien system wartości i pewien stały do nich stosunek. I patrzmy, co się stało: kiedy w XVIII wieku upadło państwo, niewiele było z tego powodu lamentu, póki życie polskie trwało nienaruszone we wszystkich trzech zaborach. Dopiero gdy zaborcy, jeden po drugim, tę formę życia naruszyli germanizacyjnymi i rustyfikacyjnymi posunięciami, gdy na dom polski spadła ciężką maszyna państwa chciwego pieniędzy i rekruta, ruszyły się w obronnych skurczach jedna po drugiej warstwy narodu, od najbardziej zapalnych po najstateczniejsze. I tak to trwa.

Rzeczpospolita się sypała, Polacy żyli coraz lepiej. Państwa centralistyczne rosły w siłę kosztem życia i zdrowia swych obywateli. "Panie, twoje fanfary oznajmiają nam pokój, lecz twoi poddani nie kosztują jego słodyczy, albowiem nędza doszła do tego stopnia, że ludzie odbierają żywność zwierzętom" - oświadczył Ludwikowi XIV prezydent jednego z prowincjonalnych trybunałów. "Francja jest jednym ogromnym szpitalem, pełnym umierających i zrozpaczonych ludzi" - pisał Saint-Simon w pełni francuskiego złotego wieku. Rzeczpospolita upadła, Polacy nie zginęli. Widocznie nam się ta reprywatyzacja życia w sumie opłaciła. Opłaciła się, bo Polakom w dobie niewoli nie stało się obojętne, czyj poborca ich gnębi, ani czyja armia porywa im dzieci w rekruty...Więc nie zgadzam się z Jasienicą, gdy ten pisze w "Dwóch drogach": "Dalsze losy narodu nie od tego zależały, czy uda się uniknąć wojny z armią rosyjską, wyroków, zesłań i konfiskat. Nie od tego nawet, w jakim języku na razie urzędować będą magistraty nad Wisłą i Pilicą. Przyszłość narodu zależała od radykalnej zmiany takiego stanu rzeczy, iż większość mieszkańców kraju nie poczuwała się do narodowej wspólnoty..." /str. 71/. Chodzi o uwłaszczenie chłopów. Zadekretowały je w końcu kolejne rządy zaborcze, a chłopi nie dowiedzieli się pewnie nigdy, że uczyniły to pod naciskiem powstań - w 46 roku w Galicji, 48 w Wielkopolsce, 63 roku w Królestwie. Było to w gruncie rzeczy

wszystko jedno. Naród poznaje sam siebie w formie rodzinnego życia, a nie w stosunkach ekonomicznych, w systemie wartości, nie w ustroju społecznym. Naród może wytrwać w narzuconym ustroju i w biedzie; nie może wytrwać w obcej szkole, w obcej mowie, w obcej wierze, w obcym obyczaju. Walka o język urzędu i szkoły toczy się już na progu domu, a poza progiem domu opór ustaje.

Historyczne rozważania Jasienicy pobudzają do pytań. Albowiem są to naprawdę r o z w a ż a n i a, nie zaś opowiadania. Są to rozważania człowieka, który historię Polski przeżywa na nowo; rozważania nie tyle o czynach ludzkich, nie tyle o zaletach i wadach instytucji i praw, co o wartościach. Są to pytania nie o to, co trzeba było wtedy a wtedy zrobić, jak postąpić, lecz która rzecz, która sprawa była, jest i będzie wartościowsza; której trzeba było, trzeba dziś i trzeba będzie bronić najpierw.

Reporter, publicysta, historyk...

Ponadto: żołnierz września i AK, społecznik, wiceprezes ZLP w gorącym okresie października, sygnatariusz listu 34, po przemówieniu w lutym 1968 roku publicznie zniesławiony. Zmarł wkrótce potem. Trudno powiedzieć: zabity. Trzeba chyba powiedzieć: zadręczony. W 10 lat po śmierci przywrócony do publicznej czci.

Jakże pełna historia! Są w niej zaszczyty i sława. Jest wojna i konspiracja. Jest więzienie. Jest wyrok śmierci cywilnej. Jest pośmiertne zwycięstwo.

Jakże znajoma historia! Ileż polskich żywotów literackich przywodzi na pamięć, zwłaszcza wśród podobnych Jasienicy historyków-publicystów. Przypomina się więc ksiądz Jędrzej Kitowicz, pierwszy chyba polski reporter, który postawił sobie za cel zapisać rzeczy i wypadki tak jak je widział i opowiedzieć "chronologię" swego życia, a włożył w nią wszystkie gniewy i gorycze przewojowanej osobiście Konfederacji Barskiej... Przypomina się dalej Józef Wybicki, autor jedynego wiersza, który zna naprawdę każdy Polak, a który, zanim go napisał, zanim został działaczem Insurekcji Kościuszkowskiej, emigrantem, legionistą, organizatorem życia w pruskim zaborze, i zanim na czele deputacji miast Wielkopolski witał Napoleona, przeżył jako dwudziestoletni poseł ziemi pruskiej na sejm 1768 roku przygodę, którą warto za historykiem epoki przytoczyć: "...do zawodu politycznego... bardzo nieprzygotowany i publiczności zgoła nieznany, dowiedział się o grozie chwili z mowy biskupa Krasińskiego, wypowiedzianej w małym kółku podczas narady; postanowiwszy protestować, ukrywał swój zamiar przed najbliższymi kolegami, nawet przed wujem własnym. Odezwanie się jego w izbie sejmowej było zupełną niespodzianką; marszałek stropił się, otoczenie królewskie skierowało na mówcę swoje lornety; wśród zapytań: "Kto to taki?" słyszano krzyżujące się odpowiedzi: "Dybicki, Zabicki, Wybicki", aż nareszcie nowy kanclerz, następca cnotliwego Zamoyskiego, Młodziejewski, odezwał się od tronu, iż Najjaśniejszy Pan salwuje sesję. Kilku poczciwych arbitrów /tj. widzów spomiędzy publiczności/ przestrzegają młodego mówcę, aby się schronił gdzieś czym prędzej. On też niebawem wyszedł na schody i widział, jak "każdy uciekał" od niego, nie odstąpił go tylko wierny sługa, Łukowicz. Rosjanie znajdujący się w sali i przedsionkach mogli go łatwo przytrzymać, ponieważ tłum wytykał go, wołając: "Oto ten! To ten!" Wyszedł jednak szczęśliwie na miasto; po pewnej chwili dopiero zaczęło się śledztwo; wuj Wybickiego i wszyscy posłowie pruscy byli wołani to do króla, to do Repnina; przestraszeni groźbami ofiarowali się przysiąc, że do "postępku" tego nie należeli. Stancja winowajcy, położona w korytarzach jakiegoś klasztoru, niezwłocznie otoczona wartą, papiery zabrane, szpiegi rozbiegli się na wszystkie strony. Tymczasem Wybicki pukał do furty księży Bernardynów na Krakowskim Przedmieściu; znajomy gwardian Stembor wzbrania się przez obawę rabunku i z trudnością wpuszcza do pustej celi, gdzie zamyka na klucz; ale wieczorem wypędza powiadając, że Rosjanie już klasztor obskoczyli i grożą szukać zbiega aż w trumnach. Szedł więc Wybicki do pałacu nuncjatury; tu znajomy kanonik chciał mu ofiarować gościnność, lecz dowiedziawszy się o tym, nuncjusz nie pozwolił. Księża misjonarze po długich ceregielach dali chwilowe schronienie na swoim podwórzu, za browarem; potem pewien kadet, Gordon, wynalazł litościwego lektora u karmelitów bosych,

który bez wiedzy przeora zgodził się dawać schronienie na noc w swojej celi, a na dzień wskazać kryjówkę na kościele na sklepieniu pod dachem. Nareszcie wuj znalazł wygodniejszy lokal na kilka dni, dopóki nie nastręczyła się możność wyjazdu. "Moim bezpieczeństwem, czyli ocaleniem - powiada sam Wybicki - zatrudniała się tylko familia moja; wielu chwaliło patriotyzm, ale patriotyzm los był im obcy" /T.Korzon: "Zamknięcie wewnętrznych dziejów Polski", str. 309-310/.

Przypomina się dalej Julian Ursyn Niemcewicz, najpierw królewski ulubieniec, potem rebeliant, towarzysz Kościuszki w bitwie maciejowickiej, w twierdzy piotropawłowskiej, w tryumfach i goryczach wygnania, na koniec mąż stanu Królestwa, który opowiedział wszystko, co przeżył i przemyślał w ciągu swego długiego żywota, i bez którego mądrego świadectwa nie może się obejść nikt, kto studiuje epokę zawartą między ostatnim rozbiorem a powstaniem listopadowym... A Lelewel, ojciec polskiej historiografii, zarazem patron spiskowych poczynań w 1830 roku, członek powstańczego rządu, przywódca lewicy emigracyjnej, wygnaniec z Polski i z Francji, zmarły jak clochard w brukselskim hoteliku... A Maurycy Mochnacki, obity na wszystkie boki, "postarzały przedwcześnie w namiętnościach politycznych, tak że trzydziestu trzech zaledwie lat dożył, a jeszcze ostatkiem sił, przymierając głodem zdążył napisać dzieło, które dla wszystkich późniejszych powstań polskich stało się klasycznym scenariuszem. A jego naśladowca Edward Dembowski, który rzucił zawód krytyka literackiego i redagowanie pisma, aby przygotować powstanie, w którym zginął... A Walerian Kalinka, a Franciszek Smolka, a Apollo Nałęcz-Korzeniowski, a Bolesław Prus, a Teodor Tomasz Jeż... I poprzez żołnierzy i spiskowców I i II wojny światowej - poprzez Andrzeja Struga i Artura Śliwińskiego, poprzez Ksawerego Pruszyńskiego i Stanisława Cat-Mackiewicza - wyliczać można w nieskończoność tych pisarzy-żołnierzy, pisarzy-polityków i konspiratorów, pisarzy-więźniów i pisarzy-wygnańców, którzy mądrości pisarskiej i stylu uczyli się w ogniu wojennej lub politycznej akcji i w różnych momentach dziejowych brali na siebie ciężar rzeczy dla narodu pobitego najcenniejszej - jego honor; jak młodziutki Wybicki, jak stary Niemcewicz.

Jak Maria Dąbrowska. Jak Jerzy Zawieyski. Jak Antoni Słonimski. Jak Paweł Jasienica.

Andrzej Kijowski

Tymoteusz Karpowicz

WIATR OD MORZA

Lechowi Wałęsie
Lechowi Bądkowskiemu
i wszystkim nosicielom słońca

A p e l
d o w s z y s t k i c h r o z p r y s k u j ą c y c h s i ę
w p a n i c e ż y w y c h k a w a ł k ó w "G u e r n i c a"

1

teraz w Polsce
wschodzi słońce
o piątej pięćdziesiąt dziewięć
nad ranem
według kalendarza
ale naprawdę wschodzi ono
ilekroć ktoś otwiera
oczy i widzi siebie pośród
robotników Gdańska tamujących sobą
upust krwi ojczyzny
i podrywa się również
gorejący ptak światła
znad grzbietu Giewontu
zimnych wód Bałtyku
gdy krając chleb odkładasz
jedną kromkę na głodne
usta ojczyzny mówiąc:
"pobłogosław Panie Boże
kłos który wschodzi
w naszym wspólnym sercu
i osłaniaj go
przed cudzym sierpem
w tym kłosie rośnie
również ciało twoje
rozmnożone ręką kapłana"

2

teraz w Polsce
wschodzi słońce
o szóstej zero zero
nad ranem
zgodnie z kalendarzem
lecz w rzeczywistości
pozłaca każdą mewę
nad Bałtykiem
tę ruchomą gwiazdę dnia
dostrzeganą aż Morskim Okiem
miecz Zygmuntowi ostrzy blaskiem
daleko wyższym od kolumny
nastraja cieplej trąbkę hejnalisty
na Wieży Mariackiej w Krakowie
wypełniając pomostem oddechu
przerwę śmiertelną w melodii

wbitą kiedyś w gardło trębacza
strzałą ze wschodu
o każdej porze światła i ciemności
ilekroć słyszysz w głosie twego dziecka
pobudkę życia graną w ustach
któregokolwiek z dzieci twoich sióstr
to one rozwijające w sobie
nowych żeglarzy pod tym graniem stoją
cielesne łodzie na przypływ Bałtyku
nawet na górach i nawet na chmurach
a dookoła pan Stefan Żeromski
pisarz-sumienie narodu polskiego
otwiera okno w twoim oknie
mówi: "to jest wiatr od morza"

3

w tym wietrze
jedno z ich i twoich dzieci
przynosi właśnie zdobyty z wysiłkiem
chleb dla ojca za bramę
fabryczną zabitą na głuchą
rozpacz w sercu robotników
dotyka ust ojcowskich palcami
a gdy palce dymią
cofa je odchodzi samo
i w zwiędniętym domu czyta
inaczej dziwne słowa
z ballady o bandytach:
"tato nie wraca ranki i wieczory
we łzach go czekam i trwodze"
"a skąd przychodzi trwoga?"
słyszysz jak pyta matkę
przez ocean we frazie
twego synka: "skąd przychodzą
kwiaty?" i w tym tasowaniu
świata kolczyki wkładasz
w uszy słońca

4

teraz w Polsce
słońce wschodzi
o szóstej zero jeden
nad ranem
tak jak w kalendarzu
ale ilekroć piszę wyzwoloną
ręką jakikolwiek wyraz:
miłość lub nienawiść
widzisz na ospie doktryn
wargi cenzora wysysające
krew słowa w ojczyźnie
stawiasz mu słońce przed ślepia
jak syberyjskiej wilczycy
gromnicę ślepnie od tego
krztusi się posoka
i jeśli śledząc lot gołębia
co koziołkuje z nadmiaru w nim nieba
trafisz na kraty
uplecione z anten
dźwigające przezroczyste
usta międzyludzkie

widzisz kamienną krtań
więzienia w której połknięty
tkwi głos narodowy
a obok w zezach śledczy
wyciera ręce z siebie
w rozprutych do płuc rękopisach
najmłodszych synów
Frycza Modrzewskiego
/w ostatnią wersję
"De Republica Emendanda"/
to krzyczysz: "o Szczęsny
Potocki!" podkręcasz
słońce do samego serca.

5

teraz w Polsce
wschodzi słońce
o szóstej zero dwa
nad ranem
podług kalendarza
i w każdym innym pulsie
chronometru który
świeci się w tobie
ale to słońce ciężkie jest
jak ziemia co się nażarła
ołowiu płuc ognia z żądz
Dantego i to trzeba dźwigać
na tarczy ciała nie mając
w zapasie rąk Prometeusza
tylko ileś tam ziemskich rękawic
więc dłonie mogą zająć się płomieniem
na żywym stosie ciała aż po łokcie
jak się zdarzyło to Savonaroli
zaskwierczą tkanki te smolne
drzazgi Norwida /"coraz to z ciebie
jako z drzazgi smolnej,
wokoło lecą szmaty zapalone"/
i ból ogarnia cię jak matka
nowa lecz nie upuści słońca
wierzy ci w tej chwili
stwarza cię tą wiarą
na podobieństwo twojego uśmiechu
który przyjdzie jeszcze
jest ono teraz miarą
twego świata i twej wysokości
po raz pierwszy
sam już jesteś słońcem
wysiewając rękami wschody
/choćby na popiele/
bo nie ma innych filarów
wolności oprócz twych ramion
ustawionych na wolnym śpiewie
co się pali w najpiękniejszej
lampie na krew - sercu

6

codziennie tragarzy słońca
pacyfikuje świat używając
w walce z nimi
bakterii rzeczy

nowe szmerowadła które kupiłeś
za chwilę upomną się o nowy but
a nowa pomadka do ust o nowe
wargi i nowy but zażąda
lustra podłogi by się przejrzeć
i sobie i tobie
jako w skórzanej jedności
podłoga stanie na głowie
by mieć tapirowany dach
a dach już tylko ręką
sięgnie po gwiazdkę z nieba
chociażby czerwoną
wiązadła tego świata
zatrzeszczą drgnie jego
sklepienie a ty instynktownie
podeprzesz ramieniem więźbę
z rzeczy upuszczając słońce
wtedy demon ciemności
położy się z tobą w szmaragdowe
łóżko będziesz chrzcić jego dzieci
daleko od światła twym wygasającym
na zawsze imieniem

7

niektórzy sądzą że słońce
jest polimorficzne
przemienne jak kameleon
i może zjawić się także
w postaci kiełbasy koziołkującej
pod przykrywką w kotle
także narodowym /ach ten Wyspiański!/
może wygrzewać się sobą samym
na haku w rządowej masarni
/promienisty wisielec á la Poe
poruszany apetytem Zagłoby/
albo jak zechce przybierze
kształt rozdętego mieszkania
z filodendronem przy oknie
i figą u wejścia
z bidetami na prawo
i lewo dla płci
może też dopaść nas jako
nietzscheański pęd
"jaguara" by narzeźać
całe światło na ostrze szybkości
może być także kurortem na Krymie
wytrysnąć wodami Vichy
a coraz częściej i w skali
globalnej widzą je
jako gejzer ropy
w ogródku z różą Szecherezady
lub głogami polskimi
inni od szczęścia rzeczy
już niczego dostrzec nie mogą
i ci są jasnowidzami
cywilizacji

9

ale słońce
które wschodzi teraz

w Polsce
o godzinie szóstej zero trzy
nad ranem
według kalendarza
i w każdej innej chwili
którą tworzysz pod światło
twych oczu jest jedynym
prawnym słońcem świata
przywracającego wzrok ślepcom
i życie umarłym
przed którym kiedyś wielki Adam
pisał swoje "Księgi"
a wątlutki jak Juliusz Anhelli
czując promienie na wygnańczej skroni
ruszał ku Polsce przez śniegi Sybiru
dzięki temu światłu
przez glinę katyńską
z ołowianym pocałunkiem
Stalina w ustach
Władysław Sebyła
czyta pod nami i nad nami:
"Jakże ty się narodzisz,
Gdy noc po kałużach brodzi
Szumiąc deszczami przez sen"
w cegłach i kwiatach
warszawskiej Starówki
widać wyraźnie
w tym blasku
poruszające się usta
młodych podchorążych
Krzysztofa i Tadeusza
Baczyński śpiewa:
"Jeno wyjmij mi z tych oczu
szkło bolesne - obraz dni,
które czaszki białe toczy
przez płonące łąki krwi.
Jeno odmień czas kaleki,
Zakryj globy płaszczem rzeki"
a Gajcy zdmuchując dym
z lufy słowa mówi:
"Od mego serca do twego
droga jak listek długa,
a przecież budzi nas echo
grające w nas jak kukułka"
w tym świetle ręce ludu
polskiego odrąbane przez władzę
ludową w Poznaniu i Gdańsku
/gdzie jest teraz
dawny książę Pepi partii
Cyrankiewicz?/
wracają do pomordowanych
prawie wesoło
jak ręce podlotków
obrywają płatki kwiatów
rosnące na ich grobach
i wróżą: "kochają, lubią, szanują,
nie chcą, nie dbają, żartują"
wróżba ludowa
narodowe dziady
w podziemnej rzece świadomości
bólu pogruchotanym na kole

historii
a mały Janek gdzieś
we Wrzeszczu pisze:
"kto majstruje złośliwie
w tym słońcu winien
być ukarany grzywną
siedmiu chmur po jednej
na każdy dzień tygodnia"
jego ojciec jest sędzią
martwa formuła kodeksu karnego
nabiera życia
u malutkich źródeł
wierzę że ta rączka nigdy
nie odrąbie ręki niczyjej
w obronie zaręczynowych
pierścieni z partią
bo słońce stoi nad jej palcami
wniesione z obszaru pamięci
jak waga narodowej rzeczy ostatecznej
a słońcu temu na imię jest
wolność i zmienią ono wartę
czterdziestu i czterech
jest straszny popłoch w całym
rzędzie liczb zapisujmy imiona tchórzy
to się bardzo przyda odwadze

10

świat pomyślany trwa krócej
od myśli o brak dłuta w ręku
codziennego Fidiasza którym i ty jesteś
pomyślane słońce wypali się szybciej
od swej formuły bez ciepła twej krwi
jego życie równa się twemu
jest skórą twojej codzienności
kiedy bierzesz poranny prysznic
ono staje z rozpaloną szyją pod
strumieniem wody i kiedy
wycierasz się szorstkim ręcznikiem
ono wypręża się od lekkiego
bólu i rozkoszy świeżości
a kiedy jesz rosiste brzoskwinie
to sok ścieka kącikami
jej rozpalonych warg
i to paruje od żaru bycia
i niebem i ziemią zarazem
i kiedy kogoś całujesz
to ono powleka delikatnym ogniem
całą powierzchnię twego ciała
i wnika w drugą osobę promieniem
i wraca z niej po promieniu
a kiedy kogoś zabijasz
ono pada we krwi do grobu
zachodu z nieodpartą na zawsze
nocą w ciele
więc nie myśl o Polsce
rób Polskę czym chcesz
i co masz podrręką
ołówkiem byle jak zastruganym
a nawet ogryzionym byle pisał
i rysował Alę i kota w wąsatym uścisku
rób ją młotkiem siekierą trzepaniem

dywanów gotowaniem nudnych
/bo powtarzających się i to
pod pokrywką cen/ obiadów
kluczem francuskim i muzycznym
maszyną do szycia i maszyną piekielną
elektronem na uwięzi i psem na łańcuchu
pięścią i czułym dotykiem
gwiazdą i ziarnkiem piasku
kotem domowym i tygrysem
kroplą i oceanem
biblioteką i literą
Demokrytem i Platonem
pięknem i brzydotą
perfumami i odorem
/homo sum et nihil humani
a me alienum esse puto/
komunią świętą i świętokradztwem
/ach ten Machiavelli!/
nienawiścią i grzechem
miłością i nienawiścią
wreszcie życiem i śmiercią
pamiętaj /przedmiotowo/ nie myśl
o wschodzącym słońcu nad Bałtykiem
wchodź w to słońce jak stoisz
choćbyś był nagi i jak Job we wrzodach
wchodź w nie jak w kobietę
jak w mężczyznę jak chcesz
wieczność ucieka w tempie sekundy
pępowina słońca trzeszczy
w nie trzeba się wkładać
całym swym ciałem aby
ono było w tobie jak trzeba
wkładać się w Boga
aby Bóg był w nas
"Gloria gloria in excelsis
solis"

11

spocony ze zwarzoną krwią
w żyłach podłączonych do ciała
pół globu wielki demon
czerwonego mroku jeży się
na widok tego słońca
jak państwo wiedzą demony
żywią się ciemnością czują się
w niej ludźmi Aryman
wątrobianym okiem śledzi
każdy ruch Ormuzda
by go wyjałowić w chwili
gdy na zawał światła
nie ma siły twórczej ale może
w najpiękniejszą różę wprowadzić
robaka a w chór poranków swe ucho
ale demon zjawia się tylko tam
gdzie go się boją lęk
jest jego czarną rzeką
spławną która podpływa
pod gardło światła
i przegryza je jak
rzodkiewkę ten demon
jest potężny świat mu

oddał pół Prometeuszów
okpionej ziemi do ćwiczenia
sadzy w ich wątrobach
i niby to w micie
pozwolił mu przykuć sto
narodów do gór Kaukazu
i teraz wszyscy szczują go
swym strachem na słońce
wschodzące według kalendarza
o godzinie szóstej zero cztery
nad Polską on leniwie
dźwiga bok z błotnistej Wołgi
strach ich jest jeszcze za mały
więc się boi wbić kły
w drgającą grdykę światła
Isiu cudowna z "Wesela"
pana Stanisława krzycząca
na widok Chochoła:
"A, słomiany nygusie,
wynocha paralusie!"
gdzie jesteś gdzie twój krzyk
czyżbyś zarażona strachem
kredowym tylko kołem
i spoconym krzyżem
obwodziła sen?
nasze wesele narodowe
trwa wiecznie Jasiek
ciągle gubi złoty róg
gospodarz głowę
ktoś nadciąga ciągle od Krakowa
Chochoł kąpie się w narodowej kadzi
przed spacerem do nowych Bronowic
dziennikarz połyka kadyceusza
w nadziei że to go wyprostuje
wszystkim włosom jakby chciało się zjeżyć
dlatego budźcie się i idźcie spać
odmawiając strzelisty akt wiary
modlitwę stawiającą ślepców
na wzroku:
"kto sieje strach zbiera niewolę
kto się boi demona
pozbawia się człowieczeństwa".

12

tymczasem demon sam
rozkupywany klinami
własnych demonów
ceruje na sobie
dymiące pęknięcia
potiomkinowską igłą
gdzieś poniżej skóry
gdzie się zaczyna
stające okoniem mięso
a nie mit na haku
dostaje dreszczy na myśl
czy noc go wyżywi
do szczęśliwego zakończenia
mroku modli się z trzaskiem kieł
"O bójcie się bójcie mnie
od Chin po Góry Skaliste

i Bałtyk żywcie mnie strachem
bo inaczej umrę
jak dym umiera bez ognia
a burza bez chmury
i mysz się nawet nie spoci
na wielkiej górze mojego popiołu
o bądźcie ludźmi bójcie się do szpiku
co się tak smacznie ssie
na górach Hindukuszu

demonie ocknij się
ciebie zaklęto w głód potwora
ty także mógłbyś być człowiekiem

13

do wszystkich rozpryskujących się
w panice żywych części "Guernica"
z głowy lub bez głowy
szczujących demona na Polskę
bezbronnym oblatywaniem ziemi słowem
w imię pokoju aż świętego
niech dotrze polski wiatr od morza:
nie w polskich sercach strajkujących
od gorejącej krwi wolności
lont się zapala który wiedzie
do beczki z prochem w oleistych
od przerażenia bo na ropie płucach
ziemi - ty go zapalasz swoim lepkim
od strachu potem /o paradoksie!/ gdy
zakucasz w klozecie luksusowym rzeczy
wewnątrz cyfry iluzorycznych
rajów konta całując krocze
status quo ogniotrwałego /sądzisz/ dzisiaj
i swemu bratu który zrósł się
na moment życia z karabinem
pod swój wylewasz jak urynę
strachu na proch gdy demon
robi jeszcze jedno ciemne pas
ku twym gruczołom nie tylko
od potu widząc że chcesz trwać
jak kwiat za każdą cenę wiosny-świata
zapominając słowa Boga
że pokój tylko dobrej woli
ludzi dotyka białą dłonią
na ciemnej ścianie babilońskiej
gdzie zamiast: mane tekel fares
demon bazgroli: wojna wojna wojna
by przestraszonych brać do saka
i to /o cudzie dyplomacji!/
nie własną ale cudzą ręką
więc smaga pani Flora Lewis
batem z dziennikarskiego piasku
ukręconym Wałęsę że rozsądek stracił
prosząc o pomoc ramię globu
i robotników USA siecze
że swoje ślepe na wskroś dłonie
tylko do ognia dołożyli
obok sierpiastym nożem dyplomaty
ktoś żyły nasze podłączone
do płuc Paryża Waszyngtonu
przecina bredząc żeśmy byli

sami kłami w tamtą stronę
więc demon już bez lęku kładzie
na pacyfistyczną antyfonę
warg pobielałych poołowioną
przeciw życiu rękę i
grzeje się dziś przy paleniskach
płonących wokół rafinerii
aby ogarnął lód Europę
i sople weszły wolno aż do serca
wysp Kraju Wiśni snu Kolumba
w ziemię Lincolna przemienionym
w słońcu a teraz wydaną na szron
aby zamarzły dziś najwymyślniejsze
technologiczne kropielnice
przeciwko sile demonowej
podtrzymywane niegdyś przez
pięć pulsujących ramion Pentagonu
dziś dobrze już chłodem przetrzebionych
obok Mojżesza w gorejącym
krzaku pustynnym rozpaczliwie
ludzkości dającego znaki
że się dekalog pokrył krą

wtedy z lodowych gór Kaukazu
spokojnie i bez strat na lodzie
zsunie się na żywe piersi /jeszcze/
ziemi już niesłyszalnie śpiewającej:
pokój pokój - nowa epoka lodowcowa
do nóg dziewczynki z zapałkami
cywilizacji Andersena.
na was wprzęgniętych w piękny rydwan
boga pokoju niechaj spłynie
polskiego sierpnia gęste słońce
przystańcie chwilę obok wozu
i wzdłuż promieni a nie pędu
owczego często do wygody
popatrzcie poprzez palce szprych
w którą się stronę obracają
pod wóz ten podstawione koła

14

oprócz wielkiego demona są małe
demony podczepione głową
w dół pod naszym sercem
jak nietoperze one zaczynają
bić błoniastymi skrzydłami
w krwi naszej widząc słońce
chłepcząc szybko jego przecieki
złote w głąb naszych żył fajdając
od nich raz ze strachu
a raz z nienawiści
bo one są tu pociotkami
naszych małych lęków o sznurówki
o but i o podłogę
o coca-colę słowem
o bakcyle rzeczy
/Lukrecjusz nic już z tego nie rozumie
chociaż napisał "De rerum natura"/
i drżąc przed wielkim światłem
które nic nie ma w sobie na wygody
zmieniają nam kolana w trzcinę

że włos z uciętej głowy bohatera
wpadnie do naszej miski soczewicy
i powitamy katów wymiotami
to są giermkowie wielkiego demona
żywione w chlewni naszych
spraw cielesnych
Herkules zasnął na złoconej muszli
w wielki demon każ mu ten podbiera

15

na szczęście
raz wzeszłe słońce
nigdy nie zachodzi
cienie zmierzchu są sztuczką
demona ciemności
który czarną kredką powleka
usta kochanków światła
by pomieszać ich jasną krew
z sadzą raz wzeszłe słońce
na zawsze już wschodzi
nie tylko w polskim kalendarzu
jego światło jest sumą
blasku naszych oczu
jego szybkość zborem
naszych nóg jego wysokość
więźbą naszych ramion
czy nie czujecie się już zmęczeni
tym marszem tym blaskiem
nagniotkami nieba?
a tymczasem jest to tylko
pierwszy błysk długiego światła
zero świata który nastąpi
zero czasu na który jeszcze
nie ma zegarów nakręcanych
naszą wolą jeszcze nikt
nie zwyciężył i nikt
nie został pokonany
szykują się armie minut godzin
dni miesięcy i lat wypełniają się
żyły krwią które
jeszcze nie raz
będą przecięte
gromadzą się widoki
które wiele razy okażą się
zbiorem plam pustych
ale Galileusz wychylając się
zza krat więzienia inkwizycji
patrząc w naszą stronę szepcze:
"eppur si muove"

16

więc jak państwo widzą
teraz w Polsce
ząbkuje słońce o szóstej
dwadzieścia jeden nad obnażonym
aż do szczęścia ranem
według kalendarza
i znacie państwo możliwość
sezamu podarowaną wam
o własnym świcie: o każdej porze
możecie zaświecić to słońce

jak żarówkę w kuchni
na biurku w pralni lub w sypialni
w piwnicy albo na szczycie wieżowca
macie w tej chwili w sobie
kontakt do lamp Aladynów
pozostawionych na ziemi ojczystej
i tu pod naszą stopą /znów ten
Norwid!/ odsunąć tylko trzeba
lekko dwie kotary lęku
i być może zgarnąć przyjdzie
nam ze siebie parę tuzinów
skór podszytych tchórzem
masek które braliśmy za swój
kształt przeświecający rupieciarnię
życia tak jak próchno świeci
by było jasno i ciemno zarazem
jeśli wystąpi nam na czoło
pot porodu nie bojąc się miedzi
przetrzyjmy je szeroko dłonią
swoją nie Pascala
trzeba się poczuć własnym
może po raz pierwszy
aż do trzasku kości
i iskier ze szpiku
biegnących zewsząd
do świecących palców
wtedy
przekręćmy kontakt ruchem ręki który
miał kiedyś Pan Bóg zapalający
pierwszą gwiazdę w oku świata
doskonalszy tylko o rękę człowieka

to nie bluźnierstwo
kto bluźni ten wierzy

17

ale ty który zdecydowałeś się nieść
na rękach słońce
w chwili przedświtu
bądź przygotowany na los
Ikara bądź przygotowany
na los Faetona stos Savonaroli
bądź przygotowany na zwykły los
człowieka który w dodatku
musi być Polakiem
pomiędzy młotem rzeczywistości
a kowadłem marzeń

18

tego poematu nigdy nie ukończę
bo go nigdy nie zacząłem
był dany w oddechu ojczystej ziemi
od jej zawsze a jak długo trwa ziemia
jeszcze nic się na niej nie skończyło
pozornie dawno już nieżyjący Heidegger
ciągle spotyka mnie rano i mówi
poprawiając marburgski krawat podarowany
mu na imieniny Zeusa przez Heraklita:
"die Welt ist nie somdern weltet"
i dzisiejsza mrówka obraca białe
jajeczko w mrowisku zaokrąglone

przed Noem nigdy się też nie skończy
światło mego sierpnia i twego
naszego narodu i ludzkości
za tysiąc lat wróci znów Faulkner
i napisze nowy rozdział do swojej
dawnej powieści "Światło w sierpniu"
wielebny i mądry Jan Długosz stanie
przy mnie jeszcze raz i poprawi mi błędy
ortograficzne w słowie "Polska" a Kartezjusz
w wyrazie "ludzkość"
i o czymkolwiek będziemy mówić
lub pisać będzie to zawsze dotyczyło
rozprostowania ramion o poranku
i witania słońca które odpina
przepaskę z bioder Afrodyty
i lędźwi Erosa aby nie ukrywali
części swego piękna przed światem
i będzie zawsze wiązało nasze ręce
stułą światła i stułą wolności aby
zbliżyć do siebie tych którzy
nigdy nie będą spać z Arymanem
jakakolwiek to noc by była
/nawet paskiewiczowska/
bo takie jest prawo początku
że nie może być końca ludzkości
w środku dumy człowieka

więc będę jeszcze długo pisał ten poemat
żywe świadectwo jednego świtu
będę go pisał i po mojej śmierci
piórem poety który dziś się rodzi

P.S.
Tylko nie siusiajcie mi ze strachu
na papier we wszystkich kolorach
nawet tak jak to chcieli robić futuryści
oni z kolei byli zbyt pewni przyszłości

Tymoteusz Karpiński

Chicago, sierpień - wrzesień 1980

Zyta Oryszyn

MAALA

Sklep wyglądał, jakby przeszedł przez niego pijany Priapus: cytryny, rodzynki, pomarańcze. Na posadzce błoto. Na zapleczu karpie. Zwarty tłum przed oszkolnymi drzwiami, w niemej, groźnej adoracji. Napięte mięśnie. Łokcie gotowe do szturmu w tej samej minucie, kiedy zostanie zdjęta kartka z napisem: przyjęcie towaru.

To, że towar przyjęto, poczułam po pękających żebrach. Zanim zdążyłam przyjąć jakąkolwiek obronną postawę, stojąca przy mnie, w czerwonym berecie stojąca, właściwie na moim miejscu stojąca kobieta zrobiła taki ruch biodroramieniem, że zostałam wypluta z kolejki jak wybity ząb. Sprawdziłam guziki. Nie dostanę się do środka - pomyślałam. Nie kupię karpia - pomyślałam. Rozmazałam łzę na policzku. Nie pójdę do domu - pomyślałam. Zaczaję się na tę w czerwonym berecie - pomyślałam. Mam w torebce żyletkę, szkoda że nie jestem mężczyzną - pomyślałam. Zgwałciłabym kurwę i jeszcze bym ją żyletką - pomyślałam. Kurwę - pomyślałam.

Pst, pst - rozległo się z prawa: stara kobieta z dużą torbą. Torba rozchyliła się znienacka i jakoś tak jak rozporek ekshibicjonisty: bezczelnie, niewłaściwie, wstydliwie. Zerknęłam do wnętrza tak samo wstydliwie, niewłaściwie: kakao wedlowskie. Zamknęłam oczy, potem otworzyłam je i obejrzałam się na kolejkę - znikała w sklepie łapczywie, jak wciągany do nosa smark. O, Jezu, Jezu - pomyślałam. Z karabinem i w ciężkich butach przemierzać w kółko planetę i tępić ludzki ród. Zostać myśliwym. Tęskniącym, tkliwym, strzelać prosto w serce. Zabronić zawodu lekarza-chirurga-dramaturga. Mam gorączkę - pomyślałam. Taki rodzaj gorączki.

x

Maala prasuje bieliznę. Od dawna już ze sobą nie rozmawiamy, tylko wynajdujemy sobie, w swojej obecności, zajęcia: ugotować, wyczyścić, wypolerować, zacerować, postukać młotkiem - mieszkanie od tego nie pięknieje, ale robi się przestronniejsze. Oddala się ściana od ściany. W obu końcach kuchni, w tym jednym pokoju, który posiadamy, tuż obok siebie - bywamy na antypodach. A jak już i rozmowa między nami bywa, to międzykontynentalna. Szybko. Co najważniejsze. Kilka zdań. Na linii zakłócenie. Głośniej. Nie słyszę! Co mówisz? Co? Każde pytanie i każda odpowiedź powtarzane po dwa razy. Kiedy brakuje nam zajęcia, siadamy obok siebie, jak dwu kolegów ze szkolnej, dawno zapomnianej ławy. I milczymy. I uciekamy od siebie oczami. Jak tam leci - tak zapytać to za mało. Właściwie to kolegom byłoby lepiej, niż mnie i Maali. Koledzy mogliby zaprosić się na wódkę, poklepać po plecach, pośpiewać, góralu, czy ci nie żal, wojenko, wojenko, sto lat, posiłować na rękę, eh, ty w mordę, spłakać się, porzygać sobie, bracie, spaść pod stół, i tam śnić białe wyspy, konie na prerii, chichotliwe baby, babskie zady.

- Kupiłaś karpia?
- Co?
- Co?
- Pytam, czy kupiłaś karpia!
- Nie.
- Co?

Wyszłam do ubikacji jak do biura. Usiadłam na klozetowej desce. Zahaczyłam drzwi. Zamknęłam piekące oczy. Smród mi nie przeszkadzał. Prawie całe życie spędziłam w małych, śmierdzących pomieszczeniach.

Wojna: noc w noc w kiszkowatym, ciemnym, gliniastym, wydrążonym pod sto-

dołą schronię, daleko, daleko, w Bieszczadach. Około trzynastu lat tu, w Leśnobrzeskiej kuchni, na kozetce wsuniętej głęboko pod zlew. Teraz śpię w tym samym miejscu, na tej samej kozetce, a w tym samym zlewie gulgoczą tłuste pomyje. Pięć lat studiów w Warszawie, w służbówce bez okna. Pięć lat z Emerykiem w wynajętej na Saskiej Kępie łazience z oknem. Wyrobiłam sobie system - do ubikacji chodzę pomyśleć i nie słyszę, jak Maala woła za mną, zawsze to samo - weź ze sobą siekierę, ty to się musisz odrąbywać. Gdyby znała, jak Krystyna, włoski, wołałaby za mną - stronza.

Gdyby do któregokolwiek z tych moich pomieszczeń wszedł morderca, nie byłoby się gdzie wycofać, człowiek kwiknąłby ze strachu jak świnia, i jak świnia dostałby od razu cios w serce, nie miałby się nawet czasu przestraszyć - mówiłam Emerykowi.

- Polska przegrała wojnę, bo była małą, gdzie się miało wojsko cofać? Uciec do sąsiada, to nie to samo, co do własnego, drugiego czy czwartego pokoju, a góry mamy ciupeczkę, zupełnie jakby człowiek walczył na balkonie. No nie? - pytałam Emeryka.

- Nasi żołnierze skazani byli na waleczność. No nie? - pytałam go, a on ściskał głowę rękami.

W wynajętej łazience mieścił się dmuchany materac, składane łóżko polowe, biurko z dwoma składanymi krzesełkami. Myć się trzeba było w kuchni, jak była wolną, a rzadko była wolna, toteż i my myliśmy się rzadko - na egzaminy Emeryka i na pierwszego maja, nasza gospodyni wyjeżdżała wtedy na wieś: na wilegiaturę, mówiła - nie mogę patrzeć na pochód - mówiła - nawet jak go z Saskiej Kępy nie widać. Ale oni i bez tego widoku potrafią zatruć człowiekowi pierwszy majowy dzień roku.

- Polska jest krajem schizofrenogennym - mówiłam Emerykowi. - Jak się człowiek nałyka tego kraju, to zaczyna mówić "oni".

"Oni" - mówiła jego matka: oni za mną chodzą, oni nas wszystkich wytrują, rozstrzelają, powieszą, pasami będą z nas skórę darli, paznokcie nam będą wyrywali, będą nam jeszcze ucinali języki, jakby wam waszego męża na waszych oczach rozstrzelali, to byście mnie zrozumieli, o czym ja mówię.

"Oni" - mówił też mój ojciec, kiedy wreszcie wrócił.

Stary Możdżeń załomotał do drzwi. Gdyby jedyną książką, do której przeczytania go zmuszono na przeszkoleniu zawodowym nie była "Krótka historia WKPb", gdyby mnie udało się kończyć prawdziwe szkoły-uniwersytety, a nie agitpunkty, gdybyśmy się spotykali, jedno zamknięte w klozecie, a drugie pod drzwiami klozetu w jakimś innym kraju, gdzie ludzie do siebie mówią słodkim śródziemnomorskim językiem, może by nasze konwersacje wyglądały inaczej, na przykład: signoria carissima, panno Maryniu, jakbym mógł, to bym pannie pałac z dziesięcioma sraczami wystawił, ale na razie to mamy jeden wspólny, więc niech panna, cara mia, raczy go opuścić, bo mam żołądek roztrojony. Ale Leśny Brzeg to nie żaden śródziemnomorski, tu człowiek nie ma czasu, kiedy musi żyć dla przyszłości - ryczy za drzwiami stary Możdżeń, łomocze w drzwi i dodaje: - Spierdalaj pani stąd, panno Marysiu, kurwa pani mać, panno Marysiu.

Może w innym kraju nie miałabym kompleksów, ale tutaj mam. Mój ojciec przyniósł mnie sześciotygodniową do Maali i wcale nie chciał, żeby mnie Maala zaadoptowała. Uparł się, trafił na półgłówka i w końcu zostałam wpisana do ksiąg jako prawe dziecko ojca, ale z nieznanej matki. Półgłówek wprawdzie protestował: wojna, panie, łapanki, panie, ja się za folksdojcza musiałem podać, żeby wykarmić żonę i dzieci, a pan mi tu głowę zasrywasz jakąś nieznaną matką, podrzutek, wpiszę, panie, czyś pan nie widział, komu dziecko robisz? A jakeś nie widział, to jakeś pan poznał, że to pańskie?

Półgłówek nagadał się, ale wpisał jak chciałem - chwalił się ojciec potem, kiedy wreszcie wrócił do Maali, a Maala kazała mi na powitanie zrobić czerwoną papierową różę, umyć nogi i włożyć czystej, uprasowane majtki i stanik, zacerowany sweterek od święta i spódniczkę od akademii. Miałam przecież szesnaście lat. - On cię nie pozna - mówiła. Miała pomalowane na rudo odrosty. - Jezu mój, ja jestem dziesięć lat od niego starsza, a jak do tego dodać jeszcze te dziesięć lat, co się nie widzieliśmy, to ja jestem dwadzieścia lat starsza.

Ale ojciec nie patrzył, ile lat jesteśmy starsze. Mój widok przypomniał mu, że onegdaj wygrał jednak z tym półgłówkiem folksdojczem, a potem łamiąc polski chleb podany mu na przywitanie zaczął opowiadać o chlebie syberyjskim, o homoseksualnych gwałtach, wszach, karaluchach, urkach i Herlingu-Grudzińskim, spotkanym gdzieś na etapie.

Wrócił bez lewej stopy. Ze starego pożółkłego samouczka zaczęłam się właśnie uczyć francuskiego, w szkole bałam się jeszcze, choć pytano już o różne rzeczy, spytać, czy wolno się uczyć tego języka i czy to nie będzie znaczyło, że chcę przez poznanie tego języka dać ucho na lep wrogiej propagandy, uczyłam się więc w tajemnicy, w klozecie.

Na widok nieznanego mężczyzny, który był moim ojcem, który wrócił z kraju, w którym zbudowano równość społeczną, wolność i demokrację, na widok mężczyzny oblepionego powieściami pasującymi do amerykańskich kazamatów, na widok ojca bez stopy, zapytałam go po francusku, sądząc, że ten język używany za żelazną kurtyną, tylko ten, do niedawna, a może jeszcze teraz, wrogi język może sprawić, że ojciec popatrzy na mnie uważnie, zmiesza się i zaraz wszystko się wyda, skąd on tak naprawdę wrócił, z kim przebywał, czyj chleb jadł i gdzie stracił stopę.

- Pourquoi vous avez un pied plus court, monsieur?

x

Obudziłam się spocona. Coś stąpało we mnie na palcach. Ukrywało się. Wychodziło z mojego ciała i znienacka stawało za plecami. Zapaliłam światło. Zgasiłam światło. Stanęłam przy oknie.

Lęk sprawił, że to, co było widoczne w poświacie księżyca, zobaczyłam w obcym, prawie nieznanym języku: trzy przedmioty zrozumiałe, dziesięć za mgłą, reszta niewidoczna. Całość napastliwa, najeżona, niewiadoma.

Maala chrapnęła głośniej. Przypomniał mi się jej wieczorny szelest karteluszkami, mój lęk uprzedmiotowił się. Rozejrzałam się, czy te szeleszczące wieczorem kartki papieru nie wiszą, przylepione do wyziębłego pieca, czy kredensu; gdyby wisiały, znaczyłoby to, że Maala przestanie się do mnie odzywać, tak jak pewnego dnia przestała się odzywać do ojca.

Zamiast mówić zaczęła pisać podania, prośby i rozkazy zaczynające się od "Obywatelu". Szanowny Obywatelu, uprzejmie uprasza się o zostawienie w kuchni na stole, słownie złotych sto, dwieście, pięćset, na chleb, na mleko, na skarpetki, na gaz, na światło, na życie.

Nie wiedziałam, co im się stało, ojcu i Maali, dopóki nie dowiedziałam się od malarza Jamuły, że ojciec zakochał się w pewnej Francuzce. A Maala kazała mu się wyprowadzić: Szanowny Obywatelu.

Kiedy się wyprowadzał, powiedział: żegnaj Alicjo.

Przez moment zamiast Maali zaistniała w kuchni, na progu, jakaś zupełnie inna kobieta. Obca. Z ciemnymi od nikotyny palcami. Płaskobiusta, wełniasta. Posiwiały merynos.

Obeszłam na palcach kuchnię, poświeciłam zapałką. Do żadnego mebla nie przypięto karteczki, zaczynającej się od "Obywatelko".

Kiedyś, dawno temu, na włosy Feli Drübenmann spadł płatek jaśminu. Na moje włosy nigdy. To, że nie trafiła we mnie kula, było dla mnie zrozumiałe - nie byłam urodzona, mnie przyniesiono skądś w zębach. I od tej pory zawsze właśnie o mnie jedną było za dużo: na ulicy, w kinie, kolejce, tramwaju, w szkole. To ja robiłam tłok, to mnie wypluwano z kolejek i gdyby nie ja, o ileż wzrósłby dochód narodowy na głowę statystycznego Polaka; przyglądano mi się w roztargnieniu, śmiercionośnie, matematycznie, albo ponad głową, jak gdyby dopiero spoza niej, jak spoza drugiej półkuli miał wychynąć statek pełen złota, myrry i kadzidła.

Tak ponad moją głową, jednocześnie śmiercionośnie i matematycznie patrzył Emeryk, kiedy skończył mówić.

Kiedy zabębnił palcami po biureczku i zaczął czekać, żebym wyszła z jego życia jak z kina, w którym skończył się seans, a na ekranie napis "koniec".

Nie zdziczała mi ziemia pod stopami, dawno miałam opracowany system.

Spokojnie patrzyłam w oczy Maali: - A ciebie, co przyniosło? - Nic.

Strach przed urodzeniem Emerykowi dziecka. Dosyć tych więzów, tych postronków, tych wypruwanych żył, tych dzieci w przyszłości, tego szmurka dzieci w codzienności, według mnie należałoby raczej założyć towarzystwo obrony dorosłych przed dziećmi, a nie je płodzić, polska rzeczywistość i tak jest wystarczająco krwiożerczo dziecinna, za dziecięco niewinna, za drobiasto zachłanna.

- No, no - powiedziała Maala i zapaliła papierosa, podczas gdy ja malowałam dalej obraz: Emeryk rozpięty na drzwiach - nigdy ciebie nigdzie nie puszczę od siebie, umrę, zginę, zmarnieję.

Nie zdziczała mi ziemia pod stopami, chociaż Emeryk bębnił palcami w biureczko, a jego złoto, myrra i kadzidło siedziało w saloniku: młoda, tłusta narzeczona. Spokojna jak Saroyan opity sorbetem.

Kiedy zobaczyłam ją pierwszy raz, miała czternaście lat i było jasne, że nie może mieszkać razem z nami. W końcu młoda panienka, która gra na pianinie "Marzenie" Schumanna, nie może mieszkać w mieszkaniu, w którym nie ma łazienki: - Prawda córuniu? - pytała córunię właścicielka mieszkania. A pogładziwszy ją po głowie,dodała: - Takie ciężkie czasy, takie ciężkie, dla tych kilku groszy. - I popatrzyła wymownie na nas. A zwłaszcza na mnie, bo Emeryk studiował i nie miał czasu. To ja pracowałam i ode mnie pochodziło tych kilka groszy. Córunia wróciła do dziadków - trzy ulice dalej. A potem minęło pięć lat.

Po pięciu latach zasiadła w obokległym saloniku, spokojnie opita, łaskawie bezpieczna, dotykająca małym wygiętym paluszkiem "Kultury", w której jej esej o młodym Krasińskim: "Romantyczność". Pobłażliwie spoglądająca na swojego dziadka, który dotykając również świeżo wydaną "Kulturę", wspominał opinogórskie czasy. No nie żeby bywał zaraz w samej Opinogórze, ale niedaleczko obok, nie więcej niż trzy kilometry, czasami, w dobrą pogodę, było nawet widać wieżę, nie żeby zaraz zamku, to była chyba nawet wieża triangulacyjna, zresztą może i to nie, bo wieże triangulacyjne to chyba dopiero po wojnie, ale wszystko jedno, co tam były za szyneczki z młodych byczków, tak to prześlicznie brykało w zagrodach ojca, a na obiadki słonka; ciągnęła się ona ponad czubkami drzew, a przed wieczorowym odstrzałem zapadała. A na kolację ptaszki łapane nocą, młode, kruche, ucina się im łebki i wysysa kosteczki.

Wyraźnie to zobaczyłam, że śmierć przysiadła pod gruszą i stroszy pióra, nie dosięgniesz mnie, pani, pomyślałam, ja mam opracowany system.

System nie okazał się zawodny, ale niedopracowany, skoro tak przeraziłam się tych Maalowych karteluszków, tego, gdzie bym się podziała, w czyje kolejne oczy przyszłoby mi patrzeć bez mrugnięcia własnym; tego wstawania i wychodzenia, jak gdyby nigdy nic i na dodatek z własnej woli.

Wczepiłam się w okienną ramę ze szczęścia, że nie muszę pakować żadnej walizki i zamykać jej wieka, jak trumny.

Czegoś musiałam się uczepić. Zrobiło mi się gorąco jak po trzecim łyku wódki; tego, co oświetlał księżyc, nie widziałam wcale, tylko ten niegdysiejszy płatek na włosach Feli, a potem wreszcie zobaczyłam to, co było do zobaczenia: wycieńczone kamienice jak stare robotnice, całe w strupach i liszajach. Gwiazdy odległe i cenne jak przepita na pierwszego mamona, noc wodnisto czarna jak krew górnicza niedotleniona. Kominy we wdowich sinych oparach. Górnicze miasto na górniczych podkopach, sztywne i zimne, jak na marach.

x

Nie położyłam się spać: za godzinę i tak miałam wyjść, żeby już o piątej być przed sklepem. Już to widziałam: siny świt, siny bruk, sine twarze, które przyjmą mnie w milczeniu jak do masońskiej loży. Nowe sine twarze, czyjeś kaszlnięcie. A może rozkaszlą się wszyscy, zaraźliwie jak na akademii, część oficjalna. Potem siny karp, śnięty i zimny. Siny bruk. Na podwórzu spotkać mogę Karwackiego, bo jego spotyka się zawsze, tak zawsze, że prawie przestałam go zauważać, chyba że mówi nie tylko "dzieńdoberek obywatelce dobrodziejce", ale jeszcze dodatkowo każe spojrzeć mi na gołębie: - Niech dobrodziejka, obywatelka popatrzy pani, panno Maryniu, na te. Porównanie nawet nie ma. Nawet dokładnie latać nie potrafią, do niczego ten młody narybek. Stare to były aż szkliste, takie żywe.

Przetarłam siną, zimną wodą oczy. Nacisnęłam mocno piekące powieki, w sinych ciemnościach zobaczyłam pingpongowe piłki.

Zabolało mnie: ta zimna woda, te oczy, te pingpongowe piłki, to, że zawsze, nawet w przerażeniu, budzę się tak samo: ja.

Żadnego wytchnienia: nieświadomości, kim i gdzie jestem, porannego zbierania siebie, kawałek po kawałku, w całość.

Zawsze: ja. Choć materia tego "ja" rozmaita, zwykle nieważna i płynna. Choć wydarzenia, które to "ją" wyznaczały, we wspomnieniu, zależnie od czasu, miejsca i akcji, raz były oświatlane słońcem i pogodą, raz padał na nie deszcz górny i chmurny, raz były konieczne, raz tragiczne, ale przeważnie nijakie, spłowiałe, pożółkłe, zanikające, kłamliwe.

I nigdy nie zdarzyła mi się taka pewność jak Maali, która żałowała, że nie istnieje żadne archiwum, które zdjęciem lub specjalną notatką poparłoby jej twierdzenie, że to właśnie siedemnastego lipca pięćdziesiątego pierwszego, a nie czwartego grudnia, się stało. I że wcale nie padał wtedy śnieg. I że nie było to rano, ale czerwone słońce zapadało za kominy fabryczne, a wieczór sadził za nimi w wilgotnych szarych szatach, a znad stada krów, gnanego do pegeerowskiej obory, buchała mgła.

Zatem: nie było to wcale rano, protestowała Maala przeciwko pamięci Karwackiego, która podsuwała mu siwobiały grudniowy poranek jako czas i miejsce aresztowania opitego denaturatem Mikoły Wroga.

- O, nie - powiedziała Maala. - O, nie. Pamiętam przecież dokładnie tę buchającą znad krów mgłę, kiedy Mikoła krzyczał: - Obywatele Polacy, hak wygląda dopóty niewinnie, dopóki się na nim czegoś nie powiesiło. Pejcz wygląda bezużytecznie i śmiesznie, dopóki nie nabierze kształtów, tuszy i siły, próchności i zjadliwości w zetknięciu z żywym ciałem. A słowo nie jest śmiercią, dopóki się ciałem nie stało. A słowo ojczyzna też jest niewinne, dopóki znaczy chleb i sól, dopóki nie znaczy komunizm budowany potem i ostatnim oddechem obywateli. Widmo komunizmu zaczęło krążyć nad Europą, widmo głodne nowych grobów, nowych państw-grobowców-mauzoleum, widmo dławiące się cyrylicą, głodne szalonymi, pustymi stepami, ta, jątrząca się czerwoną gwiazdą mieszy oczami, kurwa.

Maala i Karwacki ściszyli głos, teraz tylko ściszyli, ale wtedy, kiedy to usłyszeli, jednocześnie, jedno siedemnastego lipca, wieczorem, drugie czwartego grudnia, porankiem, schowali się. Maala w stóg siana. Karwacki w zaspę.

Mnie słowo komunizm nie mówiło nic: komunizm to była dla mnie partia, a partia to ręka milionopalca, to znaczy wiersz, który trzeba umieć na stopień. To było jeszcze bawole hasło na murach, w podręcznikach, gazetach. Codzienna, ale nie codziennością słońca, które zaskakiwało od czasu do czasu gorączką, kolorem, tym, że go nie ma, albo tym, że jest. Zwyczajne, ale nie zwyczajnością Karwackiego, którego na podwórzu czasami jednak nie było, a jak był, to wcale nie mówił "dzieńdoberek obywatelce dobrodziejce", ale spluwał w bok i nie patrzył w niebo.

Było zwyczajne nic niemówieniem, nie bałam się go, choć Maala próbowała mnie nim straszyć: ty przeklęty bachorze, ty.

- Co ty wiesz o tym świecie, a ojciec już taki czas po lagrach, a kolejki, a zmarnowane życie, i ten wąsaty domokrążca, wszechobecny na każdej urzędowej ścianie, ten zaklinacz ludzkiego rodzaju w siedlisko nędzy, upadku i łez, ten twój Soso Dżugaszwili, ty. Ten twój komunizm.

Patrzyłam na Maalę wytrzeszczonymi oczami: komunizm to był dla mnie jeszcze jesienny marsz, pożegnanie z Ferdynandem Garimeaux, życiorys gazetowego człowieka, niech żyje! niech żyje! walka z przyrodą, malowanka na gazetce ściennej, cytaty, tytuły, coś zadanego na pamięć.

A życie było obok, a obok życia ja. Co z tym wszystkim miał wspólnego mój ojciec? Co miało wyniszczenie Maali? To nie wiadomo kiedy dokonane aresztowanie Mikoły Wroga?

Nawet Marii Wawrzyńcowi, zapobiegliwemu, skrzętnemu zetempowcowi, z ciurkającym, jak strumyczek krwi krawatem na piersi, nie udało się mi udowodnić, że komunizm, życie i ja to jedność. Uciekłam od niego, kiedy na agitrandce.

czerwony, spocony, uśmiechnięty, próbował dosięgnąć moich bioder, mówiąc metodycznie, jak młockarnia: zbudujemy, zelektryfikujemy, zdławimy w zarodku, przekształcimy, zwalczymy, zlikwidujemy, zniszczymy.

A Krystyna, dla której taki związek istniał w sposób naturalny i emocjonalny, tylko mnie zdziwiła, kiedy rzuciła we mnie białą, długą do łokcia, koźlęcą rękawiczką. Kiedy powiedziała, wskazując na skrzyżowane na ścianie dwie zardzewiałe szable: wybieraj.

„Jakiś żart, - pomyślałam - albo jakaś dodatkowa społeczna praca - pomyślałam - na zarobienie kolejnej piątki z plusem - pomyślałam. W końcu, jak się chodzi do szkoły, to nie jest ważne, czego tam uczą. Ważne jest, żeby mieć stopnie i żeby szkołę skończyć, bo muszą minąć bezpowrotnie czasy sanacyjnego analfabetyzmu. Niech sobie komunizm śpi spokojnie w szkolnej gazetce, niech sobie się dławi cyrylicą, jak już musi; nic mu przecież nie zaszkodziła opowiedziana przeze mnie anegdota o jego akuszerze, Leninie. Czego ta wariatka ode mnie chce - pomyślałam - ta cała Krystyna.

Chciała pojedynku.

Jej dom miał nie tylko szable, tradycje i herb, ale Kossaki i srebra. W jej domu jadało się wszystkie posiłki. I to nie na chybcika. Nie na brzegu stołu, z jednego talerza, zupa i drugie danie. Jej matka nie stawała nigdy, jak Maala, nad rozżarzonym piecem, wyjadając z rynienki, kryjąc się przede mną, że ogryza kości. Na śniadanie u Krystyny pijało się wonną kawę z koźuszkiem śmietankowym. Do jej domu przychodziły pękate baby ze wsi i zachwalały jajka albo cielęcinę owiniętą w pieluchy. Stawały na progu, ani kroku dalej. Jej ojciec palił cygaro, przyglądał się i mówił: niech się zdecyduje, za ile sprzeda. Baby kłaniały się nisko. Trochę dalej od tego domu, w swojej wsi, w Lubachowie, to były normalne kobiety, bałam się ich i mówiłam do nich: "proszę pani". Tutaj, u Krystyny, to były "baby" i ja byłam w tym domu górą. Nie musiałam się im nawet kłaniać, choć mnie znały i wiedziały, że ja jestem ta, od tej Alicji, co to jej mąż z jakąś Francuzicą.

Portret Lenina obok dagerotypu z wąsatym Sapiehą nie zdziwił mnie, że wisi w saloniku Krystyny. Tyle tych portretów wisiało. Zdziwiło mnie tylko, że sam, bez Stalina, Marksa i Engelsa. No, ale przecież ten Sapieha coś niecoś na ścianie równoważył.

Cierpiałam przez Maalę, że obwiesza ściany poniemieckimi oleodrukami: aniołki nad dzieciątkami, a dzieciątka nad przepaściami, kwietne ogrody nad turkusowym morzem, pod cytrynowym niebem, no i te makatki. "Kiedy w domu spokój panuje, to mężowi dobrze obiad smakuje". Chociaż podobno mąż w lagrze.

Krystyna uśmiechała się: - Ja bym jeszcze dohaftowała do kompletu: byt określa świadomość. Feuerbach powiedział, jak to określił Marks...

Maala zdenerwowała się: wont, wy. Bo jak was nie fojerbachnę! Z oczu mi, wy, papierowe i niedouczone, od cytatów jak pluskwy czerwone.

A w domu Krystyny znowu reunion: czarne samochody w lipowej alei, okna oświetlone; w olbrzymiej kuchni krzątają się dwie urzędniczki ze stadniny koni, Dagny i Unrra. Tak nazwał je ojciec Krystyny: wiecie, panowie, przez wieki moja rodzina przyciągała nietypowe, lepiło się do nas, tak powiem; mieliśmy też zawsze talent do ksyw, nieskromnie oświadczam, że sam go również posiadam, przypatrzcie się panowie, tym pannom, pokazywał dyskretnie, niejako jednym wąsem, kuchnię. - Ta wyższa to przecież wcielona na nowo, osobista tragedia Przybyszewskiego: te jej podkrążone oczy, w końcu jeszcze się okaże, że i ona źle skończy w jakimś Tbilisi. A ta druga to przecież sama amerykańska pomoc wojenna, czyż nie? Ten jej zdecydowanie optymistyczny chód. Ta precyzja w dosypywaniu soli do potraw. Moja ciocia, Koniecpolska, będąca przejazdem do wód...

Cierpiałam w zachwycie. Wchodziłam w sam środek bajki. Prahistoria, od której trzeba się było w szkole odcinać, i to zdecydowanie; w której trzeba było węszyć zgniliznę prywaty, odór zdrady narodowej, tutaj, w tym domu, jarzyła się w kieliszkach koniaku, zakwitała anegdotą...

A Maala nie ma herbu. A do jej mieszkania nie przyjeżdżają partyjni bonzowie. Nie wspomina się dawnych dobrych czasów: wiecie, panowie, mój pociotek, Radziwiłł, kiedy zaraz po wojnie zatelefonował do mnie prosto z Londynu, to...

Bonzowie śmiali się jak na wiecu - wyciągając przed sibie dłonie z cygarami, zupełnie jakby przyjmowali jakiś wniosek przez aklamację.

A w mieszkaniu Maali cisza i ten wiatr hulający po Syberii, odrapane ściany, oleodruki, Karwacki z tymi swoimi gołębiami i Maala cała w nerwach: - ty od niego nie śmiej mi czegoś wziąć, cukierka czy czegokolwiek, nienawidzę go, paralityka postępowego, nawet podobny do Lenina, może też gnije od środka, jak tamten.

Nastawiłam uszu, zapytałam Maali, a na drugi dzień powiedziałam Krystynie: - Co ty tam wiesz.

Lenin wcale od kuli nie zginął - zaczęłam relacjonować swobodnie Krystynie, przy herbacie, zupełnie jak jej ojciec rozluźniając mięśnie twarzy, brakowało mi tylko cygara, ale wreszcie i ja miałam swoją anegdotę o człowieku znanym, ogólnie szanowanym. Swoją anegdotę, bo przecież mogłam niejako powiedzieć, że Lenin jest mój, mogłam go sobie włączyć do rodziny, przez Maalę, przez Karwackiego, który jest do niego podobny, buc gnijący, i mieszka w tej samej kamienicy, co ja.

Krystyna wstała blada i zaczęła szperać w szafie, w której trzymała wiersze jej matka. Wiersze, które recytowało się bonzom w wieczorowej sukni, a ja skręcałam się ze wstydu: wiersze, według mojego najgłębszego przekonania, były tylko po to, żeby się ich w szkole nauczyć na pamięć, wykrzyczeć na zebraniu, wypowiedzieć na akademii, na wiecu, ale tak? Tamte, poza wszystkim, były zrozumiałe. Nauczyciele, zanim się je przeczytało, dyktowali do zeszytu, co autor miał na myśli, ale te? Co ja mam myśleć i co myślała autorka, która na dodatek żyje, kiedy opisywała te wszystkie stare szmaty, śmietniki, cierpienia pod gołym niebem, albo w pogruźlonej, wilgotnej pościeli. Co za wstyd. Byle dalej od tego. Że też można tak bezwstydnie. Byle dalej, nawet za żelazną kurtynę, niech mnie zastrzelą na granicy, byle dalej. A tu jeszcze na dodatek trzeba milczeć i patrzeć albo dyskretnie w sufit, jak ten bonza od agitpropu, albo też mieć taką skupioną minę, jaką robi człowiek, który dotyka delikatnie, końcem języka, bolący ząb, taką nabożną minę, jaką miał ten drugi bonza, ten, o którym się mówiło: ho, ho, ten to zajdzie wysoko.

Ale Krystyna zamiast wierszy - na myśl, że będę miała ich słuchać w świeżym przedpołudniowym [illegible]niedzielnym słońcu, spociłam się - wyciągnęła tę białą, koźlecą rękawiczkę i rzuciła nią we mnie, celowała w twarz. I powiedziała: wybieraj.

Zraniłam ją, okazało się. Okazało się, że swoją anegdotą ugodziłam w sam środek jej wiary w człowieka, wiary w pramatkę, w praojca, kontynent Mu, z którego wziął się wszelki sprawiedliwy człowiek, kontynent, gdzie tak wolno dyszył człowiek. Kontynent nie zaginął, z tego kontynentu spływały teraz na nią wszystkie dobrodziejstwa - czarnymi samochodami, bonzami, wonnymi darami. Wycedziła: - Następna niedziela, godzina dziewiąta, bez sekundantów, absolutna tajemnica, dębowa polana, jestem zdecydowana.

- Przecież ja z tym do domu nie pójdę - odpowiedziałam strapiona, pokazując szablę. - Maala, Karwacki, no i w ogóle. - Tak. Nie pomyślałam. - zgodziła się Krystyna. - Niech to zostanie u mnie. Oczyszczę ją i przyniosę.

Przez tydzień prawie nic nie jadłam. Nawet marmoladę odsuwałam od siebie. Maala kazała mi pokazać język i pobiegła do malarza Jamuły po termometr, a we mnie pulsował żal: bliżej nieokreślony, ale dojmujący. Żal mi było każdej chmury, pyłku listka, nawet zmarszczek na twarzy Maali. Może będzie padał deszcz i żaden pojedynek nie odbędzie się?

Nie padał deszcz i nie wierzyłam własnym oczom: dębowa polana cała w gwiazdach ze sreberka, w kwiatach z czerwonej bibułki. Portret Lenina na najbliższym, najgrubszym dębie. Na tym, pod którym stawało się, zamykało oczy, rzucało kij, otwierało oczy, kiedy się szło na grzybobranie. Karbowany koniec kija miał wskazać kierunek poszukiwań kolonii złożonej z samych prawdziwków.

Pod dębem stała ubrana w wieczorową suknię matki Krystyna; szable oparte o pień. A ja nawet porządnie nie umyłam się. Wzięłam do ręki szablę: czy ta wariatka chce mnie naprawdę zabić?

Wariatka zaczęła liczyć do trzech, tak jak było umówione. Serce we mnie zamarło, pot na górnej wardze, nogi miękkie, jak we śnie.

- Jeden, dwa, trzy. - Uciekać. Ale te nogi, senne nogi, zupełnie nie moje nogi. Odskoczyłam do tyłu, przewróciłam się, szabla na szczęście odpadła ode mnie, sama, nie musiałam jej odrzucać. Tuż obok mojej głowy zaryła się w mchy świetlisty promień słońca: szabla Krystyny. Krystyna mocuje się z nią, ta wariatka. Wystarczyło lekko unieść głowę, żeby ugryźć ją w łydkę: słodkawo kwaśną, twardą jak udko królika gotowanego w zalewie octowej z dodatkiem cukru.

Krystyna zaszamotała się jak stary Możdżeń, kiedy chciał pokazać, jak wyglądała ta nieznana sprawa, która wleciała do ich willi na Podolu, kiedy on był mały: jakem był mały, to wleciała do naszej willi na Podolu taka nieznana sprawa, ni to ptak, ni to pszczoła. Duża jak ptak, a robiła jak pszczoła, co szuka miodu - bzzz. Babka zakryła mi oczy, nie patrz, maleńki, Jezu chroń, dżuma do nas przyleciała.

Ugryzłam Krystynę jeszcze raz, padła na mnie i wczepiła się w moje włosy, podarłam jej sukienkę, ona naderwała mi ucho. Zaczęłyśmy płakać jednocześnie z twarzami ukrytymi w mchach. - Ty szczurze, ty szczurze, co ja teraz matce powiem, zobacz, jak wyglądam taka pogryziona. I ta sukienka. To jest szyfondewelur. Tego się już w Polsce nie sprzedaje, ty szczurze.

Wiatr szeleścił w sztucznych kwiatach. Szable - jedna pod krzewem, druga zaryta w ziemię. Naderwane ucho puchło na zewnątrz i tak jakoś w głąb, jakby zapuszczało korzenie, robiło się gigantyczne. Mieściłam się cała w tym gigantycznym spuchniętym uchu; ogarnęło mnie przerażenie, że tak zostanę na zawsze, jutro, jutro i za dziesięć lat.

- Gdzie jest krowa jutro, Maalu? - zapytałam dawno temu Maalę, patrząc na ogłuchłą od bomby krowę. - Czy ona się w nocy rodzi na nowo, czy już dzisiaj taka jest - jutro, jutro? - Aha - odpowiedziała Maala, patrząc na łunę nad bieszczadzkim lasem, trzepiąc pierzynę, którą się na noc zatykało wlaz do schronu wydrążonego pod stodołą. - Aha. Ona się w nocy rodzi. - A za dziesięć lat? - dopytywałam się. - Jak ta wojna potrwa jeszcze dziesięć lat - biadała czasami Maala - to ja zginę, wyschnę na wiór, i wtedy niech wszystko zgnije, sczeźnie, przepadnie, niech się zapadnie. - Za dziecięć lat też się rodzi - odpowiedziała Maala nieuważnie. - To ja sobie poczekam razem z krową dziesięć lat i urodzimy się na nowo, jak wszystko zgnije, zapadnie się i zeschnie na wiór, bo mnie się teraz nie podoba i ja chcę za dziesięć lat, Maalu. - O Jezusieńku, Jezusieńku, z tym bachorem. A poza tym ile razy mówiłam, że mówi się do mnie mamo Alu. - Maalu - potaknęłam.

Ucho zmalało, za to urosła Maala, znienacka ważna. Ojciec ją rzucił dla tej Francuzicy, a teraz jej przyjdzie płacić za szyfindewelur, którego się już w Polsce nie sprzedaje.

Sama Maala, nie tylko ja, ale sama Maala nie wiedziała, jak to się stało, że przy tylu możliwościach, jakie jej dawało wielopostaciowe, różnokierunkowe dzieciństwo i młodość, na końcu, zamiast sławy i chwały, nigdzie indziej, tylko w leśnobrzeskim mieszkaniu: pokój, kuchnia, ubikacja na korytarzu. Maala była tylko Maalą - stara, pomarszczona, z czarnymi od nikotyny palcami, wełnisty merynos. A była przecież córką zamożnego fabrykanta, opasłego rentiera, z cudzoziemskim akcentem, znużonego życiem zaściankowego szlachcica, który całymi dniami robił papierosy domową maszynką. A kiedy zaczęły się w Polsce aresztowania za pochodzenie, Maala została córką biedniaka z podolskiej wsi: czarna ziemia, niczym nie przysłonięta, od horyzontu do horyzontu ziemia, tylko tę szyny kolejowe, przycupnięta pod jedyną w okolicy gruszą chatka i mała Ala wśród kurzych gówien, zaścielających podwórze, jak wschodni dywan. Z czasem chatka biedniaka urosła o piętro, poszerzyła się o kancelarię, biedniak został dróżnikiem, panna Ala miała na głowie fantazyjny kapelusik i z zabaw w Złoczowie wracała podkładami. Przed kolejarską budką na bosaka, żeby nie usłyszał ojciec z twarzą judejskiego boga i ciałem pogańskim. Po październiku pięćdziesiątego szóstego szyny, podkłady zniknęły, kolejarska budka zapadła się w podolskie błota, a w okolicy przewiewanej azjatyckimi wiatrami, koło Jarczowiec, wyrósł mały dworek, przez wszystkie po-

ry roku cały w wilgotnych bzach w kolorze panieńskiej tęsknoty i ostatniej kropli krwi na mundurze samotnego żołnierza. Ojciec mademoiselle Alice, podkręcając sumiastego wąsa, mawiał: no, to już czas najwyższy odwiedzić kochanego Schulza, może znowu opisał jakieś cynamonowe sklepy, posłuchać by go. Dość już tej wiejskiej głuszy i balów u księcia, książę ostatnio nudny jak kutia, bestia jedna.

I mademoiselle Alice zostawała sama, w czarnych jedwabiach, naprzeciw czarnych nocy, postukujących do okien gałązkami wilgotnego bzu. Zapatrzona w pudło pianina, jak w trumnę. Czasami stawała przy niej bezszelestnie Fela Drübenmann, z zapachem jaśminu we włosach. Fela ze strony winnic obrzynania, głosu synogarlic słyszanych w ziemi naszej. Bezszelestnie też znikała.

Bezszelestnie również Maala zniknęła z dworku bzowego, by zaistnieć w bieszczadzkiej wsi okolonej Osławą, w dwupokojowym kurzym domku, w którym nie zdążono położyć podłóg, bo wybuchła wojna. Czarne gliniane polepy, czarne okopcone kąty, czarna obora, w której nie było już mojej krowy. Zabiła ją ta inna, dzika, która nazywała się Wojna. Zabiła pikując z góry, terkotliwą serią, w smrodliwe od dymów i strachu popołudnie. Już nie miałam z kim urodzić się za dziesięć lat. Z tą drugą, czarną krową, z tą dziką, pikującą z nieba, klekocącą obcą mową, wyskakującą z lasu pochylonymi, siejącymi śmierć postaciami, wybuchającą pożarami, nie chciałam mieć od dawna nic wspólnego. Kryłam się przed nią w kątach domu bez podłóg, dopóki nie został wydrążony schron. Dopóki nie została wydrążona w ziemi dziura, zatykana pierzynami, dopóki nie został mi sprezentowany cuchnący grobowiec rodzinny. Mówiłam do Maali - proszę się modlić, żeby nigdy nie nastało lato i nie wyrosła trawa, to ta dzika krowa zdechnie. - O Jezuniu, Jezuniczku - jęczała Maala i znowu gdzieś szła. Ojca już nie było, wywieźli go, jego dwie siostry też. - A za co to, za co - pytały sąsiadki z kilku oddalonych o nieprzekraczalne dla normalnych krów, ale dla dzikich tak, i to kiedy chciały, miedze. - Po co on jechał do tego Lwowa, po co się tam przekradał, siostrom i tak nic nie pomógł. Lepiej już by tu na jaką łapankę trafił. A teraz może być różnie, nawet do piachu bez ewidencji.

Zagarnięto go z Lewandówki, wyśpiewał ją sobie, wygładzając czarną gliniana polepę, utwardzając ją pod przyjęcie podłogi z dębowych desek: na Lewandówce w cichym ustroniu, tam w ciemnym gaju, w zalesiu tam, tam twa kryjówka była Białoniu, nabity browning twój Anioł Stróż, ty swoją wolność ratuj bandyto pośród granatów i gradu kul, bo twa kryjówka jest już odkryta, o trala, la, lam, lam....

Kiedy wrócił, wrócił bez jednej stopy i bez piosenki: jego zdolność śpiewania wsiąkła w syberyjskie lasy. Pergaminowy, siwy, nie nucił nawet piosenek łagrowych, tylko raz, jakby się zapomniawszy, zagwizdał jakąś kołysankę, ocknął się, popatrzył na mnie i zapytał: - jakie ty miałaś dzieciństwo, co to było za dzieciństwo...

Zastanawiałam się długo, co to ja miałam za dzieciństwo i któregoś dnia przyniosłam mu je czarno na białym. Tak on to określił: - To jest przynajmniej opis dzieciństwa czarno na białym, i to do tego wierszem, posłuchaj Alicjo, co za wunderkinda ci przyniosłem pod dach.

A ja popatrzyłam mu w zęby, bo zawsze mi się wydawało, że przyniósł mnie w zębach, jak szczenię. Leżąca na kozetce Maala odwróciła się na drugi bok, zmęczona łażeniem za pegeerowskimi krowami i przetarła oczy. Byłam pewna, że nie mnie widzi przed sobą, ale krowę, krowę włażącą jej w szkodę, włażącą w jej zmęczenie wunderkindzimi kopytami. Ojciec czytał:

A z moim dzieciństwem, w berka, w chowanego,
bawiła się śmierć w mundurze nie tylko feldgrau,
czasami bywała w radzieckiej purpurze,
szynelu, rubaszce i co tam kto miał.
Thanatos skrzydlata, przeklęta, bogata,
ojca mi do łagru na weekend posłała,
a ciotki na Sybir, jak damy do wód,
na straży snów moich trupy rozstawiła,
i w języku obcym mówiła - sehr gut,

charaszo, cicho sza, śpij dziecino, dziecko,
zabawek ci zniosłam, tyle ile kul,
nie patrz tak na matkę, co szlocha nad niecką,
w bimbrowym rozczynie topiąc strach i ból.
Czemu nie chcesz spać? Co mam dziecku dać?
Dałam ci już przecież i domek spalony,
i krew wyciekającą, jak odesska bladź,
dodam jeszcze potem ciężki szlak bojowy,
Ojczyznę bez głowy, żebyś mogła spać.

Maala zerwała się jak rażona piorunem i uderzyła mnie kułakiem w czubek głowy: Ja ci dam bladź! Skąd ty wiesz, co to jest? Ty. - I zamachnęła się jeszcze raz, została tak w zamachnięciu, z ręką do góry, brakowało w niej tylko jakiegoś siecznego narzędzia i mogłaby być symbolem Nike, samą Nike, Nike Zwyciężającą. Przestraszyłam się, że już jest z kamienia i tak pozostaniemy w Leśnym Brzegu, w leśnobrzeskim mieszkaniu z nieosłoniętą niczym żarówką, z ojcem o jednej krótszej nodze, ja przyszpilona do dzieciństwa, zapisanego czarno na białym, w rymie i rytmie maszerujących po świecie zdziczałych krów. Ale kamienna Nike opuściła rękę. - Bimber - powiedziała i zapatrzyła się w jeden punkt. Tak jak przed laty wpatrywała się w kranik alembiku, z którego skapywała wonna, ostra ciecz. - Ile to dziecko bimbru wychlało, nie mogłam go sama w kółko próbować, od samego zapachu chodziłam pijana. Ile to dziecko wychlało. - Spal to od razu - zaperzyła się, wyrwała ojcu kartkę z moim dzieciństwem, chcąc ją wrzucić do pieca, ale było lato i piec był zimny i sztywny w dotyku jak trup, jak zwłoki dzieci Karwackich, które kazano mi całować w czoło, jak sama Karwacka, zmarła przy kolejnym porodzie, której czoła nie kazał mi nikt całować, ale której ręki dotknęłam, kładąc do trumny bukiet.

Kiedy było lato, bałam się kuchennego pieca.

- Zrób coś z tym, czasy się zmieniły, ale nigdy nie wiadomo, przeczyta ktoś i zaraz potem, nie daj Boże, rewizja...

Wzięłam kartkę i poszłam do klozetu. Tak, jak poradziła Maala, chciałam ją wrzucić do kloacznego dołu, ale rozmyśliłam się, nasłuchując, czy już-już nie zbliża się rewizja: ciche, szczurze kroki, tup, tup. Jedna kobieta, nakaz w ręku, dwu mężczyzny; wszystkowidzące Oczy Ojczyzny, która nie lubi wielu rzeczy, a już na pewno dzieci, które miały takie jak ja dzieciństwo, nieznaną matkę, Maalę, która jest obserwatorką bydła wprawdzie, ale to podejrzane z jej manierami i jej sposobem wysławiania się, ojca z krótszą nogą, pourquoi, monsieur, dzieci, które najpierw nachlały się bimbru, a potem stoją w sraczu z kartką papieru. Zwinęłam ją w kulkę i połknęłam.

Kiedy Maala miała zostać obserwatorką bydła w pobliskim Pegeerze, powiedzieli jej, że pastuch to pojęcie przestarzałe, napęczniałe klasową pogardą, więc ona nie zostanie pastuchem, ale, owszem, obserwatorką bydła. - Kierownikiem stada - poddał ten drugi, który też przyjmował Maalę do pracy i mówił: - Tak, tak, rozumiemy, sytuacja wskazuje społecznie, oczy do malowania wzorków w fabryce porcelany pani już nie służą, ale do pilnowania krów może jeszcze będą służyły, obywatelko. - Sprawdzimy - tak powiedział ten pierwszy, który też przyjmował Maalę do pracy, podłubując w zębach i szperając wolną ręką w szufladzie biurka. - Zresztą - dodał - byłoby śmiesznie nazywać panią pastuchem, bo pastuch to powinien być, ze względu na rodzaj męski tego słowa, mężczyzną. Pastuszka - też brzmi śmiesznie, bo przecież, przepraszając panią, obywatelka już nie jest dzieciną, a pastuchowa to żona pastucha. Obserwatorka bydła to pojęcie na czasie i wolne od tysiącletnich klasowych naleciałości.

Spałam spokojnie odkąd Maala przestała malować wzorki i zaczęła pilnować krów, wydawało mi się, że jak pilnuje je ona, krowy nigdy nie zdziczeją.

- Co ty ciągle o tych krowach - denerwowała się Krystyna. - Te jej parantele - denerwowała się Maala na Krystynę. - Tego by nie wytrzymał żaden Almanach Gotajski, co dopiero ja - potrząsała witką, stłamszona tym, że mimo wysiłków przekształcenia swojego życiorysu starzeje się na pegeerowskiej łące, niepotrzebnie, podczas gdy czas Krystyny, jeżeli już trzymać się słów samej Krystyny, był wypełniony życiem pożytecznym dla ogółu, walką o wolność,

i prawo do refleksji: to ona, Krystyna, z powstańcami ukrywała się po borach-lasach, cierpiała w twierdzy Szlisselburg, przedzierała się przez kordony, Kozietulskiemu pomagała dźwigać ciężar odpowiedzialności w szalonym samossierrskim pędzie, to ona elektryfikowała, walczyła z przyrodą i analfabetyzmem, współtworzyła od podstaw, to ona była przyszłością narodu, wolną, bo rozumiejącą konieczność ograniczeń. Co miały z nią wspólnego krowy? Z nią, z refleksją, pod którą czai się czyn - jak mawiała. Ona nigdy nie była bachorem przyniesionym w zębach, nachlanym bimbrem dzieckiem, panną, która ma ojca bez stopy, ona nie miała babuni, Lu zaklętej w gnijący od lat w piwnicy poniemiecki kufer, którym Maala ucieszyła się, kiedy wprowadziłyśmy się do leśnoborskiej, odrapanej kamienicy. - O, jaki pojemny kufer. Będzie w czym trzymać, jak mówią w tych stronach, kartofle.

Po latach, kiedy Emeryk nabębnił się już palcami po biureczku, zapatrzony ponad moją głową w swoje siedzące w przyległym saloniku złoto, myrrę i kadzidło, a ja wróciłam do Leśnego Brzegu, Maala najpierw znalazła mi pracę: dekorowanie wystaw, a potem wciągnęła do mieszkania, pod moją nieobecność, kufer.

Tego dnia bolały mnie palce od przetykania sklepowej wystawy małymi żółtymi kurczaczkami z waty, nad których wykonaniem siedziałyśmy razem z Maalą przez tydzień jak wzorowe kwoki. Bolał mnie mózg od gadaniny właściciela, który się nie zgodził: niech inni się godzą, on nie. Tu jest piekarnia, proszę panny dekoratorki, a nie wylęgarnia kurcząt, chociaż idzie na wielkanocne święta dla chrześcijan. Pomiędzy kurczaczkiem a chlebem, który się tu sprzedaje nasom pracującym, pracującej inteligencji i uświadomionemu chłopstwu, nie ma żadnej żelaznej konsekwencji, ja mam tylko jedne skórzane mieszty, panno dekoratorko, i nie mnie już w nich do Kazachstanu od skórzanego mojego rzemyczka do żelaznego trzewiczka. - Panie- zdenerwowałam się wizją umykających pieniędzy - jakim językiem pan mówi, gdzie Kazachstan a gdzie Leśny Brzeg, panu się pomyliły okresy. - Mnie się nigdy nic nie myli, panno dekoratorko, a czasy są dla mnie zawsze takie same od dwu tysięcy lat. - Musiałam schować kurczaki do torby i ozłocić tekturowy bochenek narodowego chleba kłosami. Właściciel patrzył w milczeniu. Bolały mnie palce.

W domu czekała na mnie Maala z zatęchłym kufrem. - Jesteś wreszcie. Trzeba go dobrze oskrobać, wymyć gorącą wodą. Nie można pozwolić przecież na to, by jedyna po babuni pamiątka rozleciała się na szczapy w poniemieckiej piwnicy.

I tak zaistniała babunia Lu: przy Maali mówiła wyłącznie po niemiecku, nawet wtedy, kiedy pokazywała jej Hallerczyków. Mnie dmuchała w usta, kiedy leżałam rozgrzebana i spocona w kołysce. To ona nauczyła mnie odpowiadać na pytanie: "kto ty jesteś", nie jak każde dziecko - "Polak mały", ale: "mnie się tu nie podoba, ja urodzę się z krową za dziesięć lat". A na pytanie: "jaki znak twój" - milczeć jak mogiła ciemna.

To ona stawiała moją kołyskę albo na glinianej polepie albo na woskowanych posadzkach w wysokim pokoju, skąd much nie wypędzało się ręcznikami, z sufitu którego nie zwisały pajęczyny i obrzękłe lepy na muchy.

Raz nawet, jeszcze przed wojną, babunia Lu, niepomna moich szczenięcych narodzin, postawiła moją kołyskę w zamku Daisy von Pless, jako że do końca nie została wyjaśniona moja parantela z Marią Teresą Oliwią z domu Cornwalis - West, Angielką z pochodzenia, ciotką Winstona Churchilla, ostatnią właścicielką Szczawna i dóbr książko-pszczyńskich, - Warto by było zacząć patrzeć na książki zamek okiem właściciela - mówiła Maala. - To nie Krystyna powinna mieszkać tam obok, ale ty.

To babunia Lu napisała pamiętniki: "Taniec na wulkanie" i się rozwiodła. - Zawsze byłam ciekawa, dlaczego ty nie tańczysz, babunia wróżyła ci zawrotną karierę. Mieć w rodzinie kogoś, kto pisze tańce na wulkanie, to przecież znak wróżebny, ale niezbadane są wyroki boskie.

W zamian za milczącą zgodę babunię Lu, która przecież dmuchała mi w usta, aż do zachłyśnięcia, raz prawie śmiertelnego, Maala nie przejmowała się moim światem. Słońca mogły w nim wschodzić i zachodzić o dowolnej godzinie dnia i nocy. A Osława mogła być pełna jesiotrów. A ona sama, Maala, mogła w

moim świecie istnieć albo i nie, a jeżeli istnieć, to w każdej służebnej roli.

Mogła w nim być nawet chłopką owiniętą w szaroglinisty koc, płaskobiustą, pędzącą bimber czarownicą, alkoholiczką z zaślinionymi oczami, półwariatką, która handlowała podczas wojny papierosami i bimbrem, oszalałym sępem przed lustrem, wykrzykującym ludzkim głosem: Jezu mój, ja jestem dziesięć lat od niego starsza, a jak jeszcze dodać do tego te dziesięć lat, co się nie widzieliśmy, to ja jestem dwadzieścia lat starsza.

Mogła sobie być nawet, choć bardzo tego nie chciała, wełnistym merynosem pisującym podania, prośby i rozkazy, zaczynające się od: Obywatelu, uprasza się.

Jednego mi tylko nie darowała, zaanektowania Feli Drübenmann. Popatrzyła na mnie i pierwszy raz zamilkła na dłużej, kiedy zawiadomiłam ją, jedząc kartoflankę ze skwarkami, że spotkałam na ulicy Felę, która powiedziała mi, że z ojcem to jest nie tak. Z żadną on jakąś tam Francuzicą, ale z samą Simone Weil. Jej umysłem zafascynował się jeszcze w lefortowskim. Fela nie może zrozumieć, jak Maala nie mogła pojąć intelektualnej fascynacji, w końcu zdarzały się w tamtych latach i w tamtych miejscach, przeróżne, Wat na przykład zafascynował się tam Machiavellim. - Fela - wylizywałam talerz - właśnie niedawno widziała się gdzieś za granicą z Herlingiem-Grudzińskim, on tak jakby przypominał sobie ojca, z jakiegoś etapu, w każdym razie kogoś, kto z całym przejęciem mówił o Simone. Nie trzeba było dać umrzeć ojcu samotnie. Maalu. Samotnie, z francuskimi książkami, które ledwie rozumiał, w tym kłodzkim domu wariatów, Maalu.

Maala przestała jeść. Patrzyła na mnie długo. Nie odzywała się półtora dnia, nie spożyła w tym czasie żadnego posiłku.

Kiedy zaczęła jeść znowu, była kartoflanka ze skwarkami i mogło się wydawać, że właściwie nie minęło wcale półtora dnia postu i ciszy, że właściwie nie przestałyśmy jeść tamtej kartoflanki, że nie wypowiedziałam wcale tamtych wypowiedzianych słów.

Nie wiedziałam, że pod oknem siedzi Karwacki i patrzy na swoje, nie takie jak dawniej, gołębie.

Okno było otwarte. Jego głos zadudnił nam nad głowami jak pociąg na wiadukcie: on zupełnie nie rozumie, ile było tych Fel, raz jest ta Fela od pani, obywateleczko Maalu, raz jest to Fela paninej córki. On wcale nie podsłuchiwał, to nie jego natura - dudnił pociąg.

Maala podniosła się, wychyliła przez okno i łagodnym, dawno zapomnianym głosem Chawy Zborowskiej, którą zastrzelili Niemcy, a która na sanockim rynku pewnego dnia w samo południe zaśpiewała mi jakąś pieśń, napominając Maalę - dziecku trzeba dużo śpiewać, żeby przeżyło - głosem śpiewnym, melodyjnym, zakotwiczonym w pieśni nad pieśniami, wyjaśniła Karwackiemu, że Fela Drübenmann nie jest jedna, że tak jak istnieją pokolenia Karwackich, tak istnieją pokolenia Drübenmannów, że nasze rodziny zawsze były w pobliżu i gotowości: takie wzajemne, rodzinne pogotowie ratunkowe, i że każda z nas miała swoją Felę. Po prostu w rodzinie Drübenmannów pierworodną zawsze nazywano Fela. Ostatnia chodziła ze mną do szkoły, przedostatnia z Maalą na pensję, a przedprzedostatnia wychowywała się z babunią Lu.

- A jak tak, to tak - zadudnił pociąg.

Maala usiadła wyczerpana, popatrzyła na mnie jak skrzywdzone dziecko, jak merynos skazany na rzeź.

Od tego czasu zaczęły się coraz to dłuższe okresy milczenia, zapatrzenia w ścianę, bezsenności, czyszczenia, polerowania, cerowania, poklepywania młotkiem, a jak już rozmowa to międzykontynentalna, ciężko opłacana, mimo to pytanie i odpowiedź powtarzane po dwa razy.

Jakaś nocna pisanina, szeleszczenie karteluszkami, a we mnie ten lęk, że po obudzeniu się zobaczę którąś z kartek przypiętą do mebla: - Obywatelko, uprasza się opuścić ten lokal.

Dobrze. Żadnego karteluszka. Trzeba iść do sklepu. Zimno. Ale nie z zimna się trzęsę, ale z jakiegoś rodzaju bolączki. Mimo wszystko przydałoby mi się jakieś z królika futro. Przebudzone kaszlnięciem Maali zerwało się ze snu zdziczałe socjalistyczne jutro.

Zyta Oryszyn

Andrzej Szczypiorski

STROMA ŚCIEŻKA DO NIEBA

Z nadejściem jesieni doktorowa uznała, że dłużej zwlekać niepodobna. Zima zapowiadała się surowa, a pieniędzy było coraz mniej. Doktor odniósł się do projektu żony niechętnie, zapewnił, że zrobi wszystko, aby jakoś przetrwać bez odwołania się do ostateczności, ale zostawił sobie furtkę mówiąc, że wrócą jeszcze do tego tematu.

Doktorowa nie czekała jednak na cud. Doświadczenia nauczyły ją sceptycyzmu w odniesieniu do Pana Boga oraz własnego męża. Obaj byli dobrzy, szlachetni, ale nieporadni. Pan Bóg wydawał się doktorowej poważniejszy, bo przynajmniej nie obiecywał rychłej poprawy sytuacji.

Doktorostwo mieszkali w cichej, śródmiejskiej dzielnicy. Ulica była zabudowana eleganckimi, secesyjnymi kamienicami. Mieszkanie doktorostwa należało do bardzo pięknych i wygodnych. Pokoje były duże i słoneczne, meble solidne, dywany podniszczone, ale wciąż jeszcze eleganckie. Dom wyposażony był w doskonałe piece kaflowe, solidne parkiety, ozdobione gipsaturą sufity, rzeźbione klamki z bronzu, marmurowe schody frontowe, witraże, rozległe strychy i pakowne piwnice. Był to dom bogaty i niegdyś mieszkali tu bogaci ludzie lub tacy, którzy chcieli uchodzić za bogatych.

Jednakże wojna przyniosła z sobą nie tylko strach i terror, ale także dotkliwą biedę. W roku 1940 w kilku mieszkaniach zmienili się lokatorzy.

Doktor praw, mecenas Joel, oraz doktor medycyny, internista Goldsztajn - musieli przenieść się do getta. Artysta-malarz Kijowicz został aresztowany i wywieziony do obozu koncentracyjnego, a jego ociemniała żona wyjechała na prowincję. W tych mieszkaniach zainstalowali się nowi lokatorzy. Na pierwszym piętrze, w siedmiu pięknych pokojach mecenasa Joela zamieszkał niski, ruchliwy, wesoły jak szczygieł Volksdeutsch ze Śląska z żoną, o której mówiono, że jest Żydówką. Ten Volksdeutsch był powszechnie lubiany, ponieważ świadczył sąsiadom drobne usługi, pośredniczył w ich kontaktach z niemieckimi urzędami i dość często posyłał im przez swoją córeczkę, śniadą, chudonogą dziewczynkę w mundurku BDM, meinlowskie delikatesy. Lokator, który przejął mieszkanie po doktorze Goldsztajnie, nazywał się Rogowski i od lat znany był wszystkim w okolicy. Przed wojną mieszkał w ciemnej izbie, gdzie obok zlewu i kuchennego pieca stała singerowska maszyna do szycia. Rogowski był krawcem, ale pechowym i bez polotu, trudnił się drobnymi naprawami odzieży, czasem szył spodnie biedocie, zamożnym panom prasował garnitury i przyszywał guziki. W ciągu wojennych lat zrobił ogromny majątek. Zatrudniał kilku pracowników, nie mógł podołać zamówieniom. Miał niemiecką klientelę, bo doszedł do mistrzostwa w szyciu oficerskich spodni. Człowiek niegdyś cichy i skromny, wraz z odmianą losu zaczął pić, utrzymywał kochanki, rozjeżdżał po mieście rikszą, której kazał wyczekiwać przed domem. Nie były to jednak czasy, kiedy prostak osiągnąwszy sukces materialny mógł demonstrować zbyt jawnie swoje grubiaństwo. Przeciwnie, Rogowski usiłował upodobnić się do sąsiadów, podpatrywał ich sposób bycia, podsłuchiwał słownictwo. Było to komiczne i rozczulające. Nie wiedząc co robić z gotówką, wykupił niemal wszystkie płótna malarza Kijowicza, czym zjednał sobie sympatię ulicy. Potem tak zasmakował w dziełach sztuki, że zasłynął w mieście jako kolekcjoner i mecenas biedujących artystów. Pośrednicy naciągali go na wielkie sumy i chyba zdawał sobie z tego sprawę. Musiał być świadomy ulotności tego wszystkiego, co go otaczało, słyszał głuche dudnienie wulkanu pod stopami - i chciał po prostu żyć całą gębą, jak długo się da. Opowiadano, że w knajpach zostawiał sute napiwki, a jego rikszarz nie miał wprost słów uznania dla tego kapryśnego, ale hojnego klienta.

Jednak krawiec nie cieszył się sympatią w kamienicy, bo zajął dość brutalnie mieszkanie doktora Goldsztajna niemal w godzinę po tym, jak lekarz przeniósł się do getta. Co więcej, Rogowski demonstrował swój antysemityzm i aczkolwiek w czasie powstania w getcie słyszano, jak mówił kiedyś do czeladników - "Co te szwaby robią z nieszczęsnymi ludźmi!", to jednak często powtarzał, iż Żydzi byli sprawcami jego wieloletniej biedy i stało się wreszcie zadość sprawiedliwości, że polski, katolicki krawiec mieszka w pięciu pokojach od frontu.

Tak więc z nadejściem jesieni doktorowa uznała, iż dłużej zwlekać nie sposób i zaczęła rozglądać się za wypłacalnym sublokatorem. Nie było to takie trudne w owym czasie, bo miasto przypominało obóz warowny, a cała gubernia była obszarem nieustającej wędrówki ludów. Doktorowa zatelefonowała tu i ówdzie i już nazajutrz pojawiły się rozmaite osoby, zainteresowane pokojem do wynajęcia. Doktorowa chciała zrazu pokazywać salon, ale żal się jej zrobiło ulubionych mebli, przytulnego kącika pod lampą, ozdobnego pieca i balkonu. Więc niemal w ostatniej chwili, gdy pierwszy klient zadzwonił do drzwi, powzięła decyzję, że przemebluje mieszkanie i lokatorowi zaoferuje pokój po prawej stronie korytarza, dotychczas zajmowany przez syna. Pokój był duży, słoneczny, dwuokienny, miał dość obszerną wnękę, gdzie mieściło się łóżko oraz szafa na garderobę. W gruncie rzeczy były to niemal dwa pokoje, bo tę wnękę można było oddzielić zasłoną.

Zgłosiło się kilka osób, ale kobiety były z góry przez doktorową wykluczone i odprawiano je z kwitkiem. Na placu boju pozostali więc dwaj konkurenci, Pan o ujmującym wyglądzie, szpakowaty, dobrze ubrany, przystojny oraz niepozorny garbusek w drucianych okularach.

Doktorowa zwykle ulegała podszeptom intuicji, co było przedmiotem żartów w rodzinie i powodem wielu zdumiewających przygód. Wszystko tamtego dnia zdawało się przemawiać na rzecz szpakowatego pana, ale doktorowa wybrała garbuska. Garbusek wydał się dziwnie skromny, cichy, zażenowany, natomiast ten drugi zrobił wrażenie za bardzo światowe. Może w innych okolicznościach szpakowaty dżentelmen osiągnąłby sukces, ale była wojna, świat doktorowej umierał codziennie od nowa, ona sama czuła się zagubiona i napoły martwa, jej toalety dawno już zostały sprzedane, futra, wieczorowe okrycia rozwłóczone były po bazarach, sama paliła w piecach i obierała ziemniaki, więc ten pan o wyglądzie przedwojennego bonwiwanta, nietknięty przez czas, gdy ona sama była przez czas zdruzgotana, wydał się jej cokolwiek nienaturalny, a w każdym razie mniej godny zaufania od żałosnego gnoma w drucianych okularach.

Cały świat był kaleki, brzydki i zarazem godny współczucia, dlaczego więc miałaby odtrącić tego nieszczęsnego człowieczka, który zresztą natychmiast zaofiarował komorne za trzy miesiące z góry, co także miało wpływ na decyzję doktorowej.

Garbusek zamieszkał więc w pokoju z wnęką. Miał skromne wymagania. Wzdragał się przyjąć wygodny fotel klubowy z salonu, mówił, że umeblowanie pokoju całkiem mu dogadza. Wysłuchał z uwagą i szacunkiem objaśnień, kiedy wolno korzystać z łazienki oraz palników gazowych w kuchni. Dodał z naciskiem, że stołuje się z reguły w mieście, więc tylko pod wieczór może coś przekąsić.

Doktorowa, kiedy tylko zaświtał pomysł wynajęcia pokoju, często mówiła, że będzie unikała jak ognia wszelkich towarzyskich kontaktów z lokatorem.

- Mieszkanie jest duże - mówiła - rozkład idealny. Nie będziemy się spotykali. Będziemy żyli tak, jakby nikogo obcego nie było.

Ale doktorowa była osobą towarzyską, impulsywną i ulegała nastrojom. Lata wojny izolowały ją od dawnego życia, stęskniona była nowych twarzy, nowych treści. Więc już następnego dnia, kiedy w jadalni spuszczono zaciemniające zasłony okienne i zapalono światło, doktorowa powiedziała do męża i syna:

- Myślę, że wypada poprosić tego pana.

- Jak uważasz - odparł doktor, który nigdy nie sprzeciwiał się żonie.

Syn nie był tym zachwycony. Sublokator wydawał mu się niesympatyczny. Syn był rosłym młodzieńcem, miał szerokie bary i zwinne ruchy. Kalectwo lo-

katora było mu niemiłe, ale jednocześnie odczuwał odrobinę współczucia. Wstręt i litość nie dają w sumie sympatii. Tak czy owak jednak wstał i na życzenie matki poszedł poprosić garbuska. Sublokator przyjął go stojąc przy zaciemnionym oknie. Był bez marynarki, pod koszulą rysował się jego olbrzymi garb, na którym, niemal bez szyi, osadzona była dziwnie podłużna główka o płaskiej twarzy. Kiedy chłopak poprosił go w imieniu rodziców - garbus przez moment zawahał się, ale potem odparł z uśmiechem, że zaraz przyjdzie.

Zjawił się w marynarce, z paczuszką prawdziwej herbaty. Doktorowa przyjęła prezent z radością. Bardzo lubiła dobrą herbatę, a ostatnimi czasy przez wiele miesięcy musiała się bez niej obywać.

Sublokator nazywał się Józef Ptak i był z zawodu nauczycielem. To ożywiło doktora, który także w dawnych, przedwojennych czasach, za młodych lat, wykładał w gimnazjum historię. Doktor wypytywał więc sublokatora o jego praktykę szkolną, ale tamten odpowiadał niechętnie i trochę leniwie. Można było wnioskować, że uczył się w szkołach na południu Polski, ale wymienił trzy czy cztery miejscowości dość niewyraźnie, a gdy doktor spytał o nazwiska kilku swych znajomych z tamtego teremu, ludzi powszechnie znanych w szkolnictwie, lokator kiwał tylko głową, ale nie potwierdził, czy się z nimi kiedykolwiek zetknął.

Po trzech kwadransach garbus przeprosił gospodarzy i poszedł do siebie. Rodzina pozostała przy stole, popijając herbatę. Doktorowa usiłowała przekonywać nie tylko męża i syna, ale także samą siebie, że sublokator jest człowiekiem miłym i kulturalnym. Doktor powiedział, że zapewne ma rację. Syn nie był gościem zachwycony.

Tak skończył się pierwszy dzień z sublokatorem. Doktorowa długo nie mogła zasnąć. Dręczyła ją obawa, czy podjęła słuszną decyzję. Może tym razem zawiodła ją intuicja? Nazajutrz rano opowiadała, że śnił się jej garbaty sublokator, który grzebał o zmroku w ruinach wielkiej kamienicy. Kiedy podeszła bliżej, okazało się, że jest to kamienica nieznana, ale w gruzach znajdują się meble doktorostwa. Był to męczący sen. Nie rozumiała, co oznacza. Na wszelki wypadek postanowiła trzymać się z dala od garbatego lokatora.

W kilka dni później rodzina przeżyła prawdziwy wstrząs. Wieczorem rozległ się dyskretny dzwonek i syn poszedł otworzyć. Wrócił do jadalni blady i zdenerwowany.

- Kto to taki? - spytał doktor.
- Ptak - odparł syn.
- Mówi się pan Ptak - powiedział ojciec.

Syn skinął głową. Usiadł przy stole i począł gorączkowo rozcierać sobie palce, co było znanym w rodzinie objawem niepokoju.

- Co się stało? - spytał doktor, przypatrując się synowi.

Syn pokręcił głową.

- Chyba źle widziałem - mruknął.
- Może raczysz powiedzieć, co się takiego stało? - powiedział doktor.
- On miał swastykę w klapie marynarki - powiedział syn.

Doktor milczał chwilę, potem rzekł: - Zdawało ci się.

Zawsze uchylał się od zła świata. Nie lubił akceptować czegokolwiek, co było złe, podłe, ale jemu nie na rękę. Doktorowa przeciwnie. Zawsze wychodziła naprzeciw złym stronom życia, podkreślała, że na tym polega godność. Właśnie dlatego nie należała do osób wyrozumiałych. Teraz przybladła i położyła dłoń na dłoni męża. Milczała. Doktor powiedział:

- Jesteś pewny?
- Tak - odparł syn - ale to niewiarygodne.

Jego umysł nie mógł pojąć, że krótkowzroczny garbusek jest hitlerowcem. Hitlerowcy byli dobrze zbudowani, silni fizycznie i napewno nie zasługiwali na litość.

- Co teraz zrobimy? - powiedziała doktorowa. Doznawała uczucia straszliwej klęski. Jej intuicja sprowadziła na dom grozę i nieszczęście.
- Postaram się coś zrobić - powiedział doktor.

W tej chwili rozległo się ciche pukanie do drzwi i na progu stanął garbus. Nie było wątpliwości. W klapie jego marynarki widniał hitlerowski znaczek partyjny ze swastyką.

- Nie chciałbym się narzucać - powiedział garbus - ale muszę państwu coś wyjaśnić.

Doktor wstał od stołu. Doktorowa zapaliła papierosa. Garbus zbliżył się. Światło lampy zabłysło na emaliowanej powierzchni znaczka NSDAP.

- To nie zajmie wiele czasu - powiedział cicho - ale jednak muszę państwu coś wyjaśnić.

- I ja tak sądzę - rzekł doktor. - Proszę, niech pan siada.

Lokator usiadł przy stole. Wszyscy milczeli.

- Tak - powiedział garbus po chwili. - Tak właśnie jest.

Doktor skinął głową. Doktorowa spojrzała na syna i rzekła:

- Może jesteś zmęczony? Jeśli tak, to idź do siebie.

- Nie jestem zmęczony - odparł syn.

- Jeszcze nie ma ósmej - powiedział garbus, a potem dodał szybko:

- Rozumiem, że państwo czują się oszukani. Ale ja jestem porządnym człowiekiem.

Syn doktorostwa wydął wargi, a doktor powiedział:

- Mam nadzieję.

To była prawda. Zawsze podsycał w sobie nadzieję, nadzieja trzymała go przy życiu, była jego religią i niezachwianym stanem ducha. Ufał, że dobro zwycięża zło, świat jest piękny, a ludzie zacni. Kiedy działo się odwrotnie, szukał usprawiedliwienia i znajdywał je. Wcale nie był tchórzem. Był po prostu bardzo dobrym i szlachetnym człowiekiem.

- Jestem Niemcem - rzekł garbaty Józef Ptak. - Nie wszyscy Niemcy są tacy sami.

Podniósł dłoń i dotknął koniuszkami palców znaczka w klapie marynarki.

- To wcale nie jest takie ważne - powiedział. - Ważne jest, co siedzi w środku w człowieku.

Doktorowa zgasiła papierosa.

- Jeśli pani sobie życzy - powiedział lokator - to ja się wyprowadzę. Proszę mi dać kilka dni czasu. Muszę znaleźć nowe locum.

- Tak - odparła doktorowa - oczywiście.

A po chwili dodała:

- Pośpiech nie jest konieczny.

Trzymiesięczne komorne, wpłacone z góry przez lokatora, wydała już w lwiej części na węgiel oraz ziemniaki. Zbliżała się ostra zima, trzeba było zawczasu myśleć o zapasach. Doktor rzekł łagodnie:

- Pośpiech nigdy nie jest konieczny, proszę pana.

Ale on nie miał na myśli finansowych komplikacji, lecz - jak zwykle - sięgał do niewyczerpanych zasobów dobrej woli, ufności i tolerancji, łatwiej znosząc w owej chwili niewygodę swojej, polskiej sytuacji, aniżeli położenie tego ułomnego człowieka, który demonstrował teraz zażenowanie, nader skomplikowane, podwójne, zezowate - bo brało się z niewinnego oszustwa czy przemilczenia, jakiego się dopuścił wobec gospodarzy, ukrywając swoją niemieckość jak gdyby była niewybaczalnym kalectwem, bardziej dominującym od garbu, ale także wynikało z dwego wyznania, gdy zasłaniając emblemat partyjny mówił cicho, że jest przyzwoitym człowiekiem. Doktor gotów był mu wybaczyć i jedno i drugie, zakładając paradoksalnie, że w tym szczególnym przypadku kłamstwo dowodzi prawdomówności. Ostatecznie garbus mógł bez trudu wykorzystać swoją przynależność do narodu niemieckiego i zająć pokój, jeśli mu przypadł do gustu. Skoro nie pisnął słówka i ukrywał z początku całą sprawę, jak się ukrywa wstydliwą chorobę albo ciemną przeszłość - był to dowód prawości jego charakteru.

Pan Ptak miał długie, smukłe, delikatne palce i tymi palcami gładził obrus na stole, wpatrując się spoza szkieł w delikatny rysunek haftu. Milczenie trwało trochę zbyt długo, więc doktorowa, która nawet stojąc przed plutonem egzekucyjnym nie straciłaby kindersztuby powiedziała, że robi się chłodno i czas najwyższy wypić przed snem po szklance gorącej mięty. Pan Ptak zapewnił, że ma u siebie herbatę, ale doktorowa, powodowana uczuciem patriotycznym, tym razem nie podjęła wątku. Garbus przyjął to z pokorą.

Niedługo po tym wieczorze, zrazu żywo komentowanym w rodzinie, ale po

kilku dniach niemal zapomnianym, pan Ptak zadomowił się u doktorostwa na dobre. Sytuacja jednak nie była dogodna. Bądź co bądź, w tym ogólnie szanowanym domu zagnieździł się hitlerowiec - i to bez gwałtu, ale za zgodą gospodarzy. Opinia, jaką doktor cieszył się w kamienicy i w swoim środowisku, była nienaganna, więc przyjaciele oraz znajomi przyjęli to ze zrozumieniem. Należało jednak wiele razy opowiadać całą historię, podkreślając - zresztą zgodnie z prawdą - że pan Ptak okazuje się człowiekiem cichym, uczciwym i godnym zaufania. W tym czasie tego rodzaju Niemcy, aczkolwiek zdarzali się nieczęsto, nie stanowili jednak rewelacji. Jest faktem dość osobliwym, że potępienie całego narodu niemieckiego i wszystkich bez wyjątku Niemców stało się powszechne dopiero pod koniec wojny, a nawet już po jej zakończeniu, kiedy rachunki krzywd zostały podsumowane i Polacy poznali swój los w ujęciu statystycznym. W czasie wojny, szczególnie w większych miastach, kontakty ludności miejscowej z władzami i urzędami okupacyjnymi były nieuniknione, a Polacy, doświadczając tak wielu okrucieństw i upokorzeń ze strony Niemców, doświadczali też niekiedy wyrozumiałości i dobrej woli. W tamtych strasznych czasach ludzie byli na tyle wzniośli i wspaniali, że potrafili rozróżnić pomiędzy złem i dobrem. Dopiero później powszechna wiedza o krzywdach uczyniła ich małostkowymi w nienawiści i pogardzie.

Więc wówczas pan Ptak uwił sobie gniazdko w domu doktorostwa. Obie strony poszły na ustępstwa. Nie było mowy o zażyłości, ale gospodarze pogodzili się z sytuacją. Doktorowa popijała już zawsze napar z mięty i pan Ptak nie narzucał się więcej ze swoją herbatą. Nie nosił też nigdy partyjnego emblematu. Zapewne chował odznakę do kieszeni już na ciemnych schodach. Tak więc pan Ptak zyskał wygodny pokój w spokojnym zaułku śródmieścia, doktorostwo zaś doznali ulgi materialnej oraz zdobyli złudne co prawda, lecz jednak krzepiące poczucie bezpieczeństwa. Obecność Niemca w domu mogła się przydać w dramatycznej chwili.

Po dwóch miesiącach gospodarze uznali, że obecność garbusa jest szczęśliwym zrządzeniem losu, ponieważ Ptak zainstalował u siebie radioodbiornik. Po trzech miesiącach sprawa znów przybrała zły obrót, bo zjawiła się w jego życiu kobieta.

Była to prześliczna, wysoka, pełna blondynka. Pewnego dnia zimowego syn doktorostwa posłyszał w pokoju lokatora stłumione szepty. Niebawem garbus zjawił się w kuchni i przygotował kolację na dwie osoby. Doktorowa patrzyła na niego w milczeniu. Kiedy ustawił już wszystko na tacy i zabierał się do wyjścia, rzekła:

- Czy panowie życzą sobie kieliszki?

Garbus drgnął, odstawił tacę na kredens i zbliżył się do pani domu na swych krótkich, pałąkowatych nóżkach. Pocałował doktorową w rękę.

Powiedział:

- Proszę mi wybaczyć. To się nigdy więcej nie powtórzy.

- Ależ panie Józefie - odparła doktorowa - Jest pan u siebie. Pański przyjaciel jest chyba człowiekiem godnym zaufania.

- To kobieta - wymamrotał gnom.

Doktorowa westchnęła i powiedziała żywo:

- Mój Boże! Mam nadzieję, że pan jej udzieli pomocy... Jeśli prosi pana o interwencję...

Ale garbus był nieubłagany. Na jego płaskiej twarzy pojawił się dziwaczny uśmiech. Szerokie jak łopaty, żółtawe zęby wyłoniły się spoza warg.

- To jest moja narzeczona - powiedział.

- Narzeczona? - powtórzyła doktorowa, jakby to słowo usłyszała po raz pierwszy w życiu.

W godzinę później, gdy doktorostwo z synem siedzieli w jadalni, zjawił się Ptak i oświadczył, że z powodu godziny policyjnej, pani, która go odwiedziła, musi zanocować. Powiedział to z wyrazem zatroskania na twarzy, ale tonem stanowczym.

- Ta pani nie ma przepustki? - spytała doktorowa.

- Nie - odparł ona jest Polką.

- Ach tak - powiedziała doktorowa.

A kiedy garbus odszedł do siebie, zawołała:

- To wszystko staje się nie do zniesienia. Wydawał się przyzwoity, ale jednak wyszło z niego to całe prusactwo?

- Jaki z niego Prusak - rzekł doktor - Józef Ptak, po prostu. Zwyczajny ptaszek mazowiecki.

- Ja ciebie nie pojmuję - powiedziała doktorowa. - Czy to jest niemiecki dom schadzek?

Syn roześmiał się. Ta historia podziałała na jego wyobraźnię. Miał dziewiętnaście lat. Był ciekaw, jak takie rzeczy robi garbus. Ale doktor myślał o innych sprawach. Popatrzył na żonę z odrobiną ironii:

- Niemiecki dom schadzek - rzekł. - To rzeczywiście okropne. Ale co cię bardziej oburza, że dom schadzek, czy że niemiecki?

- Najbardziej oburza mnie ta osoba - odparła doktorowa. - Któż to może być.

- Kobieta - powiedział syn.

Nazajutrz mogli się jej przyjrzeć. Była wysoka, jasnowłosa i bardzo germańska w typie. Duża, pełna, złocista. Włosy upinała w warkocz około głowy. Miała na sobie popielatą suknię i dość zniszczone, brązowe półbuciki. Nie używała wcale makijażu, albo używała go bardzo dyskretnie i umiejętnie. Miała wielkie, niewinne oczy, które doktorowa określiła jako "księżycowe", a syn doktorostwa jako "krowie". Później syn zwykł tę kobietę nazywać "księżycowym bydlątkiem". Nie rozumiał, że w ten sposób ujawnia swoje najskrytsze uczucia. Bo w istocie przez długi czas dręczyło go pożądanie, zmieszane z ciekawością i pogardą. Pod koniec zimy często nawiedzały go sny, w których pełen nienawiści i patriotycznego uniesienia okładał tę kobietę pięściami, a potem zdzierał z niej bieliznę i nagą przygniatał własnym ciałem do pościeli.

Narazie jednak pani Lucyna znikła z ich domu przed południem i pojawiła się znów po kilku dniach, ale już nie nocowała. Dopiero w okresie Bożego Narodzenia Józef Ptak oświadczył, że pani Lucyna spędzi święta w jego pokoju.

- Cóż robić - powiedziała wtedy doktorowa - Wola boska...

Lucyna zachowywała się do tego stopnia pokornie, że było to po prostu nieznośne. Nawet doktor, tak zawsze wyrozumiały, czuł się cokolwiek upokorzony. Podczas świąt garbusek spędzał cały czas w pokoju. Lucyna zaś przesuwała się niemal bez szmeru do kuchni albo do łazienki, z wyrazem zalęknienia w wielkich, błękitnych oczach. Wydawała się wtedy dziwnie krucha i słaba, choć była bardzo wysoka, miała obfite piersi i silne ramiona. Znikła w pokoju kochanka, by tam utonąć w kompletnej ciszy, która drażniła doktorostwo, a ich syna przyprawiała o prawdziwe katusze.

W drugi dzień świąt pod wieczór garbus przyszedł do jadalni, jak gdyby nigdy nic. Poprzednio bywał tam od czasu do czasu, rozmawiano wówczas o sytuacji na froncie, komentowano najnowsze wiadomości radiowe. I tym razem Ptak oznajmił, że pod Stalingradem dzieje się niedobrze.

- Dla kogo? - spytał doktor. - Dla pana czy dla mnie?

Garbus uśmiechnął się i wyjaśnił, że armie niemieckie walczą w niezwykle trudnych warunkach, są otoczone, wydane na uderzenia Rosjan, strasznej rosyjskiej zimy i głodu. Wtedy doktor po raz pierwszy zadał pytanie, co Józef Ptak zamierza uczynić po wojnie i po klęsce Rzeszy. Garbusek zmieszał się.

- Jeszcze o tym nie myślałem - odparł po chwili - ale chyba tutaj zostanę. Jeśli to oczywiście będzie możliwe.

- Trudna sprawa - rzekł doktor. - Pan przecież sam rozumie.

- Rozumiem - przyznał Ptak. - Nawet lepiej niż pan...

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nagle zasłonił twarz dłońmi. Jego piękne, smukłe palce zakryły całą brzydotę krótkowzrocznych oczu, płaskiego nosa, wąskich warg i kaciastej brody. Wyglądał jak mały chłopczyk. Kunsztowne, stylowe oparcie krzesła wystawało ponad jego głowę. Doktorowa podsunęła tacę z ciasteczkami domowego wypieku, ale Ptak wciąż siedział nieruchomo i milcząco. Wtedy doktorowa powiedziała:

- Pani jest tam sama już dość długo. Nie sądzę...

- To bez znaczenia! - przerwał garbus. - Ona do tego przywykła.

Po raz pierwszy w jego głosie pojawił się ostry ton. Wszyscy byli za-

mieni. Ten mały, ułomny człowieczek odkrywał nagle przed nimi inną stronę swej natury. Dotychczas sądzili, że jest to charakter łagodny i pełen delikatności. Teraz przemówił głosem pełnym wzgardy i pewności siebie. Sytuacja była szczególnie niezręczna. Zgromadzeni przy świątecznym stole domownicy odkryli nagle całą zawiłość swego położenia. Ten człowiek był Niemcem, utrzymującym polską nałożnicę. Już wystarczało, by ludzie dobrze wychowani czuli się skrępowani. Na domiar wszystkiego wokół toczyła się wojna i ta kobieta nie zasługiwała na nic więcej, poza powszechną pogardę. Co więcej - nie ulegało wątpliwości, że kieruje się niskimi pobudkami, bo była piękna, młoda i ponętna, a żyła z odrażającym kaleką. I oto ten kaleka, potworny karzeł o pożółkłych zębach i wyblakłych, krótkowzrocznych oczach, mówił teraz o niej do obcych ludzi w sposób szyderczy i lekceważący, jak gdyby mu była ciężarem, jak gdyby budziła w nim wstręt. Mówił, że jest głupia i egzaltowana, niegospodarna i rozrzutna, kłótliwa i kapryśna. Mówił przez kilka minut, a domownicy słuchali go w milczeniu, siedząc nieruchomo wokół stołu, w jasnym świetle żyrandola. Na policzki doktorowej wystąpiły rumieńce i były to rumieńce wstydu. Brwi doktora zmarszczyły się, na czole pojawiły się głębokie bruzdy - i to było wyrazem jego troski i zażenowania. Syn doktorostwa wydymał wargi, podniecony. I tylko pan Ptak miał ten sam wyraz twarzy, co zawsze, to znaczy odrobinę senny. Ale jego głos brzmiał twardo, bez cienia dawnej łagodności.

- A tutaj - powiedział na koniec i dotknął palcem czoła - ona nie ma nic!

- Dosłownie nic! Proszę mi wierzyć. Tam jest pustka...

Zapadło przykre milczenie. Garbus spojrzał na doktora, na jego żonę i syna. Teraz oczekiwał pytań i gotów był udzielać odpowiedzi. Ale ponieważ żadne pytanie nie padło, powiedział:

- Tak, oczywiście... Można się spytać, dlaczego w tej sytuacji to trwa?! Sam nie wiem. Po prostu nie umiem znaleźć wyjścia.

Znowu wszyscy milczeli, wreszcie doktor powiedział:

- Nadzwyczaj przykra sytuacja.

Miał na myśli swoje własne położenie.

W tym momencie rozległo się ciche pukanie, potem drzwi uchyliły się i na progu stanęła pani Lucyna. Była, jak zwykle, w popielatej sukni i zniszczonych bucikach. Ale przecież wyglądała po królewsku. Garbus odwrócił się na krześle, podnosząc cały korpus siłą rąk, bo nogami nie dotykał podłogi. Jego blade oczy za szkłami okularów zapaliły się i natychmiast zgasły.

- Prosiłem, aby została w pokoju - rzekł cienkim głosem. - Prosiłem, aby tu nie przychodziła...

- Ależ tak - powiedziała pani Lucyna. - Bardzo przepraszam. Przestraszyłam się. Nagle zgasło światło... Te ciemności...

Syn doktorostwa wstał od stołu.

- To chyba tylko żarówka - rzekł szybko. - Zaraz wymienię.

Doktorowa znalazła się w potrzasku. Nie poprosić w takiej sytuacji tej osoby do stołu - to byłoby ponad siły doktorowej, byłoby zdradą całego życia. Z drugiej jednak strony, w tej szczególnej sytuacji, tak delikatnej sytuacji, obawiała się tego kroku. Ostatecznie była polską damą, a tamta kobieta była wzgardzoną konkubiną ułomnego fizycznie okupanta. Doktorowa nie przypuszczała, że życie spłata jej takiego okrutnego figla. Wstała od stołu, miotana burzą sprzecznych uczuć. Syn wyszedł z jadalni.

Kiedy wrócił po dłuższej chwili, aby zawiadomić, że światło jest naprawione, zastał Lucynę na progu jadalni, z ręką na klamce. Była blada, piękna, księżycowa i krowia. Doktorowa stała przy stole, paląc papierosa. Doktor stał również, a ponieważ nie palił, więc zajadał kruche ciasteczko. Garbus siedział przy stole i bębnił koniuszkami palców w obrus. Nikt się nie odezwał i taki właśnie był finał owego wieczoru.

Lecz Lucyna, z trudnych do wyjaśnienia przyczyn, pojawiała się później dość często, a Józef Ptak tolerował jej odwiedziny, a nawet przedłużał je poza granice godziny policyjnej. Lucyna przychodziła zazwyczaj w południe i siedziała samotnie w pokoju garbusa, który wracał do domu dopiero przed wieczorem. Jakkolwiek ułomny i daleki od entuzjazmu wobec Trzeciej Rzeszy, był

przecież niemieckim urzędnikiem czasów wojny, więc dawał dowody swej karności, zdyscyplinowania i pracowitości. Amcił w biurach gubernatorstwa od ósmej do osiemnastej, obiady jadał w mieście, wychodził z domu przed wschodem słońca, wracał w ciemnościach zimowego wieczora, oświetlając sobie drogę fioletowym snopem ręcznej latarki. Z irytującą akuratnością przygotowywał kolację, siedząc na taborecie w kuchni, wsłuchany w szum gazowego palnika, mały, skurczony i milczący. Jego garb rzucał nieruchomy cień na ścianę. Potem cichym krokiem przemierzał korytarz i znikał w swoim pokoju. Zawsze panowała tam cisza. Albo nie mówili wcale, albo porozumiewali się gestami i szeptem. Rano, przy mdłym świetle żarówki osłoniętej mlecznym kloszem garbus i Lucyna przemykali korytarzem ku wyjściu. W południe zjawiała się sama, czasem obarczona skromnymi zakupami od Meinla. Całe dnie spędzała w zamknięciu, jak więźniarka. Ptak nigdy już nie nawiązał do świątecznej rozmowy. Wszyscy domownicy udawali, że nic się nie stało. Tylko syn doktorowej od czasu do czasu usiłował podglądać Lucynę przez dziurkę od klucza, albo - kiedy była w łazience - zamykał się w toalecie, wchodził stopami na deskę klozetową i gapił się przez matową szybę. Ale widział tylko zamazany rysunek sylwetki.

Doktorowa, choć przywykła do tych wizyt i niekiedy zamieniała nawet kilka słów z Lucyną, odczuwała wzrastający niepokój. To, co się działo pod jej dachem, nie tylko dokonywało erozji uświęconych obyczajów, którym chciała dochować wierności wbrew kataklizmom historii, ale także obracało w niwecz jej wyobrażenia o świecie, ludziach, a nade wszystko miłości. Na dobrą sprawę cała historia pruskiego garbusa i słowiańskiej piękności była dość plugawa. Rodacy Lucyny ginęli w walce, od kul plutonów egzekucyjnych, z głodu i tortur - gdy ona w tym samym czasie stała się naczyniem rozkoszy dla hitlerowskiego gnoma. Gdyby nie delikatność i dyskrecja tych dwojga, rzecz byłaby nie do zniesienia. Jednakże doktorowa niepokoiła się też innym rysem tej historii. Polka była piękna, a Niemiec ohydny. Polka była młoda, Niemiec przekroczył czterdziestkę. Ona okazywała mu powolność, żyła jak niewolnica, przesiadując w pokoju całymi godzinami, jak kapłanka strzegąca czujnie domowego ogniska. On dał wyraz swojej pogardzie, niechęci i znużeniu jej osobą, gdy ona dawała dowody przywiązania i uległości. I wszystko byłoby zrozumiałe, gdyby garbaty Ptak, ułomny i szyderczy, stworzył jej luksusowe warunki egzystencji w tym świecie powszechnego niedostatku, poniżenia i klęski. Wszystko byłoby zrozumiałe, gdyby wśród tej polskiej krzywdy i biedy Lucyna żyła barwnie i bogato. Gdyby demonstrowała wszystkim wokoło tę swoją pozycję utrzymanki bogatego, okrutnego Niemca, jak to się działo podówczas wcale nierzadko z kobietami, które wybrały luksus i poczucie bezpieczeństwa w świecie nędzy, zagrożenia i terroru.

Ale garbaty Ptak nosił wciąż ten sam podniszczony garmitur i ciemne palto, wprawdzie na watolinie, lecz bez futrzanego kołnierza. Ten garbaty Ptak żywił się gdzieś w urzędniczej jadłodajni, korzystał z dość mizernych przydziałów meinlowskich, które wprawdzie były przedmiotem zazdrości Polaków, ale nawet się nie umywały do tego wybornego jadła, jakie było przed wojną udziałem zamożniejszych warstw społeczeństwa. Ten garbaty Ptak raz czy może dwa razy przyniósł ze sobą butelczynę francuskiego wina, paczuszkę herbaty lub kawy, bombonierkę czekoladek. I to było wszystko. Nie chodzili do kina, do teatru, do kabaretu. Nie prowadzili żadnego życia towarzyskiego, nie mieli znajomych, przyjaciół, rodziny. Ich jedyną rozrywką było słuchanie sciszonej muzyki przez radio. Garbaty Ptak był nie tylko garbaty, lecz biedny. Jeśli brał łapówki, to nędzne. Jeśli kradł, to lękliwie, bez polotu i znaczniejszych rezultatów. Nie tylko był garbaty fizycznie, ale miał jakiś garb na duszy i to czyniło go karykaturą Niemca i okupanta, karykaturą zwycięzcy, karykaturą kochanka.

Doktorowa doszła do przekonania, że za tą sprawą kryje się jakaś straszna tajemnica. Może Lucyna padła ofiarą szantażu? Nie było to zbyt przekonujące, bo garbusek, poza wyglądem, wcale nie był demoniczny, odznaczał się łagodnością, a jego życia świadczyło o mazgajstwie i kompletnym braku inicjatywy. Bądź co bądź w tamtych czasach nawet ostrożny i w miarę przyzwoity Niemiec mógł się bez trudu dorobić majątku. Jeśli garbaty Ptak nie miał pieniędzy,

znaczyło to, że jest nie tylko uczciwy, ale wyjątkowo głupi, pozbawiony sprytu, a nawet instynktu samozachowawczego. Należało zatem odrzucić wersję szantażu, którym Ptak miał omotać nieszczęsną Lucynę.

Doktorowa uznała po głębokim namyśle, że Lucyna - jak to często bywało w owych burzliwych czasach - popadła w tarapaty, a dobry, garbaty Ptak ochrania ją przed zemstą swych bezwzględnych rodaków i towarzyszy partyjnych. Mogło się zdarzyć, że ją wyciągnął z aresztu albo łapanki ulicznej, wyrobił fałszywe papiery i otoczył opieką, zrazu oczarowany pięknością tej powolnej jego kaprysom branki, a potem znudzony i zirytowany, ale przecież wciąż wierny swej opiekuńczej misji, bo mu tak nakazywała prawość charakteru.

Syn doktorostwa miał inną teorię. Jego zdaniem Ptak był powiernikiem jakiejś tajemnicy Trzeciej Rzeszy. Zwierzchnicy polecili jej wydarcie tej tajemnicy z serca i umysłu Ptaka w czasie piszczot miłosnych. Kiedy tylko Lucyna wypełni swą patriotyczną misję, zniknie na zawsze, a Ptak, zdemaskowany przez Niemców, zostanie stracony.

Tylko doktor nie rozważał historii Lucyny i Ptaka. Nadchodził czas wielkiej próby, zbliżała się wiosna, nocami od strony getta słychać było strzały.

W początku kwietnia, w godzinie przedwieczornej, rozległ się w mieszkaniu doktorostwa dzwonek u drzwi kuchennych. Kiedy syn je otworzył, na progu ujrzał chudą, ciemnowłosą staruszkę w brudnym płaszczu zimowym, z którego sterczały kłaki waty. Babina miała na głowie chustkę, w ręku torbę podróżną, bardzo zniszczoną. Cichym znużonym głosem powiedziała:

- Jestem Renia Tennenbaum.

- Co za bzdury! - zawołał młody człowiek. - Jaka znów Renia Tennenbaum?

Staruszka popatrzyła na niego z wyrzutem.

- Jestem Renia Tennenbaum - powtórzyła. - Może mnie nie znasz, co?!

Syn doktorostwa cofnął się o krok, a kobiecina weszła szybko do kuchni i zamknęła za sobą drzwi.

- Bój się Boga, Reniu!- zawołał wtedy syn doktorostwa. - Jak ty wyglądasz?!

W gruncie rzeczy był dotknięty do żywego. Renia Tennenbaum pozwoliła mu się pocałować latem 1939 roku, w miejscowości Rybienko nad rzeką Bug, wieczorem, w ogrodzie, w świetle zachodzącego słońca, pośród zapachu rozkwitających róż, a przejeżdżający szosą samochód uchwycił ich dwoje na smugę swego reflektora, co spłoszyło Renię do tego stopnia, że uciekła bez słowa, a on - syn doktorostwa - nie mógł zasnąć do świtu, dręczony uczuciem niespełnionej miłości i romantycznej przygody. Renia Tennenbaum była w roku 1939 panną szesnastoletnią, a zatem starszą trochę od syna doktorostwa, chodziła na filmy, których on nie mógł jeszcze oglądać, traktowała go trochę z góry i usiłowała odgrywać w jego życiu rolę kobiety fatalnej. Na jesieni roku 1940, jako śliczna dziewczyna, córka zamożnych rodziców, poszła do getta. Tennenbaumowie telefonowali niekiedy do doktorostwa, ale w owym okresie młody człowiek zajęty był już innymi fatalnymi kobietami swego życia, więc z Renią nie rozmawiał i nawet o niej nie pamiętał. Teraz jednak, kiedy rozczochrana babina wdarła się do kuchni i oznajmiła, że jest Renią Tennenbaum, syn doktorostwa uznał to za postępek głęboko naganny, graniczący niemal z bezczelnością. A jednak była to Renia Tennenbaum. Kiedy ściągnęła z głowy chustkę, ujrzał w tej starej kobiecie dawne rysy Reni i wiedziony dziwnym porywem serca, uniesiony falą współczucia, wspomnień, a może nawet miłości, która go nagle zatopiła na krótką chwilę, chwycił babinę w ramiona i zaczął obsypywać szalonymi pocałunkami.

- Reniu - powtarzał tkliwie - Reniu kochana!

Ona jednak nie była w nastroju miłosnym, więc wyswobodziła się z jego ramion i spytała bardzo prozaicznie, czy ma coś do zjedzenia. W tej chwili do kuchni zajrzała doktorowa. Ponieważ jej oczy widziały wiele zdarzeń i spraw, o jakich się filozofom nie śniło, więc bez trudu poznała w staruszce śliczną Renię Tennenbaum. Ale właśnie dlatego, że doktorowa widziała tak wiele i żaden filozof nie mógłby jej zaimponować, więc bez słowa powitania, bez okrzyków zdumienia, a także bez rozczulających gestów, rzekła trzeźwo i z odrobiną gniewu w głosie:

- Reniu, czy nikt cię nie widział na schodach?
- Nikt. Na ulicy też było pusto.
- Co z ojcem? - spytała doktorowa.
- Nie wiem.
- Z matką?
- Mama nie żyje.

Stały w oślepiającym blasku lampy, gaz huczał, przez okno wpływał do kuchni oglisty, złotawy ostatek kwietniowego dnia. A oże dwie szczekały na siebie jak złe, groźne psy.

- Mam w domu sublokatora Niemca.
- Matka umarła w styczniu. Przedtem chorowała.
- Na pierwszym piętrze mieszka krawiec, który ma niemiecką klientelę.
- Ja ledwie stoję na nogach.
- I Volksdeutsch także! Musisz mnie zrozumieć...
- Dokąd mam pójść? Niech pani sama powie...
- Jestem bardzo zmęczona Reniu. Nigdy nie byłam tak zmęczona...
- Czy to moja wina?

Wtedy syn doktorostwa powiedział głośno i wyraźnie:

- Mamo, zostały tam dwa kotlety z obiadu. Gdzie są, do cholery?!
- W piekarniku, na patelni. I trzeba odsmażyć ziemniaki dla Reni.

Do kuchni wszedł doktor, zwabiony odgłosamo rozmowy. On także poznał bez trudu Renię Tennenbaum, ale nie było w tym nic dziwnego, bo widywał ją także w czasach, gdy mieszkała w getcie. Doktor odwiedzał gmach sądów przy ulicy Leszno, gdzie przez długie miesiące Żydzi i Polacy wyznaczali sobie spotkania, pod okiem żandarmów. Tam widywał Renię i wręczał jej paczki z żywnością. Były to jednak dawne czasy, kedy Żydów jeszcze nie zabijano. Byli bici, opluwani, głodzeni, umierali od razów, chorób zakaźnych i wycieńczenia, ale ich nie zabijano, w każdym razie nie w sposób bezpośredni, systematyczny i zbiurokratyzowany.

Tak więc doktor poznał Renię tennenbaum, a jej obecność potraktował naturalnie i bez zdumienia, jak gdyby kuchnia w jego domu była najwłaściwszym miejscem jej pobytu na świecie.

- Kochana Reniu - powiedział doktor - po kolacji będziesz musiała zejść na podwórze. Tam jest śmietnik w rogu, przy szczytowej ścianie oficyny. Miejsce ciemne. To nie potrwa długo. Muszę przedsięwziąć pewne kroki w domu, z uwagi na naszego lokatora.
- Gdzie jest śmietnik? - spytała Renia Tennenbaum, w której życie wyrobiło zmysł praktyczny i wyczulenie na typografię terenu.
- Ja z tobą pójdę - powiedział syn doktorostwa.
- O czym ty właściwie myślisz? - spytała doktorowa swego męża. - To przecież czyste szaleństwo...
- Być może - odparł doktor - ale są różne rodzaje szaleństwa. Porozmawiam z panem Ptakiem.
- Nie zrobisz tego! - krzyknęła doktorowa.
- Owszem - powiedział doktor. - To jest porządny człowiek.
- Każda przyzwoitość gdzieś się kończy - powiedziała doktorowa. - I dalej jest już tylko piekło.
- Masz rację - rzekł spokojnie doktor. - Masz zupełną rację. Więc będę go wodził na pokuszenie. I nic na to rady, moja kochana...

Właściwie doktor trafił w sedno. Rzeczywiście nie było na to rady. Każde z nich mogło zgrzeszyć, albo zasłużyć na zbawienie. Ludzie na ogół nie zdają sobie sprawy, że jest to kwestia wyboru Boga albo diabła. I poszukują szalenie skomplikowanych wyjaśnień dla czynów i decyzji, które są prostym wyborem między Bogiem a diabłem.

Renia Tennenbaum zjadła kolację przy kuchennym stole. Doktorostwo wraz z synem przypatrywali się jej w milczeniu. Gaz huczał monotonnie, żarówka pod sufitem świeciła blado, jej blask mieszał się z przedwieczornym mrokiem za oknami. Doktor powiedział do syna:

- Trzeba już zaciemnić!

Syn opuścił płat czarnego, szeleszczącego papieru na prostokąt okna.

Doktorowa spytała:

- Czy oni są w domu?

- Ona jest - odparł syn. - Ptak jeszcze nie przyleciał.

- Jaki to ptak? - spytała Renia Tennenbaum. Wyraz zainteresowania pojawił się w jej oczach. Było to zrozumiałe. Od bardzo dawna nie widziała ptaków.

- Tak nazywa się nasz sublokator - wyjaśniła doktorowa.

Renia Tennenbaum w towarzystwie syna doktorostwa zeszli następnie ciemnymi schodami na podwórze i udali się za śmietnik. Był to dobry punkt. Ukryci, mogli obserwować całe podwórze, a także wylot bramy.

W tym czasie pan Ptak wrócił do domu. Doktor zapukał do jego drzwi. Po raz pierwszy do czasu wynajęcia pokoju doktor przekraczał ten próg. Zastał tamtych dwoje pod lampą, przy protokątnym stoliku. Lucyna, fiołkowo-złota, w pysznej koronie włosów, upiętych wokół głowy, siedziała na fotelu, nieco odchylona w tył. Naprzeciw niej, na krześle, siedział Ptak. Jego nożyny nie dotykały podłogi. Na prostokątnym stole leżały kostki domina. Kiedy doktor stanął na progu, oboje zapewne uznali, że stało się coś niezwykłego. Nigdy dotychczas ich nie odwiedzał. Nigdy dotychczas, na dobrą sprawę, nie zetknął się tak bezpośrednio z panią Lucyną, co obojgu było zresztą tak bardzo na rękę. Teraz doktor skłonił się lekko i powiedział, że prosi pana Ptaka na chwilę rozmowy do siebie, jeśli oczywiście pan Ptak zechce okazać tę uprzejmość. Garbus zsunął się z krzesełka, włożył marynarkę i poszedł za doktorem.

- Proszę pana - powiedział doktor, gdy usiedli w salonie. - Znajdujemy się w kłopotliwej sytuacji. Mam nieoczekiwanego gościa. Jest to córka moich przyjaciół, ludzi wielkiej zacności, z którymi los się źle obszedł. Oboje już nie żyją. To dziecko znalazło się w potrzasku.

Ptak przekrzywił głowę, światło żyrandola zabłysło w szkłach jego okularów.

- Z pewnym naciskiem muszę panu przypomnieć - kontynuował doktor - że jest to mój dom.

- Ależ tak - wtrącił Ptak. - Ja przecież zawsze...

- Oczywiście - powiedział doktor. - Stosunki między nami układają się wzorowo. Jeśli jednak powiadam, że to jest mój dom, to celem uniknięcia nieporozumień. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Proszę mnie wysłuchać. Jestem Polakiem. Obecność pańskich rodaków w Warszawie jest dla mnie ciężkim brzemieniem.

- Ależ ja to wiem - znów wtrącił Ptak. - To się przecież rozumie...

- Pozwoli pan, że dokończę. Trwa wojna. Jesteśmy wszyscy zagrożeni. Ale są inni, bardziej prześladowani niż my...

- To jest żydowskie dziecko, tak? - powiedział Ptak.

- Ta panienka jest Żydówką - sprostował doktor i westchnął lekko.

Przez chwilę panowało milczenie. Doktor patrzył w twarz Ptaka. Szukał jego spojrzenia, ale błysk świateł na szkłach okularów sprawił, że widział tylko zarys brwi i nasadę nosa. Doktor rzekł:

- Rozumiem, że pan jest Niemcem, ale...

- Jestem garbusem - przerwał Ptak.

Doktor umilkł. Ptak powiedział:

- Pan dużo ryzykuje, panie doktorze.

- Nie więcej od innych - odparł doktor. - Przecież jest wojna.

- Nie wszyscy na tej wojnie muszą zginąć - rzekł Ptak. - Nie należy kłaść głowy, jeśli to nie jest konieczne.

- Nigdy nie wiemy, co może się okazać konieczne - powiedział doktor. - W tym względzie nikt z nas nie jest panem swego losu.

- Jak pan to rozumie? - powiedział Ptak.

- Że jest coś poza nami, co bywa silniejsze od nas samych i wybiera za nas!

Znów zapadło milczenie, a wreszcie Ptak powiedział:

- Może pan ma rację. Poza tym to jest pański dom. Ja o niczym nie wiem. I nie było między nami tej rozmowy...

- Jeśli pan sobie tak życzy - powiedział doktor - to oczywiście jej nie było. Ta panienka pozostanie u nas niedługo. Postaram się całą sprawę załatwić w ciągu kilku dni.

- Nie będę mógł panu pomóc w razie kłopotów z Niemcami - powiedział Ptak.

Doktor uśmiechnął się ciepło.

- Ależ, proszę pana - rzekł. Pan już bardzo mi pomógł. Jako Niemiec...

- Najpierw jestem garbusem, panie doktorze - powiedział Ptak. - I następnie też jestem garbusem. Nie musimy mówić o narodowości. Przez całe moje życie nikt nie zwracał uwagi na moją narodowość. Wszyscy widzieli mój garb.

- Słucham tego z przykrością - powiedział doktor. - Świat nie jest dobrze urządzony. Wiemy o tym obaj.

Tym mało krzepiącym akcentem zakończyli rozmowę i Ptak wrócił do siebie, doktor zaś udał się na podwórze. Przeżył tam krótką chwilę zaskoczenia i lęku. Ponieważ już w dzieciństwie odnosił się niechętnie do rozmaitych gier i zabaw, polegających na podchodach i wyszukiwaniu kryjówek, a następnie przez wiele lat prowadził życie poważne i zupełnie jawne, więc teraz zachował się dość niezręcznie. Podszedłszy do śmietnika, oparł się o jego ścianę i przez chwilę udawał, że szuka spojrzenia gwiazd na niebie, co w oczach postronnego obserwatora mogło wydawać się dziwne, zważywszy opinię, jaką się cieszył doktor. Następnie zaczął cicho pogwizdywać, ale tu znów brak praktyki dał o sobie znać w sposób wielce niemiły i konsternujący. Za śmietnikiem panowała cisza i doktor poczuł niepokój. Chrząkanie i pukanie uznał za głupie, więc poprostu powiedział cicho:

- Wracajcie do domu!

Ale za śmietnikiem nadal panowała cisza. Doktor, coraz bardziej niespokojny, oczyma duszy widząc już swego syna oraz Renię Tennenbaum w szponach gestapo przy alei Szucha, ostrożnie obszedł mur i wlazł za śmietnik. Jego oczy, nawykłe już do ciemności, dostrzegły jakieś kształty przy ścianie. A uszy złowiły ciche, miarowe oddechy tamtych dwojga. Spali, objęci ramionami, przytuleni do siebie i śnili ponownie o pocałunkach, letniej kąpieli w rzece, swobodnych wiatrach, które czesały korony sosen nadbużańskich. Doktor powiedział cicho:

- Wracajcie do domu!

Renia Tannenbaum krzyknęła, spłoszona. Ale nikt jej nie usłyszał.

Tej nocy, po raz pierwszy od wielu miesięcy, zasnęła w miękkim łóżku, w czystej, pachnącej krochmalem pościeli. Syn doktorostwa zasnął również i śniły mu się wysokie ośnieżone szczyty.

Doktorostwo nie spali tej nocy. Mglisty, chłodny świt kwietniowy wydobył z mroków sypialni ich zmęczone twarze. Pod sufitem snuły się popielate smugi dymu. Popielniczka na nocnym stoliku doktorowej pełna była niedopałków. Tak oto przez wiele godzin mocowali się z przeznaczeniem.

Ale nie mogli przewidzieć, że spotka ich kłopot ze strony osoby, której w ogóle nie brali pod uwagę. Tego dnia doktor biegał po mieście, budując misterną konstrukcję przyszłych losów Reni Tennenbaum. Nie było to łatwe, ale nie było też tak skomplikowane, jak miało się okazać we wspomnieniach wielu ludzi po wojnie, którzy - pobrzękując odznaczeniami na piersiach - większy nacisk kładli na swój heroizm i poświęcenie, mniej uwagi przykładając do cierpień tych, którzy byli prześladowani. Doktor biegał więc po mieście, rozmawiał tu i tam, cienkie niteczki kontaktów skupiając w swej dłoni. W tym czasie Renia Tennenbaum wzięła kąpiel i zjadła kilka śniadań. W południe, siedząc w kuchni, ssała cukierka i słuchała opowieści syna doktorostwa. Wtedy do kuchni weszła pani Lucyna.

- Dzień dobry - powiedziała cichutko - ja tylko zaparzę herbatę.

- Dzień dobry - odparł syn doktorostwa, a Renia Tennenbaum skinęła głową.

Renia Tennenbaum, wbrew rozsądkowi i doświadczeniu życiowemu, siedziała w pobliżu okna. Okno wychodziło wprawdzie na zachód, ale dzień był jasny, słoneczny, dochodziła właśnie dwunasta - i twarz Reni Tennenbaum wystawiona była na pokaz z całym swoim niewłaściwym żydostwem. Lucyna spojrzała na Renię, wydała cichy okrzyk i znieruchomiała.

- Co się pani stało? - spytał uprzejmie syn doktorostwa.

- Jezus Maria! - szepnęła Lucyna. - Co wy w tym domu wyprawiacie!

- No, co! - rzekł syn, już bez cienia uprzejmości, a nawet z pewną groźbą. - Proszę parzyć tę swoją herbatkę...

Ale Lucyna nie myślała o herbacie, lecz o strasznym świecie, w którym żyli wtedy wszyscy bez wyjątku. Zbliżyła się do Reni Tennenbaum i nagle krzyknęła:

- Wynocha! Natychmiast mi się stąd wynoś!

Renia zerwała się z taboretu. Syn doktorostwa chwycił Lucynę za kształtne, obfite ramię. Przez wiele minionych tygodni miał na to wielką ochotę i obiecywał sobie, że właśnie tak się między nimi zacznie coś bardzo wyjątkowego, że chwyci ramię Lucyny i to będzie ten pierwszy, decydujący gest - lecz teraz wcale nie odczuł podniecenia, lecz gniew, a nawet wściekłość. Ale wciąż jeszcze był synem kulturalnych ludzi, który odebrał w dzieciństwie staranne wychowanie, więc powiedział:

- Proszę stąd wyjść i nie robić scen! To nie jest pani sprawa...

Lucyna podniosła na niego błękitne oczy księżycowego bydlątka.

- Jakto nie? - zawołała piskliwie. - Oni nas wszystkich wykończą. Jeżeli znajdą u was Żydówkę...

- To nie jest pani dom! - powiedział syn doktorostwa.

- Mieszkamy tutaj z Józefem! - krzyknęła - i nie pozwolimy, żeby...

- Pan Józef - przerwał syn doktorostwa - wie o całej sprawie.

- To niemożliwe! - krzyknęła Lucyna. - To kłamstwo...

- Sama się pani przekona. A teraz proszę wrócić do swego pokoju.

Był stanowczy i silny. Opierała się trochę, kiedy ją prowadził korytarzem. W pokoju opadła na fotel. Oczy miała pełne łez.

- To okropne - powiedziała cicho. - Tak strasznie się boję!

Była zawstydzona zajściem w kuchni i teraz wybuchnęła płaczem.

Syn doktorostwa był wystarczająco dorosły, żeby się jej przeciwstawić, ale nie na tyle, aby ją pocieszać. Wyszedł więc z pokoju bez słowa.

Doktor dowiedział się o zajściu w porze obiadowej i natychmiast podjął decyzję. Nie można było ryzykować, Lucyna zachowała się nieodpowiedzialnie, zbyt mało o niej wiedzieli, aby pokładać zaufanie w osobie tak pełnej zagadek. O godzinie piątej po południu Renia Tennenbaum w białych bandażach na twarzy, z ramieniem na temblaku, opierając się na lasce i na ramieniu doktora, zeszła do czekającej przed domem dorożki. Towarzyszył im syn doktorostwa, który bardzo troskliwie umieścił chorą na siedzeniu dorożki, wciąż głośno powtarzając:

- Niech ciocia nic nie mówi. Wszystko będzie dobrze. Niech ciocia zaraz do nas napisze!

Kiedy dorożka odjechała, uwożąc Renię na nowe locum, stary dozorca domu, którego wszyscy w kamienicy pieszczotliwie nazywali Jakubkiem, rzekł do syna doktorostwa:

- Nie wiedziałem, że masz taką ciotkę!

- Oczywiście, że mam, panie Jakubku.

- Znałem wszystkie twoje ciotki, zanim ty je poznałeś. To nie była twoja ciotka...

- Co pan wie, panie Jakubku!

- Ja ci powiem, kto to był, jeśli jej nie poznałeś. Pomyliłeś się. To nie była twoja ciotka. To była panna Tennenbaum, córka pana doktora Tennenbauma z Granicznej. Jak mogłeś jej nie poznać?! Przecież latałeś za nią przed wojną. Możesz być spokojny. I twój tatuś wie, że może być spokojny. Jakubek to jest Jakubek.

Powiedziawszy to, odszedł w głąb bramy, do swojej stróżówki. Syn doktorostwa zawołała

- Panie Jakubku, ja pana bardzo szanuję i lubię.

- No więc?! - powiedział Jakubek i zniknął w drzwiach stróżówki.

Syn doktorostwa wrócił na górę z uczuciem radosnej ulgi. Gotów był cały świat przygarnąć do piersi. Cały świat, z wyjątkiem Lucyny.

Ale Lucyna również nie pojawiła się więcej w ich domu. Tamtego dnia odeszła, aby już nigdy nie powrócić. W miesiąc później garbaty Ptak wyprowadził się. Jego pokój zajął młody człowiek ze Lwowa, ładny, dowcipny i nie zawsze wypłacalny.

Latem 1944 roku kamienica spłonęła, wraz z nią wszystkie meble i przedmioty należące do doktorostwa. Oni sami zostali wywiezieni w głąb Rzeszy. Młody sublokator ze Lwowa zginął podczas walk powstańczych. Stróż Jakubek zmarł w obozie koncentracyjnym. Renia Tennenbaum przeżyła wojnę i zamieszkała w Ameryce. Doktorostwo przez długie lata po wojnie żyli w niedostatku na przedmieściach Londynu. Syn doktorostwa wiosną 1945 roku wrócił z obozu do zniszczonej Warszawy i zapłakawszy na gruzach swojej młodości, rozpoczął własne samodzielne życie.

W kilka lat po wojnie, w Katowicach, zadymionych, brudnych, brzydkich i zaharowanych, ktoś zapukał do drzwi jego mieszkania. W ciemnym przedpokoju młody człowiek zrazu nie poznał Lucyny. Stała przed nim zaniedbana, tęgawa kobieta, odziana biednie i bez szyku, jak olbrzymia większość kobiet w tamtych czasach.

- Pan mnie sobie przypomina? - spytała cicho i lękliwie. Odparł, że nie jest pewny, przykro mu z tego powodu, lecz gdyby zechciała...

- Lucynka, pan przecież pamięta - powiedziała żywiej.

- Mój Boże! - rzekł. Bo i cóż miał powiedzieć.

W pokoju przyjrzał jej się uważnie. Jeszcze była piękna i złotawo-błękitna jak niegdyś, ale straciła coś, co dawniej czyniło ją ponętną. Nadal miała w oczach ten swój krowi i księżycowy wyraz uległej, biernej senności, nadal na jej wargach błąkał się ten sam pokorny uśmiech, lecz zabrakło już czegoś, co przed laty wywoływało jego sny i pragnienia. Ale może to on się zmienił, po prostu.

Siedzieli w małym, zagraconym pokoiku, przy oknie. Ulicą toczyły się obłocone samochody ciężarowe, wyładowane piaskiem, żwirem, węglem, żelastwem. Szyby podzwaniały nerwowo, nad miastem przetaczał się huk pociągów, pod ziemią dudniły lekkie tąpnięcia, po niebie płynęły niskie chmury, zmieszane z sadzą i dymem.

Lucyna mówiła cicho, głosem pokornym i zalęknionym, o ciężkiej chorobie pana Ptaka, który od dłuższego czasu przebywa w szpitalu pod Warszawą, w trudnych do opisania warunkach. Ona pracuje ciężko, ledwie wiąże koniec z końcem, taki już jest ich los. Tłumaczyła się ze swych odwiedzin.

- Zdobyłam wieści o panu, potem ten adres... Właściwie sama nie wiem po co głowę zawracam. Ale mój Józio wspomina pana tak ciepło. I ja także!

- Znaliśmy się przelotnie - powiedział bez złej myśli i uśmiechnął się.

- To prawda. A jednak... Pan nie uwierzy, jak mi serce biło, kiedy tu wchodziłam po schodach. Jakaś nadzieja, że pana zobaczę. Co z rodzicami pana? Tacy mili ludzie. Czy żyją?

Odparł, że owszem, żyją, ale nie ma ich w kraju, zostali po wojnie w Anglii.

- To pan ma chyba kłopoty - powiedziała Lucyna. Zresztą któż ich nie ma! Józio bardzo się ucieszy, że rodzice pańscy żyją. Zawsze ich wspomina z wielkim uczuciem.

Nagle dotknęła swoją dużą, ale lekką dłonią jego przegubu. Jej oczy nabrały skupienia, coś w nich rozbłysło, jak lampa w oknie opustoszałego domu.

- Niech pan powie, ale zupełnie szczerze, prosto z serca. To przecież nie były złe czasy, tam, u pańskich rodziców?!

- Czy ja wiem - odparł miękko, trochę skonsternowany. - Nie myślałem o tym.

- Pan pewnie wtedy sądził, że jestem zła, głupia i niemoralna. Nie, proszę mi pozwolić mówić... Wiedziałam o tym. Mój Boże, ile ja przecierpiałam, ile upokorzeń przeżyłam. I wtedy, i potem już po wojnie, to wprost opisać nie można. Józio miał wolkslistę, on pochodził z Mazur, tam wszyscy mieli volkslisty. Nikt ich o zdanie nie pytał.

- Tak, wiem o tym - wtrącił młody człowiek. - To bardzo smutne.

- On zawsze był uczciwym człowiekiem. Pan o tym wie, prawda?! Nikomu nie uczynił krzywdy. Może tylko dla mnie bywał niesprawiedliwy. Ale to przecież kaleka.

Łzy płynęły z jej księżycowych oczu. Młody człowiek rzekł:

- Proszę się uspokoić. Teraz będzie lepiej.

Wcale nie był tego pewny. Wstał i dodał raźniej:

- Napijemy się herbaty, prawda?

- Ach, nie! Ja zaraz pójdę. Wpadłam tylko na chwilę, żeby pana zobaczyć, usłyszeć pana głos. Jesteśmy z Józiem bardzo samotni.

Mówiła jeszcze o jego chorobie płuc, o tym, jak bardzo jest słaby w ostatnich tygodniach. Słuchając tej opowieści wyobrażał sobie tę rosłą, silną kobietę, pochyloną nad łóżkiem garbuska, jak ociera mu pot z płaskiego czoła, albo swobodnie unosi jego małe, wychudzone ciałko, by pomóc pielęgniarce, jak mówi mu do ucha tkliwe słowa miłości i zapewnia, że będzie przy nim zawsze, że nadejdą lepsze dni ich życia, kiedy ona będzie znów piękna jak dawniej, a on urośnie, wyprostuje się i przytuli ją do piersi, drżącą i potrzebującą opieki.

- Gdyby pan zechciał kiedyś przyjechać - powiedziała na koniec - to Józio będzie bardzo szczęśliwy.

Gdy się żegnali, pocałował ją w rękę. Ale już w otwartych drzwiach, po ostatnich słowach, nagle zapytał:

- Proszę pani. To mi nie daje spokoju. Dlaczego pani wtedy tak gwałtownie zareagowała na obecność Żydówki w naszym domu?

Jej oczy znów zaszły łzami. Powiedziała z wysiłkiem:

- Ja wiem. Ja wiem, że to było okropne. Nie dawało mi spokoju przez wiele tygodni. Czy ta osoba żyje?

- Żyje - odparł. - Ocalała. Mieszka w Ameryce.

- Bóg nad nią czuwał. Ja wtedy nie chciałam nic złego. Ale tak bałam się o Józia... Czy pan mnie rozmie?

Jeszcze wtedy nie rozumiał jej do końca, ale odparł, że rozumie. Po swym ojcu, doktorze, odziedziczył łagodność i przyjazny stosunek do ludzi. Nie lubił ich krzywdzić.

Lucyna wyszła. Tej nocy młody człowiek śnił, że jest w głębokim podziemiu, może w kopalni, a może w czyśćcu. Panowała tam ciemność, a zewsząd rozlegały się przejmujące, tajemnicze, niezrozumiałe szepty. A potem rozbłysła oślepiająca jasność i w niej ujrzał garbusa, unoszącego się do nieba. Lecz ten garbus, który był panem Ptakiem, był także i nim samym po trosze.

Młody człowiek długo pamiętał ten dziwny sen, ale po latach zapomniał o nim. Potem czas płynął i syn doktorostwa zestarzał się. Był ojcem dorosłych dzieci, człowiekiem ociężałym, osiwiałym i wyzbytym złudzeń.

Właśnie wtedy, zupełnie przypadkowo, zawędrował na mały cmentarzyk w podwarszawskiej miejscowości. Przejeżdżał nieopodal i nagle zepsuł mu się samochód. Zatelefonował więc po pomoc drogową i skracał sobie czekanie spacerem wzdłuż wysokiego muru, oddzielającego od ulicy mały cmentarzyk. Upływały kwadranse, pomoc nie nadjeżdżała i syn doktorostwa, trochę zirytowany i trochę znudzony, wszedł na teren nacmentarza. Dzień był jasny, godzina pobiednia. Słońce stało jeszcze wysoko na niebie bez chmur. Chodził pomiędzy grobami, czytał napisy, nazwiska zmarłych, daty ich urodzin i śmierci.

I przeczytał też tablicę o treści zdawkowej i banalnej, która głosiła, że w tym grobie spoczywają Lucyna i Józef Ptakowie, którzy proszą o modlitwę za ich dusze. Grób był zapuszczony, a tablica spękana od deszczów i spiekoty.

Ukląkł i modlił się długo. I sam nie mógł pojąć, dlaczego płacze głośno, rozpaczliwie, serdecznie, jak mały chłopiec, albo człowiek, który stracił bezpowrotnie coś nad wyraz cennego, czego nie potrafił nazwać, ani ocalić dla siebie i innych.

Andrzej Szczypiorski

Eugenia Siemaszkiewicz

PUNKTY PRZECIĘCIA

R O L A

Na scenie aktor odgrywa monodram według Gogolewskiego "Pamiętnika wariata". Zakreśla wokół siebie dwa koła: jedno to żałosna rzeczywistość urzędniczej kondycji, w której zamyka go rola, i wewnątrz niego drugie - koło rzeczywistości, ukształtowane przez biednego urzędnika z własnej klęski; szaleństwo, żmudne podsłuchiwanie psich dialogów, królewska podróż do Hiszpanii, będąca przecież podróżą do szpitala dla obłąkanych...

Widownia odbiera tekst i grę dobrze i inteligentnie, jest chwytliwa i skupiona jak należy. Ale w czwartym czy piątym rzędzie siedzi dziewczyna, która cały czas chichocze, albo nawet parska śmiechem. Niepowstrzymanym, prostodusznym śmiechem.

Dziewczyna jest ładna, ubrana w tym samym stylu co jej rówieśniczki na sali, i gdyby nie ten śmiech, którego mimo starań nie może zupełnie powstrzymać, byłaby po prostu jeszcze jedną osobą z "kulturalnej widowni".

Ale w pewnej chwili to ona staje się tu najważniejsza. Jest jakby drugą bohaterką spektaklu. Ona też tkwi w magicznym kręgu - kole przejmującego niezrozumienia. Bez niej ten doskonały młody aktor, jednocześnie dyskretny i tak twardy, nie miałby widzom pełnym inteligentnej gotowości tak naprawdę nic do powiedzenia. Bez niej zatłamsiliby mu rolę tym aż za skwapliwym wyjściem naprzeciw, wszystko odbywałoby się za łatwo.

Ale może ten aktor jest bystry, może to wielki aktor, który na następny spektakl usadzi w piątym rzędzie koleżankę i każe jej tak właśnie się śmiać. Takim niepojętym, na wszystko odpornym śmiechem, który jest w każdym z nas, ale na łańcuchu, na potrójnych łańcuchach

W S P Ó L N Y P O K Ó J

Jak one wytrzymują nie tylko w jednej niedużej sali, ale - chciałoby się powiedzieć - pod jednym dachem... jest to przecież Luwr, gdzie mogłyby istnieć nie mając siebie nawzajem na oczach.

Marquesa de la Solange, malowana przez Goyę. I Pani de Verninac - przez Davida w roku 1799.

Marquesa, portretowana na stojąco, ma niemłodą ostrą twarz, dość zniszczoną i czerwonawą, ale delikatną. Na ramionach ma biały koronkowy szal, we włosach różową wstążkę, skupiony gest rąk ślicznie i szlachetnie ułożonych, w ręku zamknięty wachlarz. Stopy obute ma w czarne ostronose pantofelki, wyszywane złotem i perłami. Jej wąskie wargi są zaciśnięte, blask oczu jest twardy, a brwi zarysowane mocną linią są wysoko uniesione. Nos jest brzydki, jakby trochę kaczy.

Tło, z którego wychodzi, jest stopniowaniem szarości gęstniejącej w czerni.

Madame de Verninac to śliczna, ciężka jałówka w białej sukni i ciemno żółtym, prawie złotym szalu. Ręce ma bezwolne, pulchne, świeże ramiona i mleczną cerę. Fotel na którym siedzi cały jest w złoceniach, a tło - jednolite.

Marquesa wygląda na osobę, która zmiotłaby ją jednym spojrzeniem.

Madame de Verninac, gdyby choć raz w życiu spojrzała w twarz marquesie, dowiedziałaby się potem z niekłamaną przyjemnością, że tę de la Solange rewolucja posłała na gilotynę.

A teraz dzielą mały pokoik o rozmiarach dwa i pół na dwa metry i wspólnie przyjmują nieuważne praprawnuki.

Z D A R Z E N I E I

Na Krakowskim Przedmieściu na przystanku autobusowym koło hotelu Europejskiego leżał na ławce mężczyzna. Czterdziestoparoletni może, o kościstej, zszarzałej twarzy. Ubrany był marnie, jak pijaczek po paru dniach chodzenia w Polskę, ale nie był pijany, tylko chory. Oczy miał zamknięte.

Tuż przy nim stali trzej mężczyźni - tłum czekający na autobus trzymał się nienatrętnej przyzwoitej odległości, ale wszyscy patrzyli, albo narzucali sobie niepatrzenie.

Ci trzej przy leżącym to byli: lekarz, młody, ładny chłopiec, który co chwila badał choremu puls i zaglądał w źrenice, unosząc palcem jego powiekę, ksiądz z rękami zaplecionymi i z twarzą pełną powagi posterunku i trzeci, który zobaczywszy nagle przejeżdżający radiowóz, wydobył błyskawicznie gwizdek i zagwizdał. Był też napięty i służbowo skupiony. Młody, elegancki tajniaczek, flanujący w tym rewirze.

Po chwili nadjechała wezwana już przez kogoś karetka pogotowia i na ławce, z której zdjęto bezwładnego człowieka - żył jeszcze, na pewno żył - od razu, nie wiedząc już o niczym, siadła jakaś tęga, zmęczona kobieta z ciężką, wypchaną po brzegi torbą.

Z D A R Z E N I E I I

W Sandomierzu o przedwiośniu, na płowej zdeptanej drodze prowadzącej do cmentarza, zgubione przez kogoś z orszaku pogrzebowego, który tędy dopiero co przeszedł, dwie rękawiczki: czerwona i czarna, odległe od siebie może o trzy metry, każda jak półrozwarta dłoń, bo obie upadły prawie jednakowo i obie są z prawej ręki.

S N Y I

Jestem w sali, która wygląda trochę na szpitalną, trochę na wiejskie kino urządzone w strażackiej remizie. Stoją tu rzędami ławki bez oparcia, a co więcej jest tam z przedmiotów - nie wiem. Najważniejsze są ławki, bo to jest sala eutanazyjna, gdzie czeka się na swoją kolejkę. Nie wiadomo, czy ktoś będzie czekających wywoływać, czy też działa już w nas coś, co nam każe do połknięcia albo wstrzyknięto, i mamy już tylko spokojnie, cierpliwie siedzieć na tych zwykłych i dość niskich, pozbawionych oparcia ławach.

Dla mnie jednak brak tam miejsca. Brak w tym właśnie znaczeniu, w jakim może go zabraknąć w poczekalni dworcowej. Jest po prostu tłok i z tym czymś, co się już we mnie wżarło i rozrasta z minuty na minutę, muszę wychodzić raz po raz na obskurny korytarz, opierać się o ścianę, przestępować z nogi na nogę i tak czekać w poniżającej niewygodzie.

Ale wszystko to przyjmuję zwyczajnie i jakoś się do tej niewygody nagi-nam. Jestem tylko zniecierpliwiona, że nikt z tych, którzy powinni tu byli przyjść, żeby się pożegnać, nie przyszedł. Obawiam się, że nie zdążą i czuję się nie rozgoryczona nawet, tylko urażona. - Nie zdążą - myślę mściwie - nie zdążą.

S N Y II

Idą ze mną dwaj. Absolutna pewność typu. Garniturki, jeden ma w ręku siatkę z bananami, drugi okulary przeciwsłoneczne o fioletowych szkłach. A ja mam widocznie coś do ukrycia i dla zmylenia ich próbuję być tym milczącym, zgiętym w pałąk starym mężczyzną, który skończył przedwojenne gimnazjum klasyczne, a teraz wozi dziecinnym wózkiem kartonowe pudła i sprzedaje jako makulaturę. Nagle rozdwajamy się, to znaczy jest tak, jakby oddzielił się ode mnie cień starego, zostawiając mnie bezbronną, ale już bezpieczną. Stary

idzie jak zwykle swoim ulubionym skrótem przez skwer, a oni idą za nim.

Pędzę do domu, ale w pokoju zastaję tych dwóch nad moimi szufladami, których zawartość leży na podłodze i to jest kupa żelastwa Marii zwanej Desą z bazaru w Rembertowie - kupa żelastwa i sterta starych poumarlackich łachów, które omijam zawsze ze wstrętem i przykrością.

Oni przymierzają jakieś futrzane kołnierzyki, które rozpadają się im w rękach.

I nagle jeden mówi, wskazując spojrzeniem na mnie:

- ONA podpatruje nas z balkonu.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć, bo to jest prawda; obok naszego domu są "Ich" garaże i co dzień przecież widzę wszystko, co się tam dzieje, kiedy siedząc na leżaku i udając, że czytam gapię się bezmyślnie w tamtym kierunku. Nie śmiem jednak teraz powiedzieć, że przecież nie podpatruję, bo nie rozpoznaję ich twarzy - oznajmienie im tego wydaje mi się za niegrzeczne. Nie można - tak to odczuwam - powiedzieć komuś w nos, że nie ma cech, po których by się go zapamiętało, że po prostu należy wyłącznie do typu.

Jestem krótkowzroczna - mówię, a oni ciągle pokazują mi dowód: zrobione przeze mnie wielkie kolorowe zdjęcie kilku z nich, kiedy przed Bożym Narodzeniem wychodzą całą grupą, każdy z taką samą siatką pełną pomarańczy i słodyczy - darem rady zakładowej dla ich dzieci.

Milknę, bo rzeczywiście tak ich kiedyś sfotografowałam oczami, jednym błyskiem oczu.

Wtedy Maria zwana Desą, nagle znów współobecna mówi:

- Tego obrazka nie sprzedam, bo to moja pamiątka rodzinna. Mój syn jest kapitanem albo czymś jeszcze ważniejszym i lubi mieć na święta marokańskie pomarańcze.

S Y T U A C J A T O W A R Z Y S K A

Musieli się kiedyś spotkać twarzą w twarz, bo żyli w tym samym kręgu i uprawiając różne zawody krążyli po przecinających się ze sobą orbitach towarzyskich.

L. usłyszawszy kiedyś nazwisko Z. powiedział: ten człowiek dwadzieścia lat temu w sądzie kapturowym skazał na śmierć mojego ojca.

Znakomity causer i subtelny znawca malarstwa, na dźwięk nazwiska L., które wymieniła pani domu, przedstawiając ich sobie, nawet nie drgnął, a potem obaj prowadzili przez dłuższą chwilę przyjemną, inteligentną rozmowę.

- Więc jak myślisz - pytała mnie potem Anna - jak myślisz, czy to wszystko o Z. może być prawdą? Jeśli L. to wszystko zmyślił, to po co, a jeśli nie zmyślił, to jak mógł tak sobie z nim gawędzić, jak gdyby nigdy nic się nie stało? Ale ja pytałam różnych ludzi o Z. i powiedzieli, że to nieprawda. Ojciec L. żyje, siedział w celi śmierci, potem został zrehabilitowany, a Z. był wtedy na samej górze, był kimś, kto mógł decydować o życiu i śmierci. Więc pytałam kogo tylko mogłam, ale mówili, że to nieprawda. Tylko - dodała po chwili - zostaje ten cień cienia wątpliwości i poczucie, że i takie spotkania muszą się zdarzać, że tego nie daje się wprost uniknąć.

B E Z I N T E R E S O W N E U C Z U C I E

Radom 1976

Tamten jest chuderlawy, mizerny, swoją poświadczoną lekarskimi papierkami "ociężałość umysłową" ma wypisaną na młodziutkiej, ale jakby poszarzałej już twarzy.

Kiedy milicjanci wprowadzają go na salę, uśmiecha się dobrodusznie, ale nie udaje zucha, tylko oczami szuka swoich, żeby się z nimi z daleka przywitać skinieniem czy podniesieniem ręki.

Jego obrońca jest świetnym adwokatem i kiedy przychodzi na to kolej, wygłasza wspaniałą, wielką mowę obrończą.

Prokurator jest szczupły, czarniawy, o twarzy bez znaków szczególnych.

Pani sędzia ma swoje czterdzieści lat z hakiem, osłonięta średnio starannym makijażem, jeden z ławników ma szlachetnie siwą brodę i prawie cały czas śpi, druga pani ławnik jest osobą niezwykłej tuszy i w ręku trzyma do niczego jej nieprzydatny ołówek.

Kiedy już stało się zadość wymogom formy i chłopiec, wbrew wszystkim nieodpartym, jakby się zdawało, argumentom mowy obrończej, został skazany na te swoje dwa lata i kiedy prokurator wytrzymał już wszystko, co musiały znieść jego urzędowe uszy, z ust świetnego adwokata, który oczywiście nie przekroczył granic przyzwoitości ani cycerońsko-europejskich reguł sztuki, przyszła chwila ludzkiego zmęczenia.

Chłopiec siedział i uśmiechał się, ale oznaczało to przygnębienie i oszołomienie - adwokat znużony był jeszcze jedną porażką, której się nie spodziewał, a prokurator swoją rolą, którą odegrał bezbłędnie.

Musiało to być bardzo męczące, bo przecież wyglądał na kogoś nader bystrego i tego, co zostało tu powiedziane, nie mógł dobrodusznie nie zrozumieć. Zmęczenie szukało ujścia i kiedy adwokat poprosił o warunkowe uwolnienie podsądnego, prokurator sprzeciwił się ostro i kategorycznie.

W tej jednej chwili nienawidził tego mizeraka, tego półgłówka, przez którego od trzech godzin tkwił na swoim urzędowym fotelu unieruchomiony pod gradem obelg.

Nienawidził go głęboko i bezinteresownie.

A potem oczywiście było mu znowu wszystko jedno.

O G R Ó D K I D Z I A Ł K O W E

Tu dokoła są ludzie - mpwi pani J. - dla których ten kawałek ziemi to prawdziwy raj. Sieją, podlewają i rozkoszują się spokojem. To dla nich wprost dobrodziejstwo. Józio B. też tu dostał działkę i powiadam ci, wprost rozkwitł. A wydawało się, że taki jak on zawsze będzie robił karierę, że bez tego nie będzie dla niego życia. Przecież go znam, przecież to on, choć wcale nie musiał się do tego brać, wyrzucił z ministerstwa Z. i K., żeby się samemu jeszcze na ostatku zabezpieczyć. A teraz przeszedł sobie spokojnie na emeryturę, wziął ogródek, grzebie w tym swoim trwaniku i odmłodniał o dobre dziesięć lat. Przedwczoraj spotkaliśmy się przy studni i on do mnie mówi: Jula, jak mi teraz dobrze, nie muszę wygadywać głupstw, nie muszę łgać, nie muszę pisać tego, czego nie chcę. Emerytura to wspaniała rzecz.

- Nie muszę, nie muszę - wybucha T. Dlaczego to on właśnie musiał, kiedy na innych przymus wtedy nie działał? Kiedy inni umieli się wycofać, żeby się w tym wszystkim nie obabrać po uszy?

- Za to - mówi dobrodusznie i macierzyńsko pani J. - on jest teraz taki szczęśliwy, taki szczęśliwy. Tylko popatrzcie.

I ręką ubrudzoną od zrywania pierwszych truskawek wskazuje w kierunku, gdzie poprzez plątaninę zieleni widać potężnej budowy otyłego mężczyznę w kąpielówkach, z przejęciem dźwigającego konewkę.

W I D Z E N I E Z P R O T E K T O R E M

Było to przedmieście dużego prowincjonalnego miasta, gdzie najokazalsze ulice noszą imiona wszystkich nie wykreślonych z rejestru wodzów rewolucji, gdzie rewolucja sześćdziesiąt lat temu była nie odległym trzęsieniem ziemi, ale morderczą wojną, przetaczającą się po ludziach, ich domach i światach.

Mieszkałam u starej kobiety, którą widziałam pierwszy raz w życiu i która była siostrą mego ojca, przeszła próbę ognia i wody i miała to wszystko wypisane na twarzy pociętej zmarszczkami, jak twarz starego indiańskiego wodza.

Było to jej "przydziałowe" mieszkanie otrzymane jako rekompensata ośmiu lat łagru - mały zagracony do granic możliwości pokoik w stojącym tuż przy torach kolejowych murowanym baraku, gdzie na sześć takich izdebek przypadała wspólna kuchnia, a z wygód było światło i bieżąca woda przy zlewie.

Wieczorami przychodziła do nas czasem sąsiadka, najczęściej, żeby pokazać, co wyhaftowała w ciągu dnia. Były to bardzo piękne robótki, a i kobietą - niebrzydka, dosyć młoda - była miła i cicha.

Nie trzeba tylko - uprzedziła mnie kiedyś ciotka Helena - zwracać szczególnej uwagi na to, co ona mówi. Bo ona miała męża, który był w bezpieczeństwie /powiedziała w organach - tak się to u nich określa/ i kiedy Beria upadł, to i jego... w pierwszym zapale...

Więc ona teraz czasem przychodzi i opowiada ciągle ten sam sen. Śni się jej, że patrzy przez okno swego pokoju i czeka na pociągi. Jednym z nich - ona to wie na pewno - będzie przejeżdżał Beria. I rzeczywiście, dostrzega go w wagonie specjalnym jest taki, jak na portretach, tylko trochę smutny, na moment spotyka się z nim oczami, a on skinieniem ręki daje jej znać, że ani jej, ani jej męża nie opuści w nieszczęściu i że wszystko będzie dobrze.

Taki głupi sen...

Poradzili jej tu nawet, żeby poszła do psychiatry. I poszła. Dał jej proszki, ale nie pomogły. Nie kazał jej jednak mimo to trzymać w szpitalu, gdzie była na obserwacji. Kazał po prostu "prowadzić spokojny tryb życia" i machnął ręką.

Nie zajmowała już teraz eleganckiego mieszkania w centrum, tylko pokoik w "kommunalnoj kwartirie" na peryferiach i właściwie była zupełnie nieszkodliwa. Poza tym ona rzeczywiście wyjątkowo pięknie haftuje, już dostała zamówienie od żony tego swojego lekarza i ma się czym zająć.

B Y Ć Ś N I O N Y M

Pani mi się dziś śniła - powiedziała, przyniósłszy mi herbatę. I nie czekając aż zapytam o szczegóły, dodała: wzięła się pani ni stąd ni zowąd w moim domu, najpierw mi pani pomogła zrobić ciasto - trzymała pani miskę, a ja wyrabiałam, ale zamiast rodzynków w nim były jakieś paprochy. A potem zaczęła mi pani zrywać podłogę i nawijała ją pani na karton jak materiał. A pod tą podłogą były schody i zaczęłyśmy obie iść nimi w dół, ale pani chwyciła się jakiegoś sznura, rozbujała pani ten sznur i przeleciała na nim do windy. Winda była taka jak u nas w biurze, tylko zobaczyłam, że zamykała się na haczyk jak wygódka. A potem spotkałam panią pod naszym blokiem i trochę się z panią o te szkody pomówiłam. I jeszcze coś się tam działo, ale już nie wiem co, bo mi od razu uciekło z pamięci.

Patrzyła na mnie z zastanowieniem, przebijającym przez trochę zażenowany uśmiech.

Więc przepraszam za wszystko, co się stało - powiedziałam. Był to oczywiście żart, ale obie jednak przyjęłyśmy ten akt przeprosin jako rozwiązanie właściwe. Szwendałam się przez całą noc po jej mieszkaniu, wyczyniałam Bóg wie co - mogło to być coś ośmieszającego albo nawet hańbiącego, co przede mną teraz zataiła, ale co wywarło na niej na pewno bardzo złe wrażenie i obudziło niepokój, a może nawet złe przeczucia.

Nie mogę się łudzić, że teraz, przy tym biurku, w pokoju, gdzie mam swoje miejsce, poza którym ona nie widuje mnie nigdy i nigdzie, jestem tylko przez fakt powrotu do powszedniego tła całkowicie uwolniona od odpowiedzialności.

K A T E D R Y W T U R Y N G I I

Pustką nyż pamiętają porę zwalania posągów, które strącał gniew Lutra. Musiały tam być w robocie drabiny, sznury i młoty. Może tłum asystujący temu przedsięwzięciu milczał, a może judził, pokrzykiwał i miał swoją uciechę. Albo też - bo to była przecież robota na wiele dni, a może nawet tygodni - na placu katedralnym w stosownej odległości od spadających kamieni ludzie zatrzymywali się tylko od czasu do czasu, patrzyli chwilę i odchodzili. I albo myśleli: tak trzeba, albo potajemnie ubolewali.

Święci, biskupi i pomazańcy, przydani im ludkowie i dziwadła w ironicz-

nym namyśle patrzące z wysokości - wszystko to padało ze stękiem na ziemię i rozpryskiwało się na kawałki. W gruzie i pyle walały się kamienne głowy, ręce, trzymające jeszcze swoje symbole, ułomki szat i zwierzątek. Jeszcze na dole pewno co większe sztuki dotłukiwano, połowiono i ćwiartowano. Może w złości, a może zwyczajnie po to, żeby poręczniej je było ładować na śmieciarskie wozy i zwalać za murem.

Długie patrzenie w górę ze środka dziedzińca wielkiej jak góra katedry, która przez dwadzieścia lat rozrastała się gotycko z ciemnej, romańskiej skały, jest zawrotne i ziemia ucieka człowiekowi spod nóg. Więc dla odpoczynku trzeba patrzeć na to, co jest u samego dołu.

W osłonie kamiennego krużganka stoi tam i leży kilkanaście kalekich figur, odnalezionych po zakamarkach i śmietniskach. Nie mają już swojego miejsca w porządku architektury, kwaterują kątem, bez zachowania hierarchii i ceremoniału. Chimera ma tylko pół pyska, Święty Jerzy nie ma rąk. Są kądłubki, które, mimo uczonych starań historyków, nie odzyskały imienia.

Ale wysoko w górze, tam gdzie kamienna krokiew niższego dachu przylega do bocznego muru nawy głównej, między dwoma oknami, ale w dużej od każdego z nich odległości, można, zwłaszcza jeśli posłużyć się lornetką , dostrzec jeden ocalały posążek - małą, śmieszną i frasobliwą małpkę. Jest skulona, jakby przez rzeźbiącego ją kamieniarza została przygotowana od razu na najgorsze i, ocalona czetrysta lat temu przez niedbalstwo albo przypadek, nie wydaje się wcale pewna, że najtrudniejsze ma już za sobą.

C Z E K A J Ą C A

Trwa na krześle przed szpitalnym gabinetme lekarskim. Ręce ma złożone na padołku, twarz nieruchomą i czekającą. Jest to czekanie zawzięte, cierpliwe, trwające - nie wiadomo - od paru godzin, czy dni. Czekanie w pochyleniu ramion i pleców, w ułożeniu rąk, w spokoju leżącego obok zawiniątka, małego jak dziecinna piąstka.

Kiedy siadam obok niej, nie patrzy na mnie i nie zmienia pozycji i na "dzień dobry" odpowiada tylko jednym słowem, bez żadnej chęci do pytań i pogawędki.

- To amnezja - mówi mi w gabinecie znajomy lekarz, którego o nią zagaduję. - Nic z niej nie można wydobyć. Ani ile ma lat, ani skąd jest i po co przyszła. Nie jest w każdym razie zagłodzona, ubrana jest też całkiem porządnie. Ale nie pamięta nic: ani imienia męża, ani matki. Nie umie powiedzieć, czy miała dzieci i ile ich było, choć dla nas oczywiste jest, że rodziła kilka razy. Jedyna wiadomość to imię jej siostry7 Helenka. Reszta się jej, jak mówi, "całkiem zapodziała".

Kiedy wychodzę z gabinetu, stara kobieta siedzi jeszcze na swoim krzesełku w niezmienionej pozycji i zawiniątko też leży tak jak przedtem, po jej prawej ręce.

- Skąd pani jest? - pytam pośpiesznie, przestraszona, że lekarz wyjrzy i przyłapie mnie na bezsensownym wścibstwie.

Patrzy na mnie spokojnie, bez niechęci czy złości, jakby każdy tu miał prawo ją pytać i jakby te pytania nie ciążyły jej szczególnie.

- Całkiem nie wiadomo, proszę pani - mówi. I kiwa głową w pogodnym namyśle. - Całkiem nie wiadomo.

W słowach tych jest akcent naszych stron i stąd wie się, że musi być z pobliża. Wygląda po wiejsku - twarz, ręce, sposób zawiązania chustki, pochylenie ramion i pleców. Łatwo jest dorysować z pamięci ramy jej życia - rytuał gospodarskiego obrządku, dźwiganie ciężarów, czynności, jakich wymaga ziemia. Jest oczywiste, do jakich robót jest zaprawiona. Wiadomo, że jej ręce dotnąwszy słomy odnajdą umiejętność splątania powrósła, że ruchem o niezawodnej celowości ujmą motykę i grabie, zamurzone w cieście spełnią co do nich należy.

Jeśli jej odcięcie od wszystkiego, czego nie umie teraz nawet nazwać, będzie trwało do końca życia, to jednak idąc między grządkami szpitalnego

ogrodu będzie umiała nazwać i rozpoznać każde źdźbło i każdą grudkę, a w każdym razie ich ład zapomni dopiero na ostatku. Inni, choćby im słowa o sobie nie wyznała, powiedzą o niej "chłopkę". I tylko ona jedna w swoim obojętnym albo dręczącym omroczeniu będzie się sama sobie wydawała całkiem nieprzeniknięta. Inni w swoim doświadczonym domyśle przydadzą jej przeszłości męża i dzieci, narodziny i śmierci, bróg, oborę i dom. Z obojętną pewnością siebie wprowadzą ją w to posiadanie. I tylko ona jedna nie będzie się mogła tej pewności dość nadziwić.

O P O W I A D A N I E K.

Opowiadał mi K. parę lat temu, zanim jeszcze sam przyjął posadę w cenzurze o tym, co się przydarzyło jego przyjacielowi Z.

Z. napisał w pięćdziesiątym szóstym roku wspomnienie z Workuty. A potem, kiedy próbował to drukować, miał rozmowę z cenzorem.

- Nie puszczę tego, panie - powiedział mu cenzor.

- Ależ to wszystko prawda, wszystko - odpowiadał z uporem Z. A cenzor mu na to z kpiną w głosie:

- Panie, to jest prawda? Panie, ja sam tam byłem, w tym, co pan napisałeś, nie ma ani ćwierci prawdy. Ja wiem, jak tam było, to za przeproszeniem pana są dziecinne bajki w porównaniu z tym, co tam było, i co ja tam widziałem.

Z. opowiadał K., że kiedy cenzor to mówił, dygotały mu ręce i z oczu pociekły łzy. Z. zaklinał się, że widział te łzy.

- Ale ja tego panu nie puszczę - powiedział cenzor. Nie puszczę...

O P O D R O Ż Y

W Dreźnie, w wielkim biurze podróży, stoi przed okienkiem kolejka. Najpierw wydaje mi się zwyczajna, ale coś mnie w niej niepokoi, jakby jakaś nierównowaga. Przez chwilę zastanawiam się, na czym polega jej wyczuwalna, ale jeszcze nie określona odrębność od kolejek widywanych i u nas w ostentacyjnie, choć najczęściej nieudatnie eleganckich biurach podróży. Przypatruję się twarzom, sylwetkom, ubraniom. I po chwili już wiem. Jest to kolejka wyłącznie ludzi starych. W tym kraju wolno wyjeżdżać do państw Europy Zachodniej i na inne kontynenty tylko emerytom. Tylko tym, którzy już nie mogą ani pracować, ani płodzić potomstwa.

A niedaleko, przy ogromnej fontannie, jednej z szeregu dziwacznych fontann o świetności jakby nie przystającej do regularnych prostokątów ustawionych szpalerem budynków, zbierają się chłopcy i dziewczyny szesnasto-, dwudziestoletni, obsiadają marmurową czaszę kolorowo podświetlonego wodnego koła, milczą albo brzdąkają na swoich gitarach i wyglądają tak, jakby po prostu już tylko czekali, kiedy wreszcie ukończą tych sakramentalnych sześćdziesiąt pięć lat i wyjadą. Żeby tylko przekroczona została magiczna granica koła, w którym istnieją. Wyjadą Dokądkolwiek.

Eugenia Siemaszkiewicz

Anna Bojarska

ŚMIERĆ CWIETAJEWEJ

Sierpień 1941

Et ma cendre sera plus chaude que leur vie!

Powtarza sobie jeszcze te słowa Anny de Noaille, dopiero co zapisane - w rozpaczliwej próbie ocalenia resztki dumy /pychy nawet/ - na jednej ze stron dziennika; te słowa - leitmotiv wszystkich lat. Wieczny sposób na podźwignięcie siebie, wywyższenie siebie - w tak oczywisty sposób gorszej od innych, nędzniejszej, żałośniejszej od innych, spychanej przez innych na dno, bezwładnej. Rozpychają się łokciami, odtrącają, zagłuszają, tłumią. Przepełniony uchodźcami statek płynie po Wołdze. Szarość wody, kępy drzew na bagnach, cerkiewne kopuły, przekreślone krzyże, białe ściany monastyru. I kolejne przystanie /przystanki raczej/ wybuchające tłumem, krzykiem, kłębowiskiem, wojną. Każdy jest bezcenny dla samego siebie, prawie każdy bez znaczenia dla wszystkich poza sobą. Z walizami, workami, pakunkami, kuframi; z kaszą, ryżem, cukrem, chlebem, brylantami, futrami; z potem na poczerwienia-łych twarzach, pod akompaniament głośników, donoszących: "Wojska nasze odstąpiły... Wojska nasze opuściły..."; tłum cywilów na zapleczu wojny, tłum poddany planowej ewakuacji i zdany teraz na własne siły, przerażony, podniecony, zapobiegliwy, zaradny... Mój popiół będzie gorętszy niż wasze życie! Jak długo można podtrzymywać własne istnienie tą pewnością?

Oto oni: dla których świat jest obiadem. Przy których łożu śmiertelnym szeregi zastąpią gromnice. Czkający tłum w podróży do grobu, w całunie z obrusa.

"No, a mnie ułożą - gołą:
Okryję się - skrzydłem",
Skrzydło!

Tłum widzi czterdziestoośmioletnią kobietę, wysoką i chudą, o szpakowatych krótkich włosach pod włóczkowym beretem, w okularach osadzonych na wydatnym nosie, w niemodnej, długiej sukience i zniszczonej jesionce, bladą, zmęczoną, ponurą, odpychającą, niesympatyczną, dziwaczną. Jeżeli w jej głowie kłębi się to wszystko - et ma cendre sera plus chaude que leur vie! okryję się skrzydłem! - tym gorzej dla niej.

Nowy Rok 1914

Dwudziestojednoletnia sławna poetka, jej dwudziestoletni mąż i dziewiętnastoletnia siostra jadą saniami podczas burzy śnieżnej do Koktebelu ochodzić święto u Maksa Wołoszyna, w jego /jak to romantycznie, jak poetycko!/ samotnej wieży nad wzburzonym morzem. Piją z filiżanek bez uszek, jedzą widelcami bez trzonków. Deklamują wiersze pod akompaniament wyjącego za murami wiatru. Dwudziestojednoletnia gwiazda, dwudziestojednoletnia sława mówi - czyta? - także swój wiersz najnowszy, napisany przed trzema tygodniami:

"Już ilu ich runęło w tę głębinę
Rozwartą wśród przestrzeni!
Nastąpi dzień, kiedy ja również zginę,
Zniknę z powierzchni ziemi.

Zastygnie wszystko, co śpiewało, lśniło,
W dal rwące się bezpowrotną:
Zieleń mych oczu, głosu tkliwa siła
I włosów moich złoto.

Świat będzie trwał z powszednim jego chlebem,
Gdy mnie niepamięć zmiecie,
I będzie wszystko - jak gdyby pod niebem
Nie było mnie na świecie!"

Deklamuje pogodnie; wszyscy są pogodni. I wzruszeni, i zachwyceni, i trochę pijani. Pomyśleć tylko /w takiej chwili i tak się w to nie wierzy/: kiedyś nic nie zostanie z mojej miłości do wieczornego ognia na kominku, do dźwięku wiolonczeli, do dzwonów we mgle! Pomyśleć: mnie nie kochają /obcy, znajomi, wszystko jedno/! A przecież za tyle rzeczy powinni kochać. Za zielone oczy, za wiolonczelę, za dzwony we mgle, za hardość, za tkliwość, za prawdę, za smutek...

" - Słuchajcie! - Za to mnie kochajcie jeszcze,
Że w końcu umrę przecie".

A Maks Wołoszyn, też poeta, przypomina swój wiersz, napisany po przeczytaniu jej debiutanckiego tomiku - i po pierwszym spotkaniu.

"...Tak dawno już nie wierzę w cuda,
Tak dobrze myśleć: ten cud jest!"

Jeden z wielu wierszy, pisanych do niej i o niej, jedno z wielu urzeczeń, wielu zachwytów - które już były i które mają dopiero nadejść. Dziewczyna, odnajdująca się w przesyconym ambicją, samouwielbieniem i pychą dzienniku Marii Baszkircew, zakochująca się w Marii Baszkircew jak w siostrze, jak w sobowtórze, poświęcająca jej "świetlanej pamięci" swoją pierwszą książkę. Opisująca w wierszach - z tą samą maniacką aż zaciekłością, z którą Maria Baszkircew opisywała siebie w swoim dzienniku - w testamencie, dzienniku, pomniku własne zielone oczy, własną smagłość, własne srebrne pierścionki i bransoletki wysadzane turkusami, i nawet wilczą szubę, i pled, i zapach włosów /pachną wiatrem!/: żeby wszystko ocalić, uwiecznić, uchronić. Jakżeby mogło się to oczarowanie sobą nie udzielać?

Mandelsztam: "Całuję opalony łokieć / I skrawek czoła niby z wosku./ Wiem: on się skrył pod złotym lokiem,/ Dlatego właśnie biały został./ Całuję przegub: tuż nad dłonią / Od bransoletki linia biała..."

Biełyj: "Cicho śpiewa wiersz / Do nieosiągalnych włości / Twoich obrazów..."

Pasternak: "A czego chciałbym? By po śmierci / Gdy się zamkniemy w głębi słowa,/ Ściślej niż serce i osierdzie / Mnie wreszcie z tobą ktoś zrymował..."

Rilke: "Marino, oto muszle i kamyki / Ledwie co uzbierane na francuskiej plaży / mego dziwnego serca.../ Chcę, abyś poznała / wszystkie zakątki jego wielkiego pejzażu / od błękitu wybrzeża po rosyjskie stepy."

Marina Cwietajewa, Sierioża Efron, Asia Cwietajewa i Maks Wołoszyn słuchają wierszy, deklamują wiersze, piją wino z wyszczerbionych filiżanek, śmieją się, liczą minuty na zegarze. I wreszcie toast: za Nowy Rok 1914! - JESZCZE NIE WIEDZIELIŚMY JAKI, PIERWSZY Z JAKICH.

Nowy Rok 1927

Trzydziestoczteroletnia, już prawie zapomniana, już po krótkim rozgłosie najwcześniejszej młodości, poetka rosyjska, na emigracji, w Czechach. Drukowana rzadko i niechętnie, żyjąca w biedzie. Dźwigająca dzień w dzień zakupy z bazaru, gotująca, sprzątająca, myjąca podłogi, kąpiąca dzieci, piszące histeryczne listy do redakcji - żeby wydrukowali, żeby zapłacili, żeby przysłali korektę, żeby nie skracali! - żebrząca o zapomogi, grożąca niechętnym wydawcom powrotem do kraju /z waszej winy!/, z czasem rozłażącym się w rękach, ze znienawidzoną domową robotą rozłażącą się w rękach tak samo jak czas, z mężem od dawna już nie kochanym, od dawna zdradzanym /ale jak go, łagodnego, niezaradnego, chorującego, niczego nie umiejącego załatwić, zarobić, w niczym pomóc, niczym podtrzymać, jak go - takiego - zostawić?/, coraz bardziej osamotniona, przybita, ze wszystkimi skłócona. Otwiera drzwi komuś przypadkowemu, komuś bez znaczenia. I ktoś bez znaczenia mówi lekko, mimochodem, o wiadomości z gazety. Umarł Rainer Maria Rilke.

- Nie czyta pani gazet?

- Kiedy to się stało?
- Wczoraj, przedwczoraj, nie wiem. Nie zwróciłem uwagi.
- Gdzie?
- W sanatorium. Na białaczkę. Będzie pani w Alkazarze?
- Nie.

Co zrobiła? Nic. Trzeba się opanować. Mąż, dzieci, Nowy Rok. Dopiero kiedy zostaje sama - na dwie godziny przed północą, przed toastem /za co?/ - zaczyna /płacząc/ pisać list, po niemiecku, do umarłego.

"Rok kończy się Twoją śmiercią? Koniec? /.../ Rainer, ja teraz płaczę, teraz płyniesz z moich oczu! Kochany, jeśli umarłeś, nie ma żadnej śmierci, nie ma żadnego życia! Co jeszcze? /.../ Nie chcę znów czytać Twoich listów, inaczej będę chcieć do Ciebie - nie będę chcieć być tutaj - a ja nie śmiem chcieć, znasz jeszcze siłę pragnienia Ciebie? Rainer, wiem, że jesteś teraz z prawej strony, z głową na moim ramieniu. Czy myślałeś kiedykolwiek, żeby być moim? Tak! tak! tak!

...Najdroższy spraw, żebym często widywała Cię we śnie - nie, nie tak: żyj w moim śnie /.../.

Najukochańszy, kochaj mnie inaczej i bardziej, niż wszyscy. Nie gniewaj się na mnie - przywyknij do mnie, taka już zostanę. Co jeszcze?

... Mój miły duży chłopcze - Ty.

Rainer, pisz do mnie! /Czy to dość głupia prośba?/

Szczęśliwego Nowego Roku i pięknego niebieskiego noworocznego pejzażu.

MARINA"

A potem, po paru dniach, szybko, to samo - w wiersz.

"...Co mam robić w noworocznym tłumie
Z tym uporczywym rymem: Rainer - umarł?
Jeśli takie jak twoje oko zmierzchło,
To życie nie jest życiem i śmierć śmiercią.
Gdy spotkamy się, zrozumiem lepiej:
Nie ma życia ani śmierci; trzecie
Jest, nowe. Za to nowe właśnie...

I:

Źle zapewne widzę z mojej jamy,
Ty zapewne widzisz lepiej z wyżyn.
Między nami dwojgiem nic nie wyszło,
Nic zupełnie, tak czysto, po prostu
Nic..."

I: "Żeby choć cokolwiek - z daleka - żeby choć cień czegoś - cień cienia! Nic". I: "Jakie to do nas podobne, jak to do nas pasuje!" Co? To, że nic się nie udaje. Nigdy. Że nic się nigdy nie spełnia. Że żadna obietnica nie zostaje dotrzymana. Że wszystko jest "nie tak", wszystko źle. Że egzaltowana miłość pięćdziesięcioletniego geniusza /coś, na co zawsze czekała!/, wywołana jej egzaltowanym listem, jej egzaltowaną miłością, zamknęła się cała w paromiesięcznej korespondencji i w kilku wierszach /"Wallen, Marina, wir Meer! Tiefen, Marina, wir Himmel./ Erde, Marina, wir Erde, wir tausendmal Frühling, wie Lerchen..."/. Że Rilke musiał umrzeć na białaczkę, zanim zdołali doprowadzić do upragnionego, umówionego spotkania. Jeszcze te trzy miesiące niepokoju, gdy przestał odpowiadać na listy. "Rainer, was ist's Rainer, liebst Du mich noch?" A teraz - wiadomość o jego śmierci. Przyjęta jak coś oczywistego: no, bo jakże by mogło być inaczej?

Wkrótce - wymodlona pociecha - pojawi się jednak w jej śnie. W dużym, jasno oświetlonym pokoju, pełnym umarłych. Podniesie się z fotela i powie z uśmiechem: "Rainer Maria Rilke". A ona zawoła: - "Ich weiss!"

Że trzecie

A zatem "nie ma życia ani śmierci", jest coś trzeciego. Być może.

Wszechobecność cudzego umierania i świadomość własnego - przez wszystkie lata.

Dzieciństwo Mariny, samotnej, chowającej się w samotność - i widującej diabła. Zakochanej w diable. W "czarcie": bagim, płowym, gładkim, jasnookim,

podobnym do doga, z wężowym - i lwim zarazem - ogonem, ze zwierzęcymi stopami: pazury stukały o podłogę, gdy chodził. Der Teufal. Lui! Wybierający najbardziej samotnych, najbardziej od wszystkiego i wszystkich oddalonych na swoich ulubieńców. Zamknięty w asie pikowym i w jarmarcznej zabawce: wewnątrz buteleczki podskakuje przy każdym poruszeniu tandetny, czarny czarcik. Taką właśnie buteleczkę-zabawkę tuliła do siebie z całej siły w chorobie i gorączce. A więc-śmierć? Czym mogłaby być w tej sytuacji śmierć? Najcudowniejszym - najrealniejszym - spotkaniem.

Potem, dwunastoletnia, zakochuje się /do szaleństwa, jak zawsze/ w umarłej właśnie kuzynce, pięknej, dorosłej Nadii Iłowajskiej. Wstrząs wywołany tą śmiercią przyćmi nawet zgon matki, w rok później. "U-mar-ła. A więc nigdzie?"

I zaczynają się przywoływania, zaklinania, przyzywania ducha. Błagalne szepty w ciemności: "Nadia! Nadia! Nasłuchiwanie każdego szmeru, wypatrywanie za każdymi drzwiami, za każdym zakrętem. W snach: ciągły bieg za nią, ściganie, wołanie odwracającej się tylko z uśmiechem i odchodzącej, zawsze nieosiągalnej.

"W opowieści mojej" - pisała w 1933 - "nie widać może najważniejszego: tęsknoty. Więc powiem: ta miłość była tęsknotą, śmiertelną tęsknotą. Tęsknotą za śmiercią - żeby spotkać. Niecierpliwe dziecięce: 'Zaraz'. A skoro zaraz nie można - więc nie tutaj. Skoro żywi nie mogą, to umrzeć, żeby zobaczyć Nadię'. Tak się to nazywało, mocniejsze niż dwa razy dwa, mocne jak Ojcze Nasz; tak odpowiedziałabym obudzona ze snu na pytanie: czego pragnę najbardziej. A dalej? Dalej - nic, wszystko. Zobaczyć, patrzeć. Patrzeć - zawsze. I rzecz dziwna: ja, która tak bezlitośnie oceniałam własną powierzchowność, tak się wstydziłam własnej niełądności wobec jej /...i każdej/ urody, nie zwątpiłam ani na chwilę: a nuż Nadia, taka piękna, zobaczywszy mnie, niełądną i w dodatku małą - nie zechce? Jak gdyby już wtedy znała wiersz Goethego:

So lasst mich scheinen, bis ich werde

a że werde - będę tam na obraz i podobieństwo własnej duszy, to jest taka jak Nadia, a jeśli nawet nie /.../ - to znaczy, że na piękność i brzydotę nie zwracają uwagi... Jak gdybym już wtedy wiedziała to, co tak nieodparcie, niezaprzeczalnie, niewzruszenie i triumfująco wiem teraz: że tam - odegram się. I ostatnia przedznajomość ludzi z ich prostodusznymi bajeczkami o psie i lwie, sikorze i żurawiu, poganiaczu mułów i królu - wiedziałam, że rywali w tej miłości nie będę miała".

Opiekuńcza miłość diabła do dziewięcioletniej. Gwałtowna, zajadła wiara dwunasto- trzynastoletniej, że TAM się odegra, że TAM docenią, zrozumieją bez słów, w jednym mgnieniu i całkowicie, bez reszty. I jeszcze, po śmierci Rilkego: TAM się mówi wszystkimi językami, rozumie się wszystkie języki? Czyż Rilke w jej śnie nie zaczął nagle mówić po rosyjsku, a na jej zdumienie - "Rainer, jak mogłeś nie rozmieć moich wierszy? Przecież tak znakomicie..." - nie odpowiedział krótko: "Teraz!"? Wystarczy poczytać Biblię, a wszystko znajdzie się na swoim miejscu: co za błogi spokój! Jeżeli się w to wierzy. Ale jak można, wobec takiej straty, wobec tylu strat choćby nie spróbować uwierzyć?

"...Z najdalszych cię dziś pozdrawiam krain:
Z nowym miejscem, Rainer, światłem, Rainer!
Na tym niepojętym świata skraju:
Z nowym okiem, Rainer, słuchem, Rainer!
... Do widzenia! Do poznania!
Czy się ujrzymy - nie wiem, lecz się - zgramy
Z ziemią - samej mi dotąd nieznaną,
Z całym morzem, Rainer, ze mną całą!
Uprzedź mnie, nie miśmy się tym razem..."

Śmierć matki: na gruźlicę. Ojca: na serce. Córeczki: z głosu, podczas wojny domowej /o tym - zbyt strasznym - wolała nigdy nie wspominać: mężowi jako przyczynę podała zapalenie płuc/. Inne śmierci, które mają jeszcze nadejść. I, oczywiście, własna. Jak ją traktować? Jak na nią czekać? Jak na

coś strasznego? Radosnego? I jak zmusić siebie do takiego, a nie innego odczuwania?

"Po raz ostatni pójdę ulicami Moskwy /Pójdziecie ze mną może, lecz nie bardzo tłumnie./ Grudkę ziemi ktoś rzuci, usłyszę ją w trumnie / Przebacz, Panie, sen mój wyniosły i oschły / Przebacz, Panie, mej pychy wyznanie Ci czynię /. Twojej nowej umarłej szlachciance Marinie" - 1916.

"Założę się: przekleństwa rzucisz słowa / W moich przyjaciół, we mgłę mogił smutnych: / Sławiliście ją wszyscy, lecz różowej sukni / Żaden nie podarował!/ Któż był mnie chciwy? - Ja - bardziej od wszystkich! / Zabić nie możesz - więc nie ma co skrywać: / U wszystkich wypraszałam czułe listy, / By w nocy je odczytywać" - 1919.

Aż wreszcie /i już do końca/:

"Za miastem! Rozumiesz ty?
Poza! przekroczywszy granicę!
Życie to miejsce, gdzie nie można żyć:
To ży-dowskie dzielnice...

Czy więc nie godniej stokrotnie
Wiecznym tzłaczem zostać?
Bo dla każdego, kto nie jest łotrem,
Życie to po-grom żydowski.

A żywią je tylko wychrzty!
Wiatr Judaszami żyje!
Na trędowatych wyspy!
Do piekieł! - wszędzie! - byle

Nie w życie. - Tylko wychrztom pobłaża.
Owce oddaje katu!
Prawo na przeżycie, list żelazny
Po-depcę na przekór światu!

Wdeptuję! Za gwiazdę Dawida -
Zemsta! - W ciał miazgę wdepcę!
Czyż to nie wspaniałe, że Żyd
Żyć już dłużej nie zechciał?!

Getto wybrańców! Rów i kraty.
Nie łudź się żadną litością!
W tym najbardziej chrześcijańskim ze światów
Poecie - to Żydostwo!"

1924. I tak już zostanie. Świadomość zmarnowanego istnienia, brak nadziei - przez wszystkie kolejne lata. Choć przecież jest jeszcze bardzo daleko do dna.

Dno

Czerwiec 1939

Statkiem z Havru do Gdyni, potem pociągiem, przez Warszawę, do Moskwy - po siedemnastu latach emigracji.

Siedzi w przedziale, obok syna. Straszliwie zmieniona przez ostatnie lata. Wychudła na szkielet, zgarbiona, posiwiała, z nagle postarzałą twarzą. Zrezygnowała z kokieterii, która kazała jej, zawsze krótkowzrocznej, unikać okularów.

Ze wszystkich bohaterek literackich najbliższa czuje się jednej: Katarzynie Marmieładowej - "z jej szalem, dziećmi, francuskim dialektem. To ja sama - czy to w domu, w życiu rodzinnym, z dziećmi, w Rosji Radzieckiej czy na emigracji, ja sama w tej kałuży pomyj, którą było moje życie od 1917, i z której osądzam i grożę". Katarzynie - suchotnicy, z urodą zniszczoną przez pracę i nędzę, porywczej, gwałtownej, Katarzynie - pośmiewisku każdego, kaszlącej, plującej krwią, bijącej w rozpaczy dzieci płaczące z głodu, szorującej podłogi, krzyczącej, żądającej szacunku, otumanionej... Katarzynie w zniszczonej sukni, w zgniecionym słomkowym kapeluszu, śpiewającej francuskie

piosenki, recytującej Heinego, chrypiącej przed śmiercią: "Co? popa?... Nie potrzeba... Macie pieniądze do wyrzucenia?... Bóg i tak musi mi przebaczyć. ...Sam wie, ile cierpiałam!... A jeżeli nie przebaczy, to obejdzie się!..." Katarzynie konającej z krzykiem: "Zjeżdżona szkapa!... Zdarte siły-y-y!" Miałą już skórę okrytą głodowymi czyrakami; leczyła się w filantropijnej klinice dla bezrobotnych Rosjan, nie wychodziła z domu, ponieważ rozleciały się jej jedyne pantofle; szlochała we francuskim komisariacie, przesłuchiwana po zniknięciu męża, zdemaskowanego jako agent GPU; uciekała z domu, z którego wypędzili ją - żonę szpiega!- rosyjscy sąsiedzi; stała osamotniona pod ścianą podczas wieczoru literackiego, omijana z odrazą przez wszystkich obecnych. Zakochiwała się nieszczęśliwie: raz, drugi, trzeci... Wywołując zawsze ten sam, dobrze znany popłoch. "Ludzie są przerażeni rozmiarami uczuć, które we mnie budzą", Odsunięta przez emigrację już po pierwszym wybuchu entuzjazmu wobec Majakowskiego. Odsunięta jeszcze dalej po próbie uczestnictwa w stworzeniu pisma, drukującego wszystkich - i tych emigracyjnych, i tych z ZSRR, rewolucyjnych i kontrrewolucyjnych, z jednym tylko miernikiem: talentu. I po nagłym wyrzeczeniu się przez Sierriożę Efrona jego białoarmiejskiej przeszłości, po jego krążeniu wokół radzieckiej ambasady, po wciąż ponawianych próbach o prawo powrotu /chociaż ta jego decyzja powrotu była także decyzją ostatecznego rozstania/. I po związaniu się córki z francuskimi komunistami, a tym bardziej po jej wyjeździe, z radzieckim paszportem, do Moskwy. Śledztwo w sprawie zastrzelenie Ignatija Reissa, ujawniające powiązania Efrona z radzieckim wywiadem, zakończyło całą sprawę, zamknęło ją. Nie może już liczyć na to, aby wydrukowano choćby jedno napisane przez nią słowo. W ZSRR przynajmniej wyżyje z tłumaczeń. Zobaczy córkę, Sierriożę, który przez Hiszpanię dostał się do kraju, siostrę. Zresztą - nie ma wyboru.

Powrót.

Dziwny, niezrozumiały niepokój na zatłoczonym dworcu. Coś sztucznego w wesołości Ali, coś przerażającego w martwym, utkwionym w jednym punkcie wzroku chorego Sierioży. Próbuje opowiedzieć jej o sobie, o swoim życiu przed jej przyjazdem, przed jej powrotem; o czymś bolesnym, czego nie przekazano w listach, o czym jej nie uprzedzono. Nie ma prawie czasu i siły tego słuchać znów wpędzona w kierat, ocierająca mokrą od potu i łez twarz w zaduchu i hałasie wspólnej kuchni, bardziej niż kiedykolwiek spragniona pomocy i opieki, i już ostatecznie pewna, że nigdy się jej nie doczeka. "Zaczynam rozumieć, że Serioża jest bezsilny, zupełnie ze wszystkim".

Nie ma dla nich mieszkania w Moskwie. Ani pokoju. Ani mieszkania pod Moskwą. Pokój - tak, ze wspólną kuchnią. Jeżeli wracając do kraju miała złudzenia, że będą ją drukować, że będzie mogła pisać, już je straciła. Nie wydrukują ani jednego wiersza, ani jednej linijki; czasy nie potrzebują takiej poezji: jej nie potrzebują. Ani linijki, ani słowa. I pracy też nie. Ani domu. Moskwa, której jej ojciec ofiarował jedyne w kraju, przez 14 lat tworzone Muzeum Sztuk Pięknych, której podarowano trzy rodzinne biblioteki, której ona w końcu też coś dała /"...nie mogę, krzywiąc duszy, utożsamić siebie z pierwszym lepszym kołchoźnikiem... dla którego też nie znalazło się miejsce w Moskwie. Nie mogę wyrwać z siebie poczucia prawa. /.../ Myśmy Moskwę zasypali darami. A ona mnie odtrąca..."/. - Moskwa nie potrzebuje jakiejś tam Cwietajewej. Nie jest znakomitością, dla której natychmiast wypisano by nakaz na mieszkanie; nie jest też przyzwoitym, rzetelnym kimkolwiek /kołchoźnikiem choćby/: ze swoją emigrancką przeszłością, z wierszami, sławiącymi Białą Armię. Wracając do ojczyzny, popełniła największy błąd w życiu; wszyscy oni popełnili największy błąd w życiu. Urzędnik, który - wydając jej w 1921 paszport - powiedział: "Pożałuje pani jeszcze, że pani wyjeżdża", powinien był powiedzieć: "Pożałuje pani, jeżeli pani wróci".

27 sierpnia w nocy rozlega się stukanie do drzwi. Przyszli aresztować jej córkę. Przyjęła to swoje aresztowanie, swoje odejście wesoło, lekko, aż z nadmierną, jawną beztroską; odwracała tylko głowę. I dopiero na pytanie matki: "Alu, jak to, nie pożegnasz się?" - odsłoniła na moment twarz, zalaną łzami. Lekki, pożegnalny ruch ręki - "Tak lepiej".

Ala ma 26 lat; blisko dwadzieścia spędzi w łagrze. I z tym poruszeniem ręki, z uśmiechem na zapłakanej twarzy, odchodzi - na zawsze.

Sieriożę Efrona aresztowano również; być może jednocześnie. Jego Marina już nie wspominała. Nosiła mu paczki do więzienia; przez pewien czas paczki przyjmowano: to oznaczało życie. Nikt nie dowiedział się nigdy, kiedy właściwie - kiedy dokładnie - zginął. Ani też dlaczego.

Zostaje sama, z czternastoletnim synem, Gieorgijem. "Murem".

Mur

Ojcem chłopca był - niestety - po prostu jej mąż; najlegalniejsze, najbanalniejsze wydarzenie na świecie. Jej ukochanym - wtedy, gdy Gieorgij został poczęty - był Borys Pasternak, od lat nie widziany, jeszcze jedna miłość listowna, romans korespondencyjny: przed Rilkem. Był też jakiś romans prawdziwy, ale nieważny, nieistotny. I żal: że syn, który ma przyjść na świat, nie jest synem tamtego. Miał przynajmniej nosić jego imię: Borys.

"Mój syn" - pisała tuż przed porodem - "zachowuje się w moim łonie zdumiewająco spokojnie, z czego wnoszę, że on też nie wdał się we mnie! - Piszę poważnie. - Piszę poważnie. - Oczywiście S. ma ładniejsze oczy /i lepszy charakter!/ itd., ale to mimo wszystko praca dla kogo innego, a ja bym chciała dla siebie".

A jednak, ledwie się pojawił na świecie, ona wybucha entuzjazmem; jaki podobny! Cwietajew!

Po długich kłótniach z mężem, ulega: nie nazwie go imieniem ukochanego. Niech już będzie Gieorgij.

"...Borys i tak pozostał we mnie, przy mnie, i nigdzie, jak wszystkie moje marzenia i namiętności". Nadać synowi to imię - to rozgłosić tajemnicę, wpuścić do rodziny tego "dzikiego zwierza - Miłość".

"I jeszcze - najważniejsze - że, nazywając go Gieorgijem, tym samym zachowuję prawo do jego Borysa, do niego - Borysa, od niego - Borysa. Szaleństwo? - nie, nadzieja na przyszłość.

I jeszcze prosiłam, aby kochał tego jak własnego /bardziej, jeśli można!/, ponieważ nie jestem winna, że to nie jego syn. I żeby nie był zazdrosny, bo to nie owoc rozkoszy".

I, w zakończeniu, gestem dwóch podniesionych rąk:

"Poświęcam go panu, jak bóstwu".

Pasternak jest w ZSRR, ona w Czechach. Nie może zostawić Sierioży /"tragiczna niemożliwość"/: "On beze mnie zmarnieje - po prostu od nieumiejętności życia /.../ Wiem, że takie życie to zatracenie własnej duszy /.../ ale czy mam do niej /duszy/ prawo? Bardziej mi żal cudzego życia, niż własnej duszy..."

"Z B.P. nie mogę żyć, ale chcę od niego syna, żeby on żył w nim przeze mnie. Jeśli to się nie spełni..."

Nie spełni się. I tym bardziej mały Gieorgij - uporała się wkrótce z tym narzuconym imieniem, wynajdując mu pieszczotliwe przezwisko "Mur" /nikt już nie będzie nazywał go inaczej/ - pozostaje /dziwactwo poetów/ "duchowym" synem Cwietajewej i Pasternaka, choć "fizycznym" - tylko Cwietajewej i Efrona. Nie udźwignie tego "duchowego" przeznaczenia; nie sprosta nawet czysto fizycznemu dziedzictwu; nie sprosta niczemu. Będzie przez całe lata dzieckiem grzecznym i dość nijakim, obojętnie pozwalającym się rozpieszczać, obojętnie przyjmującym bezustanną opiekę i bezustannie okazywaną czujną, niespokojną miłość matki - żeby w końcu zadać jej ostatni, ostateczny cios.

9 października 1940

Czterdzieste ósme urodziny. Syn jest w szkole, mąż w więzieniu, córka w łagrze, siostra na Syberii. Przyjaciele nie żyją, albo nie są już przyjaciółmi. Moskwa jej nie chce; literatura rosyjska jej nie chce. Ułożony tomik wierszy nie zostanie przyjęty. Bezsenne noce. Dźwięki, rozlegające się w nocy: jakiś samochód krąży, nie wiadomo po co, po okolicy; przeraźliwe wycie kota /co się z nim dzieje? co z nim robią?/, trzeszczenie zeschniętego drze-

wa, rozbrzmiewające jak czyjeś ostrożne kroki, jak czyjeś skradanie się... Ciemność; kształty ciemności. Zrywa się nagle i biegnie w stronę śpiącego Mura - ukryć się przy nim, położyć się ostrożnie na brzegu jego łóżka, nie budząc... Chwila snu; i znów jakiś dźwięk, brzęczenie szkła, trzeszczenie drzewa.

Jeszcze dziesięć lat wcześniej, choćby pięć! - za czasów urody, byłoby lżej. Kto wie, czy nie przyszedłby ratunek, czy ktoś by nie pomógł, mimo wszystko. Ale z tymi posiwiałymi włosami, których nie można ukryć pod farbą ... Jeżeli teraz mężczyźni zrobią coś dla niej, zrobią to naprawdę dla niej, nie dla siebie. A więc: nie zrobią niczego. Nie pomaga się tonącej kobiecie, której włosy są szpakowate. Nie ma na co liczyć. Teraz już nikt nie okazuje jej nawet współczucia. Wygląda źle, zbyt źle: nie współczuje się źle wyglądającym. - "Mamo, wyglądasz jak straszna, wsiowa starucha!" - mówi syn.

Obcość, wrogość. Przy najmniejszym dobrym słowie - przy samej intonacji, przy brzmieniu czyjegoś głosu choć trochę łagodniejszym, choć trochę bardziej życzliwym! - nie może się teraz, obdarowana ponad siły, powstrzymać od płaczu.

"...zalewam się łzami, jak skała wodą wodospadu. I mur wpada w gniew. Nie rozumie, że płacze nie kobieta, a skała".

Zimno, hałas. Lodowate ręce i stopy, wrażenie zziębnięcia - lodowacenie mózgu. Choroby Mura. Przeprowadzki. Nie wolno palić papierosów: wspólne mieszkanie. Brak stołu do pracy. Własny stół rozrasta się w marzeniach do potwora, w olbrzyma, przesłania sobą wszechświat. Usiąść przy własnym stole, przy własnym oknie, palić papierosy i pisać - nie do szuflady, nie z tą paraliżującą z góry świadomością, że pozwala sobie oto na niedopuszczalny luksus. Mur żąda wygody. Porządnych ubrań, dobrego jedzenia, ładu, czystości, domu. Jest rozżalony, pełen niechęci do rodziców, którzy nie stworzyli mu życia, jakiego pragnął, do matki zwłaszcza, "wyglądającej jak wsiowa starucha", przewrażliwionej, płaczliwej, nadmiernie opiekuńczej, nadmiernie od niego zależnej, żyjącej tylko jego powrotami ze szkoły, tylko chwilami z nim sędzonymi, chwilami, które - teraz już piętnastoletni, o głowę od niej wyższy, rozrośnięty, z zimnymi, jasnymi oczami - przyjmuje ze znudzeniem. "Biedny Kot, on tak lubi piękno i przytulność..." Pisać teraz dla siebie /do szuflady/, zamiast poświęcić każdą chwilę próbom zdobycia pieniędzy na to jego piękno i przytulność, na nowe ubranie - to byłaby zdrada. Zarobić można przekładami trzeciorzędnych poetów, więc przekłada się trzeciorzędnych poetów od świtu do nocy. I jeszcze gotowanie, zmywanie, szorowanie, naprawianie, polowanie na masło, jarzyny /nie ma ich, są tylko kartofle/, błędne koło robót domowych, samotność. Narzuca sobie niepisanie wierszy, z zaciekłością. Jak gdyby kogokolwiek to obeszło, mogło obejść! Narzuca sobie tę ostateczną, wyrządzoną przez świat krzywdę: już nawet nie pisze! Na kim mogłoby to zrobić wrażenie?

Mura interesuje to mniej, niż kogokolwiek. Wiersze matki!

Dziewięcioletni, we Francji, po powrocie ze szkoły, mówił: "Patrzyłem dzisiaj na nauczycielkę i myślałem: a jednak ona ma jakąś reputację, ją ludzie znają, a mamy - przecież dobrze pisze? - nikt nie zna, bo pisze rzeczy, które nic nie znaczą".

Piętnastoletni, w Moskwie, z odrazą:

"Wyglądasz jak straszna, wsiowa starucha!"

Wiadomo przynajmniej, że nie zajrzy do jej papierów, że nie przeczyta jej dziennika; jeżeli nawet otworzy go przypadkiem - nie będzie chciał czytać: to go nie obchodzi, nie interesuje, ucieka od tego. A co go obchodzi? "Torty, ananasy". Wszystko, co materialne, co można zjeść, włożyć na siebie, mieć, posiadać. Rzeczy! Tego jedynie pragnie, o tym jedynie myśli. A więc, w dzienniku, w bezpieczeństwie zupełnej samotności, bez świadków:

"Boję się wszystkiego. Oczu, ciemności, kroków, a nade wszystko - siebie, swojej głowy, bo ta głowa - z takim oddaniem służąca mi w pisaniu - zabija mnie w życiu. Nikt nie widzi, nie wie, że już od roku /mniej więcej/ szukam oczami haków, ale ich nie ma, bo wszędzie elektryczność. Żadnych żyrandoli".

... Nie chcę się błąkać /pośmiertnie/, wydaje mi się, że już się siebie - pośmiertnie - boję. Nie chcę umrzeć. Chcę nie być. Bzdura. Dopóki jestem potrzebna... ale, Boże, jakże ja jestem mała, jak niczego nie mogę!"

9 października 1940. Czterdzieste ósme urodziny. Pora na jakieś podsumowanie.

"Moja trudność /w pisaniu wierszy, a może i dla innych - zrozumienie/ polega na niewykonalności mojego zadania, na przykład, żeby słowami /to znaczy sensem/ wypowiedzieć jęk: a-a-a. Słowami /sensem/ wypowiedzieć dźwięk. Żeby w uszach pozostało tylko a-a-a. Po co takie zadania?"

I jeszcze, w brulionie listu, proszącego kogoś - nie wiadomo, kogo - żeby do niej przyszedł, żeby posłuchał jej wierszy /już z nowym dla siebie radzieckim słownictwem - "towarzyszu T"/, nagłe słowa:

"Każdy rękopis jest bezbronny. Ja sama jestem rękopisem".

1940-1941

Starała się przecież! Tak się starała!

W liście do Ali:

"Trzymaj się, bądź dzielna... /.../ Mnie dopiero co przyjęto do grupkomu Goslitizdatu - jednogłośnie. W ogóle się staram".

W innym liście:

"Wkrótce będę mieć wieczór autorski..."

/Nie miała go, oczywiście/

W dzienniku:

"Cóż, składam tom, wstawiam, sprawdzam, płacę za przepisywanie, znów poprawiam, a jestem prawie pewna, że nie przyjmą, zdumiałabym się, gdyby przyjęli. No, swoje zrobiłam, przejawiłam pełną dobrą wolę /wykazałam karność/. Wiem, że wiersze są dobre i komuś potrzebne /może nawet - jak chleb/. Cóż, jeśli się nie uda, będę tłumaczyć, zamknę usta tym, którzy mówią: czemu pani nie piszesz, bo czas jest jeden, jest go mało, a pisać dla siebie do zeszytu - to luksus. Dlatego, że za przekłady płacą, a za moje pisanie - nie. W każdym razie się postarałam".

/Książki - oczywiście - nie przyjęto/.

Lato 1940. Znajomość z jakąś starą nianią, od 60 lat związaną z tą samą rodziną, i z cudownym kotem - szarym, egipskim, długonogim. "Duszę bym oddała za taką nianię i za takiego kota".

Zima 1940. Pierwsze - jedyne - spotkanie z Anną Achmatową, bóstwem swej wczesnej młodości, adresatką wiernopoddańczych kornych wierszy /pisanych na klęczkach!/, z Achmatową, teraz również skazaną na milczenie, również odtrąconą, lżoną, wyśmiewaną, atakowaną przez głupców /bez możliwości odpowiedzi/, z Achmatową, której czystki 1937 roku zabrały jedynego, ukochanego syna. Najważniejsze chyba ze wszystkich spotkań Cwietajewej: najbardziej znaczący, najbardziej - najgęściej - symboliczny ze wszystkich faktów tych dwóch lat po powrocie do kraju.

Oto los taki sam, a tak inaczej zniesiony! I właśnie przez to, że inaczej zniesiony - inny!

Dwie genialne poetki, które pojawiły się przedziwnym zbiegiem okoliczności w tym samym kraju, w tym samym czasie. Dwie równocześnie. Obie w dodatku piękne, obie wywołujące uwielbienie i zachwyty artystów /Błok, Modigliani; Pasternak, Rilke.../. Na wspólne nieszczęście połączone "jednością czasu i miejsca akcji": bo, gdyby żyła wtedy w Rosji tylko jedna pisarka tej miary, porównywano by ją z innymi pisarzami: skoro były dwie /dwie kobiety/ - krytycy musieli podejmować próby wyłączenia ich z "normalnej", "prawdziwej" literatury, mierzenia jednej - drugą /a nie: Majakowskim, Jesieninem, Błokiem/: istnieją poeci, a oprócz nich - dwie poetki. Istnieją pisarze, a oprócz nich /całkowicie poza nimi/ - pisarki. I w dodatku - któż wdawałby się w roztrząsanie takiego drobiazgu, jak całkowita odmienność, przeciwstawność nawet - formalna, treściowa - ich pisarstwa, skoro autorami utworów tak różnych są dwie kobiety, dwie Rosjanki, rówieśnice, nawet fizycznie w jakiś sposób podobne - obie wysokie, szczupłe, o egzotycznej urodzie? O ile nikomu nie przyszłoby do głowy połączyć Błoka w nierozłączną [illegible] z jakimkolwiek innym

poetą dlatego tylko, że obaj byli mężczyznami, i do tego jeszcze obaj o pociągłych rysach twarzy, o tyle gdy chodziło o kobiety... Achmatowa znosiła to spokojnie, w milczeniu, może z pewną irracjonalną urazą do tej, która pojawiła się po niej, zabierając /niesprawiedliwie, niesłusznie - i nie z własnej woli/ część jej sławy, część jej blasku /"jak szyderczy sobowtór"/; Cwietajewa - w wierszach - rzuciła się Achmatowej do stóp /jak Błokowi, Napoleonowi, Marii Baszkircew, Sarze Bernhardt, wszystkim swoim kolejnym idolom/, jednocześnie protestując gwałtownie, histerycznie przeciw absurdowi tego beztroskiego usunięcia na margines świata, na margines sztuki - z racji płci i niczego więcej. Pierwsza czekała cierpliwie na dzień, w którym nie będzie się już mówić: "X, Y, Z - oraz poetki: Achmatowa i Cwietajewa", a dzień, w którym zacznie się mówić, pisać "Błok, Achmatowa, Jesienin, Majakowski, Cwietajewa, Mandelsztam..." i doczekała się go wreszcie po kilkudziesięciu latach, podczas których w ogóle nie wymieniano jej nazwiska. Druga, w 1921, podczas zbiorowego wieczoru autorskiego, po zapowiedzi Briusowa, mówiącego o "poezji kobiecej", poezji uczuć i tylko uczuć, poezji wyrażającej jedyny sens i cel kobiecego życia - miłość, nagle, nie dbając o to, czym jej to grozi, zaczęła rzucać w twarz wypełnionej działaczami partyjnymi i rewolucyjnymi studentami sali swoje wiersze polityczne, sławiące Białą Armię. Przy narastającym zgiełku, przy wzbierających protestach, aż po zerwanie wieczoru - wiersze o wojskach, rozbitych właśnie i pokonanych, o białym Donie, o walczących za honor i sławę, o bohaterskiej Wandei, o czasach, "gdy śmiertelnym grzechem - słońce": nie powiewne i liryczne stworzenie z wprowadzenia /programu!/ Briusowa, ale - istny Majakowski białych. I tak było zawsze.

W 1914, przeciw fali zajadłej, rozszalałej nienawiści do Niemiec - wyzywający krzyk: "Giermanija, majo bezumie! Giermanija, maja lubow!"

W latach dwudziestych, przeciw fali emigranckiej nienawiści do wszystkiego, co radzieckie - wyzywający zachwyt dla rewolucyjnej poezji Majakowskiego, entuzjastyczne powitanie Majakowskiego w Paryżu /nigdy nie wybaczone/.

Wszędzie tam, gdzie inni milczeli - głośny krzyk protestu. Zawsze pod prąd, cokolwiek by za to groziło, jakkolwiek miałoby się to skończyć. Nigdy przeciw pokonanym, często /tak często, że tłumy przecierały oczy ze zdumienia/ - przeciw zwycięzcom.

Bez jednej linii postępowania, zrywami.

A także bez egoizmu wielkich twórców - na swoje nieszczęście. W rozproszeniu. Z tym zdaniem-herezją w ustach każdego geniusza: "Bardziej żal cudzego życia, niż własnej duszy". Z poświęceniem /niepotrzebnym, lekceważonym, przyjmowanym jak coś oczywistego/ właśnie duszy - dla bliskich... Dla męża, choćby i niekochanego. Dla dzieci. Z poświęceniem zawsze połowicznym /i dlatego nie zadawalającym ani tych, którzy je przyjmowali, ani jej samej/, bo przecież nie można nie być sobą, a być sobą - to pisać, i to pisać właśnie tak, a jeśli tak - to nie dać Murowi "tortów i ananasów". Wszystko źle.

Naprzeciwko tej szamotaniny, przeciw niej - Achmatowa. Jak skała.

Achmatowa zniosła zmowę milczenia przez dziesiątki lat, gdy Cwietajewa załamała się już w pierwszych miesiącach. Zniosła ją, pisząc przez cały czas - właśnie do szuflady, właśnie do zeszytu, nie wmawiając sobie, że sięga oto po niedopuszczalny luksus. Pisanie było ponad wszystkim; zawsze i w każdej sytuacji było ponad wszystkim. Tutaj nie mogło się zdarzyć trwanie z litości w nieudanym małżeństwie, w nieudanym związku. Tu nawet strach przed samotnością był czymś drugorzędnym. I w samotności dawało się odnaleźć przeniklię, ostre piękno; i starzenie się wywoływało zaledwie lekki smutek, cierpki żal, nitkę nostalgii, nie - jak u Mariny - niepohamowaną rozpacz /"Wkrótce już z jaskółki - wiedźma będzie!/ Pożegnajmy się, młodości, w przeddzień.../ Razem sobie postójmy na wietrze!/ Smagła moja!.../ i, kiedy już ostatnie wymykało się z rąk, pozostawało jeszcze tak wiele, że niepodobna było tę wielość wyczerpać. Nieszczęścia miłosne, porażki w miłości, porzucenia nie łamały, nie powalały na ziemię, nie kazały myśleć o samobójs-

twie: no, bo cóż z tego? Przecież to spotyka mnie! /"W nocy to opiszę, a rankiem z hukiem zwali się na mnie sława... Za mnie nawet modlić się nie warto! Nawet obejrzeć się za mną, odchodząc! Ja się pocieszę; ja rozłąkę i zapomnienie przyjmę jak podarunek; ja mam coś, co jest ponad to, ponad wszystko; to, co zabija służące i urzędniczki pocztowe, mnie nawet nie zadraśnie"/. Dla tego najważniejszego, dla tego jedynego, co się liczy, zdobędzie się na bezgraniczną cierpliwość, na wieczne kompromisy, w ostateczności - nawet na cykl zakłamanych wierszy, mających utorować drogę do druku jej wierszom "prawdziwym". /coś, czego Cwietajewa nie mogłaby zrobić, czego nie zrobiłaby nigdy - przez sam charakter skazana na nieustanne klęski/. Spokojnie przyjmie najbardziej absurdalne, na największych fałszerstwach oparte ataki. Nie załamie się nerwowo podczas piętnastu lat, w ciągu których dzień po dniu - śledziło ją ostentacyjnie, dla zastraszenia, czekając przed jej domem, wchodząc za nią, gdy wracała, aż na schody, dwóch szpiclów. Tuż przed nieuchronnym końcem, na głos przekonujący, by się nie smucić, by czekać na śmierć jak na cud, odpowie twardym, pewnym: "No szto-ż! Paprobuju..." Niewiarygodna siła gnącej się przy każdym powiewie, a nie dającej się załamać leszczyny wobec kruchości i bezradności ginących raz, ale całkowicie dębów.

Ale wtedy właśnie - w 1939, w 1940 - ta niewyczerpana siła, ta zdolność przetrwania była bardziej niż kiedykolwiek bliska kresu. Jednego tylko Achmatowa nie mogła znieść, jednego wydawało się, że nie zniesie: aresztowania dziecka, jego cierpienia, wiecznej groźby śmierci. Ten jeden raz jej poezja upodabnia się do poezji Cwietajewej: skowyt obnażonych nerwów, słowami /sensem/ wyrażony jęk. "Żeby w uszach pozostało tylko a-a-a". Rozpacz niczym nie nazwana, w żaden sposób nie uogólniona, nie szukająca refleksji i syntez; ręce ściskające skronie i ochrypłe zawodzenie z najgłębszej jamy, i nagłe zrównanie, zmieszanie siebie z tym bezimiennym tłumem, czekającym w kolejkach pod więzieniem, tracących ukochanych, opłakujących ukochanych, modlących się o obłęd, jeżeli obłęd może złagodzić, unicestwić cierpienie. /"Nie chcę się wtrącać do wyroków Bożych / Prosiłam Cię o pomoc jakże rzadko / Lecz jeśli trzeba jeszcze trochę pożyć / To proszę, uczyń mnie wariatką..." I, w osłupieniu: "Nie, to nie ja, to ktoś inny tak strasznie się męczy... / Ja bym nie potrafiła..." I przyzywanie śmierci, jakiejkolwiek. Od tyfusu, od noża mordercy: "Światło zgaszone, drzwi otwarte - czekam"; czy choćby "...Zjaw mi się w czapce z niebieskim otokiem / Jak innym tyle razy. Mnie już wszystko jedno."/ To głos Cwietajewej, ton Cwietajewej, jęk Cwietajewej. I teraz, dopiero, w tym momencie najszczerszego upodobnienia w udręce, zrównania w udręce, zobaczą się po raz pierwszy.

Krótka rozmowa, bez świadków. Wstrząśnięta, zmieniona twarz Achmatowej tuż po tej rozmowie, po otwarciu drzwi. I znak krzyża, zakreślony przez nią w powietrzu przed odchodzącą, spieszącą się z odejściem, nie patrzącą na nią Marinę.

Wspomniała potem wdowie po Mandelsztamie o jednym tylko, co usłyszała podczas tego spotkania - i czego nie mogła zapomnieć.

Marina mówiła o swoim domu, o domu swoich rodziców, swojego dzieciństwa, który poszła zobaczyć, ukradkiem, jak żebraczka, po przyjeździe do Moskwy. Dom należał już do innych, wszystko było zmienione, ale przed oknami rosła jeszcze, kwitła jej ulubiona lipa. Ocalała! - "Niech pani nie mówi o tym nikomu - poprosiła. - Jeżeli się dowiedzą, że jeszcze jest, że ja tak ją lubię - zetną!"

Sierpień 1941

Statek z uchodźcami płynie między wysokimi, czerwonymi brzegami Wołgi, mija Kazań z białymi wieżyczkami Kremla i nastroszonymi w niebo fabrycznymi kominami, skręca w Kamę. Szara rozlewność wody, fale, wiatr bijący w twarz. Niekończenie długo - aż wreszcie pojawi się gliniane urwisko, a pod nim zawieszona, uczepiona jednym końcem maleńka przystań. To kres wędrówki: Jełabuga.

Tłum ewakuowanych - powitany przez przedstawicieli miejscowych władz, szuka kwater. Szukają i oni: Cwietajewa z wyrokiem, czerwonoramiennym, szesno-

stoletnim teraz Murem. Przez wszystkie te dni drżała ze strachu o niego; przez wszystkie chwile, półprzytomna ze zdenerwowania, rozglądała się z lękiem, szukając go oczami, chociaż nie odchodził od niej ani na krok. Ciągle jeszcze jest wylękniona, ciągle ogląda się na niego, ściska jego ramię. Byle się nie rozłączyć, nie zgubić!

Na ulicy Woroszyłowa, pod numerem 10, stoi mały domek, odległy od centrum: sień, kuchnia, dwa pokoje przedzielone kotarą, nie drzwiami. Marina wchodzi pierwsza. Zaledwie zobaczyła drugi pokój, ten z dwoma okienkami wychodzącymi na łąki, na przestrzeń, nie na ulicę, decyduje:

- Zostanę tutaj. Nigdzie się stąd nie ruszę.

Wniesiono rzeczy. Została.

Właściciele - dwoje starszych ludzi - patrzyli na nią niechętnie, ze złością, spode łba. Woleliby innych lokatorów.

- Od razu mi się nie spodobała!- mówiła potem gospodyni. - Wysoka, zgarbiona, wychudła, siwa - po prostu wiedźma!

Wpisała się do księgi meldunkowej. W rubryce "zawód": pisarka, tłumaczka. Poprzedni adres: Moskwa, Pokrowski bulwar 14. Miejsce i data wydania paszportu: Moskwa, 21 sierpnia 1939. W nie wypełnionej przez nikogo rubryce, naiwnie: "Posiada prawa wyborcze".

Gospodyni chichotała, patrząc na nią. Nie mogła się powstrzymać. Te stare, niemodne łachy! Ten zrobiony na drutach beret koloru grochu - "no, po prostu blin! Taki brzydki!"

Wydostała skądś wielki, workowaty fartuch z jedną kieszenią. W nim chodziła po domu.

Nie było pracy. Nie było nabywcy na jakieś przywiezione stołowe srebra. Nie było zapotrzebowania na jej wiersze - na czytanie wierszy - na tłumaczenia. List do Tatarskiego Związku Pisarzy, z prośbą o pomoc w znalezieniu płatnego zajęcia /może w charakterze tłumacza/, pozostał bez odpowiedzi. Nic się nie znalazło w pobliskim Czistopolu, gdzie powstała już mała kolonia ewakuowanych pisarzy - wśród nich byli Fiedin, Asiejew. Ci, z którymi rozmawiała - lub próbowała rozmawiać - odmówili jej wszelkiej pomocy. Wróciła z Czistopola po trzech dniach, przybita, zgnębiona.

Z pokoju, który zajmowała z Murem, dobiegały burzliwe rozmowy w obcym języku: po francusku? niemiecku? Gospodarze ich nie rozumieli, rozpoznawali tylko ton kłótni. Za którymś razem jednak Mur przeszedł na rosyjski: z krzykiem żądał - wojna czy nie wojna! - lepszych ubrań, lepszego życia. A przede wszystkim porządnego garnituru. Tego - koniecznie!

Wojska radzieckie wciąż się cofały, wciąż odstępowały.

Mogłaby - istniała taka szansa - zostać pomywaczką w pobliskiej stołówce. Ale nie miała już siły; do śmieszności nie miała siły; nie nadawała się teraz do niczego. Po umyciu włosów - ku oburzeniu właścicielki domu - nie zdołała wytrzeć zachlapanej wodą podłogi. Słuchała wyrzutów syna, jego gwałtownych żądań. Słuchała - nie szukając już, nie mogąc szukać pracy, nie mogąc, nawet ze strachu, zetrzeć plamy z podłogi, nie mogąc anioczyścić, ani usmażyć kupionych ryb; nie mogąc niczego. Dobre było tylko jedno: gospodyni paliła. To je nawet w jakiś sposób zbliżyło do siebie. Ta niedołęga, ta wiedźma, która tyle razy w życiu gubiła drogę na ulicach rodzinnego miasta - i nawet w budynkach! - która z płaczem uciekała z urzędu, w którym dano jej w głodowym roku pracę, nie potrafiąc tej pracy ani zrozumieć, ani znieść; która z poczucia obowiązku wykonywała latami znienawidzone roboty domowe, zawsze tak samo w nich niezorganizowana i niezręczna - nie umiała także skręcać sobie papierosów. Przyjęła ofiarowaną z rozbawieniem - po raz pierwszy - pomoc gospodyni. Chodziła po domu w swoim wielkim fartuchu, w okularach, nie wyjmując prawie papierosa z ust. Paliła, milczała.

1919

W miasteczku stacjonował pułk, żołnierze maszerowali pod oknami ze śpiewem. Radio donosiło o klęskach; żołnierze ćwiczyli, śpiewali. Któregoś dnia Marina - zawsze dotąd milcząca - wybuchnęła, zaciskając ręce, z rozpaczą:

- Takie pieśni śpeiwają, takie zwycięskie pieśni, a <u>on</u> wciąż idzie naprzód, wciąż naprzód!

O tym samym pisała o całą wieczność wcześniej - w 1916.

"... - Och, jak śpiewają młodzi
Żołnierze dzisiaj! O Panie, Boże, mój Boże!"

Milczenie. Papierosy. Dziesięć dni - bo trwało to tylko dziesięć dni, cała Jełabuga! - rozciągnięte w lata. To już nie 1916; doświadczenie wykopało przepaść nie do przebycia między teraz a 1916. Ale i tu jest przecież "białawe słońce" i "niskie, niskie chmury", i "cmentarz za murem białym". Trzyrzędowe miasteczko, miasteczko zbudowane w trzech szeregach, w trzech warstwach, w trzech pasmach: kupieckie domy, porządne, murowane, piętrowe; za nimi - chaty; za tym, i nad tym wszystkim - trzy potężne cerkwie. I rozchodzący się w powietrzu, całymi dniami, chóralny, żołnierski śpiew.

"Czym zgniewały cię szare chaty w dali bezbrzeżnej?
Na cóż ci tyle piersi przeszytych kulami, Panie?
Pociąg przejechał i zawyli, zawyli żołnierze
I zakurzyła się droga, i łan uciekał po łanie...

- Nie, umrzeć już raczej! I lepiej się nie narodzić
Niż wsłuchiwać się w wycie to katorżnicze, trwożne
O czarnobrewych dziewczynach. - Och, jak śpiewają młodzi
Żołnierze dzisiaj! O Panie, Boże, mój Boże!"

- Żeby pisała wiersze? Ona?!

31 sierpnia, w niedzielę, wezwano mieszkańców miasteczka do porządkowania miejsca pod przyszłe lotnisko. Każdy z pracujących otrzymał potem po bochenku chleba. Marina miała 400 rubli, co nie oznaczało nawet trzech bochenków. Nie zdołała jednak, nie chciała pójść; "zamiast niej" wybrał się do pracy jej syn.

Gospodyni wróciła pierwsza. Wchodząc do sieni, potknęła się o przewrócone krzesło.

W sieni, po lewej, z głową w pętli wisiała Marina Cwietajewa. W śmiesznym, wielkim fartuchu z jedną kieszenią, z posiwiałymi włosami spadającymi w dół, na twarz.

Gospodyni nie odcinała sznura: to sprawa milicji.

Milicja i lekarz przyjechali po dwóch godzinach. Zabrali ciało, przeszukali pokój. Znaleźli dwa listy: do Asiejewa - z prośbą o opiekę nad Murem, i drugi - tłumaczący, dlaczego. Ten drugi czytała tylko milicja - i Mur. "Dobrze jeszcze, że zostawiła listy: pomyśleliby, żeśmy ją zabili!"

Mieli dużo rzeczy. Samych produktów cały worek: i ryż, i manna, i inne kasze. Cukru z pół puda. Mogłaby jeszcze przetrzymać. Ale, widać, taka już na nią chwila przyszła... No, wszystko jedno, mogła jeszcze przetrzymać. Zdążyłaby to zrobić, kiedy by wszystko zjedli.

Syn natychmiast po zabraniu trupa zaczął prasować swoje ubranie, pakować rzeczy. Wyjechał do Taszkientu; w trzy lata później zginął - podobno rozstrzelany na froncie jako dezerter.

Zwłoki Mariny wywieziono na cmentarz wprost ze szpitala; gdzieś ją powano, ale gdzie - nie wiadomo. Nie interesowało to nikogo i nikt nie przyszedł na pogrzeb.

Później, po wojnie, wiele lat po wojnie, zaczęły się pielgrzymki. Do domku na Żdanowa 20 /dawniej Woroszyłowa 10/, przybywali pątnicy. Członkowie Komitetu dla Uczczenia Pamięci Mariny Cwietajewej. Pisarze, studenci, dziennikarze. Kto tylko był w Kazaniu, wybierał się - do Jełabugi, ta, gdzie wiecie... Zaglądano do Uświęconej sieni, szukając oczami tego haka, na którym, wiecie... Gospodyni, wypytywana bez końca, odpowiadała niechętnie, półgębkiem. Tyle hałasu z powodu tego pasożyta, tej wiedźmy! A do drzwi wciąż stukano. Więc tu właśnie NAJWIĘKSZA... Więc tu właśnie GENIALNA... Więc tu właśnie - NIEŚMIERTELNA... Ryto wśród zapadniętych grobów, usiłując na próżno odszukać ten właśnie, nikomu nie znany, przez nikogo wówczas, w 1941, nie oznaczony: po co?

"Gdybyśmy wiedzieli, że to taka znakomitość, jasne, że poszlibyśmy pochować. Ale tak?"

Anna Bojarska

Czerwiec 1977

Lech Dymarski

KANTATA TOTALNA

/na głos wiodący i wolne głosy z sali/

Annie i Stanisławowi
Barańczakom

Nie będzie nocy

Ani zmierzchu co zapada zasypie zasłoni
Będzie dzień jasny trwał jak jasny gwint
i żadnej na to siły która by

nie będzie Nocnych wybryków i melin
nocnych podróży i nocnych lokali
/pasożyt płaci kurwa pije kelner lży
a prasa to wszystko pochwala/ Nie

Koniec z tym

siedzeniem po nocach I koniec
z włóczeniem po nocach i strachem Nie
strachów nie będzie ani neonów co żrą

energię i nie przebudzi się nikt
ze snu złego oblany zimnym potem
o nie Nie będzie tego Nocnej straży i zmiany
a cmentarze Cóż spacery po nich

na porządku dziennym będą
Nie będzie nocy powiadam i nic
pod jej osłoną dziać się nie będzie

Ani nie spłoszy bądzących zabłąkanych
w lesie czy losie żaden duch widmo mara
zagubionych zatraconych zaślepionych
nie będzie Problem ślepych mówi Pan
No cóż są i tacy otoczymy ich
opieką nauka do t go czasu i oświata
otworzy im Pytacie państwo co

z zaćmieniami Zaćmienia są były i będą
i dobrze Rzucą światło na pewne sprawy
nie dość jasne Te dziecięce zabawy
w zamykanie oczu kto dłużej wytrzyma

A pozdrowieniem będzie Licho nie śpi Nie śpi

Noc starta będzie z ziemskiej półkuli
Nie spali się Nie sparzy Nie upadnie
rażony Przed udarem papier go ochroni

Deklaracja całkowitego zrównania
dnia z nocą Walki żywiołów nie będzie Tylko gra
słów Zdania podzielą się Jedni postawią
na skrócenie dnia pracy będą go skrawać

godzina po godzinie Inni
w tym czasie kawałek po kawałku
rozjaśnią mapę świata A prawda będzie

jak zwykle pośrodku i tu i tam
będą dobre strony Z jednej strony
dobrze że nie trzeba robić tyle godzin
z drugiej strony są w życiu takie piękne

dni które szkoda że się kończą Albo
najważniejszy dzień w życiu Dlaczego inne
są mniej ważne i komu na tym zależy

Nie nie nadejszie nic i nic wstanie
Nocy nie będzie a policjant oka nie zmrużyć
zabije myśl i serce zapłonie Nie ustanie czyn
i nawet przejściowych zachmurzeń Nie będzie

nocy

i nikt z miłością krył się nie będzie
pod czaszką kołdrą za przepierzeniem ścianą
wstydu Pod listu sklejonym skrzydłem

Nie będzie nocy powiadam Nie

będzie zmierzchu epok strachu arnidzdumienia
i mroku takiego w którym rozum wstydliwie gaśnie
i tylko ptak czasem krzyknie Nie
mogę i Tylko ptak czasem krzyknie

nie mogę zasnąć Ale
nie zaśnie

Lech Dymarski

Marek Baterowicz

SYLOGIZM I

Jeśli żyjesz w kraju
gdzie pięść jest silniejsza
od słowa,
nie bój się mówić
nawet pojmane jak mucha
słowo wybuchnie w dłoni oprawcy

SYLOGIZM II

Jeśli żyjesz w kraju
gdzie wolność głosu pogrzebano
w urnie
zamów mszę za jej popioły.
I sam śpiewaj!

SYLOGIZM III

Jeśli żyjesz w kraju,
gdzie najwyższym przekazem
jest miłość tylko
do czerwonych pomarańczy
bądź ślepy: to uchroni
twoje oczy i serce
dla jutra

SYLOGIZM IV

Jeśli żyjesz w kraju,
gdzie ludziom knebluje się usta
i wiąże ręce, odetchnij głęboko:
wolno ci jeszcze oddychać!

SYLOGIZM V

Jeśli żyjesz w kraju,
gdzie nad granicą rośnie drut kolczasty,
ciesz się każdym deszczem:
rdza będzie twoim sprzymierzeńcem!

SYLOGIZM VI

Jeśli żyjesz w kraju,
gdzie Najwyższy Chochoł
potrząsa widłami,
nie lękaj się: on pierwszy
zapali się od iskry!

SYLOGIZM VII

Jeśli żyjesz w kraju,
do którego wtargnęły obce czołgi,
uśmiechnij się:
pod ich ciężarem
błoto się rozstąpi!

SYLOGIZM VIII

Jeśli żyjesz w kraju
gdzie strażnicy noszą gwiazdę i topór
    uzbórj się w cierpliwość:
    każda gwiazda spada a topór tępieje!

SONET Z PIASKU I LIŚCI

W piaskach Południa nie osuszę twarzy
Skropionej deszczem na rodzinnych wzgórzach
W cieniu pamięci kołysze się róża
Wyrosła z mgły i wiślanej barwy.

Tam świerk wysoki stoi dziś na straży
Ziemi mej wydanej na mieczów zawieję
Tam stańczyk bólesny przez łzy się wciąż śmieje
I widzę orła rannego na tarczy -

W orszaku nędzników. Idą uroczyści -
Spadkobiercy hetmanów, korony, pieczęci
Intonując hymn na fałszywą nutę.

Buławy oddali na kolanach, zgięci.
Boże, coś Polskę ukorzył przed knutem,
Zapal nam wiosnę ze strąconych liści.

Lizbona, 6 XII 1979

Marek Baterowicz

Lothar Herbst

Z cyklu: WYZNANIA

PRZERAŻA MNIE

Przeraża mnie, że do wszystkiego
można się przyzwyczaić, wszystko
można sobie wytłumaczyć, wszystko
staje się koniecznością.
Przeraża mnie, że można się
przyzwyczaić do przelewu krwi,
do procesów, głodówek, protestów,
kłamstw i demagogii, do wszystkiego,
co znajduje racjonalne wyjaśnienie
w porannej gazecie.
Przeraża mnie ów stan, który staje
się również przyzwyczajeniem.
Stan nieważkości.

V, 79

KRZYK

Tym, którzy muszą

Wyjść poza bezwład,
strach i niedomówienia,
fałsz i nędzę naszych dni,
wyjść i krzyknąć
i wierzyć,
że ktoś ten krzyk usłyszy,
nie zważając na to,
że usłyszy to również ten,
któremu za to płacą.

I, 79

Jan Polkowski

KWESTIA PRZYZWYCZAJENIA

Żyjący w XIX wieku działacz i myśliciel
Henryk Kamieński, w najcięższe mrozy chodził ubrany
jedynie w surdut. /Przypuszczał, że prędzej czy później
znajdzie się na Syberii./

Przypuszczam, że kiedyś mogę się znaleźć
w więzieniu. /Więc przyzwyczajam się/.
Żyję tu.

x x x

Jeśli kłamałeś, proś.
Jeśli rzucałeś oszczerstwa, proś.
Jeśli nienawidziłeś, proś /o śmierć/.
Jeśli byłeś głupcem, tchórzem, zdrajcą,
nic prócz żebraniny ci dane nie będzie.
/Moja ręko, głowo,
języku. Moje oko, mój brzuchu, moja krwi,
mój mózgu/.
Proś.
A ja ci nie odmówię nadziei
na ciemność.

Leszek Budrewicz

56 68 80

jesteśmy w Budapeszcie
zgrabna dziewczyna
biegnie z automatem
i dobija się od ściany ognia
pada jak po ciosie mógłby
upaść Laszlo Papp

jesteśmy w Pradze
tłum zatrzymał czołg
żołnierz o pięknej słowiańskiej twarzy
podnosi do góry dłoń
pokazując literę V
za dwie minuty
otwieramy ogień

jesteśmy w Kandaharze
ludzie uderzają głowami
o ziemię
błagając
żeby się rozstąpiła

jesteśmy w Gdańsku
jesteśmy w Szczecinie Katowicach Wrocławiu
gdzie jesteśmy
jesteśmy w Łodzi Lublinie Poznaniu
jesteśmy w Kra

x x x

czas zastygł
zastąpiła go
niema zamknięta przestrzeń
choć jest nas tu
nie do wytrzymania
każdy walczy sam
wyzbywa się duszy
jak porzucająca broń i oporządzenie
zatruta strachem armia
z daleka dobiegają
echa pokojowej porcelany gabinetów
w których słowa
trącają się lekko nawzajem
codziennie dokonuje się
trepanacji ciała
impregnacji twarzy
trawą mundurów
wszyscy mówią wciąż o wojnie
która nigdy nie może nastąpić
podobno oddział zwiadowców
przepija już z wojskami Kaina
daj Boże
wzdychają żołnierze
których strach i nienawiść
czyni zdolnymi do wszystkiego
niewierzący oficerowie
i niewierni rekruci
wypatrują jutrzenki
każdy innej.

Jacek Bocheński

MARZEC

Marzec 1968... Wymienia się tę datę wśród innych jako przynależną do pewnego ciągu i do pewnej klasy dat historycznych. Wylicza się więc jeden po drugim rok 56, 68, 70, 76 i 80, chcąc podkreślić, że chodzi o sekwencję elementów podobnych, mianowicie kolejnych zrywów społecznych zmierzających jakby do wspólnego celu. Myślę, że w zasadzie jest to słuszne. Marzec trzeba, oczywiście, uznać za przejaw dążeń wolnościowych i za pewien istotny etap w procesie powojennej emancypacji narodu. Są jednak ludzie, którzy skrzywiliby się na takie zakwalifikowanie Marca. Ja sam, gdy porównuję Marzec z resztą dat symbolizujących owe kolejne zrywy, wyczuwam pewną odrębność Marca. Wprawdzie każda z tych dat odróżnia się jakoś od pozostałych, ale Marzec odróżnia się bardziej.

Na czym polega ta odmienność Marca?

Po pierwsze, uczestników ruchu marcowego było stosunkowo niewielu. Nie można powiedzieć, że ruch protestacyjny czy wolnościowy ogarnął wtedy społeczeństwo polskie, jak stało się na przykład w roku 56 lub 80. Ruch marcowy ograniczał się do skromnych liczebnie grup kontestatorskich pochodzących z elity inteligenckiej. Był to jakby List 34 w powiększeniu, zwielokrotniony, ale wciąż jeszcze List 34 z tym samym Antonim Słonimskim w jednej z głównych ról. Rzeczywistą rolę Słonimskiego chyba przeceniono, może właśnie dlatego, że na oko ucieleśniał tak dobrze idee Marca. Nie był to jednak masowy ruch społeczny. Nie był to nawet masowy ruch inteligencki. Nie można twierdzić, że zyskał poparcie większości inteligentów. Uczestniczyli w nim aktywnie studenci, literaci, niektórzy naukowcy, lecz inteligencja techniczna w niewielkim stopniu. Wprawdzie animatoramikażdego, największego nawet ruchu, każdej rewolucji czy innych wystąpień masowych w historii były zawsze jednostki, grupy elitarne lub - wedle innej terminologii - awangardowe, które w pewnej chwili dokonywały jakby kreacji ex nihilo i stawały na czele milionów /co zaszło u nas w roku 80/, ale w roku 68 wypadki tak się nie potoczyły. Materialnie ruch pozostał ograniczony do wąskiego środowiska, trwał krótko, promieniowanie ruchu było słabe, sam ruch zdawał się całkiem niewspółmierny z siłami, przeciw którym wystąpił.

Po drugie, ruch marcowy odznaczał się elitarnością nie tylko w tym sensie, że skupiał ludzi wykształconych, lecz i w tym, że przyciągał osoby wyróżniające się pewnym stylem politycznego myślenia. Nazywam to może niezbyt jasno stylem politycznego myślenia, a nie po prostu poglądami politycznymi, gdyż mniej chodzi mi o treść poglądów, bardziej o ich kulturę i tzw. przyzwoitość, czyli poziom etyczny. Najogólniej można powiedzieć, że conione były poglądy liberalno-lewicowe. Lecz jeśli do lewicy dadzą się zaliczyć właśnie Słonimski, Kołakowski oraz aresztowani wówczas Modzelewski i Kuroń, to trudniej nazwać lewicowcami Kisielewskiego albo Jasienicę. Z drugiej strony zaliczenie ich do prawicy wydaje się kwalifikacją wątpliwą i cokolwiek prostacką. Moim zdaniem trzeba uznać, że istotne elementy ideologii lewicowej, demokratycznej i wręcz socjalistycznej były w założeniach programowych Marca wyraźnie obecne. Ruch rozwinął się na pewno pod odżywczym tchnieniem nadchodzącej wiosny praskiej. Wizja socjalizmu z ludzką twarzą niewątpliwie go pociągała. Pod tym względem był to więc ruch lewicowy. Ale powstał przecież w obronie Mickiewicza i "Dziadów". Pod tym względem znowu zachowywał się jak ruch patriotyczny, narodowy. Można więc powiedzieć, że miał w sobie tak-

że coś prawicowego. Najważniejsza jednak i najbardziej charakterystyczna dla ruchu była niezgoda na ekscesy obu typów, rodem z lewicy i rodem z prawicy, takie jak dyktatura piurokracji komunistycznej lub nacjonalizm, jak cenzura i antysemityzm. To właśnie stanowiło ów elegancki, nieco ekskluzywny styl ruchu. Panowały tu: wstręt do przemocy i rządów autokratycznych, obojętność na przyziemne wartości materialne, a za to kult imponderabiliów, praworządności, konstytucji i tolerancji. Był to program nie dla każdego, ponieważ był trudny. Gdybyśmy zasadę podziału na chamów i Żydów przyjętą przez Witolda Jedlickiego w opisie życia politycznego lat sześćdziesiątych rozszerzyli cokolwiek i chcieli odnieść do Marca, to w ruchu, o którym mowa, było, oczywiście, wiele pierwiastków "żydowskich", a wcale nie było "chamskich". Ruch ten starł się z "chamami" i w starciu tym natychmiast przegrał, między innymi dlatego, że polityka nie jest próbą moralności ani inteligencji dla elegantów, lecz robotą chamską.

Po trzecie, ruch właśnie przegrał. Nie osiągnął żadnego z postawionych sobie celów, został gwałtownie stłumiony, jego przywódców i bohaterów uwięziono bądź poddano prześladowaniom, ucisk i dewastacja kultury po Marcu stały się większe, niż były poprzednio. Tak fatalnych wyników nie przyniósł żaden inny zryw, wszystkie kończyły się jakimś bądź co bądź sukcesem. Nawet po roku 76, kiedy wielu zbuntowanych robotników aresztowano i przepędzono przez "ścieżki zdrowia", podwyżkę cen musiano cofnąć. Trzeba było lat, żeby niektóre dodatnie skutki Marca dały o sobie znać w sposób pośredni. Bezpośrednim następstwem była tylko przegrana. Rok 70 jej nie anulował, lecz niejako zatwierdził i prolongował na czas nieokreślony, czyli na lata kiełbasianego dobrobytu Gierka.

Po czwarte, ruch marcowy w przeciwieństwie do wszystkich innych buntów, nie tylko późniejszych, ale i poznańskiego w roku 56, nie wysunął roszczeń ekonomicznych ani socjalnych. Było to największym błędem Marca i zupełnym nieporozumieniem w sytuacji, gdy szeroki ogół zaczynał już coraz dotkliwiej odczuwać potrzebę takich roszczeń. Tymczasem hasło "nie ma chleba bez wolności" było niejasne i mogło sugerować, że jego rzecznikom nie zależy na chlebie.

Krótko mówiąc, różnica między Marcem a innymi wybuchami sprzeciwu społecznego w PRL polegała na tym, że w Marcu wszczęło bunt mało ludzi, że stanowili grupę typu elitarnego i że przegrali dość gładko, nie upomniawszy się o interesy materialny świata pracy.

Byłem - tak jak spore grono osób ze środowiska literackiego - człowiekiem zaangażowanym do pewnego stopnia w ruch marcowy. Zamiast wyliczać tu cechy niefortunne, odróżniające Marzec od innych rewolt, wyliczyłbym z większą satysfakcją pozytywne podobieństwa, które go z tym rewoltami łączą. Myślę jednak, że mogę się bez takiego wyliczenia obejść. Prawdopodobnie wszelkie cechy, jakich zdołałbym się jeszcze w ruchu marcowym dopatrzeć, byłyby już cechami wspólnymi, właściwymi wszystkim przejawom oporu znanym z powojennej historii Polski. Z jednym ograniczeniem: powstrzymywanie się od demonstracji agresywnych i gwałtownych łączy Marzec tylko z sierpniem 1980. Jest to związek znamienny, do którego wrócę.

Na razie chciałbym zatrzymać się jeszcze przy tym, co stanowi odrębność i osobliwość Marca, lecz już innego rodzaju, mianowicie osobliwość nie wynikającą z natury samego ruchu, ale z okoliczności zewnętrznych, w których się ruch nieoczekiwanie znalazł. W naszej pamięci istnieją właściwie dwa ruchy marcowe: jeden tworzony przez inteligencję, literatów i studentów, drugi przez półinteligencję, a zwłaszcza przez powstałą wtedy szczególną formację aferzystów i awanturników polityczno-policyjnych. Dotychczas mówiliśmy tylko o pierwszym zjawisku: wolnościowym ruchu elity inteligenckiej. Otóż niespodzianką Marca było, że ów drugi ruch reżimowo-łobuzerski nie tylko się pojawił jako nagła odpowiedź na pierwszy, ale że także on był swego rodzaju rewoltą.

Drugi ruch skupiał - najogólniej mówiąc - niezadowolonych funkcjonariuszy systemu, których ambicje życiowe, materialne, prestiżowe, nepotyczne co do karier, konsumpcji, splendoru i na przykład uprzywilejowania dzieci nie

zostały zaspokojone stosownie do oczekiwań i których poczucie bezpieczeństwa, stabilizacji i bezkarności nie zostało ugruntowane dość solidnie. Byli to zażarci zwolennicy tzw. zmian kadrowych, rozgoryczeni zbyt powolnym tempem awansów. Była to cała kasta dorobkiewiczów partyjnych, niecierpliwie czekająca swej godziny, żądna samochodów, domów letniskowych, wyjazdów zagranicznych i twardej waluty, mająca dość czekania i zamierzająca pobrać, co się jej "należy", w sposób radykalny. Tak bojowo usposobiono wkraczał na arenę przyszły establishment Gierkowski. Jego złote czasy miały nastać dopiero za kilka lat. Teraz jednak wszyscy ci wielcy rwacze in spe potrzebowali wodza, który poprowadziłby ich do szturmu, a na takiego odpowiedniejszy od Gierka wydawał się zwierzchnik MSW i młodszego niż dzisiaj o 13 lat ZBOWiD-u, partyzant Mieczysław Moczar.

Pojawienie się prądu demokratyczno-wolnościowego /szczególnie w obliczu emancypującej się właśnie Czechosłowacji/ musiało, jeśli nie przerazić, to przynajmniej dobrze rozdrażnić tych niecierpliwców, którym wprawdzie Polska Ludowa "wszystko dała", ale powinna była dać więcej. Ich głównym, często jedynym atutem było głębokie umiłowanie "socjalistycznej ojczyzny", gorzej przedstawiała się na ogół sprawa zdolności i wykształcenia. Ludzie ci obawiali się niewątpliwie, że w razie demokratyzacji systemu byliby zmuszeni pożegnać się nie tylko z nadziejami na lepsze kariery, ale że stanowiskami i przywilejami, które już posiadali. W tym momencie jednak otworzyła się przed nimi wyjątkowa, wspaniała szansa: ruszyć po swoje z pałką w dłoni. Śmierzając ruch demokratyczno-wolnościowy, można było za jednym zamachem zlikwidować niebezpieczeństwo i potwierdzić, iż jest się niezastąpionym gwarantem systemu. Akcję tę wykonano z powodzeniem, chociaż jej efekty były niezupełnie takie, jak pragnęli inicjatorzy: Gomułki nie udało się usunąć, Moczar nie potrafił przejąć władzy, wielki skok na kasę w wykonaniu patriotów pod wodzą Gierka miał się odbyć dopiero w przyszłości.

Ponieważ jednak doszedł on do skutku po roku 70 w okolicznościach nieco podobnych, bo też jako następstwo rozruchów, nie inteligenckich tym razem, lecz robotniczych, pozwoliło to utrwalić się pewnej teorii, która głosiła, że wszelkie akty oporu sprzyjają u nas tylko policji, frakcjom partyjnym, mafiom czy innym klikom dążącym do władzy, są wręcz przez nie aranżowane, prowokowane, sterowane, czego Marzec miał być świadectwem najoczywistszym. Przecież wiadomo - mówiono - Marzec to dzieło prowokatorów. W tej interpretacji wolnościowy ruch marcowy został umyślnie wywołany po raz drugi, policyjno-mafijny, gdyż był temu drugiemu potrzebny. Płynęła stąd nauka ogólna, że lepiej nie angażować się w ruchy wolnościowe, aby nie dać się nabrać prowokatorom i nie torować drogi do władzy ciemnym siłom. Niech już będzie Gierek. Była to teoria rozgrzeszająca z oportunizmu, tchórzostwa i bezczynności, a więc bardzo wygodna. Panowała ona w różnych środowiskach inteligenckich jak polityczny aksjomat niemal do końca lat siedemdziesiątych.

Może jeszcze bardziej niż przeświadczenie o prowokacji jako przyczynie sprawczej ruchu wolnościowego zamąciła obraz Marca perypetia żydowska. Ruch policyjno-mafijny skorzystał mianowicie z okazji, jaką po wojnie sześciodniowej stanowiło zapotrzebowanie radzieckiej polityki zagranicznej na ostry kurs antyizraelski m.in. w krajach Obozu. Spełniając to zamówienie radzieckie Gomułka już kilka miesięcy wcześniej proklamował pamiętną tezę o syjonistycznej "piątej kolumnie", o dywersji w PAP-ie i karygodnych libacjach w redakcji "Przyjaciółki", gdzie rzekomo jacyś dziennikarze nie mogący się zdecydować, ile mają ojczyzn, święcili zwycięstwa izraelskie. Gomułka jednak nie bardzo chciał się zgodzić z koronnym argumentem ruchu policyjno-mafijnego przeciwko wolnościowemu, argumentem głoszącym, że w polskim Marcu chodzi o spisek żydowski, a obrona "Dziadów" to w istocie zamach "syjonistyczny" na interesy narodowe Polaków. Tymczasem główną i właściwie jedyną otwarcie manifestowaną doktryną ruchu policyjno-mafijnego był tzw. antysyjonizm. Nawiasem mówiąc, nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego postulat, by Żydzi opuszczali Polskę i jechali do Izraela, czyli realizowali właśnie program syjonistyczny, miał być nazywany antysyjonizmem. W rzeczywistości był to po prostu antysemityzm, nawiązujący częściowo do autentycznej tradycji endeckiej,

bardziej jednak do rosyjskich wzorów czarnosecinnych rodem z Ochrany. Jest kwestią sporną, do jakiego stopnia ów agenturalny, sztuczny antysemityzm, spotkawszy się z niewygasłym antysemityzmem rodzimym, zyskał powodzenie w społeczeństwie, a do jakiego stopnia korzystał z aprobaty pozorowanej, która w tamtych czasach kwitowała wszelkie, nawet najbardziej karkołomne zabiegi propagandy oficjalnej /np. biskupi to zdrajcy narodu polskiego, przyjaciele Niemiec/. Faktem niespornym jest, że do walki z marcowym ruchem wolnościowym użyto argumentów antysemickich jako głównego narzędzia psychologicznego. Domieszka populizmu czy demagogii antyinteligenckiej zjawiająca się tu i ówdzie służyła przeważnie za podpórkę czy wystrój zewnętrzny tendencji antysemickich.

I oto, jak w czasach stalinowskich, olbrzymie zbiorowisko ludzkie wysłuchiwały bez oporu najbardziej niedorzecznych oskarżeń pod adresem prawdziwych lub rzekomych "wichrzycieli" marcowych, a następnie uchwalały pogromowe rezolucje, domagały się surowych kar itd. Ruchowi policyjno-mafijnemu chodziło w zasadzie o dwie rzeczy: po pierwsze o to, by zasugerować, że wszyscy "wichrzyciele" są Żydami, a jeśli wyjątkowo nie są, to mają jakieś wspólne z nimi interesy, obce interesom narodu polskiego; po drugie, chodziło o to, by zamienić się rolami: przypisać "syjonistom" pobudki i zamiary własne /chęć zdobycia władzy, "Zambrowski do Biura" itd./, sobie natomiast pobudki i zamiary uczestników ruchu wolnościowego /patriotyzm, sprawiedliwość, można jeszcze wymienić "odnowę" - słowo lansowane przez moczarowców w Marcu!/. Wszystko to razem powinno było wywołać wrażenie, że ruch wolnościowy powstał nie wskutek zagrożenia kultury i elementarnych swobód obywatelskich w Polsce, ale tylko wskutek zagrożenia Żydów. Chciano odwrócić logiczny porządek rzeczy: wedle tej interpretacji ruch nie dlatego wystąpił w obronie Żydów przed antysemitami, że wynikało to z ogólnych założeń wolnościowo-demokratycznych, ale dlatego podawał się za wolnościowy, żeby posłużyć Żydom. W istocie nie był wcale wolnościowy, do demokracji odnosił się wrogo, ponieważ Żydzi byli stalinowcami, notorycznymi sprawcami ucisku, prześladowcami chłopów, jak Stefan Staszewski, a ruch stawiał sobie właśnie za cel popieranie tych ciemiężycieli. Krótko mówiąc, zmierzał on do przywrócenia stalinizmu, gdy tymczasem jego policyjno-mafijni pogromcy zabiegali o zniesienie przywilejów żydowskich zachowanych po stalinizmie, o sprawiedliwość dla człowieka pracy i ogólne dobro Polaków. Słowo "stalinizm" zresztą nie wymieniano na wszelki wypadek. Uwaga koncentrowała się głównie na niebywałej zachłanności tzw. syjonistów, którym nigdy nie było dość władzy, stanowisk, pieniędzy i posad. Na przykład z artykułów prasowych wynikało, że Słonimski miał coś w rodzaju posady prezesa Związku Literatów Polskich, a i tego było mu mało, targnął się więc na władzę ludową, no ale tu już przebrała się miarka, teraz mu się jego posadę odbierze. W rzeczywistości Słonimski od blisko dziesięciu lat prezesem ZLP nie był. Objął tę funkcję /honorową, oczywiście/ po październiku 56, ale już w roku 59 pod naciskiem partii został jej pozbawiony. Prezesurę przejął Iwaszkiewicz i zachował przez lat dwadzieścia, aż do śmierci.

Przeciętny człowiek w Polsce czerpał wiedzę o Marcu z telewizji i gazet, a ponadto - co szczególnie ważne - z masówek i zebrań, które najczęściej polegały na tzw. rozliczaniu jakiegoś "syjonisty", jeśli się taki trafił i można go było wyrzucić z pracy, z mieszkania albo z kraju. Idee patriotyczno-wolnościowe intelektualistów i studentów, będące pierwotną i zasadniczą treścią Marca, nie dotarły prawie do świadomości ogółu, zagłuszone dzikim zgiełkiem antysemitów, harmiderem owych "rozliczeń", w których ścigano także nadużycia rzeczywiste, typowe dla przedstawicieli komunistycznego establishmentu, ale tylko w wypadku, gdy sprawcą był Żyd. Miało to nadać kampanii antysemickiej pozór wspomnianej już odnowy, czyli usuwania przez ruch policyjno-mafijny dokuczliwych plag systemu. Owszem - powiadano - żyliście źle, ale to wina Żydów, z którymi właśnie robimy porządek. A ci Żydzi byliby się wam jeszcze bardziej dali we znaki, gdyby w pełni doszli do władzy, jak próbowali w Marcu!

Prawdopodobnie znaczna część społeczeństwa nie wiedziała i może nie wie do dzisiaj, że w Marcu działał w ogóle jakiś ruch, w którym chodziło o sprawy

nie dotyczące Żydów. Przeciwnikom ruchu wolnościowego udało się bowiem z dużą pewnością odwrócić uwagę większości Polaków od istoty konfliktu, obraz jego gruntownie wypaczyć, wszelką wiadomość o nim utopić w powodzi nonsensów, takich na przykład, że rozwścieczeni stalinowscy żydowscy, inspirowani przez Szymona Wiesentala i wywiad izraelski, a sprzymierzeni z neohitlerowcami, zmierzają do oderwania od Polski ziem zachodnich i do oddania ich Niemcom. Wzór ten miano w przyszłości wielokrotnie powtórzyć w walce z opozycją, m.in. z KOR-em.

Nie twierdzę, że Polacy uwierzyli w takie brednie marcowe, twierdzę jednak, że manipulacja okazała się dostateczna, żeby zablokować dopływ informacji prawdziwej i wywołać zamęt w opinii, którego ślady przetrwały do dzisiaj.

W czym widzę te ślady?

Otóż często się zdarza, że ludzie, którzy do wielu zrywów wolnościowych, na początku przeze mnie wymienionych, odnoszą się ze zrozumieniem i sympatią, mają do Marca stosunek nacechowany rezerwą jako do sprawy niezupełnie swojej. Wprawdzie rozruchy robotnicze z roku 76 nastręczają niektórym podobną trudność, bo jakże identyfikować się na przykład z rozbijaczami sklepów, ale są jednak kwestią prostszą. W wypadku Marca wszystko jest skomplikowane.

Chciałbym od razu przestrzec przed pokusą usunięcia sobie w głowie tej komplikacji w sposób najłatwiejszy. Najłatwiej oczywiście uznać, że Polacy to w ogóle antysemici, którzy chętnie dali posłuch temu, co policyjno-mafijna propaganda głosiła w Marcu. Temu zgryźliwemu stereotypowi można przeciwstawić inny ogólnik, że Polacy nie przyjmują do wiadomości niczego, co mówi propaganda komunistyczna, dlaczego by więc mieli nagle swą naturę zmienić? Zamiast rozpoczynać w tym miejscu kłótnię, czy Polacy są bardziej antysemitami czy bardziej antykomunistami, lepiej uznać, że oba pewniki są wątpliwe.

Tymczasem proszę zważyć choćby taką rzecz: rozróżniliśmy tutaj dwa ruchy marcowe, ale myślę, że obserwator słabo zorientowany i niewprawny w analizie takich plątanin i kamuflaży politycznych, jak marcowe, mógł w roku 68 wcale nie widzieć tej dwoistości, a jeśli ją spostrzegł, nie zawsze umiał się połapać, który wątek jest który. Czy dziś każdy wie, o co chodzi, gdy mówi się "Marzec"? Sądzę, że dla większości ludzi w Polsce jest to przede wszystkim coś mętnego.

Dalej: propaganda była niemal wyłącznie antysemicka i obracała się wokół problemu "Żydzi czy nie Żydzi", ale rzeczywistość, z której ruch marcowy faktycznie wyrósł i w której działał, stanowiła strukturę bardziej zróżnicowaną. Cóż ludzie wiedzieli o dwudziestotrzyletnim wówczas ustroju? Otóż przede wszystkim znali jedną jego cechę: ustrój nie przewiduje i nie dopuszcza do istnienia żadnych sił czy orientacji politycznych poza prokomunistycznymi. Pamiętajmy, że październik 56 był dziełem komunistów, wymuszonym częściowo przez naród, ale wykonanym ostatecznie przez PZPR! Pojęcie opozycji w tym ustroju nie było znane, pluralizm zdawał się czymś równie fantastycznym jak świat nadprzyrodzony, chociaż istniały, oczywiście, tzw. stronnictwa, parlament itd. Działać niezależnie i autentycznie nikt nie mógł, jeśli więc pojawił się ktoś, kto zaczynał coś takiego robić, uważano, że z definicji działa nieautentycznie, a w każdym razie w ramach udzielonej mu licencji, pod kontrolą i w interesie komunistów. Gdy 8 marca roku 68 stałem na Krakowskim Przedmieściu przed Uniwersytetem, gdzie właśnie odbywał się wiec studencki, przechodnie, z którymi rozmawiałem, wyrażali przypuszczenie, że jest to kolejna manifestacja na rzecz Wietnamu. Okazało się później, że nie chodzi o Wietnam, lecz o jakiś spór krajowy, który chyba musi być prawdziwy, skoro doprowadza sprawujących władzę do białej gorączki, a milicja wkracza z pałkami. Czyż jednak mógł to być spór inny niż wewnętrzny, w łonie establishmentu, między jego poróżnionymi odłamami? Przecież właśnie walki między komunistami były od lat najlepiej znaną formą konfliktu politycznego w tym ustroju.

Propaganda policyjno-mafijna dostarczała, oczywiście, argumentów na potwierdzenie tej tezy, ale dołączył się jeszcze jeden czynnik. Ideologia lewicy, jak mówiłem, była w ruchu marcowym widoczna. Ustrój natomiast zdążył ją skompromitować, obrócić w rzecz podejrzaną i trącącą oszustwem niemal wszys-

tko, co się wiązało z lewicą. Mało tego. Pamięć o dawniejszych, niewątpliwych ruchach wolnościowych i niepodległościowych, o niewątpliwej opozycji z lat czterdziestych, o poniesionych przez nią ofiarach, m.in. krwawych, o ludziach zabitych, więzionych, zniesławionych, potem wypuszczonych na wolność, ale nigdy nie usatysfakcjonowanych uczciwym przedstawieniem prawdy o nich, ta pamięć nie sprzyjała gorącym uczuciom wobec ruchu marcowego, który na tak drastycznym tle nieszczególnie wyglądał. Zwłaszcza gdy wzięło się pod uwagę dwa fakty, skądinąd paradoksalne: ruch marcowy nie domagał się niczego więcej niż ważnych oczywiście, ale korekcyjnych zabiegów w obrębie systemu, czyli w granicach, których przestrzegania - jak wiadomo - zawsze żądali komuniści; w ruchu działała rzeczywiście spora grupa byłych marksistów, chociaż nie byli to, jak chciała propaganda, ludzie z dawnego aparatu władzy, odpowiedzialni za akty gwałtu, lecz raczej intelektualiści, profesorowie, pisarze oraz młodzież wychodząca dopiero spod wpływu oficjalnych organizacji socjalistycznych. Jednak wszyscy oni, aczkolwiek w nierównej mierze, ponosili odpowiedzialność za dokonaną przez siebie w pewnym momencie akceptację ideologii sprzyjającej gwałtom. Ta okoliczność, łatwa do wyzyskania zaczepnego i złośliwego, a zarazem drażniąca moralnie, odegrała ważną rolę w wytworzeniu, jeśli wolno tak powiedzieć, Gombrowiczowskiej "gęby" Marca. W poczuciu uczestników ruchu jest to karykatura tendencyjna, dziwaczna i niezbyt mądra. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że na przykład z perpesktywy więźniów okresu stalinowskiego jest to obraz naturalny, w którym proporcje są prawdziwe i wszystko wydaje się logiczne.

Sprawa ta powraca ostatnio w związku z wysuwanymi wobec władz żądaniami naprawienia krzywd moralnych. Pada wtedy pytanie, dlaczego przede wszystkim krzywdy marcowe się przypomina, a nie rewindykuje innych, często o wiele cięższych, jakie spotkały żołnierzy AK, działaczy PSL lub członków WiN-u.

Pytanie jest trudne. Wiele i długo myślałem o nim. Wydaje mi się, że są trzy podstawowe odpowiedzi na to pytanie, wszystkie przykre i wszystkie w konkluzji podobne, choć różne w motywacjach. Nazwałbym je odpowiedziami dziecka, polityka i historyka.

Dziecko odpowiada w sposób zapierający dech i w istocie okrutny, jak to dziecko. Nie potrzeba oddawać sprawiedliwości temu, co było przed dzieckiem, ponieważ nic nie było. Dziecko wie, że świat zaczął się z nim. Pokolenie, którego świadomość społeczna zaczyna się w Marcu, słyszało, że przed nim były inne pokolenia, i podjęło nawet wielki wysiłek, by to zrozumieć, ale cóż z tego, kiedy prawdziwy świat zaczął się przecież w połowie lat sześćdziesiątych. Można tu jednak dodać, że wszystkie poprzednie pokolenia odczuwały potrzebę historycznej sprawiedliwości w taki sam sposób, wyolbrzymiając to co współczesne i swoje, a redukując to co wcześniejsze i cudze. Stare krzywdy szły w zapomnienie, nowe zajmowały ich własne miejsce trochę bezprawnie.

Polityk powie, że co się tyczy Marca, to wcale nie tak bezprawnie. O krzywdy dawniejsze już się upomniano, między innymi zajmował się tym Październik, który w zasadzie załatwił rehabilitację AK. Nie do końca? Zgoda, ale rehabilitacji ofiar Marca nawet nie rozpoczęto, za Gierka przerwano tylko stosowane wobec nich represje, zwolniono więźniów, pokazano w telewizji Słonimskiego mówiącego na obojętny temat i wydrukowano pośmiertnie Jasienicę, ale czyż kiedykolwiek uniewinniono z oskarżeń o działalność przestępczą Modzelewskiego, Kuronia, Michnika, czy odwołano oszczerstwa rzucone na Jasienicę?

Polityk powie dalej, że także późniejszym ofiarom śmiertelnym z grudnia 70 oddano już hołd, że o krzywdy robotnicze z czerwca 76 toczyła się wielka batalia, a przy okazji powstał KOR, że dzięki potędze robotników i skoncentrowanej uwadze publicznej rewindykacje dotyczące lat 70 i 76 doczekały się w końcu uznania i bodaj symbolicznego zaspokojenia, natomiast Marzec jest z jakichś przyczyn ciągle pomijany. Polityk doda, że zna te przyczyny. Przypomni, że właśnie po Marcu udzielanie satysfakcji ofiarom okresu stalinowskiego, szczególnie AK-owcom przez takie organizacje jak ZBoWiD bardzo się wzmogło i nabrało cech pokazowych. Im bardziej prześladuje się aktualną, czynną opozycję, tym pilniej honoruje się nieaktualną, już nieczynną. To pra-

wo działa także teraz - powie polityk. - Żywię podziw i sympatię dla patriotów, którzy w latach czterdziestych czy pięćdziesiątych cierpieli, ale obawiam się, że wysuwanie ich sprawy na plan pierwszy pozwoli odwrócić uwagę od newralgicznego punktu, w którym dziś rozstrzyga się, być może, przyszłość kraju. A mam na myśli stosunek do tzw. sił antysocjalistycznych, czyli w gruncie rzeczy do dawnego ruchu marcowego, który był wolnościowym ruchem inteligenckim, później sprzymierzył się z ruchem robotniczym, nauczył się od niego przebojowości, jemu zaś potrafił przekazać ideę walki o prawa ludzkie bez stosowania przemocy, w końcu stał się niejako mózgiem Sierpnia i "Solidarności". Słowem, w interesie społecznym leży obecnie taki priorytet: upominajmy się przede wszystkim o rehabilitację i pełną nobilitację Marca.

Historyk nie podziela instrumentalnego stanowiska polityka. Chociaż istota jego profesji sprowadza się do wiedzy, że świat istniał przed nim, historyk jest w pewnym sensie bliższy dziecku niż politykowi. Rozumie mianowicie zasadę historycznej redukcji, którą dziecko tylko stosuje. Historyk nie pomija nic, żadnego faktu, jeśli fakt zaszedł, ale jest okrutny jak dziecko w przyznawaniu lub odbieraniu faktowi znaczenia. Będzie jeszcze badał nasze dzieje i wydawał nieoczekiwane wyroki. Lecz jeśli robi to dziś i wedle dostępnych mu kryteriów ocenia wszystkie nasze ruchy wolnościowe, czy nie dzieli ich na przykład na tradycyjne i prekursorskie? O które z nich bardziej się - po swojemu oczywiście - upomina? To znaczy: którym przypisuje większą ważność historyczną? Które wydają mu się godniejsze obrony? Ponieważ jest człowiekiem współczesnym, opowiada się naturalnie za ruchami prekursorskimi na niekorzyść tradycyjnych. Sądzę, że do prekursorskich zalicza się raczej przegrany Marzec 68, niż bezowocny opór PSL-u w roku 47, że mimo porażki w roku 68 widzi linię rozwojową Marca prowadzącą do roku 80, w czym staje się podobny do polityka. Natomiast z zimnym obiektywizmem odsyła klasyczny wysiłek niepodległościowy do lamusa tradycji, w czym może błądzi.

Nie jestem historykiem, nie będę tego rozstrzygał, nie jestem też dzieckiem ani politykiem, nie moją rzeczą jest odcinać się od czegokolwiek lub formułować programy. Moją rzeczą jest opowiedzieć o świecie, tak jak go widzę i rozumiem. To właśnie zrobiłem.

Ale skłamałbym, gdybym powiedział, że ani trochę nie jestem dzieckiem, politykiem i historykiem. Jak każdy człowiek zapewne, jestem z konieczności wszystkimi nimi po trosze i nie mogę się wyprzeć pewnego związku z ich stanowiskami.

Nie mogę też zaprzeczyć, że czuję dotkliwą potrzebę moralnego przeciwstawienia się ich stanowiskom i upominania się o stare, nieaktualne krzywdy, upominania się tylko dlatego, że były krzywdami i że przecież mógłbym się o nie upominać.

Jacek Bocheński

Jan Kelus

DZIEŃ ZMARŁYCH W GÓRNEJ GRUPIE

Materiał do niniejszego reportażu zbierałem jako wysłannik "Niezależności", pisma wydawanego przez NSZZ "Solidarność" Regionu Mazowsze. Stosownie do umowy z redakcją, w numerze 7/8 "Niezależności" ukazały się fragmenty mojej zbyt obszernej - jak na "małą poligrafię" - pracy oraz komentarz redakcyjny z informacją, że "całość autor będzie się starał opublikować gdzie indziej". W sytuacji normalnej tekst mój powinien by się ukazać, oczywiście, nie w kwartalniku, lecz w wielonakładowym tygodniku w tydzień lub dwa po wypadku. Ukazuje się w "Zapisie" dlatego po prostu, że nie chciałem go narazić na ingerencje cenzorskie w prasie licencjonowanej. Ze względu na szczególny temat i dramatyczne wydarzenia stanąłem przed wyborem trudniejszym niż zwykle: czy zgodzić się na cenzurę, ale trafić do wielu czytelników, czy zapewnić sobie integralność tekstu, ale za cenę ograniczonego odbioru. Moim głównym programem była raczej działalność społeczna. Dlatego, decydując się na druk w "Zapisie", udostępniłem tekst również Ośrodkowi Badań Społecznych przy Regionie Mazowsze i rozesłałem go pocztą do osób i instytucji, które interesują się - lub przynajmniej powinny się interesować - katastrofalnym stanem lecznictwa psychiatrycznego w naszym kraju.

/Przypis autora/

Najpierw jedziemy do Świecia. Górnej Grupy nie ma w atlasie samochodowym - jest tylko Dolna. To pewnie gdzieś obok, ale nie wiadomo, czy na miejscu kogokolwiek zastaniemy. Górna Grupa to był /teraz już się mówi "był"/ tzw. oddział filialny Wojewódzkiego Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Świeciu nad Wisłą. Więc najpierw o Świeciu. Sprawdzam informacje, uzyskane przed wyjazdem z Instytutu Psychoneurologicznego. Kombinat psychiatryczny Świecie, zbudowany przed wojną z myślą o 600 chorych, jest jednym z największych w kraju. Około 2000 chorych, 33 lekarzy /w tym 28 psychiatrów/. Typowy stary moloch psychiatryczny. Wskaźniki zagęszczenia, stan budynków, liczba personelu na 100 pacjentów także typowe dla kraju. Pamiętam, jak moi rozmówcy z Instytutu starali się mi wytłumaczyć, że to, co stało się w Górnej Grupie, mogło się stać w każdym z 22 filialnych oddziałów dla tzw. chroników. Większość z nich wygląda podobnie. Mam relacje, dane statystyczne, adresy. Szpital w Sieniawce koło Zgorzelca ulokowany w starych magazynach tytoniowych. Kalwaria Zebrzydowska, oddział szpitala w Kobierzynie, 93 łóżka - 2,9 m^2 powierzchni dla chorego. Oddział w Raciborowicach, filia szpitala w Bolesławcu, 36 chorych z jedną pielęgniarką. Pobliska kopalnia miedzi poznawiła go wody bieżącej. Dowozi się beczkowozem. Też dobre miejsce na pożar.

Przypadkiem więc jakby jadę szosą E81 do Świecia. Mógłbym jechać pod któryś z wymienionych wyżej adresów. Także do Kocborowa, Kobierzyna, Chorosczy, Lubiąża. Nie mógłbym jechać natomiast w okolice Ciechanowa, Ostrołęki.

Tam jest biała plama na mapie obiektów psychiatrycznych. Tam nie wybudowano nic. Nie znaleziono także starych poniemieckich budynków, klasztorów, dworów. A one stanowią 80% psychiatrycznej infrastruktury. Gdybym zachorował w Ostrołęce - powędrowałbym do Choroszczy albo do Węgorzewa. Pożar w Górnej Grupie prócz tego, że pochłonął 55 ofiar , zmniejszył liczbę łóżek w lecznictwie psychiatrycznym o prawie pół tysiąca. Nie wiem jeszcze, że w ramach starań o to, aby ubytek ten uzupełnić czymś trwalszym niż prowizoryczna plomba, Instytut Psychoneurologiczny rozpocznie starania o przekazanie na szpital budynku wzniesionego dla KW właśnie w Ostrołęce. Podobno przesadzono trochę z jego standardem. Basen i sauna mają ostatnio złą prasę - i rzeczywiście wygląda na to, że budynek zostanie komuś przekazany.

Do szpitala prowadzą z centrum drogowskazy "PUNKT INFORMACYJNY SZPITALA W ŚWIECIU". W ten sposób kierowano rodziny ofiar i rodziny takie, którym udało się wreszcie dowiedzieć, że rodzinami ofiar nie są. W portierni ludzie z biało-czerwonymi opaskami. Trwa strajk okupacyjny pracowników służby zdrowia w budynku WRN w Gdańsku. Pokazuję swoją akredytację z pieczątką Regionu Mazowsze. Wszystkimi wewnętrznymi telefonami wydzwaniają przewodniczącego Zakładowego Komitetu Założycielskiego. Prowadzą, pokazują drogę, są bardzo życzliwi. Przewodniczącym jest pan Kirsztejn, miejscowy spawacz. Dwadzieścia parę lat pracy w tym szpitalu, był w starej Radzie, potem go usunięto. Związek założyli we wrześniu. W starych związkach zostało 30 osób z sześćsetosobowej załogi.

Pan Kirsztejn prowadzi nas na jeden z oddziałów szpitalnych. Klucze, trójkąt i tzw. sekret. Na końcu korytarza pokój lekarski. Na drzwiach wywieszka "CHORYM WSTĘP DO POKOJU LEKARSKIEGO WZBRONIONY". Wchodzimy. Pielęgniarki, też w biało-czerwonych opaskach, zaczynają szukać ordynatora i doktora Michorzewskiego.

Musimy najpierw wysłuchać lokalnego serwisu informacyjnego. Strajk solidarnościowy WPK w Bydgoszczy, kłopoty z Celulozą, której załoga dała się nabrać na niezależny samorządny i branżowy i teraz dopiero 2000 jest w "Solidarności", kłopoty z lokalną prasą, wczorajsze zebranie w MKZ w Bydgoszczy w tej sprawie. Nic w tym dziwnego, od katastrofy minęło 12 pełnych dni, a każdy z nich przyniósł więcej niż całe miesiące poprzedniego marazmu.

Są już lekarze związkowcy. Rozpoczynają się długie rozmowy, najpierw tu, na oddziale, potem w prywatnych mieszkaniach, do których jesteśmy kolejno zapraszani. Dużo nadziei, zupełna otwartość, co do spraw ogólnych - żadnych tematów tabu. Inaczej z tym, po co głównie przyjechaliśmy. Tutaj oczywiście są jakieś układy, niedomówienia, gry. Nie może być inaczej.

Wszystko kręci się ostatecznie wokół sprawy odpowiedzialności. Oczywiście nie odpowiedzialności w kategoriach moralnych, lecz instytucjonalnych raczej, a jeśli personalnych, to też powiązanych z instytucją. Nie oczekiwałem w końcu, że spotkam tu Conradowskiego Lorda Jima. Nie oczekiwałem jednak również, że scenariusz odpowiedzi na temat wszystkiego, co dotyczy odpowiedzialności, zostanie opracowany tak dokładnie na wszystkich szczeblach. Tutaj scenariusz ten jest klarowny. Nie jest winny dyrektor szpitala Petelski, lecz dyrektor Piotrowski. Jest to lekarz wojewódzki, choć już może nim nie jest. Prócz Górnej Grupy obciąża go jakaś sprawa nie rozliczonych 5 milionów złotych.

- Dyrekcja zwracała się do niego wielokrotnie w sprawie remontu Górnej Grupy - opowiada dr Izdebski - na zebraniu postrajkowym wysuwano w postulatach sprawę remontu i budowy dwóch pawilonów w Świeciu.

Postulaty strajkowe jako biurokratyczne alibi w sprawie - myślę - szybko to idzie.

Pan Kirsztejn, który jako spawacz i konserwator ma stałe kłopoty z kanalizacją, do której brak dokumentacji, stwierdza w tym momencie:

- To był pomysł niemądry, o czym na zebraniu mówiłem. Najpierw trzeba uzbroić teren. Po co rozbudowywać, jak i tak się nie wyrabiamy.

Wiem, że ma rację. Znane mi są także zalecenia Światowej Organizacji Zdrowia, wedle których Szpital w Świeciu jest pięć razy za duży. Pamiętam, że badania wykazują negatywną korelację między wielkością szpitala a wynika-

mi leczenia. Ale to naprawdę nie jest najważniejsze. Doktor Piotrowski na remont się nie zgodził, stwierdzając, że Grupa zostanie oddana na dom opieki społecznej. Niby to samo ministerstwo. Ale spaliłby się wtedy kto inny.

Natomiast inspekcja z Instytutu Psychoneurologicznego, który sprawuje nadzór specjalistyczny, była we wrześniu i nie miała zastrzeżeń do niczego, z wyjątkiem oddziału odwykowego na Żurawiej Kępie. Pytam, czy była także w Górnej Grupie. Nie, w Górnej Grupie nie była.

Potem będę pytał o to samo w Instytucie.

- Wniosków pokontrolnych na piśmie jeszcze nie ma - powie mi przedstawiciel dyrekcji - mogło im się wydawać, że było w porządku. Zresztą dokumenty, pisma to nie wszystko. Dyrektorowi Petelskiemu wielokrotnie tłumaczono, że oddział w Górnej Grupie należy zlikwidować. Nie chciał, nie potrafił, upierał się.

To jednak nie jest najważniejsze. Zdaniem lekarzy najważniejszy jest brak środków, etatów, poziom płac. Ten ostatni zwłaszcza nie pozwala ani na właściwą obsadę ani na dobór personelu. - Do pracy w Grupie przyjmowano wszystko, co się rusza - napisał reporter bydgoskich "Kujaw". To prawda, przyznają lekarze. Rzeczywiście, myślę, kto zostanie pielęgniarzem na męskim oddziale za trzy tysiące miesięcznie? Jak zwykle krzywdząc wszystkich przyzwoitych myślę natrętnie, że pół biedy, gdy będzie to homoseksualista. Gorzej, gdy sadysta. Jakby na potwierdzenie zasadności tych obaw słyszę natychmiast, że możemy się spotkać z różnymi plotkami, no, częściowo uzasadnionymi. Na przykład pielęgniarz, który zabił krzesłem epilepsy ptyka w zeszłym roku.

- Nam jest bardzo trudno. Lekarze innych specjalności pozwalają sobie na makabryczne żarty w rodzaju: "O tym, że mordują indywidualnie, to wiedzieliśmy, ale że palą w grupie?"

No i pensje lekarzy. O tym można mówić różnie. Znam jednak taki sposób mówienia i taki typ rozmówcy, który wywołuje u mnie nieodmiennie tę samą reakcję. Patrzę mianowicie człowiekowi w oczy i myślę: czy chcesz mnie przekonać, że gdyby ci dwa razy tyle płacili, to dwa razy lepiej byś mnie leczył? Mam także okazję poczuć to tutaj.

Naprzeciw bramy wjazdowej szpitala wisi transparent z wymalowanymi czarnymi literami hasłem: "NIE CHCEMY DALSZYCH OFIAR - ŻĄDAMY POPRAWY WARUNKÓW POBYTU PACJENTÓW W NASZYM SZPITALU. ZKZ NSZZ SOLIDARNOŚĆ".

Dr Michorzewski wolałby sformułować to jeszcze dosadniej: "OSZCZĘDZCIE DALSZYCH OFIAR - A NIE PIENIĘDZY NA SŁUŻBĘ ZDROWIA".

Przypominam sobie, że szpital w Świeciu obchodził dość hucznie któryś tam jubileusz w czerwcu tego roku. Słyszałem w Warszawie opowieści o obiedzie z dwunastu dań. Po tym, co się stało, nie potrafię jakoś na miejscu dopytać się o szczegóły. To moje prywatne tchórzostwo.

Korzystamy z gościnności pani doktor - nazwiska zapomniałem - która oferuje nam swoje mieszkanie zamiast hotelu. Sama tej nocy ma dyżur. Izba przyjęć i szpital. Pod jej opieką znajdzie się 2000 chorych Wojewódzkiego Szpitala Psychiatrycznego w Świeciu.

x

Lekarze z pogotowia opowiadają mi o akcji ratunkowej. Akty indywidualnej odwagi, poświęcenia i bohaterstwa. Czy łatwiej wynieść z pożaru człowieka czy butle z propanem-butanem? I wbrew utartym twierdzeniom prasy, kompletny bałagan, brak sprzętu, organizacyjna klęska.

Młody chirurg, dr Janusz Janczewski kilkoma słowami kwituje swój udział w akcji ratowniczej. /Wiem z relacji Wróblewskiego z "Życia", że uratował wówczas życie kilku chorym dzięki osobistej odwadze, a nie wskutek sprawności w operowaniu skalpelem/. Mówi o ogniu, dziesięciu stopniach mrozu, upiornym gryzącym dymie z lateksowych materacy, tłumach przerażonych ludzi. W tej i innych rozmowach usłyszę także o nie działających urządzeniach alarmowych, wybudowanych w tym roku /przez gminę - nie szpital/, o hydrantach, które nie podawały wody armatkom wodnym, o braku pianowych urządzeń gaśniczych, o maskach gazowych, które trzeba było przynosić z miejscowego posterunku MO, o tym, że liście ze stawu służącego za zbiornik przeciwpożarowy zatkały węże

hydrantów. W Warszawie odszukam komunikat PAP wydany z okazji pogrzebu ofiar tej największej w dziejach powojennego szpitalnictwa katastrofy:

"Komisja rządowa pod przewodnictwem wicepremiera Stanisława Macha powołana do ustalenia okoliczności pożaru pawilonu psychiatrycznego w Górnej Grupie /.../ informuje, że w wyniku ofiarnej pracy ludzi i sprawnie zorganizowanej akcji ratowniczej z 319 pacjentów uratowano 266".

Najwięcej gorzkich słów pada pod adresem tej właśnie komisji. Około południa, w sobotę, kiedy trwa nadal akcja ewakuacyjna, z helikoptera MI-8 /takim samym latał Papież/ wysiadają trzej dygnitarze. Jest między nimi wicepremier Kisiel, który zastępuje wówczas nieuchwytnego lub zajętego czym innym wicepremiera Machą /sprawy zdrowia należą do tego ostatniego/. Ogromny helikopter prócz trzech osób nie ma na swym pokładzie nic - lekarstw, środków opatrunkowych, żywności, koców. Pojawienie się dygnitarzy pogłębia zamieszanie. Wydana zostaje decyzja rozwiezienia ocalałych pacjentów spalonego pawilonu do kilku szpitali województw ościennych. Zdaniem miejscowych lekarzy była to decyzja nonsensowna. Gdyby chorych czasowo umieszczono w Świeciu, uniknięto by szeregu kłopotów z identyfikacją ofiar, informowaniem rodzin etc. Stało się jednak. Dygnitarze odlatują helikopterem i jak można się spodziewać, są w Warszawie późnym popołudniem. Autobusy, na przykład wysłane z Gostynina, przywożą chorych do tamtejszego szpitala o północy /temperatura w ciągu dnia nadal kilka stopni poniżej zera/.

Lekarze zrzeszeni w miejscowej "Solidarności" wiedzą, że godzina lotu helikoptera kosztuje 28 tys. złotych. Dają wyraz oburzeniu, wskazując, że pieniądze te można było przeznaczyć na inne cele, np. na zakup żywności dla chorych. Informuje o tym jedna z centralnych gazet. Mimo to, helikopter pojawia się ponownie - tym razem przywożąc na uroczystości pogrzebowe urzędnika w randzie wiceministra /Ryszard Brzozowski/ i wieniec. W najnowszym slangu dziennikarskim nazywa się to zdaje się arogancją władzy. Oczywiście, gdy mowa o ostatnim z minionych okresów.

x

Cmentarz usytuowany jest w obrębie zabudowań szpitalnych. Naszym przewodnikiem jest pan Kirsztejn. Po drodze resztka starego sadu.

- Kiedyś tu było naprawdę ładnie /o tym, kiedy, mówi wiek drzew/. - Wczoraj telewizja była, to przedtem się akcję porządkową zrobiło, dużo pacjentów pracowało. Teraz trochę lepiej wygląda.

W centrum cmentarza stara kaplica. Na prawo od niej zbiorowa mogiła. Splantowany plac w całości pokrywają wieńce. Wypalone znicze. Czterdziestu pięciu spalonych chorych. Pozostałych pochowały rodziny.

- To jest 5 metrów na 35. Koparka wykopała. Ale potem ludzie musieli łopatami zasypywać. Do wieczora to trwało. Pięćdziesiąt tysięcy trzeba było zapłacić. Po trzysta dla tych, co kopali do trzeciej, po pięćset dla tych, co do ósmej. Słucham wyjaśnień pana Kirsztejna. Jest po gospodarsku rzetelny. Po chwili dodaje:

- Ale jak można było inaczej? Nie szło przecież maszyną zrobić.

Czytam napisy na szarfach. Trzy największe wieńce są identyczne, "Ofiarom tragedii - Prezes Rady Ministrów", "Ofiarom tragedii - Minister Zdrowia i Opieki Społecznej", "Ofiarom tragedii - Wojewoda Bydgoski", "Zmarłym pacjentom - Podstawowa Organizacja Partyjna". Polskie Towarzystwo Psychiatryczne. Polskie Towarzystwo Pielęgniarek. ZKZ NSZZ "Solidarność". Wieńce i wiązanki od rodzin. Te są mniejsze. Żadnych ciętych kwiatów. "Ostatnie pożegnania drogiemu bratu składa siostra Aniela z dziećmi". "Kochanemu bratu - Zbigniw z żoną". "Spoczywaj w Bogu: kochanego Syna, Brata i Wujka tragicznie zmarłego w smutku i żalu głębokim żegna Matka i Bracia z rodzinami".

Wokół tonącej w kwiatach mogiły nagie kopczyki pojedynczych grobów. Niektóre świeżo podsypane. Nie ma krzyży. Na małych słupkach tabliczki z numerami. Wielu numerów nie da się już odczytać.

To świeże groby - wyjaśnia pan Kirsztejn - tylko farba odpryskuje, bo blacha nie taka jak potrzeba. A nazwiska są w księgach w ewidencji. A te świeżo podsypane to trzeba było poprawić, bo tłum na pogrzebie rozdeptał.

Czyszczę oklejone błotem podeszwy o starą teczkę. Staram się odnaleźć proporcje. Znaleźć dystans. Jeden i trzy czwarte ara kwiatów na kilku hektarach błotnistej ziemi, na której nie rośnie nic. Ślady ceremonii wczorajszej i tych przedwczorajszych. Wyobrażam sobie jak wyglądają te bezimienne pochówki. Obrzędowość świecka w Psychiatrycznym Zespole Opieki Zdrowotnej. Jeszcze raz przydaje mi się dokumentacja, którą sporządziłem z danych statystycznych Instytutu. Procent zmarłych w stosunku do leczonych dla Świecia: 3,8. Przyczyny zgonów: zapewne rozmaite. Przypominam sobie słowa ordynatora Izdebskiego: "Zdarzają się nam przypadki gruźlicy jelit, otrzewnej. To jest historia medycyny".

Patrzę na ten okropny, bezimienny cmentarz i myślę o tym, jak zawsze oburzały mnie zniszczone ewangelickie cmentarze na Mazurach. Trudno [illegible] abyśmy szanowali cudze, gdy nie szanujemy własnych. Kult zmarłych jest zapewne trwałym świadectwem kultury. Jak widać na przykładzie tego choćby cmentarza, wszystkich śladów nie da się zatrzeć. Archeolodzy któregoś tam wieku znajdą być może ślady degradacji człowieka, którego nazwisko zastąpiono numerem na blaszanej tabliczce.

- Żeby nie księża, to by się ten pogrzeb całkiem nie udał - mówi pan Kirsztejn. Ze dwudziestu ich było. Biskup depeszę od Ojca Świętego odczytał. Nasz dyrektor Petelski też przemawiał, ale się zaraz rozpłakał. A wiceminister to przyleciał helikopterem i słowa nie powiedział. Żeby chociaż z kartki przeczytał. Tylko się ten helikopter kręcił nad głowami i przeszkadzał.

O helikopterze usłyszę jeszcze nie raz. Wracamy. Przypomina mi się zdanie z lokalnej prasy: "...w naszym szpitalu chorzy mają powierzchnię taką, jaką przeznacza się umarłym na cmentarzu". Zaczynam się wdawać w makabryczną arytmetykę. 35 x 5 m = 175 m^2. Dla 45 spalonych chorych, to znaczy 3,9 m^2 dla zmarłego. A gdy żyli? Wskaźnik zagęszczenia dla oddziału XVIII wynosił 178. Liczba łóżek etatowych - 73 pomnożona przez 6 m^2 powierzchni wedle normy Ministerstwa Zdrowia daje 438 m^2. W rzeczywistości łóżek /tzw. rzeczywistych łóżek/ było 130. W chwili pożaru pacjentów 125. Żywi mieli więc 3,4 m^2. Znowu rzeczywistość okazuje się gorsza niż najbardziej makabryczne o niej relacje.

Pytam, czy będzie tablica. Będzie, podobno z nazwiskami. Nie wiem jeszcze, że dwóch dalszych chorych umrze nazajutrz w szpitalu w Grudziądzu. Czy będą mieli nazwiska?

Jeden z pacjentów oddziału XVIII przywieziony do Świecia powiedział w szpitalnej izbie przyjęć:

- Ja nie mam nazwiska. Moje nazwisko spaliło się w Górnej Grupie.

x

Ze Świecia kilkanaście kilometrów do Górnej Grupy. Jedziemy szosą na Grudziądz. Przeglądam notatki.

Zniszczony pożarem obiekt zbudowany został w roku 1924 przez księży werbistów. Mieściło się w nim seminarium duchowne zwane niższą szkołą misyjną. To prehistoria. Historia najnowsza zaczęła się w roku 1952, gdy budynek przejęty został przez państwo w ramach tzw. akcji przejmowania dóbr martwej ręki. - Jednej nocy przyjechało UB i wysiedliło księży. - opowiadała mi pracowniczka szpitala w Świeciu. Potem ciężarówki przywiozły chorych. Żadnej adaptacji nie było. W sypialniach, w których spało uprzednio po ośmiu, dziewięciu najwyżej alumnów, kładziono teraz 30-40 chorych. W salach wykładowych do 60. Poddasze - drugie mansardowe piętro, gdzie wybuchł pożar - to chyba [illegible] wet nie były przedtem pomieszczenia mieszkalne.

Wiem, że nie będę pytał o to, o co będzie zapewne pytała miejscowa prokuratura. O instalację elektryczną w całości nie wymienianą od 1927 roku, o ocieplenie dachu poddasza grubą warstwą wiórów, o protokoły inspekcji nakazujące zamknięcie obiektu z uwagi na niebezpieczeństwo pożaru i brak wyjść ewakuacyjnych. Czego dowiem się od pielęgniarki, która uprzednio w rozmowie z innym reporterem obsesyjnie wracała do jednego tematu: czy do księgi raportów wpisano czy nie wpisano brak gniazdka, w wyniku czego światło na sali czy też korytarzu wyłączać trzeba było poprzez zwarcie przewodów? Czy dowiem

się, jak to było z tymi wewnętrznymi drzwiami, odgradzającymi część sal sypialnych od reszty oddziału? Czy były zamknięte i czy powinny być zamknięte? Dlaczego nie można było znaleźć kluczy i kto powinien je mieć? Naprawdę kto inny mi będzie zadawał te pytania. Nie liczę na to, że czegoś się na ten temat dowiem. Liczę raczej, iż zobaczę ślady nie tylko tego, co stało się w tym miejscu w nocy z trzydziestego pierwszego na pierwszego, lecz głównie tego, co działo się tutaj przedtem, nim przyszedł ogień.

"To co się stało było karą bożą za zabranie własności kościelnej" - powiedziała jedna ze stałych mieszkanek wsi reporterowi bydgoskich "Kujaw". Od pierwszej spotkanej w Nowej Grupie kobiety usłyszę to samo. Dziwna jest to kara boża, chyba wedle recepty "jak Kuba Bogu, tak Bóg Maciejowi" - myślę.

Jak się jednak przekonam, w opowieściach o fatum wiszącym nad szpitalem nie trudno znaleźć wątek na wskroś racjonalny. Istnieją bowiem powody, aby wiązać to, co stało się 18 lat temu, z tragedią sprzed dwóch tygodni. Otóż w części jednego skrzydła pozostawiono kaplicę i mieszkanie dla księży z osobną klatką schodową. Tę właśnie część mieszkalną odgrodzono od pomieszczeń szpitalnych murowanym przepierzeniem. Odcięto w ten sposób jedyną drogę ewakuacji ze skrzydła, w którym wybuchł pożar. Z przepełnionych, zawalonych łóżkami sal, odciętych pożarem, innej drogi ewakuacyjnej nie było. Tędy też próbowano w końcu dostać się do płonących ludzi, rozbijając w trakcie akcji ratunkowej ściankę działową. Tyle tylko, że gdy to zrobiono, było już za późno. Zbudowana przed 18 laty śmiertelna pułapka okazała się skuteczna.

x

"W takich warunkach istnieje znaczna część oddziałów dla przewlekle chorych w szpitalach i prawie wszystkie oddziały filialne, które z braku przystosowania do potrzeb chorych umieszczono w dawnych klasztorach lub starych dworach. Budynki te, przeznaczone w ubiegłych stuleciach dla niewielkich grup osób, ze zdewastowanymi urządzeniami sanitarnymi, drewnianymi stropami, których wytrzymałości nikt nie sprawdzał, z jedną drewnianą klatką schodową prowadzącą do zlokalizowanych na piętrach sypialniach, nie stwarzają możliwości ewakuacji w razie pożaru, nie nadają się nie tylko na cele oddziału szpitalnego, ale nie kwalifikują się do stałego pobytu ludzi, ponieważ stwarzają zagrożenie dla życia i zdrowia osób, które w nich przebywają".

"Dodać należy rzecz zasadniczą - stałe zagrożenie życia ludzkiego w warunkach, w których jedyna drewniana klatka schodowa prowadzi do pomieszczeń sypialnych chorych lub całych oddziałów zlokalizowanych na piętrach. Tym bardziej, że oddziały na piętrach mają często zakratowane okna w obawie przed samobójstwem chorego".

/Dr Teresa Stańczyk: "Przewlekle chorzy a warunki bytowe w szpitalach psychiatrycznych". Wstępne opracowanie wyników badań złożone zostało jako załącznik listu otwartego Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego do Komisji Zdrowia Sejmu Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej/.

x

Budynek ma kształt podkowy. Spalona jest tylko część mansardowa skrzydła. Kikuty kominów. Pod zerwanymi dachówkami stromego poddasza widoczne resztki ocieplenia: gruba warstwa wiórów. Zerwany strop jednej z sal. Z tej sali nie uratował się nikt; zwłoki 26 chorych wydobyto nazajutrz z kaplicy położonej o piętro niżej. Pod ścianą rumowisko nadwęglonych belek i szczątki szpitalnych łóżek poskręcanych od gorąca. Resztki lateksowych matryc. Strzępy odzieży. Ani jednej szafki przyłóżkowej. W tym szpitalu szafek nie było. Nie mieściły się.

Wielki gmach jest pusty. Usunięto wszystko, co dało się usunąć. Nie udało się usunąć zapachu. W oddziale XVII w dwa tygodnie po pożarze nie czuć już prawie spalenizny. Czuć natomiast wyraźnie kał i mocz.

Ogromne, ciemne sale. Nie ma tu krat. Za zabezpieczenie służyło nic tłukące się plaksi zamiast szyb i taka konstrukcja okien, że szeroko otworzyć ich nie można. Można jedynie uchylić. W szparze nie mieści się głowa.

Na ścianach i sufitach czarne plamy zacieków. Widać, że woda ciekła

przez dach, strych, kapała na środek sali i przeciekała przez stropy pierwszego piętra. To nie są ślady gaszenia. To ślady deszczu.

Ciekły nie tylko deszcze! Stąd ten zapach! Salowa: - Jak chorzy moczyli się, to do mojego mieszkania na piętrze przeciekało - informacja, która przedostała się do prasy lokalnej. Minęły dwa tygodnie i mnie personel niechętnie już będzie o tym mówił. Na oddziale II szpitala w Świeciu pokażą mi tak samo przepełnione sale chorych, dodatkowe łóżka upchane ciasno na korytarzach poddasza, do którego prowadzą jedyne schody. Ale zapach moczu będzie ledwo wyczuwalny. Przygłuszy go dezodorant w sprayu. Może i tutaj, w Górnej Grupie użyto dezodorantu przed rokiem, gdy dr Stańczyk prowadziła swoje badania nad warunkami bytowania przewlekle chorych. Nie była to inspekcja, lecz uda mi się dowiedzieć na miejscu, że oddział przygotowywano na jej wizytę przez tydzień. Dr Stańczyk napisze potem słowa, których rzadko używa się w opracowaniach naukowych: "...Trudno oprzeć się wrażeniu, że to ludzie ludziom zgotowali ten los". Jest to najbardziej ludzka i najbardziej bezpośrednia reakcja autorki na to, z czym zetknęła się w Górnej Grupie i w szeregu innych podobnych szpitali. Zapytana jednak o Górną Grupę zastanowi się, sięgnie do materiałów i odpowie, że było tam czysto, aż za czysto.

W rozmowach z personelem uporczywie powracać będę do pytania: jaki urzędnik najwyższy w administracyjnej hierarchii ochrony zdrowia widział na własne oczy szpital w Górnej Grupie? Na pewno nie minister. Na pewno nikt z ministerstwa. Lekarz Wojewódzki? W Świeciu twierdzą, że tak. W Grupie, że nie. Musiał widzieć go dyrektor szpitala w Świeciu - dr Petelski - był to w końcu oddział szpitalny jego szpitala.

- Nie obciążając dyrektora Górskiego /administracyjny ze Świecia/ - powie mi p/o ordynatora na oddziale XVII dr Żywiczyński - mówiłem mu, że tak nie może być. Chorzy moczą się i przymarzają do prześcieradeł. Odpowiedział, że jego brat też przymarzł do pieluszek w czasie wojny i nic się nie stało. W przeddzień pożaru było zebranie partyjne, tow. Głowala ze Świecia był, zgłaszaliśmy brak środków piorących, ścierek - nie zaprotokołowano.

Drugi z lekarzy, dr Krulikiewicz, potwierdza. Jest tu dopiero od zeszłego roku, ale odmrożenia, te sprzed trzech, czterech lat, leczyć trzeba było nadal.

Łazienka na oddziale XVIIIc: betonowa podłoga, koryto zlewu, stara zdezelowana wanna, brak natrysków. Ustęp: 3 oczka /dziury w betonie/ i uszkodzony sedes w rozbitej kabinie. Tyle sanitariat. Teraz personel. Pieczę nad 450 chorymi, wśród nich 50 pod "opieką domową" /czytaj: praca u okolicznych gospodarzy/, sprawowało dwóch lekarzy. Nazwiska obu już znamy. Tytuły "p/o ordynatora" pochodzą stąd, że żaden z nich nie miał drugiego stopnia specjalizacji. Poza tym był felczer. Pielęgniarek było 10-15 na zmianę. Tamtej nocy na objętym pożarem oddziale XVIIIc dyżurowały 4 pielęgniarki. Pożar wybuchł zresztą w korzystnym dla statystyki momencie: trzy spośród czterech sióstr zatrudnione były od miesiąca. Bezpośrednio po ukończeniu szkoły pielęgniarskiej w Grudziądzu. Z powodu blokady etatów nie mogły znaleźć innej pracy. Poprzednio na nocnym dyżurze była 1 pielęgniarka i jeden sanitariusz. Dr Żywiczyński, gdy nastał tu w 1973 roku, był sam z felczerem i 8 pielęgniarkami. Czy mam napisać jeszcze, że nie było instruktora terapii zajęciowej, psychologa, telewizora i radia?

Będę pytał potem rozmaitych ludzi w Warszawie, czy Grupa była wyjątkowo złym oddziałem dla przewlekle chorych. Odpowiedzą, że typowym - no, może z wyjątkiem kilku lepszych. Sprawdzę wskaźniki z badań dr Stańczak. Upewnię się, że w "oddziałach filialnych" na 100 chorych przypada 0,6 lekarza, 7,4 pielęgniarek, 4 salowe. Nauczę się, co to są łóżka rzeczywiste i łóżka etatowe. Podzielę jedno przez drugie. Odnajdę "ogólnopolski wskaźnik zagęszczenia" /148/. Analogicznego wskaźnika dla "oddziałów filialnych" nie uda mi się znaleźć, lecz znajdę dane, z których wynika, że w co szóstym takim oddziale przypada na chorego mniej niż 3 m² powierzchni. / więc mniej niż w Górnej Grupie i mniej niż na cmentarzu w Świeciu. A potem będzie mi wstyd mojego zafascynowania książkami Kępińskiego, dyskusji o Jankowskim i z Jankowskim, antypsychiatrii Szasza, Lainga, Coopera, recenzji z "Lotu nad kukułczym gniazdem".

Jak daleko uciekliśmy w fikcję słów. Reformatorzy i obrońcy, kontestatorzy i ostrożni pozytywiści - zaplątani we własne słowa, programy, psychiatryczne ustawy, rozważania o tym, czy biologiczna, czy humanistyczna, czy może środowiskowa, wedle modelu takiego, innego... Jak to wszystko ma się do rzeczywistości Górnej Grupy? Tak zapewne, jak programy reformy oświaty do rzeczywistości przeładowanych klas, beznadziejnie zmęczonych nauczycieli i dzieci idących zimą 5 kilometrów po śniegu.

I jeszcze ofiary. O nich pisać najtrudniej. W oddziale XVIIIc skoncentrowanych zostało /świadomie używam tego słowa/ 125 chorych. Spłonęli głównie schizofrenicy i chorzy z zespołem psychoorganicznym /niedorozwój/. Wraz z tymi, którzy zmarli w szpitalu na skutek odniesionych obrażeń, 55 ludzi. Z dwóch przepełnionych, zawalonych do ostatniego centymetra sal nie uratował się prawie nikt. Część zwłok znaleziono w łóżkach, inne w przejściach. Miejscowi lekarze twierdzą /inaczej niż okoliczni mieszkańcy/, że nikt nie był przywiązany do łóżek. W czasie wizyty dr Stańczyk w zeszłym roku ośmiu chorych było jednak unieruchomionych w kaftanach. Poza tym środki psychotropowe w rodzaju fenaktilu, przywiązują do łóżka równie lub bardziej skutecznie niż pasy. Eksperci medycyny sądowej stwierdzą zapewne, czy duszący dym, jaki wydzielały płonące materace, mógł spowodować zaczadzenie wcześniej niż przyszedł ogień.

Imiennej listy ofiar publicznie nie ogłoszono. Powody tego są niejasne. Tajemnica lekarska? Symboliczna odmowa przyznania ofiarom statusu pełnego człowieczeństwa, którego byli za życia pozbawieni? Kłopoty z identyfikacją?

Chciałbym w tym, co napiszę, przekroczyć jakoś tę konwencję pośmiertnej bezimienności, wydobyć z liczby 55 istnień ludzkich jakąś jedną, dwie ludzkie biografie lub ich strzępy. Uczłowieczyć to, co odczłowieczono. Z rozmów z lekarzami w świecie wiem, że nie będzie to łatwe. Historii chorób nikt mi nie pokaże; objęte są tajemnicą lekarską. Zresztą, cóż bym w nich znalazł? Rozpoznanie, symptomy, dobowe dawki leków? Bardziej liczyć można, że człowiek zostaje w ludzkim wspomnieniu. Dlatego próbuję raz jeszcze. Pytam lekarzy prowadzących, tłumaczę, że chciałbym coś o kimś ze zmarłych..., no nie wiem... że miał 40 lat, że tu przyszedł przed pięcioma laty, że był kiedyś wiejskim nauczycielem, albo cieślą, albo wychowankiem szkoły specjalnej, że lubił ptaki, albo lubił stać przy oknie, że coś kiedyś powiedział. Nie, nic takiego, nikt taki nie przychodził im na myśl. Nie potrafią. Zmarli pozostają liczbą, która ich przytłacza. Dr Krulikiewicz powtarza to, co mówił już kilkakrotnie:

- Wszyscy jesteśmy winni, bo zgodziliśmy się w takich warunkach pracować.

Żegnamy się. Jeszcze raz wchodzę do opustoszałego gmachu. Na drugim piętrze, z ogromnej ciemnej sali usunięto sześćdziesiąt łóżek, na których leżeli epileptycy. Tutaj ogień nie dotarł. Na brudnej, pokrytej zaciekami ścianie słomiana makatka z barwnymi zdjęciami wyciętymi z tygodników ilustrowanych. Taka gazetka ścienna. Wszystkie zdjęcia przedstawiają wnętrza ludzkich mieszkań. Tapczan nakryty pledem. Ciepłe światło lampy. Kredens. Kuchnia.

x

"Z punktu widzenia chorego, pobyt trwający miesiące i lata, ciągle w tej samej ograniczonej przestrzeni przepełnionej snującym się powoli milczącym tłumem, bez możliwości oddzielenia się od innych nawet na krótko, przebywanie z kilkudziesięciu innymi chorymi we wspólnych salach, zupełnie nieprzystosowanych do tego, aby spełniać funkcje mieszkania, jest tak uciążliwe, że jedynym wyjściem pozostaje 'udanie się na emigrację wewnętrzną', tj. nie przyjmowanie do wiadomości istnienia otaczającego świata, który jest zbyt bezosobowy, a jednocześnie zbyt natrętny i odzierający z wszelkich intymności życia codziennego. Chory budząc się widzi dookoła kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu pacjentów, z jego punktu widzenia pozbawionych indywidualnych cech. Towarzyszą mu oni nawet w ubikacji na niedostatecznie lub wcale nieoddzielonych sedesach. Nie ma mowy o zamknięciu się w tym intymnym pomieszczeniu. /.../ Jeśli nie ma zorganizowanych zajęć dla chorych /pracy, terapii za-

jęciowej, rekreacji/, istotą pobytu w oddziale nie zatrudnionego niczym chorego jest nieustanne czekanie, przy czym cel, na który się czeka, jest zwykle nieistotny, treścią życia jest czekanie na otwarcie sali, wydanie leków, posiłków. Dzień toczy się niezmiennym utartym trybem do wczesnych godzin wieczornych, aby znów w niezidentyfikowanym tłumie chory mógł wrócić do sypialni i na kilkanaście godzin wycofać się w sen z tego nieludzkiego świata.

Czas przestaje być obowiązującym wymiarem - lata i dni nie różnią się od siebie. Wskutek tego zdarza się często, że chorzy mylili się z podaniem daty o wiele lat, nie umieli ocenić nawet w przybliżeniu własnego wieku. Miarą, jakim bezimiennym tłumem są otaczający ludzie, jest fakt, że wielu chorych nie potrafi wymienić imion lub nazwisk otaczających ich od lat osób.

Spośród 600 badanych pacjentów 1/3 nie miała absolutnie nic z rzeczy prywatnych lub też przydzielonych przez szpital do osobistego użytku, zarówno z braku jakichkolwiek dochodów, jak i miejsca na osobiste rzeczy. W takim skrajnie ubogim, monotonnym środowisku powstaje nowy, bardzo niski próg obowiązujących norm, zachowań i kontaktów społecznych, który toleruje apatię i bierność i te dewiacyjne zachowania, które nie naruszają w istotny sposób ustalonego porządku oddziału.

Surowość i ubóstwo wyposażenia oddziałów, przykry zapach, monotonia barw, dźwięków i zdarzeń, bezczynność, spowolnienie i ubóstwo mimiki otaczającego tłumu, stwarza rezygnacyjny nastrój, w którym nikt nie liczy już na jakąkolwiek poprawę sytuacji.

Z biegiem jednostajnych dni wypełnionych nieskomplikowanym rytuałem ubierania się, sprzątania, posiłków, przyjmowania leków, wszyscy powoli wciągają się w tryby codzienności /.../

Nie tylko chorzy i nie wszyscy chorzy dotknięci są chroniczną chorobą, ale oddział jest chronicznie monotonny, zrytualizowany, bezbarwny. Ta stagnacja i spokój są jednak tylko powierzchowną warstwą atmosfery oddziału, pokrywającą lęk, napięcie i nieufność. Doświadczenie uczy chorego, że nagle ktoś może wybuchnąć gniewem, krzyczeć, bić, spowodować dotkliwe obrażenia innych chorych i personelu. Personel w poczuciu odpowiedzialności za chorych i pomny wszystkich samobójstw, samouszkodzeń i trwałych skutków niejednej agresji ze strony chorych, żyje również w atmosferze utajonego napięcia, które wyczerpuje nie mniej niż ciężka praca fizyczna.

Bardzo złe warunki lokalowe, pogarszający się stopniowo w tych warunkach stan chorych, ich zbyt wielka jak na nieliczny personel liczna utrudniająca pielęgnację, monotonia zajęć i brak społecznego uznania dla tak ciężkiej pracy powoduje u personelu oddziałów chronicznych znużenie, brak wiary w możliwość osiągnięcia poprawy, a u chorych narastanie objawów".

/Dr Teresa Stańczak: "Przewlekle chorzy a warunki bytowe w szpitalach psychiatrycznych"/

x

W tej, tak rzadkiej w opracowaniach naukowych, próbie doskonałej literatury odnajduję nie tylko dramatyczny opis społecznych uwarunkowań choroby szpitalnej, której objawy trudno odróżnić od schizofrenii. Chory jest cały układ społeczny: pacjenci, personel i szpital. Wizja autorki kojarzy mi się zresztą nie tylko z oddziałem psychiatrycznym, lecz z całością naszego życia społecznego, tak jak je odbierałem jeszcze kilka miesięcy temu. Aby nie być subiektywnym, staram się uzyskać recenzję od ludzi, którzy mają bardziej bezpośrednie doświadczenia; odczytuję powyższy tekst dwóm spośród moich znajomych, którzy spędzili pewien okres życia w szpitalach z rozpoznaniem tzw. schizofrenii. Pierwszy stwierdza, iż jest to bardzo dobre i bardzo wierne. Wiem jednak, że leczył się wyłącznie w szpitalach warszawskich. Drugi mój znajomy miał nieszczęście przebywać w prowincjonalnym szpitalu w Kocborowie. Jemu tekst się znacznie mniej podoba. Przyznaje, że to dobra literatura, tylko bardzo wiele rzeczy jest tam przemilczanych. Wybucha i mówi przez godzinę. Twierdzi, że nigdy przedtem nie próbował tego opowiadać, bo obawiał się, że nikt mu nie uwierzy. Wiem o co mu chodzi. W tekście jest "ubóstwo i monotonia" - w jego wspomnieniach brud i niedożywienie, tekst mówi o ograniczo-

niach swobody i nie szanowaniu intymności, on pamięta brutalne akty sadyzmu. Wspólne z autorką jest mu głównie poczucie absurdu. Absurd ten polega na tym, że zaburzenia psychiczne próbuje się leczyć w warunkach, w których nie tylko o żadnym leczeniu nie może być mowy, lecz w których nie ma mowy również o zabezpieczeniu podstawowych potrzeb biologicznych przetrzymywanych tam ludzi.

Są to różnice punktu widzenia, na który jesteśmy nieuchronnie skazani występując w określonej roli społecznej, np. w roli lekarza i w roli leczonego. Dr Stańczak nie wszystko mogła dostrzec właśnie jako lekarz i właśnie jako badacz. Pamiętam opowieści o czyszczeniu brudów Górnej Grupy przed jej przyjazdem. Badacz społeczny liczyć się musi także z tym, że ktoś retuszuje badaną przez niego rzeczywistość, szczególnie wtedy, gdy jego rola postrzegana jest przez tego kogoś jako inspekcja. Mam również powody aby sądzić, że opisując retuszowaną rzeczywistość unika się wiernego oddania tych jej przejawów, które mimo dokonanych retuszów mają wymowę zbyt drastyczną. Znam dylemat dr Stańczak. Autorka nazywa go dylematem moralnym; ja osobiście nazywam go fobią psychiatrów.

Fobia ta objawia się w stwierdzeniu, że o warunkach panujących w szpitalach psychiatrycznych nie można pisać całej prawdy, gdyż wyrządziłoby to krzywdę tym, którzy i tak będą zmuszeni się do nich udać. Piękna, humanitarna racjonalizacja: "Przede wszystkim nie szkodzić"; w tym wypadku - chorym in spe. Nie muszę dodawać, że pisząc powyższy tekst oparłem się, zgodnie z własnym sumieniem, na zaleceniu, które sformułował ktoś inny, a które brzmi: "przede wszystkim nie kłam". Ktoś inny jeszcze powiedział, że zdrowie jest zbyt rzeczą cenną, aby pozostawiać ją wyłącznie w rękach lekarzy. To samo tyczy się zdrowia naszej psyche, którą nie tak dawno nazywano duszą.

Jan Kelus

R E C E N Z J E

Andrzej Drawicz

NA DNIE RUSYCYSTYKI

Historia rosyjskiej literatury radzieckiej. Praca zbiorowa pod redakcją Piotra Wychodcewa. Przedmową opatrzył Bazyli Białokozowicz. Redaktor naukowy wydania polskiego Bazyli Białokozowicz. Przekład zbiorowy. Państwowe Wydawnictwo Naukowe Warszawa 1977. Ss. 994, nakład 6720, cena zł 140.

Na początku będzie wyliczenie pewnej ilości rosyjskich nazwisk. Proszę o cierpliwość.

Oto one: Mandelsztam, Chlebnikow, Cwietajewa, Szkłowski, Wołoszyn; poeci: OBERIU, a więc Harms, Wwiedienski, Olejnikow; dalej Tarkowski, Samojłow, Słucki, Moric, Aksionow, Dombrowski, Kazakow, Achmadulina, Koniecki, Matwiejewa, Bogomołow, Kuszner, Bitow, Gorbowski.

Co to za lista? Co tych pisarzy łączy?

Na pierwszy rzut oka tylko tyle, że stanowią oni w swej literaturze zjawiska znaczące, a pierwsza trójka - nawet wielkie.

Ale i jeszcze coś. Otóż wszyscy są n i e o b e c n i w książce, mieniącej się "Historią rosyjskiej literatury radzieckiej" i mającej służyć jako podręcznik akademicki.

Każdy z czytelników "Zapisu", dla którego literatura rosyjska nie jest całkiem obca, wie już w tym momencie, bez dalszych komentarzy, że sytuacja taka jest głęboko nienormalna, jeśli zgoła nie absurdalna. Zgódźmy się wstępnie, że historia rosyjskiej literatury radzieckiej bez Mandelsztama i Chlebnikowa to mniej więcej tyle, co historia polskiej literatury romantycznej bez Słowackiego i Norwida, młodopolskiej bez Staffa i Micińskiego, czy międzywojennej bez Iwaszkiewicza i Witkacego. M n i e j w i ę c e j; bo jak wiadomo literatura ścisłych miar porównawczych nie zna, istnieje wszakże coś w rodzaju zbiorowego odczucia, czytelniczy consensus, często pewniejszy niż hierarchie ustalane urzędowo. Do niego się odwołuję, zapytując, czy nieobecność zjawisk t e g o z grubsza rzędu w t a k i e j książce - w dodatku ogromnej, i wypełnionej dziesiątkami nazwisk - może być czymkolwiek racjonalnym usprawiedliwiona?

Dla ścisłości: niektóre z tych nazwisk są wymienione w wyliczeniach wieloosobowych, w tłumie, bez słowa charakterystyki. Większość jednak, wraz z Mandelsztamem, nie ma w o g ó l e, nawet w końcowym indeksie.

Dla jasności: lista braków nie obejmuje politycznie nieprawomyślnych krajowców i emigrantów ostatniego okresu[x]; znając przyjęte u sąsiadów zasady, nie upominam się więc o Sołżenicyna, Maksymowa, Niekrasowa /raz wspomnianego!/, Brodskiego, Siniawskiego czy Wojnowicza. Chodzi t y l k o o tych, którzy są oficjalnie uznani, obecni w normalnym obiegu i w urzędowo ustalonych hierarchiach, przy czym w tych ostatnich stoją nieraz bardzo wysoko! Czytelnik-nieignorant, do którego potocznej wiedzy o przedmiocie znowu się odwołuję, z łatwością zauważy, że zawarte w moim wyliczeniu nazwiska twórców literatury dzisiejszej stanowią po prostu solidny zrąb i mocną średnią, zbiór jej niezaprzeczalnych aktywów, wielokrotnie opisywany przez krajowych krytyków i uwzględniany w uroczystych referatach z okazji zjazdów czy obchodów. Chodzi więc, krótko mówiąc, o wartości tak n i e w ą t p l i w e, że nawet bardzo dogmatyczna dzisiejszą polityka kulturalna dopuszcza je do obiegu, mało! - pozwala je chwalić i lansować.

---

[x] Aksionow, jak wiadomo, opuścił kraj dopiero w roku 1980, a więc w książce mógłby się z pełnym prawem znaleźć.

Nie wystarcza to jednak, jak widać, Piotrowi Wychodcewowi i jego współpracownikom, a także redaktorowi naukowemu wydania polskiego.

Jaka jest w tej nienormalności metoda? O co chodzi w tak jaskrawej deformacji, przeprowadzonej najpierw i ugruntowanej na terenie rosyjskim /książka jest przedrukiem z kolejnego, moskiewskiego wydania/, a następnie zaprezentowanej nam?

Opóźniam jeszcze próbę odpowiedzi na to pytanie, gromadząc dodatkowe przesłanki. Nie idzie bowiem tylko o tych, których nie ma. Także o wielu obecnych. Przedziwna bywa ta obecność. Dla przykładu: z całego dorobku Jurija Trifonowa "Historia" uwzględnia tylko jedną jedyną wczesną jego powieść "Pragnienie", pomijając wszystko, co czyni z tego pisarza jednego z najciekawszych twórców ostatnich lat, a co w zupełności dałoby się w książce uwzględnić, zważywszy, że odnotowuje ona wiele mniej znaczących faktów z pierwszej połowy lat siedemdziesiątych /nie mówiąc już o tym, że jak informuje notka wydawnicza, tekst polski "...zawiera uzgodnione z redaktorem wydania radzieckiego poprawki i uzupełnienia z przygotowywanego obecnie do druku III wydania podręcznika"/. Analogicznie i konsekwentnie twórczość Walentyna Katajewa kończy się na "Maleńkich, żelaznych drzwiach w ścianie", bez najmniejszej wzmianki o tym; co było rewelacją późnego okresu pisarza, tj. o "Trawie zapomnienia", "Świętej studni" i "Klocku"; a twórczość prozaika tak płodnego jak Granin ustaje w roku 1962, na powieści "Naprzeciw burzy". W związku z Paustowskim mowa jest tylko o jednym z najmniej ważnych jego utworów, reportażu "Kara-Bugaz", reszta zostaje jedynie, i to na wyrywki, wymieniona. Tynianow jest wyłącznie autorem "Kuchli" i "Puszkina". O Płatonowie pisze się, że "jego metoda twórcza zaczyna przypominać technikę Aleksandra Grina" /str. 406/, co jest stwierdzeniem o tyle szczególnym, że o samym Grinie nie ma poza tym a n i s ł o w a! O Kawierinie jest pół zdania, w stosunku do Białego tylko parę wyzwisk, nazwisko Szwarca pojawia się dwa razy w wyliczeniach zbiorowych, ale nie towarzyszy mu ani jeden tytuł utworu; natomiast kilka lakonicznych wzmianek o Achmatowej zwieńczonych jest stwierdzeniem, iż wiersze jej "...niestety... wciąż są wyrazem dość wąskich doświadczeń życiowych autorki i dlatego... nie uzyskują rangi szerokich uogólnień" /str. 722/. Z punktu widzenia pewnych ogólnych inklinacji książki /o czym za chwilę szerzej/ jej autorom winno - zdawałoby się - zależeć na mocnym wyeksponowaniu nurtu umownie zwanego w latach ostatnich "wiejskim" - ale tu jest nad czym pokiwać głową w zdumieniu: Fiodora Abramowa właściwie nie ma zupełnie, poza dwukrotnym wymienieniem w tłumie, i tak samo miga w tłumie nie kto inny jak Szukszyn.

Skoro jednak tylu jest w książce nieobecnych i pseudoobecnych, to co wypełnia jej tysiąc stron? Zastosowany został pewien chwyt względnie nowy. W czasach stalinowskich bowiem - i tendencja ta okazała się długowieczna - literaturę współczesną prezentowano jako obszar zastrzeżony dla kilkunastu politycznie prawomyślnych /lub jako tacy przedstawianych/ wybrańców. Byli to zawsze ci sami: Gorki, Majakowski, Furmanow, Serafimowicz, Fadiejew, Szołochow, Ostrowski etc. etc., o których przedstawiano tak, jakby poza nimi nic wartościowego nie istniało. Powstawał fałszywy mit nieliczności. W naszym wypadku mamy odwrotność: mit tłumności, będący takim samym fałszerstwem. W "Historii" panuje straszliwy ścisk, mający sugerować nieistniejące bogactwo; rejestruje ona dziesiątki nazwisk nic albo prawie nic nie znaczących, zamula świadomość informacjami o usłużnych i dyspozycyjnych półgrafomanach, których ilość rośnie zwłaszcza w miarę zbliżenia się ku dniowi dzisiejszemu, i dla których zawsze starcza miejsca, pożałowanego Mandelsztamowi i Chlebnikowowi. Notabene: obok rozdziałów przedstawiających sposobem ułatwionego panoramowania literaturę jako zbitą masę postaci i dzieł, gdzie zasada wartościowania nie istnieje i gdzie "na szczególną uwagę zasługują" /str. 736/ jednocześnie i obok siebie "Poemat bez bohatera" Achmatowej i trywialne brechty Sofronowa czy Firsowa - istnieją również w książce rozdziały monograficzne, poświęcone tym samym co dawniej, sztucznie wyselekcjonowanym wybrańcom; tyle że ich rzekoma wyższość i wyjątkowość ma się, w zamierzeniu, stać jeszcze wymowniejsza na tle tłumu, niż dawniej na tle pustki...

Powrócę teraz do pytania: o co chodzi temu szczególnemu dziełu? Pewne przesłanki do konkluzji zostały już przedstawione, mam ich w zapasie, proszę wierzyć, multum, ale czytelnik, do którego się zwracam, nie musi być specjalistą i nie powinienem nadużywać jego cierpliwości. Wnioski więc świadomie zagęszczę i sprowadzę do najważniejszych punktów: Otóż: chodzi o stworzenie obrazu literatury zwartej, posłusznej, zgrzebnej, niechętnej wszelkim nowinkom, dopasowanej do wymogów ideologicznych na każdym kolejnym etapie. Jej wrogiem jest nie tylko obca ideologia, ale też w gruncie rzeczy wszystko, co zrodziło się z rewolucji artystycznej naszego stulecia; stąd wśród przytoczonych pominiętych tak znaczny procent eksperymentatorów. Obce ma być tej literaturze wszelkie mędrkowanie, wydziwianie, intelgenckie rozszczepianie włosa na czworo /pisarzy skomplikowanych, typu Leonowa, odpowiednio się upraszcza, żeby pasowali do całości/; winna być powszechnie dostępna, pouczająca, "rdzenna", a więc z soli i z roli /traktowanych jednak umownie, bo na przykład autentyczny dramat rosyjskiego chłopa jest tu przemilczany; stąd zapewne zlekceważenie tych, którzy dawali mu świadectwo - Abramowa i Szukszyna/; wszystko to w praktyce oznacza słabo tylko maskowaną antyinteligenckość, ksenofobię, nacjonalizm i zacietrzewioną nietolerancję. Scedza więc dzieło i destyluje najgorsze cechy obiegowej ideologii systemu w jej niszczącym zastosowaniu do literatury i humanistyki w ogóle - i stanowi swoiste monstrum zeszmacenia myśli badawczej, piramidę trywialnej bzdury, z której pożytecznie czerpać można chyba tylko daty narodzin i wydań, a i to ostrożnie, bo na przykład indeks beztrosko myli Poitra i Gleba Struvego, a także admirała Włodzimierza Korniłowa z generałem Ławrem Korniłowem.

W ogóle książkę cechuje harmonia stosowna do zamierzenia. Ton spodyktyczno mentorski mentorski łączy się idealnie z napuszoną frazeologią ogólników typu: "...dostrzegamy trafnie podpatrzone szczegóły, które odznaczają się wyjątkowo głębokim podtekstem" /str. 732/, lub "Powieść 'Brzeg' stanowi wybitne osiągnięcie prozy radzieckiej i jest wymownym świadectwem rozległych możliwości współczesnej rosyjskiej sztuki słowa" /str. 712/. Zadufana pewność siebie wykłada się w patetycznej retoryce o sztucznie podwyższonej uczuciowości: jest to ów znany styl "à la sovietique", który polska wrażliwość w ogóle z trudem znosi; cóż dopiero, gdy określa on bez reszty dzieło, które winno być z istoty rzeczy solidną, akademicką prezentacją sine ira et studio. Oszczędzę czytlnikom demonstracji kwiatków stylistycznych, które można na tej łączce rwać garściami; dość jedynie wspomnieć, że i tłumacze okazali się na ogół godni poziomu całości, skoro nie zauważyli nawet, że rosyjski "pafos" to niekoniecznie "patos", i nie zrozumieli, że podstawowym obowiązkiem i ostatnią posługą, jaką można oddać takim tekstom, jest tłumienie i wygaszanie egaltacji, a nie naśladownictwo niewolnicze.

Pora teraz na informację szerszą: "Historia" jest produktem określonej szkoły badawczej, a ściślej - tego, co w literaturoznawstwie naszych sąsiadów jest ewidentnie najgorsze i najbardziej obskuranckie. Autorzy książki pochodzą /jeśli nie wszyscy, czego nie jestem w stanie w tej chwili sprawdzić, to na pewno przygniatająca większość/ z leningradzkiego Instytutu Literatury Rosyjskiej, zwanego też Domem Puszkinowskim. Ponure zrządzenie losu chce, że o ile dawne dzieje literackie są tu badane lege artis, o tyle historia literatury najnowszej ujmowana jest właśnie tak, jak demonstruje to "Historia". Koncepcja generalna wygląda, znowu w grubym skrócie, następująco: w latach dwudziestych trockiści, bucharinowcy i inni ideologiczni dywersanci przeszkadzali jak mogli normalnemu rozwojowi literatury lansując swe antynarodowe koncepcje, zwłaszcza dzięki zantagonizowanemu układowi ugrupowań literackich. W latach trzydziestych partia, a przede wszystkim towarzysz Stalin, położyli temu kres; zlikwidowano ugrupowania, proklamowano realizm socjalistyczny i zasadę, którą później określi się jako "afirmację narodową", przykrócono wrogów - i od tej pory wszystko idzie harmonijnie po dziś dzień. Tekst niniejszy jest tylko szkicem problemu, któremu na imię: próba podręcznikowej sowietyzacji Polaków, więc i tej sprawy nie rozwijam, ale mogę dać słowo, że to nie karykatura. Dowodem nich będzie choćby to, że w "Historii" nie ma n i c, dosłownie a n i j e d n e g o z d a n i a o niszczeniu litera-

tury przez stalinizm i że znane uchwały partyjne z lat 1946-1948, wytyczające szczególnie bezwzględny kurs tzw. "żdanowszczyzny" w polityce kulturalnej, pozostały, zdaniem autorów książki,"nadal aktualne" /str. 581/.

Grupa, o której mowa, zajmuje się, poza wszystkim innym, także uważnym śledzeniem rusycystyki w krajach stowarzyszonych. Doskonale w swoim czasie pracujących Czechów i Słowaków po roku 1968 ze szczególnym dręczycielskim zapałem rozdeptywał Walentyn Kowalow. Naszym nadzorcą został Leonid Jerszew i także robił co mógł, tyle że miał mniejszą swobodę manewru; na początku lat siedemdziesiątych można jeszcze było z nim oficjalnie polemizować i wytykać najbardziej ewidentne bzdury, którymi sypał bijnie, wyraźnie korzystając z materiałów przez kogoś usłużnie dobieranych i podsuwanych[x]. Zresztą nie był nietykalny i na własnym gruncie; parokrotnie karcono go dobrodusznie za nazbyt już jawną nietolerancję, sekciarstwo i szowinizm, notabene na milę pachnący antysemityzmem, bo jest to w ogóle bardzo niedbale kamuflowany, jeden z głównych elementów rynsztunku ideologicznego grupy i zbadanie hierarchii ocen "Historii" ujawnia jego nader konsekwentne stosowanie. Jerszowowi nic te strofowania nie zaszkodziły. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych przebywał na gościnnych występach dydaktycznych na Uniwersytecie Warszawskim, w czym widać zresztą /dobitnie określoną przez Błoka w "Odwecie"/ trwałą historycznie zasadę przysyłania nad Wisłę Rosjan określonego autoramentu. Za jeden z owoców tego pobytu wolno zapewne uznać skrypt dla studentów filologii rosyjskiej "Russkaja sowietskaja litieratura 1917-1977" /PWN Warszawa 1979/, będący młodszym, ale nieodrodnym bratem "Historii". A i ona sama zapewne nie ukazałaby się, gdyby nie ścisłe kontakty i współpraca między szczególnie bliskimi sobie duchowo zespołami rusycystów polskich i rosyjskich, a ściślej leningradzkich.

Pora w związku z tym spytać wprost: komu zawdzięczamy ten przykry prezent? Jak to się stało, że wybrano dla p o l s k i e g o czytelnika właśnie t ę , a nie inną książkę - niewątpliwie najgorszą z możliwych? To ostatnie stwierdzam z całym naciskiem. Istnieją w ZSRR dwie wielotomowe edycje takiejże "Historii", opracowane przez zespół autorów z Instytutu Literatury Światowej im. Gorkiego, względnie przyzwoite, i zapewne można by przygotować ich skróconą wersję. Istnieje niezły zarys "Połwieka sowietskoj litieratury", dzieło kompetentnego i mocno usytuowanego badacza Witalija Ozierowa - można by zapewne zaproponować mu dopełnienie go sub specie naszych potrzeb. Ba! istnieje, dwutomowa w zamierzeniu, "Historia" Nietoczenki i Pietrowej, płód kostycznej ortodoksji, ale przynajmniej nie tak jadowicie neostalinowski; byłoby to też wielkie zło, ale jednak mniejsze. Szkoła Leningradzka[xx] nie tylko nie ma w ZSRR monopolu, ale jest powszechnie znienawidzona już za same tylko sitwiarsko-gangsterskie maniery /wystarczy sprawdzić na str. 671, ile miejsca poświęcają autorzy "Historii" opisowi działalności własnej, ledwo wspominając resztę; poza tym rzuca się też w oczy fakt, że szczególnie bezwzględnie traktowani są w książce co uczciwsi pisarze miejscowi, leningradzcy, co wygląda na załatwianie porachunków osobistych/. Skoro trudno zwalczać książkę frontalnie, wiele poważnych środowisk naukowych stara się jej po prostu nie zauważać; jest w swej ciemniackiej ostentacji zjawiskiem wstydliwym, i wzmianka o niej, dokonana przez cudzoziemca, wywołuje najczęściej grymas zażenowania i gest odżegnania się. Wszystko to razem jest żałosne i charakterystyczne - ale nie o to chodzi. Chodzi natomiast o podkreślenie, że sięgnięcie z Polski po tę właśnie książkę było w y b o r e m.

Czyim? I w imię czego?

Nie ma tu zagadki. Wszystko wyjaśniają od razu nazwiska redaktora nau-

---

[x] Por. materiały dyskusyjne zawarte w: "Kierunkach", nr nr 16, 21, 25, 50/1971; "Współczesności" nr 11 i 14/1971; a także "Życiu Literackim", "Wychowaniu" i in.

[xx] Podkreślam raz jeszcze umowność tej nazwy, dotyczącej ściśle określonego kręgu badawczego i nie obejmującej, rzecz jasna, wielkiej liczby leningradzkich rusycystów z prawdziwego zdarzenia.

kowego i zespołu tłumaczy. Mamy tu do czynienia z działaniem grupy /waham się przed zobowiązującym określeniem "naukowej"; chyba raczej "zorganizowanej na terenie nauki"/, która od początku swego ujawnionego istnienia współpracuje ze szkołą leningradzką. Bliskość, jeśli nie tożsamość postaw i ambicji obu stron sprawia, że propagują one nawzajem swoje osiągnięcia z największym zapałem, starając się ukazać partnerów jako największych luminarzy nauki. Temu celowi służą z jednej strony łamy leningradzkiego kwartalnika "Russkaja Litieratura", z drugiej - warszawskiej "Slavii Orientalis", a okazyjnie także "Przeglądu Humanistycznego", "Kierunków" i innych. Przeniesienie na grunt polski podręcznika z Leningradu jest aktem bardzo konsekwentnym. Bazyli Białokozowicz od lat starał się konformizować i uniformizować naszą rusycystykę, wykorzystując w tym celu bez skrupułów ogólną sytuację humanistyki po roku 1968 i własną, zapobiegliwie wypracowaną pozycję w przedsierpniowym aparacie Polskiej Akademii Nauk. W przekładzie na język bardziej jednoznaczny oznacza to sowietyzację - i właśnie ku niej grupa, zorganizowana w Zakładzie Słowianoznawstwa PAN i stamtąd inspirowana /posługując się inicjałami animatora, będę ją dalej nazywał grupą BB/, zmierzała pełną parą. Sam animator postępował z taktycznym wyrachowaniem; zarzucał sieci szeroko, werbował zwolenników w młodszej kadrze naukowej, penetrował ośrodki pozawarszawskie, zwłaszcza słabsze, stwarzając perspektywy publikacji i szybkich karier; umiejętnie obejmował i kumulował odpowiednie posady, dbając zwłaszcza o redaktorstwo różnych organów i serii wydawniczych. Sam lubił zabierać głos z pozycji ideologicznej siły i w pełnym politycznym rynsztunku monopolistycznego posiadacza jedynie słusznej orientacji i metodologii. Czynił tak np. dwukrotnie na łamach "Nowych Dróg", składając przy okazji raporty o szkodliwej politycznie działalności tych czy owych /szczególnie upodobał sobie w tym celu pismo "Teksty"/; potem basowali mu inni, a wszystko razem nazywano wówczas /w r. 1973 i później/ "dyskusją o rusycystyce". Na szerszą skalę działali natomiast inni zagończycy, czy też lepiej rzec: nageniacze, z których szczególną zajadłością w tropieniu nieprawomyślnych wyróżnili się zwłaszcza panowie Władysław Maria Grabski i Roman Sreczyński. Ich artykuł "Problemy humanizmu i współpracy kultur" /"Przegląd Humanistyczny", 12, 1975/, zawiera harmonijną wykładnię światopoglądowo-metodologiczną, zalecającą się dodatkowo również przejrzystością stylu. Niech mała próbka to unaocznii:

"Autorom chodzi przede wszystkim o pożytywny wpływ tych ideowych, metodologicznych i folozoficznych przeobrażeń, które w skali całej polskiej humanistyki szczególnie ostro zaczęły nabrzmiewać w połowie lat sześćdziesiątych, a w pełnym swym wyrazie polemicznym w stosunku do niedostatków przeszłości mogły dać o sobie znać w szerokiej, pozaelitarnej skali społecznej dopiero po tych przewartościowaniach metodologicznych, których początek przypadł na rok 1968. Ponadto mający wówczas miejsce fakt podjęcia pryncypialnej, stojącej na gruncie socjalizmu i patriotyzmu próby dokonania krytycznego a zarazem inspirującego twórczo rozrachunku z przeszłością nie byłby możliwy bez rozszerzenia dotychczas funkcjonujących zainteresowań badawczych. W rusycystyce przede wszystkim przybliżało to podnoszoną w niej problematykę do tej, jaka interesowała humanistykę zaangażowaną ideowo i moralnie w ZSRR oraz innych krajach socjalistycznej wspólnoty" /str. 24/.

Sapienti sat. Po przetłumaczeniu na polski sens powyższych zdań nie ulega wątpliwości: to program sowietyzacji. Taki też program lansowała szeroko i śmiało grupa BB, z lekka go tylko kamuflując "naukowym" żargonem i konwencjonalnymi zastrzeżeniami, iż patrzy na rusycystykę "przez pryzmat własnych doświadczeń i tradycji"[x]. Spoza ustawicznie powtarzanych zdań o "spożytkowaniu konsultacji specjalistów radzieckich" i "konstruktywnej współpracy z naukowcami radzieckimi i postępowymi rusycystami innych krajów"[xx], wyziera następująca dyrektywa robocza: rusycystyka polska ma się ideologicznie subor-

---

[x] B.Białokozowicz: "Problemy rozwoju rusycystyki polskiej", "Nowe Drogi", 1974, 11, str. 94.

[xx] Ibidem.

dynować, jej zadaniem jest wałkowanie tego, co zostało ustalone w Moskwie i Leningradzie z nieobowiązującym zerkaniem "przez pryzmat"; pułap względnej samodzielności określają badania recepcyjne, tj. śledzenie odbić spraw polskich w Rosji i rosyjskich w Polsce. W tym też duchu grupa BB, produkująca ogromne ilości - jakby to nazwać? recepcjonistyki? - po dziś dzień działa.

Nie jest jednak moją sprawą zajmowanie się w tej recenzji grupą BB dla niej samej; ani omawianie stanu polskiej rusycystyki w ogóle. Jest to stan dostatecznie krytyczny, ponieważ dyscyplina ta, mając duże potencjały i wielu zdolnych ludzi, została w kilkunastu ostatnich latach szczególnie drastycznie zduszona przez naszkicowaną wyżej akcję sowietyzacji. Bez kwestii, tędy właśnie, najkrótszą drogą, najporęczniej było indoktrynować naszą humanistykę; tu wymachiwano ze szczególną lubością pogromowymi maczugami, gromiąc popleczników "międzynarodowego trockizmu, rewizjonizmu i syjonizmu"[x]. Wiele by jednak trzeba o tym pisać, zwłaszcza, że oprócz grupy BB podłączone tu były szersze zespoły, układy, stowarzyszenia o międzynarodowym zasięgu; że sprawy rozgrywały się i rozgrywają na wielu płaszczyznach i w wielu miastach; że wchodzą tu w grę publikacje, awanse, nadawanie stopni i tytułów, programy, obsadzanie stanowisk, gry personalne etc. etc. - i nie jest sprawą pozauniwersyteckiego outsidera zagłębianie się w ten gąszcz. Przetrzebić go może tylko zbiorowy wysiłek samych uczonych. Będąc jednak z racji swej specyfiki podwójnie zniewoloną, rusycystyka słabo jak dotąd /słowa te są pisane w lutym/ reagowała na bodźce posierpniowe. Na szczęście coś wreszcie drgnęło; aktywne środowisko krakowskie przygotowało właśnie "List otwarty do polskiego środowiska rusycystycznego", w którym rozważa problem: "Czy rusycystyka polska powinna przejść stadium odnowy?" - i proponując pozytywną odpowiedź, dokonuje rzeczowego gospodarskiego przeglądu spraw wymagających załatwienia, a kończy stwierdzeniem, którego oczywistość ciągle wymaga obrony: "By rusycystyka nasza była dobra, musi być rzeczywiście p o l s k ą".

Wszystko, co o dotychczasowym stanie rzeczy w tej dziedzinie piszę, ma być tylko tłem dla sprawy tutaj głównej. Jest nią wyjątkowy skandal, jaki stanowi opublikowanie "Historii rosyjskiej literatury radzieckiej". Skandal będący owocem wysoce harmonijnej współpracy. Rzecz została złożona w godne, polskie ręce, które ją z pełnym zrozumieniem wypieściły. Godne całości - powtórzę - jest i zbiorowe tłumaczenie, które sprawia, że jeśli nawet wśród tysiąca stron kołacze się może jakaś zdrowa myśl /szukałem, nie znalazłem, ale nie wykluczam; spiritus flat ubi vult/, to i tak przepadnie bez ratunku w tym gigantycznym stylistycznym gniocie, obrażającym jednakowo dobry smak i zdrowy rozsądek. Godne metod całego dzieła są również metody partykularne redaktora naukowego, zastosowane we wstępie; otóż chwali on tam, jak może, prezentowaną księgę, ale jednocześnie, zdając sobie najwidoczniej sprawę, że zastosowane w niej pominięcia i przemilczenia przekraczają wszelkie polskie normy, pośpiesznie dorzuca parę nazwisk. W ten sposób np. Tarkowski, Kusznier i Samojłow są obecni w ogólnym indeksie nazwisk, ale tylko dlatego, że zostali wymienieni we wstępie! Chytrze i elegancko! Faux pas wspólnika zostaje po koleżeńsku otuszowany.

Ale dno pozostaje dnem.

I najlepsze, co możemy zrobić, to mocno się od niego odbić.

Toteż koniec jest apelem, wysyłanym w różne strony. Do rusycystów uniwersyteckich i szkolnych, przypadkowych i amatorskich; do studentów, uczniów, słuchaczy, samouków, bibliofagów i pracowników bibliotek. Do wszystkich Polaków dobrej woli, czytających i kształcących się samemu albo kształcących kogo innego.

Apeluję do nich o całkowity bojkot tego obrzydlistwa. O to, żeby go nie czytać, nie dawać do czytania, nie polecać, nie cytować, nie pytać z niego, słowem: nie wykorzystywać pod żadnym pozorem. Jest to po prostu sprawa elementarnej higieny psychicznej; nie brać do ręki, bo się jej potem nie domyje.

---

[x] Sformułowanie zaczerpnięte z cytowanego artykułu Grabskiego i Sroczyńskiego, str. 39.

Apeluję również do "Solidarności" w Państwowym Wydawnictwie Naukowym; podobno jest silna i prężna. Niech zechce zbadać, jak do tego doszło i kto o czym zadecydował; i niech się postara, żeby nie dochodziło więcej.

A z czasem dno zamuli się naszą pogardliwą niepamięcią.

Amen.

Andrzej Drawicz

Tadeusz Sobota

DALSZY CIĄG EWOLUCJI

Przestańcie stale nas przepraszać. Wiersze - Sierpień 1980. Wydawnictwo im. Konstytucji 3 Maja. Warszawa 1980, ss. 24 + wkładka dwustronicowa.

Pół roku temu omawiałem wydany przez "Archiwum" zbiorek pieśni robotniczych z grudnia 1970 /patrz "Zapis" nr 16, "Nie przewidziana ewolucja pieśni rewolucyjnych"/. Zaraz potem doszło na Wybrzeżu do nowych historycznych wydarzeń i oto mamy kolejny zbiór wierszy robotniczych, tym razem najświeższych, które krążyły wśród strajkujących załóg Gdańska i Gdyni w sierpniu 1980.

Pierwszy tomik zawierał utwory powstałe u zarania epoki Gierkowskiej. Był to przede wszystkim zapis zbuntowanej i pokonanej klasy robotniczej, pogłos jej krwawego pogromu. Zbiór ostatni, zatytułowany "Przestańcie stale nas przepraszać", wydaje się raczej świadectwem poszukiwania ideologii i samoświadomości, odbiciem refleksji wybiegającej daleko poza interesy środowiskowe, a także próbą znalezienia własnej tonacji lirycznej. Tam przeważała satyra na władzę niekoniecznie wybredna, dominował patos walki i lament nad krzywdą robotników. Tutaj - zainteresowania autorów są swobodniejsze, bardziej wszechstronne, nie wyczerpują się w sporze między klasą robotniczą a przedstawicielami władzy. Sądzę, że warto zadać sobie pytanie: czy ten poszerzony przez ostatnie dziesięciolecie horyzont jest skutkiem czy też może jedną z przyczyn faktu, że w sierpniu roku 1980 na Wybrzeżu obeszło się bez przelewu krwi?

Wielce upraszczając wolno przyjąć - analogicznie jak w poprzedniej recenzji - że tomik wierszy, ułożonych, powtarzanych i śpiewanych w okresie szczególnie gorącym, odzwierciedla stan świadomości środowiska robotniczego i może być choćby drobnym przyczynkiem do jej analizy; w napięciu emocjonalnym mówią ludzie najbardziej szczerze i zachowują się najbardziej spontanicznie. Szczerość i spontaniczność są na pewno pierwszymi wartościami tych wierszy.

Co jest w tej poezji ważne? Oczywiście, nadal konflikt pomiędzy społeczeństwem a przedstawicielami władzy, "których los ludu nie musiał obchodzić, bo sami się ludem publicznie nazwali". Oto syntetyczny portret notabla: "Garnitur spod igły, krawacik w paseczki // Rumiane buziaczki i skórzane teczki // A któż to - pytanie, Cóż to za figury? // To wypisz, wymaluj portrecik tych z góry. // Mina nieprzystępna, oczy "wierne", szare // Konta wolne w banku i tupet nad miarę".

W przeciwieństwie do tego obrazu robotnicy mają "zmęczone twarze, szare i zawzięte, jak nasze życie", typowe dla nich są "wytarty berecik, zapadłe policzki, wymuszona dieta i wieczne pożyczki".

Charakterystyka sytuacji życiowej przeciętnego obywatela PRL powraca w kilku wierszach. Piosenka "Kolorowe jarmarki" nostalgicznie wylicza artykuły żywnościowe dostępne tylko wspomnieniom. Wiersz "Dla kobiet" przyrównuje Polkę do zwierzęcia, ponieważ Polka "biega /.../ jak kot z pęcherzem", śpieszy do pracy "jak koń - kłusem", "jak małpa czepia się autobusu", "jak wielbłąd

jest /.../ obładowana" itp. Do tej grupy należy również satyryczny wiersz Załuckiego "Przepis po polsku", zalecający "Wziąć to, czego nie ma // Dodać soli i kminku // po czym zmieszać z tym, czego // Brak chwilowo na rynku", opublikowany w tomiku jako utwór anonima-amatora; trudno o większy sukces pośmiertny pisarza-satyryka!

Na marginesie tego nurtu krytyczno-rewindykacyjnego pojawiają się sprawy ogólniejsze: objawy lęku ekologicznego - "Stój, zatrzymaj się człowieku // Dokąd tak przed siebie gnasz? // Spójrz, coś zdziałał w jednym wieku // Jaki owoc z tego masz", obawy przed zbrojeniami - "Pokój, wolność, demokracja // Głoszą wszyscy bez wyjątku // Ale broni wciąż przybywa // Wszystkim chyba brak rozsądku", a także wyrazisty i silny wątek liryczny. Obiektem lirycznym jest w każdym z tych przypadków dziecko. Jadwiga Piątkowska, maszynistka MKS-u, w wierszu do swojej córki pisze: "Słowo Wolna Ojczyzna // jest twoim odbiciem. // Ty nie wiesz, co to jest zakłamanie // dlatego dodajesz mi siły // w te trudne, sierpniowe dni. // Twoja wiara pozwala mi przetrwać ..." Kilkakrotne w tomiku przywoływanie dzieci jako celu uczuciowych apostrof ma sens dwojaki: wynika z faktu, że się nie ma ich przy sobie wskutek strajku, ale także ze świadomości, że się toczy grę o przyszłość.

Opis sytuacji społeczeństwa wybiega bardzo daleko poza krytykę uciążliwości materialnych i życiowych; żądania rewindykacyjne również nie mieszczą się w tych granicach.

Dominują pretensje i żądania natury politycznej. W wierszu "CRZZ" słyszymy: "Gdy się mówi o związkach // pomyślcie o tym sami // z kim te związki mają związki // bo chyba nie z nami". W wierszu pt. "Tobie Ojczyzno" autor upomina się już o w o l n e związki zawodowe, bezpieczeństwo dla strajkujących, a także postuluje: "Wolność słowa, wyznania, publikacji // środki masowego przekazu dla wszystkich // Bezpartyjni i partyjni - to Polacy // którzy mają prawo czuć, działać, myśleć". Robotnicy Wybrzeża nie poprzestają więc tym razem na przeświadczeniu, iż "prasa kłamie", a prominenci przywłaszczają sobie wyprodukowane przez robotników dobra, ale kierują swe zainteresowanie ku przyczynom, sprawiającym, że jedno i drugie jest możliwe. Tych "mechanizmów władzy" nie uważają za nieuniknione ani niezmienne, ich zmianę uważają za oczywistą konieczność i w imię tej oczywistości strajkują. "Przecież żądania nasze są słuszne // I nie przeciw rządowi i racji // My chcemy tylko warunków do życia // My chcemy demokracji".

Za tym żądaniem kryje się poczucie słuszności, lecz - może przede wszystkim - poczucie własnej siły. Było ono i wcześniej, teraz jednak towarzyszy mu świadomość jego implikacji i jakby pewność siebie przyszłych związkowców. Przedstawiciele władzy są traktowani nawet nie z nienawiścią, raczej z pogardą i lekceważeniem "ludzi gniewnych, ale rozumnych, mocnych". Gdański robotnik, który "ma w porządku w głowie", występuje nie tylko o s w o j e, lecz o wartości społeczne nadrzędne, uniwersalne świadom swojej historycznej misji. Przestrzega: "Nie damy aby rządził nami fałsz, koryto". Upomina władzę: "Przestańcie wmawiać nam głupotę, anarchię i brak doświadczenia", "przestańcie ludzi oszukiwać, zamykać oczy, chować głowy // zamieniać godność i kulturę // w ogromny sklep monopolowy". "Przestańcie dzielić nas i skłócać // rozdzielać punkty, przywileje // przemilczać niewygodne fakty // fałszować historyczne dzieje". Domaga się: "przywrócić wartość wielu słowom, by już nie były pustymi słowami!"

Można więc sądzić, że w pogrudniowym dziesięcioleciu w środowisku robotniczym dokonały się bardzo istotne procesy: ogromnie poszerzyło się pole widzenia sytuacji własnej tego środowiska i sytuacji całego społeczeństwa; powstała świadomość wspólnoty interesów oraz przeświadczenie, iż w naszych warunkach ustrojowych to właśnie klasa robotnicza musi wziąć na siebie główny ciężar odpowiedzialności za los i przyszłość całego społeczeństwa.

Równocześnie zarysowuje się znamienny rozziew pomiędzy standardem myślowym tych zamierzeń a poziomem analizy wad i przewin systemu, które notorycznie prowadzą do dysfunkcyjności i kryzysów. Oprócz prywaty i nadużywania władzy dla celów egoistycznych widzi się jeszcze i tak określa bezpośrednie przyczyny katastrofalnej sytuacji kraju: "Chociaż sami ledwo, ledwo

już dyszymy z głodu // naszym mięsem odżywiamy przyjaciół ze wschodu", "Za granicę za pół darmo wszystko oddajemy // Kapitalizm się bogaci, a my biedniejemy". Zarzut najogólniejszy w formie pytania retorycznego brzmi "Kto Polskę zadłużył i sprzedał?"

Nie trudno stwierdzić, że pretensje o grabież mienia społecznego, sprzedaż produktów polskich za granicę oraz zaciąganie kredytów zagranicznych - acz niepozbawione racji - są mocno niedostateczne, nie wyczerpują katalogu win systemu, a nawet nie wydają się najważniejsze w ich rejestrze. Rysuje się więc wyrazista dysproporcja pomiędzy dość stereotypowymi i płaskimi konstatacjami na temat stanu faktycznego i niepomównanie śmielszymi, bardziej wnikliwymi od tak sformułowanych przesłanek postulatami, żądaniami, aspiracjami. Skłania to do pytania: skąd tak bogate wnioski wobec takiej wątłości przesłanek? Skutek instynktu klasowego, społecznego, narodowego, moralnego? Czy też może wartości wniesione z zewnątrz? Krytyczna analiza systemów i tworzenie korygujących je idei było w historii z reguły zadaniem inteligencji; w krajach zwanych socjalistycznymi jedyną siłą, która dysponuje egzekutywą, niezbędną by zmusić władzę do posłuchu, jest klasa robotnicza, wypełniająca w ten sposób à rebours przeznaczoną jej przez doktrynę rolę klasy p r z o d u j ą c e j.

Bardzo niejednolity jest również poziom stylistyczny i artystyczny zbioru. Obok tekstów całkowicie surowych i nieporadnych zdarzają się próby świadczące o nieco wyższym stopniu biegłości warsztatowej /jak wiersz podpisany nazwiskiem M.Czyż/. W utworach o charakterze postulatywnym, "ideologicznym", słyszy się raz po raz dobrze skądinąd znane tony oficjalnej propagandy i rezimowej retoryki: "Zawsze Gdańsk nasz polski był", "Mamy demokrację krwią ojców zdobytą", "ujmie robotnik w ręce ster władzy", "żeby zawsze w tej Polsce kwitł nam złoty maj". Stereotypom pojęciowym towarzyszy stereotypowa stylistyka przypominająca wstępniaki "z okazji...", plakaty "na rocznicę..." czy - w najlepszym przypadku, choć bez ich talentu oczywiście - retorykę Broniewskiego i Majakowskiego.

Pomysłem, samodzielnością, świeżością i naturalnością myślowo-artystyczną błyskają natomiast od czasu do czasu wiersze i fragmenty ironiczne, sarkastyczne, zrodzone z obserwacji życia zderzonej z tzw. zdrowym rozsądkiem. Zmysł obserwacyjny, ironia bywają najcenniejszymi atutami tych wierszy. "Jeden Polak jest Papieżem // Drugi stoi przy Carterze // Kilku przed Breżniewem klęczy // reszta się w kolejkach męczy". "Rząd ma także sukcesy, to mu przyznać trzeba // w Polsce można bez kolejki dostać się do nieba". "Od kłamstwa do kłamstwa od błędu do błędu // Od gór aż do Gdańska dość mamy obłędu". "Październik i Grudzień, po sierpniu znów Sierpień // a ile w tym wszystkim represji i cierpień? // Zmieniają się stołki, zmieniają nazwiska // Dość mamy obietnic, gdy pusta wciąż miska // Nie Gdańsk i nie Radom, nie Lublin, Warszawa // lecz cała już Polska ma dosyć bezprawia".

Obcujemy więc z trafnie formułowaną kpiną i celnie adresowanym krytycyzmem, a równocześnie z bardzo prymitywną analizą wad systemu. Władzy zarzuca się najchętniej "karierę i szmal", nie dostrzegając na przykład zupełnie motywu strachu, będącego zapewne ważnym motorem jej działania. Władza oglądana jest wyłącznie od dołu, płasko, konturowo, jednostronnie: jest czymś obcym, znanym wyłącznie z widzenia.

Na podstawie lektury zbioru można odnieść wrażenie, że w swych ideowych, reformatorskich zamierzeniach robotnicy posługują się raczej intuicją i doświadczeniem niż wiedzą. Powtarzana na Wybrzeżu wrocławska "Ballada" postponuje nawet z lekka "tych co los swój by chcieli przegadać" - w czym można się dopatrywać śladów niechęci antyinteligenckiej. A przecież scharakteryzowany wyżej "autentycznie robotniczy" sposób myślenia ukazuje pewne luki, które należałoby wypełnić, co właśnie stać się powinno z udziałem inteligencji. Nie ma tu już - rzecz jasna - nic do zrobienia argumentacja oficjalna, która nawet nie prowokuje do intelektualnego odporu, bo "gdy w związku ze związkiem /zawodowym - przyp. T.S./ idzie drętwa mowa // biorę watę, kładę w uszy i spokojna głowa".

Ostatnie dziesięciolecie nauczyło robotników Wybrzeża ważnej prawdy, iż

sprawy bytu materialnego i niesprawności ekonomicznej systemu są najściślej powiązane z takimi - pozornie od nich odległymi - zjawiskami, jak brak wolności i demokracji oraz dewastacja zasad moralnych. Jest to odkrycie doniosłe, ale formułowane na razie w kategoriach niemal wyłącznie negatywnych. Towarzyszy mu głęboka potrzeba wzoru i programu, tęsknota za rozumieniem i odczuwaniem w sposób integralny nie tylko rzeczywistości istniejącej - i odrzucanej - lecz przede wszystkim tej, której się pragnie. Potrzeba ta wyrażana jest silnie, ale w sposób nieco bezradny: "My chcemy Boga w książce, w szkole..// niesie wiatr słowa głębokie, tęskne..// Łza w oku ludzkim, chmura na czole. // Wspaniałe budowle - a w sercach klęska".

Jest to wyraz zapotrzebowania na ideologię, wiarę, nadzieję, program. Jest to - być może nawet nie w pełni uświadomione - zamówienie pod adresem inteligencji. Robotnicy nauczyli się wyrażać dążenia społeczeństwa i egzekwować od władzy posłuch dla nich.

Puste miejsce między potrzebą serca a programem działania winien wypełnić już kto inny.

Tadeusz Sobota

Stanisław Barańczak

"WYOBRAŹ SOBIE, ŻE PISZESZ PO POLSKU"

Jan Polkowski: To nie jest poezja. Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1980, ss. 45 + ilustracje

Jestem oczywiście w pełni świadom, na jakie niebezpieczeństwo narażam siebie i innych, pisząc omówienie, i to pozytywne, tomiku Jana Polkowskiego. Jeszcze jeden powód, aby Adam Krzemiński ponowił w "Polityce" swoje oskarżenie pod adresem "Zapisu": że getto, że popieramy się nawzajem, że interesuje nas tylko to, co wydaje NOWa", a nie mamy zrzumienia dla duchowych rozterek pisarzy, którzy przemycają przez cenzurę i autocenzurę określone fajne sprawy. Mogę tylko odpowiedzieć na to z całą pokorą, że dopóki "Polityka" nie zacznie publikować stałych recenzji z wydawnictw "NOWej", "Zapis" pozostanie jednym z bardzo niewielu miejsc, gdzie możemy odnotować ukazanie się debiutu Jana Polkowskiego - książki istotnej i wartościowej niezależnie od tego, w jakiej oficynie ją wydrukowano. Nie będę już wspominał o tym, że jest to poniekąd wydarzenie historyczne: debiut książkowy pierwszego spośród naszych debiutantów, tj. młodych pisarzy, którym "Zapis" umożliwił literacki start. Urodzony w r. 1953 /parę miesięcy przed śmiercią Stalina - motyw wykorzystany poetycko w utworze "Czy narodziłeś się, człowieku"/, Jan Polkowski pierwsze swoje wiersze ogłosił właśnie w "Zapisie". W "Polityce" byłoby to raczej niemożliwe, nawet dzisiaj: gdyby nawet Polkowski posłał tam dziś swoje wiersze z propozycją druku, zarzucono by mu zapewne nierozsądny "maksymalizm etyczny", tj. nieodpowiedzialną chętkę pisania tego, co się myśli.

Wierszy Polkowskiego nie da się oderwać od rzeczywistości, w której są osadzone. Tyle, że należałoby raczej mówić o trzech wymiarach tej rzeczywistości, wymiarach w skomplikowany sposób nakładających się na siebie i krzyżujących ze sobą wzajem. Wymiar pierwszy to najbliższa, doczesna i konkretna otoczka poetyckiego "ja": własne ciało, dom, miasto, Polska tu i teraz. Drugi wymiar rozszerza się i w przestrzeni i w czasie: obejmuje Wschodnią Europę i zarazem - dzięki przywołaniu symbolicznych postaci, od Lenina do Mandelsztama - kilkadziesiąt lat jej dwudziestowiecznej historii. Wymiar trzeci wreszcie istnieje poza przestrzenią i poza czasem: to wymiar odwiecznego ludzkiego cierpienia i zarazem nadziei, symbolizowany przez dyskretnie przejawiające się w tych wierszach motywy ewangeliczne.

Z tego, co powiedziałem, mógłby nieuprzedzony czytelnik wnosić, że Polkowski jest autorem historyczno-metafizycznych traktatów, obszernych i zarazem patetycznych, jak przystało tematom tak poważnym. Nic podobnego. Najbardziej wartościowe w wierszach młodego krakowianina jest właśnie to, że Polkowski realizuje się najlepiej w formach zwięzłych i emocjonalnie z pozoru oschłych, jako poeta miniatury i dyskrecji. Zwięzłość zmusza do poetyckich zawęzleń sensu, każe uruchamiać zabiegi, które na niewielkiej przestrzeni tekstu byłyby w stanie zderzyć ze sobą i powiązać dwa lub trzy wymiary rzeczywistości. Najprostszy przykład to jeden z pierwszych wierszy tomu:

Kobieta idzie ulicą, je rybę.
Chłód pierwszego dnia września,
ostatnie krople deszczu;
zapach ryby.
Kobieta daje dziewczynce białe pasmo
wędzonego mięsa.
Idą ulicą.
Rozmawiają, jedzą rybę.

Z pozoru - wiersz nie jest niczym więcej, jak tylko obrazkiem rodzajowym. Byłby nim, gdyby nie tytuł: "Katakumby". I gdyby nie dopisek, określający miejsce i czas dokonania obserwacji: "Nowa Huta IX.79". Dzięki tytułowi "ryba" jest nie tylko dosłownym halibutem kupionym w nowohuckim sklepie, ale i symboliczną rybą pierwszych chrześcijan: gest dzielenia się nią staje się gestem ewangelicznym. Dzięki dopiskowi symbolika zostaje ponownie sprowadzona na ziemię i ukonkretniona w czasie; lecz przecież i to miejsce /właśnie Nowa Huta/ i czas /właśnie koniec lat siedemdziesiątych/ też mają w sobie coś symbolicznego. Działanie poetyckie wiersza polega na subtelnym, niemal niedostrzegalnym zderzeniu ze sobą paru na raz wymiarów rzeczywistości i ich wzajemnym ironicznym kontraście. Jeszcze lepiej widać to w innym nowohuckim wierszu pt. "Restauracja 'Arkadia', Nowa Huta, Plac Centralny":

Sekretarz Generalny Wszechrosyjskiej Komunistycznej Partii
/bolszewików/ Włodzimierz Iljicz Lenin. Obsypany
śniegiem, sześciometrowy kolos, wraca z roboty
do baraku. Wycieńczony, głodny. Na nogach trzyma go tylko
wzrok konwoju gałuboj. Mróz podaje mu pięść
zatrzaśniętą jak rozgrzane, brzęczące stepy. Polarna
noc rozbiera się do naga. Apel.
Na poplamionych obrusach
kołymskiego śniegu.

Mechanizm zderzania się wymiarów rzeczywistości jest tu prosty, ale poetycko owocny. Wiersz znajduje uzasadnienie w dwu na raz porządkach: pierwszy to porządek historii /Lenin jako zarazem twórca obozów koncentracyjnych i ubóstwiony symbol ucieleśniony w nowohuckim pomniku/, drugi to porządek przestrzenny, związany z punktem widzenia mówiącego /który ogląda pomnik Lenina z okien restauracji, łącząc w jednym spojrzeniu śniego za oknem i "poplamiony obrus" na stoliku przed sobą/. Krzyżuje się z tym druga opozycja: w pomniku widzi mówiący jednocześnie pomnik Lenina i żywą postać ofiary leninowskiego systemu, anonimowego łagiernika. W tym kontekście nazwa restauracji - "Arkadia" - staje się jeszcze jednym elementem znaczącym, znakiem ironii łączącej w jedność sprzeczności wiersza. Umieszczona na początku, jest ta nazwa w istocie pointą całego utworu. Trzeba tu dodać, że krzyżowanie się wymiarów rzeczywistości zdarza się u Polkowskiego nie tylko w obrębie jednej sytuacji czy obrazu, ale także jednego słowa: tak w zakończeniu wiersza "Którzy nie widzieli", dziejącego się w celi więziennej, majaki aresztanta przerywa wejście strażnika:

Nawet nie widzisz, że klawisz przyniósł posiłek.
Stojąc przy zimnej ścianie kreślisz bezwiednie
znak przebaczenia
i łamiesz chleb

żeby zalepić oczy Judaszowi.

Nie ma większej potrzeby tłumaczyć, że ostatnie słowo jest celowo dwu-

znaczne, warto zauważyć jednak, jak odległe wymiary rzeczywistości zostają zderzone ze sobą dzięki temu jednemu wyrazowi.

Poezja Polkowskiego pod pewnym względem jest dokładną odwrotnością tego, co najczęściej daje się zauważyć w wierszach debiutantów lat ostatnich. Gdy mianowicie regułą jest przerost autotematyzmu, refleksji wiersza nad samym sobą, przy jednoczesnym niedowładzie rzeczywistości i jej poetyckiego rozumienia - Polkowski zaczyna jak gdyby właśnie od poetyckiej analizy rzeczywistości, która go /w kilku opisanych wyżej wymiarach/ otacza, i dopiero z przekonań na temat tej rzeczywistości wyprowadza ważne dla siebie pytanie "jak być poetą". Pytanie to dotyczy spraw dla profesji poetyckiej najbardziej podstawowych. Polkowski rozumie bowiem przez nie przede wszystkim dylemat: "jak w ogóle możliwa jest - tu i teraz - poezja":

Te wszystkie myśli, ludzie, rzeczy,
dawne i te, wśród których poruszam się teraz,
nie mogą stać się poezją.
/......./
Zapisuję więc: nie jestem poetą,
żyję wśród was,

to śmieszne, ale jak to pięknie brzmi:
żyję wśród was.

/"Sprzeczność wewnętrzna"/

Chodzi przy tym nie tylko o opór rzeczywistości, która "nie może stać się poezją". Chodzi również o opór samej poezji, która - znowu: tu i teraz - zatraciła jakby swój naturalny status. "Wyobraź sobie, że piszesz po czuwasku lub po polsku" - pisze, jak o czymś trudno wyobrażalnym, Polkowski w wierszu "Wyprzedzaj, poeto", w którym przed poezją stoją tylko dwie możliwości: wiersz może być albo szmuglowany przez granice i konfiskowany przy rewizjach, albo skandowany przez tłum na stadionach i recytowany w telewizji przez Tadeusza Łomnickiego. Przejaskrawienie, zgoda; ale wynika ono ze stale obecnego w tej poezji moralnego uwrażliwienia na konsekwencje każdego z podejmowanych przez człowieka czynów. Kończy się przecież tomik akcentem groteskowym, ale, nie ma co ukrywać, dość katastroficznym:

Burzliwe oklaski, długo nie milknące,
przeradzają się w owację.
Wszyscy delegaci wstają.
Finis Poloniae.

Wróżby poetów rzadko kiedy się sprawdzają, i w tym nasza otucha. Mówiąc jednak poważnie, w osobie Polkowskiego należy powitać poetę o ostrym wzroku, własnym głosie i nie uśpionym sumieniu, poetę, który ma sporo do powiedzenia - i który na pewno powie w przyszłości niejedno.

Stanisław Barańczak

Stanisław Barańczak

KSIĄŻKA DLA KAŻDEGO

Kalendarium rocznic i obchodów 1980. Autorzy: Liliana i Witold Kopczyńscy. Krajowa Agencja Wydawnicza i RSW "Prasa-Książka-Ruch". Warszawa 1980. ss. 396. Nakład 15 000 egz.

Oto nareszcie książka, o której powiedzieć można wszystko prócz tego, że jest niepotrzebna. Przeciwnie, "Kalendarium rocznic i obchodów" - wydane, jak się dowiadujemy ze wstępu, już po raz jedenasty - to publikacja żywotnie niezbędna każdemu Polakowi. Budzisz się w nocy, zlany potem i przejęty grozą, bo nie pamiętasz, czy przypadkiem nazajutrz nie przypada Dzień Odlewnika? Nie ma strachu - wystarczy sięgnąć po "Kalendarium" i sprawdzić. Bardzo też słusznie wydano ten cenny tom w formacie kieszonkowym: "Kalendarium" powinno zawierać każda polska kieszeń, tak aby o dowolnej porze dnia i nocy można było szybkim ruchem wyciągnąć to kompendium i się skonsultować. Wiadomo przecież nie od dziś, że rocznice i obchody są w naszym kraju - obok wódki i czerwonego płótna - jedynym towarem, którego mamy pod dostatkiem i którego nigdy nie zabraknie. Lektura "Kalendarium" uświadamia nam nawet, że rocznic i obchodów bywa chwilami troszkę za dużo, co wynika z ich nierównomiernego rozmieszczenia /poprawniej "nierytmicznej lokalizacji na przestrzeni czasu"/. Tak np. dzień 25 maja to równocześnie: 1. Święto Ludowe, 2. Dzień Działacza Kultury, 3. Dzień Pracownika Przemysłu Spożywczego, 4. Dzień Drukarza i 5. Dzień Jedności Afryki. Wyobrażam sobie teraz, że ktoś jest naturalizowanym Murzynem, który zapisał się do ZSL, pracuje w drukarni, wytwarzając etykietki na przetwory warzywne, a w wolnych chwilach działa kulturalnie w amatorskim zespole big-beatowym. Ktoś taki musiałby w jednym dniu wziąć udział w pięciu akademiach! Jak to zorganizować w czasie, jeśli nawet pominiemy kwestię nieuniknionego fizycznego wyczerpania? A co począć, jeśli ktoś jest wielodzietnym chemikiem, zatrudnionym w przemyśle terenowym? Pierwszy czerwca to przecież jednocześnie Dzień Chemika, Dzień Pracownika Przemysłu Terenowego oraz Międzynarodowy Dzień Dziecka. Trudny wybór!

Pozostawiając jednak na boku te kłopoty z nadmiarem, trzeba powiedzieć, że "Kalendarium" zapewnia nam /poprawniej: "zabezpiecza"/ właściwy i słuszny stosunek do wszelkich ważniejszych świąt i rocznic. Przy każdym kolejnym haśle autorzy podają, co nam się powinno z rocznicą kojarzyć i jaką imprezę powinniśmy zorganizować w naszej placówce, aby innym obywatelom kojarzyło się to samo. Zbliża się, dajmy na to, 5 stycznia - rocznica powstania PPR. Zaglądamy skrzętnie do "Kalendarium" i wszystko staje się jasne: powinno to przywołać w naszej pamięci fakt, iż, tu cytat, "Nasz naród, a w każdym razie jego podstawowe klasy i warstwy - robotnicy, chłopi, inteligencja pracująca, ludzie nauki i sztuki - ufają partii, idą z partią, powierzają jej swoje dalsze losy. Świadczy o tym poparcie, jakiego ludzie pracy udzielali partii w całym okresie istnienia Polski Ludowej, szczególnie zaś w chwilach dla naszej władzy ludowej trudnych i dla nas wszystkich przełomowych. Świadczy o tym również żywiołowość i powszechność czynów produkcyjnych podejmowanych w naszej ojczyźnie na każdy apel partii" /s. 39/. Aby tę ciekawe spostrzeżenia upowszechnić, najlepiej jest - wskazują autorzy "Kalendarium" - "zorganizować spotkanie z działaczami PPR oraz byłymi żołnierzami Gwardii Ludowej i Armii Ludowej, a także spotkanie z działaczami PZPR z Waszego terenu /s. 39/. Można też zorganizować "wystawę dokumentów i pamiątek z lat walki" albo posłużyć się kasetą "Zrodzeni w walce - naród i działalność" /s. 40-41/. Pasjonujące perspektywy: od razu wiemy, co robić z czasem w długie zimowe wieczory, a zarazem zaskarbiamy sobie wdzięczność współobywateli, którzy tylko marzą o spotkaniu z działaczem, obejrzeniu wystawy dokumentów PPR czy wysłuchaniu kasety "Zrodzeni w walce - naród i działalność". A nie zapomnijmy, że ogromną rolę jako forma pracy ideowo-wychowawczej odgrywają też kawa i ciastka /Dzień Kobiet/ oraz spotkania z ciekawymi ludźmi /np. 7 października - Dzień Milicjanta/. Nie samą jednak pogodną wesołością i rozryw-

ką żyję obywatele podczas świąt i obchodów: kawę, kasety, ciastka, quizy i wywiady z ciekawymi ludźmi należy wykorzystywać w celu "wychowania wrażliwych patriotów, ludzi nowoczesnych, wykształconych, zaangażowanych w rozwój społeczno-gospodarczy oraz kulturalny kraju" /s. 5/. I tak, w czasie Dnia Kobiet ogłaszamy przy kawie i ciastkach informację, że "w USA kobiety stanowią tylko 7% lekarzy i 2% inżynierów /w Bułgarii odpowiednio 75,5% i 30%/" /s. 62/, podczas pochodu 1-Majowego deklamujemy przez tubę natchniony tekst Henryka Gaworskiego: "Nie chodzi o to, żeby tylko po prostu pracować, ale żeby dobrze pracować" /s. 89-90/, natomiast w rocznicę narodzin Radzieckich Sił Zbrojnych przypominamy wrażliwej młodzieży, iż "starszy szeregowiec Grigorij Kunawin, pełniący funkcję oficera politycznego kompanii, własną piersią zasłonił wylot strzelniczy bunkra" /s. 272/.

Ostatnie wydarzenia w kraju - od Sierpnia począwszy - odwracają niestety uwagę zabieganej ludności od jakże ważnego elementu naszego życia: świąt, uroczystości, rocznic i obchodów. Jednak mimo to można żywić nadzieję, że nakład "Kalendarium", zdecydowanie dotąd za mały, zostanie od roku bieżącego podniesiony. Zwracamy odpowiednim władzom uwagę na taką choćby okoliczność: około /poprawniej: "circa"/ 400 stron kieszonkowego formatu to zaledwie 50 kart formatu A-4. Pomnożone przez nakład, daje to zaledwie 750 000 takich kart, czyli 1500 ryz papieru, niewiele więcej niż zużywa "NOWa" na łączny nakład paru niecenzuralnych pism czy książek. Pomyśleć, że gdyby nie podstępna działalność Mirosława Chojeckiego i jego raczkujących kompanów - "drukarzy", wykupujących nasz społeczny papier na publikowanie "dzieł" panów Miłoszów, Gombrowiczów i Żeromskich - gdyby więc nie to karygodne marnotrawienie wspólnego dobra, nakład "Kalendarium" mógłby być kilkakrotnie wyższy i choć w części zaspokoić powszechne zapotrzebowanie całego narodu.

Stanisław Barańczak

GWOŹDŹ W NUMERZE

Piotr Kropotkin

ZAPISKI Z OSTATNICH DNI

2 XII 1920. Dziś wizyta B... Ukrywa się, szuka możliwości wyjazdu do Europy. Mówi, że przeraża go to, co tu się dzieje. Rozmowa trudna, męcząca. Co mu mogę powiedzieć? Że tacy jak on byli równie przerażeni w okresie kiedy obradował Konwent? W thermidorze? Że poród jest zawsze bolesny?

3 XII 1920. Wciąż myślę o tym, co mówił B... - "Piotrze Aleksiejewiczu, powiedz sam, co to ma wspólnego z tym, o co walczyłeś? Gdzie tu widzisz nasz naród? Ci przefarbowani Żydzi, którzy dziś nazywają się Trocki, Swierdłow, Zinowiew, Kamieniew? Ten mieszaniec Uljanow? Ci kaukascy barbarzyńcy, Ordżonikidze, Dżugaszwili, Frunze? Polak Dzierżyński? Nasz lud nie wie, o co chodzi, a zresztą - czy w ogóle wie coś o wolności? Wolności mordu, rabunku, pijaństwa - tak! Ale o czym tu gadać? Piotr wprowadził do nas zewnętrzny wystrój cywilizacji, ale trzeba kultury - inaczej kpmu co przyjdzie z tej rewolucji? Chyba tylko tym, którzy pod pretekstem wyzwolenia wezmą ten nieszczęsny lud za mordę i zniszczywszy nas, sami będą go grabić?"

Co właściwie można na to odpowiedzieć? Próbowałem mu tłumaczyć, że człowiek jest z natury łagodny i dobry, ale przez tysiące lat ucisku jego naturalne skłonności uległy wypaczeniu.

"Książę - powiedział - ja wierzę w Boga i w Kościół prawosławny. I w słowo Boże. W Pismo Święte. I wiem, że pierwszy człowiek - Adam - był głupi, próżny i podły. Głupi - bo chciał oszukać Boga, próżny - bo chciał mu dorównać, a podły - bo zwalał winę za zjedzenie jabłka na swoją kobietę. A ty wierzysz w Jana Jakuba i chcesz mi wmówić, że na początku był wiek złoty, i żyjący w nim szlachetny dzikus?"

Powiedziałem, że cała historia - naturalna i społeczna - uczy, że człowiek ma zmysł współdziałania, że jest z natury skłonny do współpracy. Że to co było - było złe, a to co będzie może być dobre.

Ale śmiał się tylko.

5 XII 1920. Pamiętam, jak przed sześćdziesięciu pięciu blisko laty w mojej szkole pożerałem nielegalne wówczas teksty Comte'a, Smitha, Marksa i Engelsa. Wierzyłem w to, że choć rewolucja jest nieuniknioną koniecznością, prawem historii, akuszerką postępu, będzie możliwe jednak osiągnięcie jak najlepszych rezultatów przy jak najmniejszej liczbie ofiar. Krew nie oczyszcza, ona tylko brudzi.

B... . Komentował sytuację u nas w ostatnich latach. Cytował Goethego: "Gdy masz dobry cel na względzie, każdy krok Twój dobrym będzie" - i pytał, czy naprawdę uważam to za słuszne? Sam nie wiem.

7 XII 1920. Szukałem notatek, które zrobiłem sobie po tamtej rozmowie z Uljanowem i Bonch-Brujewiczem. Teraz patrzę już innym okiem. Wtedy jeszcze miałem nadzieję, że to, do czego dążą bolszewicy, może być osiągnięte - choć przerażająca hekatomba, jakiej jestem świadkiem, każdy cel mogłaby obrzydzić.

Zawsze wydawało mi się pewne, że byłoby to wbrew prawom natury, gdyby człowiek - przeciwnie do tego, co widzimy w całej przyrodzie - nie miał instynktu kooperacji, społecznego instynktu zachowania swego gatunku. Tłumaczyłem Włodzimierzowi Iljiczowi, że żadna praktyka społeczna nie powinna hamować samodzielności jednostki, choćby nawet w imię tak wzniosłego celu, jak dobro społeczeństwa czy nawet gatunku. Ale cóż, Marks - co mu wielokrotnie mówiłem - uprościł cały problem, a ci, którzy mienią się jego uczniami, upraszczają go jeszcze bardziej. W tej chwili nie mówią o niczym innym, tylko o umocnieniu państwa, twierdząc, że jest to państwo proletariatu. Chciałbym

wierzyć, że są oni szczerzy i mają na myśli państwo d l a proletariatu. Sam proletariat bowiem - co z każdym dniem widać wyraźniej - nie chce z tym państwem mieć nic wspólnego. Chce jeść i pić i nic nie robić, skoro jest wolny. Uljanow ma rację, że gdyby pozwolić ludowi robić co chce, nie będzie robił nic - i skończy się tak, jak u wszystkich utopistów. - "Ja nie jestem Owenem, książę - powiedział mi - i chcę żeby to co robimy przetrwało!" - "Ale chcemy, aby było inaczej, lepiej, żeby zapanowała sprawiedliwość, równość, wolność, braterstwo!" - odparłem. - "Ja też tego bym chciał - odpowiedział Lenin. - Ale, z mojej pozycji, muszę również wiedzieć, co jest możliwe. Tobie, książę, los oszczędził tej próby".

10 XII 1920. A propos rozmowy z Leninem. Przed kilkunastu laty poznałem w Zürichu młodego niemieckiego pisarza, Herman Hesse, bardzo inteligentny, ale z ogromnym sceptycyzmem odnosił się do jakiejkolwiek działalności rewolucyjnej. Znał naszych rewolucjonistów, Uljanowa podawał jako przykład. Powiedział mi kiedyś: "O takich jak on pisał Benjamin Constant: To jeden z tych ludzi, którzy nie mając nigdy do czynienia z prawdziwym życiem, sądzą, że wszystko się robi przy pomocy przepisów i prawa. Gdyby ci szaleńcy zaczęli rządzić, poszliby w ślady Robespierre'a, z najlepszymi intencjami w świecie".

Nie wiem, czy ten Hesse jest dobrym pisarzem,- ale psychologiem jest znakomitym.

11 XII 1920. Ileż setek lat potrzeba, aby dać ludziom świadomość tego, co mogliby zrobić, gdyby zechcieli być wolni?

Ledwo to napisałem, mój szatan, który od pewnego czasu wtrąca się do każdej rozmowy, jaką sam ze sobą prowadzę, spytał ze śmiechem: "Ale czy sądzisz że skłonni są oni zapłacić za wolność taką cenę, jaką byłoby nieczynienie krzywdy swoim bliźnim?".

I nie wiem sam: chciałbym w to wierzyć, ale...

12 XII 1920. Niedostateczny rozwój osobowości - co prowadzi do stadności - oraz brak twórczej siły i inicjatywy jednostki, oto co bezprzecznie stanowi jeden z głównych problemów naszych czasów.

13 XII 1920. Wierzyłem w rewolucję głęboką, bezlitosną, która nie tylko przeobraziłaby ustrój ekonomiczny, zbudowany na grabieży i oszustwie, nie tylko zburzyłaby instytucje polityczne, zbudowaniu na władaniu mniejszości, ale również poruszyłaby całe społeczeństwo pod względem umysłowym i moralnym, wcieliła w życie wzniosłe ideały, dzięki uczciwym porywom i wielkiej ofiarności. Byłem pewien, że musimy koniecznie, w sposób naukowy, stwierdzić, skąd pochodzą pojęcia moralne, a następnie - określić główne podstawy moralności, aby w ten sposób wypracować prawidłowy ideał moralny. Byłem pewien, że właściwy, istotny cel rewolucji, dobrobyt dla wszystkich, będzie łatwy do osiągnięcia.

Czy wierzę w to nadal?

14 XII 1920. Wierzyłem w siłę twórczą, zastosowaną do przeobrażeń społeczeństwa na nowych podstawach, w konstruktywne siły społeczne, dla których działalności otworzy się szerokie pole, w moralny wpływ walki, toczonej w imię wspaniałych ideałów, mogących pociągnąć ludzi pięknem i głębią nowych horyzontów. Wierzyłem, że każdy chętnie wykona na polu czy w fabryce pracę, którą jest winien społeczeństwu, i która stanowi jego udział w produkcji ogólnej, a drugą połowę dnia czy tygodnia zużyję na prace dla zaspokojenia swych potrzeb artystycznych i naukowych. Jakiż byłem głupi! Kto tu ma potrzeby artystyczne czy naukowe? Doprowadziliśmy ludzi do stanu, który nie jest zezwierzęceniem, gdyż bydlęta mordują z głodu, a ci tu nawet nie z nienawiści - po prostu z bezmyślności, pijaństwa i bezkarności.

Jaki będzie ten "nowy, wspaniały świat", który się z tego wyłoni? Strach o tym myśleć.

15 XII 1920. W jakim świecie ja żyłem? Wierzyłem w postęp, a widzę, że aczkolwiek historia nigdy się nie powtarza, pewne postawy i sytuacje powtarzają się stale, a to dlatego, że psychika ludzka nie uległa - w historycz-

nym czasie - żadnej zmianie. Mamy te same potrzeby, namiętności i urojenia, co protagoniści eklezjasty Homera i Wergilego - wszelkie postępy techniki nie mają w tej sprawie żadnego znaczenia.

17 XII 1920. Pogardzałem chrześcijaństwem, bo ta religia miłości, odkąd stała się panującą, nieustannie ociekała krwią. Ale nasza czerwona gwiazda może zwiastować jeszcze gorszą epokę niż ta, którą przyniosła gwiazda betlejemska.

Chrystus nawoływał, abyśmy miłowali nieprzyjacioły nasze, o czym jego wyznawcy nie chcieli pamiętać; my nawołujemy do nienawiści, a o tym nikt nie zapomni.

20 XII 1920. Obudziłem się dziś nad ranem z koszmarnego snu. Śnił mi się Karol Marks, siedzieliśmy razem w londyńskiej kawiarni na Kings Road i dyskutowali. Mówił do mnie tak: "Książę, musisz zrozumieć, że o wszystkim decyduje poziom sił wytwórczych i charakter stosunków produkcji. Jeśli proletariusz, obojętne, robotnik czy chłop, o którym wiem bardzo mało, będzie miał świadomość, że pracuje dla siebie, czy nie da z siebie wszystkiego, aby wyprodukować jak najwięcej i jak najlepiej? Ale musi, książę, być ktoś, kto zadba o organizację tej produkcji. Musi istnieć państwo, organizacja, urzędnicy, których celem będzie obsługiwanie sił wytwórczych - wolnego robotnika i maszyn będących jego własnością. Wolnego chłopa i ziemi będącej jego własnością. W dziewiętnastym wieku nie możemy wracać do autarkii, do gospodarki, która umożliwia zaspokojenie li tylko minimalnych potrzeb, tylko utrzymanie człowieka przy życiu, a nic więcej nie jest możliwe bez ogólnej koordynacji. Niech się pan nie obawia, drogi książę! Wszystko będzie dobrze, praca partnerska, praca, która stworzy sobie warunki, aby obiektywnie i subiektywnie stać się samourzeczywistnieniem, będzie najważniejszą potrzebą życiową. Będzie ona nie zabawą i rozrywką, jak chciał Fourier, lecz radosnym, świadomym działaniem dla dobra własnego, dla dobra całej ludzkości, dla dobra przyszłych pokoleń!"

Całe rano myślałem o tym śnie.

21 XII 1920. Święty Augustyn zaczynał od manicheizmu, później stał się najgroźniejszym szermierzem ortodoksji przeciw manichejskiej herezji. Był optymistą, wierzył w absolutne dobro i jego triumf.

Patrząc na to, co się dzieje, a co jest - pamiętajmy - spełnieniem marzeń tych najlepszych, tych, którzy naprawdę cierpieli widząc uciemiężenie mas pracujących - patrząc więc na to lepiej rozumiem, czemu Rzymianie uważali Janusa, boga o dwóch twarzach, za boga wszelkiego początku. Po stronie Augustyna są na pewno wiara i nadzieja - doświadczenie jest manichejskie.

24 XII 1920. Coś niesłychanego! Wieczorem odwiedził mnie Dzierżyński. Przyszedł z dwoma ludźmi z obstawy, którzy przywieźli wiktuały. Natychmiast ich zresztą odprawił. Zaczął od: "Wybacz mi Piotrze Aleksiejewiczu, ale jesteś klasykiem ruchu rewolucyjnego. I jesteś mi, książę - toutes proportions gardées - dużo bliższy jako człowiek niż tamte prostaki. Nie będziesz mógł mi pomóc: nikt z nas nie wie, dokąd zmierzamy i czym się to skończy, ale muszę ci to powiedzieć".

Nalał sobie szklankę wódki, wypił, roześmiał się gorzko: "Wybacz, książę, długo żyłem jak asceta, nie miałem czasu na życie prywatne, nie myślałem o nim. Nawet nie piłem. Wierzyłem w rewolucję, jak apostołowie wierzyli w Peruzję. I tak jak dla nich pewność powrotu Chrystusa był gwarancją, że postępują właściwie, że to, co robią, jest dobre, dla mnie tak samo gwarancją była rewolucja i pewność jej zwycięstwa. Wywodzę się, jak pewnie wiesz, nie z bitych, lecz z bijących - z polskiej szlachty. Nienawistną była mi świadomość własnego uprzywilejowania, na które niczym nie zasłużyłem. Czułem się solidarny z tymi, którzy byli poniżeni, chociaż niczym nie zawinili".

Znów nalał i wypił.

"A teraz? Czy wiesz, książę, co się u nas dzieje? Naprawdę, nie według tego, co piszą w gazetach czerwonych sprzedajni pismacy? Czy wiesz, że pół miliona wyzwolonych proletariuszy natychmiast po rozdaniu chłopom ziemi porzuciło fab-

ryki, które stały się ich własnością, i uciekło na wieś, uprawiać własną ziemię? Czy wiesz, że Tomski błagał nasz aktyw gospodarczy, żeby wytłumaczyć robotnikowi, że muszą pracować, bo spożywają więcej niż produkują, co grozi całkowitą katastrofą gospodarczą? Że Gastiew, nasz Sasza Gastiew, wybitny znawca nauki o pracy ludzkiej, powiedział, że śmieszy go, gdy słyszy, jak oskarża się o sabotaż gospodarczy nie istniejącą już burżuazję, podczas gdy w rzeczywistości nasza katastrofalna sytuacja gospodarcza spowodowana jest sabotażem ludowym, proletariackim, polegającym na tym, że robotnicy nie pracują i nie mają wcale zamiaru pracować?

Tak, to dezawuuje naszą propagandę, ale czy widzisz inne wyjście? Rozpętaliśmy żywioł, nad którym nie potrafimy zapanować. A zapanować trzeba, bo przyznanie się do pomyłki oznaczałoby restaurację samodzierżawia i kapitalistycznego wyzysku, co nie zostawia już żadnej nadziei!"

Wypił, wstał. "Najlepszych świąt, książę Piotrze! Ulżyłem sobie, wybacz!" I wyszedł. A ja usiadłem do niewesołego rachunku sumienia. Więc to tak?

30 XII 1920. Spotkania z ludźmi. Próba wysondowania, co się dzieje, ku czemu to wszystko zmierza. Są kompletnie zdezorientowani, nikt nie widzi wyjścia z tej sytuacji. Oczekują cudu. Cudu?

2 I 1921. Wiadomość od B... Jest w Paryżu. Kartkę, którą przysłał, przepisuję: "Przyjacielu, pamiętasz naszą ostatnią rozmowę? O Goethem? Napisał on także: 'Teoria jest szara, ale wiecznie zielone złote drzewo życia'. Teraz, kiedy tęsknię za Moskwą i Pitrem - a Ty wiesz, co to znaczy - ale i mam co jeść, mam co pić i nie boję się, że ktoś mnie wskaże palcem i zginę za to, że jestem sobą - rozumiem, że życie jest dobre. Nawet w naszym wieku!

Jeden z naszych rewolucjonistów, wyjeżdżający do Europy w misji, zabrał mnie jako tłumacza. Obiecałem mu dać w Paryżu dwa tysiące rubli złotem. Ale nie dam, bo nie mam. Byłby to argument - jeszcze jeden - że arystokracja zawsze wyzyskiwała lud, tyle że jest on synem hurtownika, spekulanta zbożowego, a do rewolucjonistów przystał po ich zwycięstwach nad Denikinem i Kołczakiem.

Żegnaj, bądź szczęśliwy, chciałbym Cię zobaczyć!"

5 I 1921. Wydaje mi się, że zaczynam rozumieć błąd, jaki popełnili Karol Marks i Fryderyk Engels. Zresztą - trudno mieć do nich pretensję. Wówczas trudno było sobie z tego zdawać sprawę. Warunkiem wyzwolenia proletariatu jest - ich zdaniem - upaństwowienie środków produkcji, przy czym państwo, będące właścicielem tych środków produkcji, samo jest własnością ludzi pracy. O polityce państwa decydują bowiem obieralni przedstawiciele ludzi pracy, krew z krwi i kość z kości proletariatu. Taka jest teoria. Tak miało być. A jak jest?

Przede wszystkim - proletariat jest siłą, ale nie ma przygotowania do tego, aby rządzić. Ktoś musi nim kierować. W naszym rosyjskim eksperymencie tymi kierującymi są ludzie, wywodzący się z niższych warstw klas wyzyskujących. Oni działają w imieniu proletariatu, zarządzają środkami produkcji, które stanowią własność siły roboczej. A więc, w łonie sił wytwórczych nie ma żadnej sprzeczności. Ale jest! Otóż oprócz środków produkcji i siły roboczej istnieje trzeci element, mający największe znaczenie. Nie ten ma władzę i możliwości wyzysku, kto jest właścicielem maszyn i opłaca robotników, ale ten, kto ma prawo decyzji, a decyzję podejmują ci, którzy dysponują informacją. Kapitalista zawłaszczał wyprodukowaną przez robotników wartością dodatkową, wyzyskując go w ten sposób, to oczywiste. Ale robił to prywatnie, indywidualnie, metodą jakby chałupniczą.

A teraz wszystko zmierza w kierunku daleko gorszym. Ci, którzy rządzą, nie są właścicielami ziemi, fabryk. Nie muszą ich budować, nie muszą inwestować. Na te cele idzie wartość dodatkowa, tak jak przedtem, ale ci, którzy rządzą, nie ponoszą żadnego ryzyka, nie mogą stracić kapitału, bo go nie mają - nie muszą mieć. Nie na tym polega ich władza: oni po prostu zawłaszczyli informację, a posiadanie informacji warunkuje możliwości podejmowania decyzji. A więc - sprawowanie władzy. O czym mogą decydować rady, pozbawione informacji o tym, co się dzieje? Nie znając całości, ale tylko pewne jej elementy? Ze stanu faktycznego wiedzące tyle, ile zawłaszczyciele informacji

zdecydowali się pozwolić im wiedzieć? Rady mogą zażądać jakiejś głowy i mogą ją otrzymać, jeśli będzie to na rękę najsilniejszej frakcji rządzącej oligarchii. Prawdziwa władza coraz bardziej przechodzi w ręce aparatu urzędniczego i rozmiary tej władzy są proporcjonalne do zakresu posiadanej informacji, a to zależy od pozycji, jaką zajmuje się w strukturze tego aparatu. Czy jest możliwość zapobieżenia temu?

7 I 1921. Historia wydawała mi się linią prostą, biegnącą w nieskończoną przyszłość, w której zrealizuje się wreszcie trzecie królestwo Joachima di Fiore, ale bez pomocy jestestw metafizycznych, bez pomocy tego, co Haeckel nazywał kręgowcem o konsystencji gazowej. Brzydziłem się płodem syfilitycznego mózgu, doktryną wiecznych powrotów.
Ale czym jest naprawdę historia, bo z pewnością nie jest ani jednym, ani drugim? Dlaczego uważaliśmy, że celem ewolucji, której historia jest tylko incydentalnym fragmentem, ma być szczęście człowieka, zapanowanie sprawiedliwości społecznej, i że skończy się ona wraz z wprowadzeniem komunizmu, jak chciał Marks, czy anarchokomunizmu, jak chciałem ja? Marks, z jego wykształceniem - rozumiem, ale ja, przyrodnik - jak mogłem być tak naiwny?

10 I 1921. Znów wizyta Dzierżyńskiego. Tym razem przyszedł już po sporej porcji alkoholu, ale też i przyniósł z sobą flaszkę. - "Pamiętacie, Piotrze Aleksiejewiczu, mówiłem poprzednim razem o Saszy Gastiewie, tym specjaliście od organizacji pracy? Już siedzi!" - "Ale za co?" - spytałem. - "Za kontrrewolucję! Zrobiliśmy obozy pracy - sadzamy, kogo się da. A jak siedzą, muszą pracować, bo inaczej nie dostaną żreć!" Mówiłem o konieczności cierpliwego czekania, aż obudzą się wyższe uczucia w ciemiężonych masach, o konieczności pracy ideowo-wychowawczej, o tym, że naturalne w człowieku dążenia do sympatii i kooperacji odrodzą się w wolnym społeczeństwie... Machnął ręką: "Tak, wiem, to w przyszłości. A na razie musimy produkować, przynajmniej broń, amunicję, żebyśmy się w ogóle utrzymali". - "Ależ to zdrada naszych ideałów!" - powiedziałem. Spojrzał na mnie przeciągle. - "Przez to trzeba przejść, tego się nie da ominąć". Znów machnął ręką. - "Czytałeś, może, książę, takie opowiadanie mojego rodaka, powinowatego zresztą, mieszka w Anglii, pisze po angielsku, nazywa się Józef Korzeniowski, a podpisuje - Conrad? O szlachetnym młodzieńcu, który pojechał nieść kulturę i cywilizację do Konga, Leopolda. Napisał piękny memoriał, jak podnieść poziom kulturalny Murzynów, całą, piękną teorię - a kiedy konał, w delirium, przekreślił to, co napisał, jednym zdaniem: 'Wytępić te wszystkie bestie'. To była suma jego doświadczeń. A niedługo będzie i moich". Wypił resztę przyniesionej wódki, wstał ciężko, zaczął się ubierać. "Książę, nie powiesz tego nikomu, co za chwilę usłyszysz, szysz?", spytał prawie szeptem. - "Nie powiem". - "Słuchaj, czasem myślę, że to zrobił on, ten, którego nie ma" - skrzywił twarz w uśmiechu. "Już raz, kiedy ludzie budowali wieżę Babel, pomieszał języki, teraz, kiedy chcieliśmy się wyzwolić, popuścił serca i rozumy".

11 I 1921. Cały dzień robiłem rachunek sumienia naukowca, pożal się Boże, który wierzył w ewolucję i w to, że człowiek jest jej koroną, najwyższym osiągnięciem, jako zoon politikon, animal sociale. Człowieka, który wierzył, że celem ewolucji biologicznej jest człowiek, a celem ewolucji socjalnej - człowiek wolny i szczęśliwy.

12 I 1921. Znów miałem straszny sen. Śniło mi się stado pawianów, rządzące się swoistym rytmem dominacji i podległości. Na szczycie siedział wielki pawian kopulujący z wszystkimi innymi, niżej kilka mniejszych, pokrywanych przez niego, ale wyżywających się na całej reszcie poniżej, i tak to szło, aż do ogromnej masy pawianów-proletariuszy jebanych przez wszystkich. I ten naczelny pawian po kolei miał twarze: Hammurabiego, Ramzesa, Oktawiana Augusta, Henryka Tudora, Ludwika XIV, Napoleona, Mikołaja I i II - aż wreszcie przybrał twarz Włodzimierza Iljicza.
Obudziłem się zlany potem. Mój szatanek siedział na poręczy łóżka, grał na nosie i zaśmiewał się. Widziałeś, idioto, na czym polega postęp? Historia

jest procesem stacjonarnym. Jedni odchodzą, drudzy przychodzą, ale wszystkie loci w strukturze muszą być obsadzone! A wiesz, co to jest struktura? To relacje między elementami i zasób operacji, jakie są dozwolone na tych elementach. Zastanów się!" Gdy zniknął, zastanowiłem się: Karol I Stuart - Cromwell - Karol II Stuart. Bourboni - Robespierre - Napoleon - Bourboni. Czy rzeczywiście była to tylko zmiana masek? I nieustanna obecność struktury, opartej na dominacji? Gdy już zasypiałem, mój szatanek pojawił się ponownie. Konfidencjonalnie zapytał: "A ty, Piotrze Aleksiejewiczu, gdybyś rozpoczął i zwycięsko zakończył rewolucję anarchokomunistyczną, czy nie poczuwałbyś się do odpowiedzialności za losy ludzi, którzy ci zawierzyli? Czy nie uważałbyś za swój obowiązek pokierować tym, co wynikało, przynajmniej do czasu pełnej realizacji nowego układu? Czy pojechałbyś uprawiać zboże, czy choć na trochę nie stanąłbyś na czele?"

14 I 1921. Zawsze będą rządzący i rządzeni, klasy wyższe i klasy niższe. Ludzie mogą być równi, ale dopóki nie będą jednakowi - równość nic nie znaczy. Każda próba wprowadzenia zmian społecznych, nie uwzględniająca biologicznie uwarunkowanych właściwości psychicznych i społecznych gatunku homo, musi skończyć się katastrofą: człowiek jako gatunek nie dorósł do przeznaczenia, jakie sam sobie przypisywał. Najbardziej odrażające przykłady okrucieństwa człowieka nazywamy bestialstwem , sugerując przez to, że zachowanie takie charakterystyczne jest dla zwierząt. Nic podobnego! W rzeczywistości podłość i dzikość, z jaką traktujemy się nawzajem, nie mają żadnego odpowiednika w naturze. Jest ponurą prawdą, że jesteśmy najokrutniejszym, najbezwzględniejszym, najbardziej bezlitosnym gatunkiem, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi. I choć możemy ze zgrozą słuchać o tym, co ludzie czynią swym bliskim, nie możemy dla tych zachowań znaleźć innego wytłumaczenia, niż to, że przyczyny ich tkwią w naturze człowieka.

15 I 1921. Anarchizm spodziewał się - a właściwie ja się spodziewałem - że dzięki nauce uda się znaleźć wskazówki, jak ludzkość ma iść ku wolności, równości i braterstwu - ku najwyższemu szczęściu każdej jednostki. Ale spójrzmy na to z perspektywy: wolności potrzebują ci, którzy chcą mieć więcej, niż im się należy, równości - ci, którzy są gorsi, a potrzeba braterstwa występuje u słabych i tchórzliwych. Zaś treścią postępu jest panowanie najsilniejszych. Etyka może być tylko jego hamulcem.

16 I 1921. Struktura społeczna - to relacja między pełnionymi funkcjami.

17 I 1921. Rewolucja nie może sobie pozwolić na umieszczenie w strukturze osób według ich fachowej przydatności, a tym bardziej - walorów moralnych. Jedynym kryterium, jakie może być zastosowane, jest posłuszeństwo. A skąd brać posłusznych? Albo inaczej - kto może być posłuszny? I dlaczego?

Posłusznym można być z przekonania, że to, co każą ci robić, jest słuszne. Ale taka wiara jest formą głupoty, jest bowiem ślepą bezmyślnością. Posłusznym można być także ze strachu. I posłusznym można być w nadziei nagrody, uzyskania określonych korzyści.

Te dwa rodzaje posłuszeństwa są i nie są ekwiwalentne. Są ekwiwalentne w tym sensie, że ludzi w każdy z tych sposobów posłusznych określa się też prostym, ludowym słowem: sukinsyny. Nie są ekwiwalentne, bo implikują inny stosunek do władzy: ci pierwsi będą się bezwzględnie podporządkowywać, ci drudzy będą się starali władzę przejąć - za każdą cenę.

Spróbujmy pod tym kątem rozważyć sytuację aktualną u nas, a zwłaszcza może perspektywy na przyszłość.

18 I 1921. Czy możliwy jest, przynajmniej do czasu realizacji koncepcji Lwa Bronsteina, to jest do momentu, w którym zwycięży rewolucja światowa, jakikolwiek inny wariant rozwoju wypadków niż dyktatura sprawowana przez partyjną wierchuszkę w imieniu całkowicie obojętnego na to proletariatu? Likwidacja państwa w tych warunkach nie będzie oczywiście możliwa, co więcej - nastąpić musi niewyobrażalny rozrost zakresu jego supremacji. A więc - gigantyczna rozbudowa aparatu ucisku.

Ośrodek dyspozycyjny będzie działał w sposób całkowicie niekontrolowany i woluntarystyczny, po prostu niezależnie od jakichkolwiek pryncypiów ideologicznych, które będą musiały upodobnić się do rytuałów i dogmatów religijnych, dostosować się do realiów zewnętrznych i wewnętrznych. W imię przetrwania. Walka o byt będzie polegała na nieustannym zgniataniu opozycji rzeczywistej, albo będącej tylko konkurencją o l o c u s w strukturze. Rewolucyjna przemoc, stanowiąca istotne spoiwo tej struktury, będzie skierowana przez władzę rewolucyjną przeciw samej sobie - a ściślej, przeciw tym jej fragmentom, które okażą się niewygodne.

Co zrobią posłuszni? Wierzący, czyli posłuszni z pobudek ideologicznych, prócz zupełnych idiotów, nie zdołają uwierzyć w słuszność wszystkich koniunkturalnych balansów: jeśli kiedykolwiek praktyka działań partii zaprzeczy teoretycznym zasadom, zaprotestują, a zatem będą musieli ulec likwidacji. Posłuszni ze strachu będą zajmowali niższe szczeble w hierarchii władzy. Pozostaną posłuszni dla korzyści. Oni na pierwszy znak słabości ze strony pawianów siedzących wyżej spróbują je pokryć i zająć ich miejsca. A więc z tego rodzaju sukinsynów rekrutować się będzie aparat władzy. Taka jest logika rewolucji w naszych - a kto wie, czy nie we wszystkich warunkach.

19 I 1921. Pamiętam, jak czytałem przed 40 chyba laty prace Jamesa Maxwella, jednego z twórców nowoczesnej fizyki. Pisał on o demonie, którego istnienie jest warunkiem koniecznym, aby mogło funkcjonować perpetuum mobile; demon ten segregować by musiał cząstki o różnej energii kinetycznej, a w momencie, w którym po jednej stronie znalazłyby się cząstki wysokoenergetyczne, a po drugiej - zimne, przepływ energii byłby spontaniczny. Demon stabilizowałby taką strukturę energetyczną.

Otóż demon stabilizujący naszą strukturę społeczną, demon selekcji negatywnej, dopuszczający do aparatu władzy bądź idiotów, bądź różnego rodzaju sukinsynów, bądź ludzi, którzy łączą te dwie cechy - istnieje. Sama struktura jest tym demonem, stanowi to warunek zarówno konieczny, jak i dostateczny jej ultrastabilności.

20 I 1921. Przypomniałem sobie wreszcie - ten pisarz, Conrad, poznałem go w Londynie. W klubie, na lunchu, na który zaprosił mnie John Galsworthy. To było chyba przed 15 laty. Był zaciekłym konserwatystą, Galsworthy tak kierował rozmową, żebyśmy się ścierali. Na moje argumenty ten brodaty Polak, o ponurej, ale inteligentnej twarzy, wygłaszał poglądy, które mną wtedy wstrząsnęły. Pamiętam, że twierdził, iż najpotworniejszych czynów dokonuje się z najszlachetniejszych pobudek. Cytował słowa ewangelii: "Po owocach ich poznacie je", twierdząc, że dla organizatorów krucjat, nocy św. Bartłomieja i rewolucji francuskiej - cel, który okazał się nieosiągalny, uświęcał zbrodnie, mord, oszustwo, donosicielstwo. Pamiętam również, że przeciwstawiał chrześcijańskiej - jakąś hinduską ewangelię, w której bóg stwierdzał: "Bacz na czyn, a nie na jego owoce". Pamiętam też, że Galsworthy całą naszą dyskusję podsumował, uśmiechając się, tak: "Skoro nie działanie, ani jego efekty niczego nie usprawiedliwiają, jakże głęboką rację miał Czuang-Tsy, pisząc: 'Niedziałanie i usunięcie się - to droga prawdziwie niebiańska'".

A ja uśmiechnąłem się z politowaniem i mówiłem: "Porozmawiamy po rewolucji. Jesteście zbyt inteligentni i zbyt prawi, aby nasza was nie przekonała sama przez się!" Mój ty Boże...

21 I 1921. Fiodor Dostojewski był jednak o wiele przenikliwszy od Lwa Tołstoja. Jego trzy teksty: o wielkim inkwizytorze, o człowieku spod podłogi i o kółku spiskowców z "Biesów" zawierają cały nasz teraźniejszy dramat i antycypują przyszły. A ja łudziłem się, że pierwszym konstruktywnym dziełem rewolucji będzie stworzenie współczesnej teorii moralności, czyniącej zadość podstawowemu warunkowi, którym miało być niehamowanie samodzielności jednostki, choćby nawet pod pozorem tak szlachetnego celu, jak dobro społeczeństwa czy całej ludzkości. Wydawało mi się, że etyka nie tylko może, ale nawet musi wytłumaczyć, dlaczego życie oparte na oszustwie i niesprawiedliwości zawsze prowadzi człowieka do zguby. Wydawało mi się także, że człowiek ma fizjologicznie uwarunkowaną dążność do równouprawnienia, sprawiedliwości; aż wstyd

mi wspominać - to cały katalog złudzeń, które dzieliłem z pożal się Boże filozofami czy moralistami, czy jak ich jeszcze będziemy nazywać.

Treścią postępu jest przetrwanie, najsilniejszych, najlepiej przystosowanych, ale nie - najlepszych. Zresztą - czy płuca są lepsze od skrzeli? Nogi od płetw? Są inne. Służą w innym środowisku. Dla ewolucji wartością jest to, co podtrzymuje tę grę przeciw nieistnieniu.

Weźmy od początku. Materia, która istnieje, istnieje zawsze. I zawsze miała dążność do tworzenia struktur - to jej cecha immanentna. Ale struktury materialne są nietrwałe, dopóki materia jest nieożywiona. Dopiero życie, dopiero materia biologiczna tworzy strukturę stałą - bo nieustannie powielającą się, kosztem śmierci indywiduum. Zdolną do nieskończonego replikowania się - w potomstwie. Ewolucja biologiczna niczym nie steruje, po prostu jest. Sam pisałem kiedyś, że "życie to zbiór faktów, w których trudno rozważyć wszystkie za i przeciw". Ewolucja nic nie rozważa, ona po prostu funkcjonuje. Najpierw musiały się zorganizować cząstki chemiczne, z tych cząstek powstały organizmy jednokomórkowe, o już zróżnicowanej budowie poszczególnych fargmentów komórki, z nich - wielokomórkowe. Wśród różnych wariantów replikujących się struktur zjawiliśmy się my. Gatunek ludzki, homo sapiens, zoon politikon, animal sociale, stworzył sobie jak gdyby metastrukturę - strukturę społeczną, która - w skrajnej postaci, w jaką się u nas przekształca - może być stabilna. Czyż więc nie jest tak, że ewolucja zakończyła już eksperyment z ultrastabilnymi strukturami białkowymi i rozpoczęła próby na nowym piętrze - próbuje znaleźć ultrastabilne struktury społeczne?

Czy to takie dziwne? Ewolucja wkracza na coraz wyższe piętra, nie bacząc na owoce. Nie wiemy, czy więcej gatunków zginęło, czy przetrwało. Skąd moglibyśmy znać czy przewidzieć następny krok ewolucji? Procesy zachodzą, a jak pisał Fiodor Michałowicz, skoro nie ma Boga, wszystko jest dozwolone. Znaczy to, że wszystko jest możliwe, a w diachronii - pewne.

27 I 1921. "Wolni od lęków i nadziei
My nie pragnący więcej żyć
składamy dzięki po kolei
bogom, jacy by mogli być -
Za to, że każdy kiedyś skona
i spocznie wreszcie w ziemi chłodnej
a rzeka, najbardziej znużona,
w morzu pogrąży się wygodnie"

To napisał Charles Algernon Swinburne, ten sam, który w 82-im podpisał petycję o moje uwolnienie. Od tygodnia powtarzam sobie ten wiersz.

30 I 1921. Umieram oszukany. Przez samego siebie. Nie mogę więc - nie mam czym usprawiedliwić własnych win.

Zresztą - mędrcy nie płaczą ani żywych ani umarłych.

31 I 1921. Nie mogę, nie chcę już pisać.
Nie mogę, nie chcę już żyć.

W lipcu 1980 r.

Tekst francuski, który otrzymałem od pewnego studenta francuskiego, któremu postawiłem pół litra wódki na campingu nad Jeziorem Nidzkim, był dość zniszczonym maszynopisem; na karcie tytułowej widniał tytuł: "La dernière Ecriture", texte de prince Pierre Alexeevitch Kropotkine, traduit de russe par M. Goldsmith, Paris 1925.

Deszczowa pogoda sprawiła, że przetłumaczyłem go bardzo szybko. Opuściłem liczne fragmenty poświęcone pogarszającemu się stanowi zdrowia Autora: niestety, terminologii medyczno-farmaceutycznej po prostu nie znałem. Kartki te - i mój trud - dedykuję: politologowi Bohdanowi Cywińskiemu oraz historykowi Antoniemu Maciarewiczowi.

K. Spruciak

Ten rewelacyjny tekst, który nie figuruje w bardzo niedokładnej skądinąd bibliografii prac Kropotkina, musiał ze zrozumiałych względ-

dów, jako materiał niecenzuralny, ukazać się w "Zapisie". Zdajemy sobie sprawę z doniosłości historycznej tego dokumentu, nie mówiąc już o jego walorach literackich, umiejętnie wydobytych przez utalentowanego tłumacza, pana K.Spruciąka. Biorąc to wszystko pod uwagę, zdecydowaliśmy się zamieścić tekst pod nagłówkiem "Gwóźdź w numerze", czym zapoczątkowujemy nową rubrykę w "Zapisie". Postaramy się, by ukazywała się odtąd regularnie, mianowicie raz na rok, co jest częstotliwością niewielką, ale ostatecznie o gwoździe w Polsce nie tak łatwo. Wracając do opublikowanego wyżej tekstu, sądzimy, że powinien on stać się przedmiotem fachowych badań. Skoro już znalazł się w naszym kraju, zainteresuje może specjalistów nie tylko z kół opozycyjnych, ale - mimo delikatności tematu - także z oficjalnych kół naukowych. Może ułatwi to postępująca odnowa? A jeśli odnowa nie wystarczy, usprawiedliwiem będzie może fakt, że w tekście zawarte są wypowiedzi wybitnych Polaków, Josepha Conrada i Feliksa Dzierżyńskiego?

1 IV 1981 /Przypis redakcji/

L I S T Y D O R E D A K C J I

KTO SIĘ BOI PAWŁA JASIENICY

Dnia 22 marca 1971 roku odbył się w Polskim PEN-Clubie w Warszawie p i e r w s z y po śmierci pisarza publiczny wieczór poświęcony jego pamięci. Zagajał Jan Parandowski; o twórczości Jasienicy i o nim samym mówili prof. Aleksander Gieysztor i piszący te słowa; Andrzej Szczepkowski i Zofia Mrozowska czytali nieznane, dotąd nie publikowane fragmenty prozy Jasienicy.

Tekst swego wystąpienia w PEN-Clubie usiłowałem opublikować w "Tygodniku Powszechnym". Został on wtedy w całości zakwestionowany przez cenzurę bez podania motywów. Tekst ten udało się ogłosić dopiero w wiele lat później, w sierpniu 1980 r., z okazji dziesiątej rocznicy zgonu Pawła Jasienicy /w "Tygodniku Powszechnym" nr 34/1648/, dokładnie w chwili strajku robotników Wybrzeża. Cenzura uznała jednak za stosowne usunąć z tego tekstu następujące fragmenty:

"W moim przekonaniu - pisał Jasienica - było bowiem tak: wskutek rewolucji w Rosji i klęski państw centralnych w naszej części Europy wytworzył się stan swoistej próżni politycznej. Rozmaite narody odzyskały niepodległość, która - całkiem niezależnie od ich woli, a nawet czynów - miała trwać dokładnie do chwili, w której się potężny sąsiad z Zachodu energicznie poruszył. Całkiem tak jakby historia wręczyła każdemu z tych państw czek opiewający na lat 20, mówiąc przy tym: masz, pokaż co potrafisz... I moim skromnym zdaniem bilans Polski wcale ale to wcale nie wypadłby ujemnie. Uważam dwudziestolecie za jedną z najważniejszych epok w naszej historii. Przez cały wiek XIX Polacy byli podzieleni na trzy wielkie grupy, żyjące w trzech różnych systemach gospodarczych, socjalnych, prawnych. Dwudziestolecie dopiero ukształtowało nas w nowoczesny naród. Nie moglibyśmy zwycięsko przetrzymać II wojny światowej, gdyby w kraju panował stan dusz i umysłów właściwy czasom sprzed roku 1918".

Jeszcze bardziej znamienne i demaskujące wychowawców narodu i nadzorców sumień z Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk była inna ingerencja. Pisałem o Jasienicy jako publicyście:

"Ocenom i twierdzeniom, które w kilkanaście lat później miały stać się własnością ogółu, torował niejednokrotnie drogę w pojedynkę, obrywając polemiczne cięgi z różnych stron. Boć równocześnie z twórczością wymienionego typu występował ostro przeciw zaściankowości widzenia życia społecznego, przeciw szowinizmowi, nacjonalistycznym wybujałościom, obskurantyzmowi, nietolerancji, schematyzmowi".

Światła dziennego nie ujrzały t y l k o cztery słowa z tego artykułu:

"przeciw szowinizmowi, nacjonalistycznym wybujałościom..."

Jednoznaczna to korektura, wskazująca co wolno, a czego nie wolno polskiemu pisarzowi. Zarazem całkowite wypaczenie sylwetki ideowej Jasienicy.

Władysław Bartoszewski

K R O N I K A

O czym mówiono na zjeździe literatów

XXI Zjazd Delegatów Związku Literatów Polskich odbył się 28 i 29 grudnia 1980 roku w Warszawie.

Spośród wygłoszonych na zjeździe przemówień wybraliśmy dwa, Andrzeja Brauna i Marka Nowakowskiego, które publikujemy w całości na czołowych stronicach bieżącego numeru. Nie mogąc ogłosić ani nawet wyczerpująco streścić innych przemówień, które by na to zasługiwały, przytaczamy z nich wybór charakterystycznych cytatów.

Minister Kultury i Sztuki Józef Tejchma zadeklarował, że problemy literatury należy w przyszłości rozwiązywać zgodnie z powszechnie przyjętymi w PRL nowymi zasadami, a więc z "takimi pojęciami, jak samorząd, demokracja, partnerstwo, współodpowiedzialność". Jednak wspomniał, że "nie będzie swobody dla skrajnie nihilistycznych i negatywistycznych tendencji w traktowaniu podstawowych wartości i interesów Polski Ludowej, jak również dla niby literackich broszur propagandowych bez wartości artystycznych, a więc także ideowych i politycznych".

Przewodniczący Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych prof. Klemens Szaniawski nawiązując do problemu cenzury oświadczył: "Jeśli dzięki działaniu Komitetu nastąpi choć w części zmiana, to myślę, że jego istnienie będzie usprawiedliwione".

Wiceprzewodniczący NSZZ "Solidarność" regionu Mazowsze Seweryn Jaworski powiedział: "Wiemy, że wielu pisarzy, twórców, ludzi nauki również - wznosiło w obronie prześladowanych robotników w roku 1976 swoje głosy protestu. O tym zapomnieć nie możemy. /.../ Widzimy konieczność sojuszu klasy robotniczej z ludźmi nauki, z twórcami, aby ten sojusz przyniósł rzeczywiste efekty".

Tyle z przemówień powitalnych, które wygłosili goście zjazdu. Następnie wypowiadali się pisarze. Cytujemy ich w kolejności zabierania głosu.

Kazimierz Truciewicz: "Rok 1976 przyniósł zmianę, przyniósł przełom. Zjazd powinien wyrazić wdzięczność robotnikom i współpracującym z nimi intelektualistami za to, co uczynili dla kraju..."

Jacek Bocheński: "/.../ społeczeństwo przestało być pasywne, zrezygnowane i fatalistyczne. Jest dziś odważne, stanowcze, czujne, przezorne, nie da się już zagadać i zapędzić z powrotem do psychologicznej klatki, z której wydobyło się w sierpniu". Ten sam mówca w innym miejscu: "Refleksja dotycząca naszego położenia politycznego wśród sąsiadów, chociaż w sensie merytorycznym nie musi być aprobowana przez władze, musi być dopuszczalna, nie może być traktowana jak przestępstwo".

Anna Kamieńska: "Kampania nienawiści zaczęła się dawno /.../. W grudniu strzelano do robotników, ale nim to się stało, padły symboliczne strzały do pisarzy. /.../ Przed grudniem był marzec /.../. Tragiczny polski kalendarz!"

Jerzy Narbutt: "Pomarcowy skandal był rzeczywiście skandalem. Ale czyż nie ma innych skandali, zwłaszcza z okresu stalinowskiego?"

Andrzej Szczypiorski: "Już dawno przeciwstawialiśmy się jako pisarze temu wszystkiemu, co latem 80 roku okazało się najgłębszą, psychologiczną przyczyną protestu mas. Domagaliśmy się uznania naszej podmiotowości, położenia kresu manipulacjom w sferze całego życia zbiorowego. Trzeba było za to zapłacić. Są tu pisarze, których kneblowano, oczerniano, którym odebrano prawo wykonywania zawodu..."

Lech Bądkowski: "Inteligencja polska zdała egzamin. Jest naszym obowiązkiem uporać się z następnymi zadaniami /.../. Wymagają wielkich wyrzeczeń i wysiłków. Tym stwierdzeniem popularności się nie zyska, lecz nas w tej sprawie popularność obchodzić nie może".

Maria Janion: "Należy znieść tabu, jakim obłożono wiele tematów w literaturze i nauce /.../, temat wojny, temat faszyzmu i totalitaryzmu, dzieje Żydów, a także temat obejmujący całość stosunków polsko-niemieckich..."

Tadeusz Drewnowski: "Tak samo jak w partii są ludzie, którzy nie chcą uznać rzeczy nowych, również w opozycji dochodzą do głosu skrajności. Wykorzystując frustracje narodowe eskalują one nastroje niczym przed nowym powstaniem warszawskim czy przed przewrotem Chomeiniego. Nie licytujmy się nieodpowiedzialnie co do patriotyzmu".

Jan Józef Lipski: "Przepisy bywają interpretowane w sposób niedopuszczalny. I tak np. krytykę władzy organy ścigania nazywają znieważaniem narodu /.../. Wypowiadanie poglądów politycznych jest agitowaniem do czynów skierowanych przeciw jedności sojuszniczej. Społeczeństwo żąda gwarancji, że w przyszłości taka polityka nie będzie stosowana..."

Kazimierz Orłoś: "Nie czytałem tu fragmentów z broszury 'Grudzień 70' po to, aby wykazać, że odnowa, wobec takiego bezprawia sprzed kilku zaledwie lat, jest wątpliwa. Ale uważam, że nawoływaniu do spokoju i refleksji nie mogą towarzyszyć agresywne napaści na tych ludzi, którzy pierwsi protestowali przeciwko bezprawiu /.../".

Joanna Kulmowa: "No więc jak to jest, jak doszło do tego, że tu /.../ w Polsce nie rozebranej i nie okupowanej dokonało się tak ogromne zniszczenie języka i mowy? Kto to zrobił? Kto robi? Oni? My? My sami? Ja?"

Andrzej Wasilewski: "Czym ma być ZLP? Jednym z pól bitwy, na którym nieustannie rozgrywa się jakiś epizod walki o władzę, czy platformą porozumienia? Jeśli będzie pierwszym, szanse ZLP na odgrywanie roli partnerskiej zmaleją do minimum, a sam związek ulegnie procesowi dalszej degradacji. Jeśli tym drugim, to powstałaby szansa dorobienia się takiej instytucji, jakiej nasze dychawiczne życie literackie od dawna potrzebuje /.../. Członkowie partii odróżniali się tym, że stanowili /w ZLP - przyp. red./ grupę jawną i formalną, podczas gdy nacisk politycznych grup nieformalnych był o wiele silniejszy i to on w istocie stanowił o konfliktach w naszym Związku. Od dziesięciolecia stał się /Związek - przyp. red./ areną wyżycia ambicji nie tyle literackich, ile politycznych, drogą nie tyle do większej literatury, ile do większej władzy nad literaturą".

W związku z przemówieniem Andrzeja Wasilewskiego, który podkreślił, że wyraża poglądy wszystkich delegatów partyjnych, poprosił o głos Witold Zalewski:

"Ja, jako członek partii, nie upoważniłem kolegi Wasilewskiego do złożenia w moim imieniu tej wypowiedzi. Muszę stwierdzić, że nie było żadnych tego typu uzgodnień czy uchwał jakiejś grupy partyjnej, co dla ścisłości, gwoli prawdy, chciałbym wyjaśnić".

Michał Komar: "Pogrążona w zdumieniu, pomijana, obłożona zakazami pozostaje polska myśl socjalistyczna, myśl szeroko pojmowanej lewicy. Uczyniono wszystko, by samo pojęcie lewicy wzbudzało odruch ironii, niechęci, zgoła nienawiści. Włożono ogrom wysiłków w to, by skazać społeczną pamięć na niepamięć. Jest złudzeniem, że można dokonać naprawy bez poddania historii ostatniego trzydziestolecia głębokiej, krytycznej analizie".

Erwin Kruk: "To, co się dokonało na Warmii i Mazurach, zasługuje na gorzką rozprawę pt. 'Jak germanizowano Mazurów i Warmiaków w 35-leciu PRL'. To, co się nie udało ani Bismarckowi ani Hitlerowi, dokonało się obecnie! /.../ Praktyka godząca w rozwój człowieka i barbarzyńsko niszcząca wspólnoty ludzkie /.../ świadczy o wynaturzeniu i zwyrodnieniu idei socjalistycznej".

Jan Józef Szczepański: "Fakt, że reprezentujemy różne poglądy i postawy, jest czymś nieuniknionym i naturalnym. Jestem pewien, że stanowisko to podziela przytłaczająca większość pisarzy. /.../ Wierzę zatem, że w zasadniczych sprawach zawsze potrafimy się porozumieć, i że przyczyny tarć, nieufności - nie powstają na ogół wewnątrz naszego środowiska, ale pochodzą i pochodziły z zewnątrz, od ludzi usiłujących wygrywać to środowisko, wygrywać nawet literaturę polską dla celów źle rozumianej polityki kulturalnej. Dziś najgroźniejsi z nich odeszli, można się więc spodziewać uzdrowienia atmosfery w naszym życiu".

Co uchwalono na zjeździe literatów

Zjazd podjął szereg uchwał dotyczących zarówno literatury, kultury i zawodu pisarza, jak i spraw o szerszym znaczeniu społeczno-politycznym.

Na wniosek Jana Józefa Szczepańskiego uznano za "dokument, który winien być obowiązujący w naszej polityce kulturalnej", Deklarację Praw Pisarza, uchwaloną przez Międzynarodowy PEN-Club w Sydney w roku 1977 i aprobowaną przez UNESCO. Zamieszczamy ją w innym miejscu.

Przyjęto uchwałę o "umocnieniu samorządności związku". Samorządność ta musi polegać na pełnieniu wszelkich funkcji kierowniczych i przedstawicielskich jedynie przez ludzi pochodzących z wyboru. "Niedopuszczalny jest dyktat w oparciu o siłę administracji państwowej. Wszyscy zrzeszeni w ZLP pisarze dźwigają współodpowiedzialność za suwerenność narodu i suwerenność literatury w społeczeństwie i wszyscy mają prawo do kierowania pracami ZLP w myśl demokratycznych postanowień Statutu. Uważamy za szkodliwe zarówno dla Związku jak i dla interesów PZPR łączenie funkcji w tych dwóch organizacjach. Z tego względu uważamy, że przedstawiciele władz POP PZPR nie mogą wchodzić z urzędu w skład Prezydium ZG". Podobnie "Zjazd stoi na gruncie zasady niełączenia funkcji nadrzędnych władz Związku, bądź Oddziału, z kierowniczymi stanowiskami we władzach organizacji politycznych i administracji kulturalnej".

W innej uchwale postanowiono powołać komisję "do zbadania faktów dyskryminacji, pokrzywdzenia i zniesławienia pisarzy z powodu ich przekonań politycznych, rodzaju uprawianej twórczości, pochodzenia lub wyznania religijnego, jakie miały miejsce w różnych okresach historii PRL". Winno się umożliwić powrót do kraju "tym pisarzom, którzy zostali zmuszeni do emigracji", oraz publikację tym, "którzy zostali pozbawieni jej prawa", i przywrócić "miejsce w kulturze narodowej tym, którzy zostali z niej usunięci". Należy czuwać, "aby w przyszłości nie powtórzyły się fakty podobne, aby w jakiejkolwiek formie - na przykład 'czarnych list' - twórczość i życie pisarza nie były przedmiotem samowoli władz administracyjnych".

Do zajęcia się tymi sprawami został po zjeździe utworzony w ZLP zespół pod przewodnictwem Jacka Bocheńskiego, z udziałem Władysława Bartoszewskiego, Józefa Kelery, Stefana Kisielewskiego, Michała Komara i Teofila Sygi.

Zjazd polecił nowym władzom związku sprzeciwiać się wszelkim formom "hamowania swobodnego obiegu idei i dzieł", utrudnianiu kontaktów z zagranicą i swobody podróżowania, konfiskatom książek i czasopism przez urzędy celne, a także działać na rzecz zniesienia prohibitów bibliotecznych.

O likwidacji tych ostatnich doniosła oficjalna prasa. Natomiast nie zamieściła ona dotychczas rezolucji w sprawie Pawła Jasienicy, o co zjazd wyjątkowo usilnie apelował, toteż przytaczamy ją w całości:

"XXI Zjazd Związku Literatów Polskich wyraża przeświadczenie, iż wśród krzywd moralnych, które w różnych okresach spotkały członków naszego Związku, szczególnie naprawy wymaga ta, która dotknęła naszego nieżyjącego dziś kolegę, Pawła Jasienicę. W roku 1968 stał się on celem insynuacji i pomówień ze strony ówczesnego I sekretarza KC PZPR, a następnie prawie całej prasy i środków masowego przekazu. Zjazd uważa, iż tak jak znieważenie Pawła Jasienicy było publiczne - tak publiczne winno być potępienie ówczesnych insynuacji. Nie powinno to należeć do Związku Literatów Polskich, gdyż nie od nas pochodziły ataki na Pawła Jasienicę, natomiast uważamy za sprawę naszego honoru domaganie się publicznego oświadczenia, iż insynuacje te były bezpodstawne i podłe. Zjazd domaga się uczynienia pierwszego kroku w tej sprawie, jakim powinno być opublikowanie w środkach masowego przekazu niniejszej rezolucji".

Przez aklamację, ale po dłuższej dyskusji nad sformułowaniami, przyjęto zalecenie takiej treści: "XXI Zjazd Delegatów ZLP odpowiadając na postulaty NSZZ 'Solidarność' wyrażone przez jego delegatów na Walnym Zebraniu Oddziału Warszawskiego ZLP /przemawiał wówczas Zbigniew Bujak, co odnotowaliśmy w kronice poprzedniego numeru - przyp. red./ i na początku tego Zjazdu -

zobowiązuje Zarząd Główny do rozmów z Krajową Komisją Porozumiewawczą NSZZ "Solidarność" w celu nawiązania ścisłej współpracy".

Ponadto uchwalono zalecenia dla władz ZLP w sprawie pomocy skupiskom polskim za granicą, "gdziekolwiek się znajdują" /chodzi m. in. o możność otrzymywania książek i prasy polskiej/, a także w sprawie "starań o wydanie w kraju lub udostępnienie dzieł pisarzy tworzących na emigracji".

Zjazd przez aklamację wyraził poparcie i "przyłączył się do listu z dnia 20 grudnia 1980 r. skierowanego przez Komitet Obrony Więzionych za Przekonania do Przewodniczącego Rady Państwa" i zaapelował raz jeszcze do władz państwowych o ułaskawienie braci Kowalczyków, a do "środowisk artystycznych i naukowych oraz do organizacji społecznych i zawodowych, jednoczących ludzi pracy fizycznej i umysłowej, o jak najszybsze powołanie zespołu, który by rozważył możliwość usunięcia z polskiego systemu penitencjarnego kary śmierci i w razie podjęcia takiego postanowienia zwrócił się z odpowiednio umotywowanym wnioskiem do Sejmu PRL" /zgodnie z wnioskiem Pawła Hertza/.

Organizacja, statut i wybory na zjeździe literatów

Ogólnie o zjeździe można by powiedzieć, że był najgorzej zorganizowaną imprezą w dziejach związku, a zarazem jednym z największych sukcesów pisarzy i literatury w dziejach związku. Uprzednio niemal we wszystkich oddziałach ZLP tzw. konserwatywni kandydaci partyjni ponieśli klęskę wyborczą i nie zostali delegatami, tracąc w ten sposób szansę wejścia w skład nowych władz ZLP. Nie było więc powodu, by się urzędowo przykładać do organizacyjnej oprawy zjazdu, oferować uczestnikom obrad suto zastawione stoły na bankietach, albo obwozić ich po stołecznych zakładach pracy z wieczorami autorskimi, jak to dawniej się działo podczas wszystkich zjazdów ZLP. Obrady przebiegały w warunkach raczej spartańskich, nawet o herbatę było trudno, ale w zamian przeważało wśród uczestników zjazdu zrozumienie interesu społecznego, rzeczywistej sytuacji kraju oraz prawdziwych potrzeb literatury i kultury narodowej. Chociaż poczucie upokorzenia i klęski towarzyszyło autorom związanym do tej pory z elitą władzy, to jednak przytłaczającej większości mandatariuszy środowiska literackiego udało się stworzyć nastrój obrad poważny, nacechowany godnością, spokojem, atmosferą solidarności pisarskiej, a także dobrymi obyczajami. Na tym tle można było raz jeszcze przekonać się w sposób wyjątkowo dobitny, kto w tym środowisku jakie widzi horyzonty i jakimi kategoriami myśli o sprawach publicznych, kto wprowadza do życia związkowego /i wprowadzał przez wszystkie minione lata/ maniery brutalne, postrach, szantaż oraz ducha i język bezwzględnej rozgrywki politycznej. Bez akcji tego rodzaju nie obeszło się bowiem i teraz, oczywiście ze strony tych samych osób, jeśli nie wręcz tej samej osoby, co tylekroć w ostatnich latach.

Nie wziął udziału w obradach kończący swą kadencję wiceprezes, a po śmierci Jarosława Iwaszkiewicza faktyczny prezes związku, Jerzy Putrament, usprawiedliwiając nieobecność chorobą. Na nim jako na wieloletnim - jeszcze z okresu stalinowskiego - pełnomocniku władz do kontroli nad związkiem skupiało się w przeszłości najwięcej uzasadnionych pretensji środowiska pisarskiego. Od sierpnia aż do chwili rozpoczęcia zjazdu Putrament oraz towarzyszący mu Andrzej Wasilewski i Kazimierz Koźniewski robili wszystko, aby przemiany w ZLP opóźniać, odwlekać, ograniczać. To między innymi kosztowało Putramenta i Koźniewskiego utratę mandatów wyborczych.

Obradom zjazdu sprawnie przewodniczył Artur Międzyrzecki. W długim porządku dziennym dwie sprawy od pierwszej chwili przykuwały uwagę delegatów: zmiany statutu ZLP i wybory nowych władz. Projekt zmian statutowych zawierał m.in. postulat powiększenia składu Prezydium Zarządu Głównego, Głównej Komisji Rewizyjnej i Komisji Kwalifikacyjnej, by w ten sposób wzmocnić skuteczność działania władz związkowych. Najważniejszym jednak problemem było odejście od zasady, w myśl której pochodzący z wyboru Zarząd Główny uzupełniali z urzędu prezesi oddziałów terenowych związku, co wypaczało całkowicie wyniki wyborów i ze względu na wielką liczbę oddziałów o stosunkowo małej liczbie

bie członków ddbierało zarządowi charakter proporcjonalnej reprezentacji środowiska. Praktyka wielu poprzednich lat wskazywała ponadto, że prezesi terenowi byli na ogół bardziej uzależnieni od władz państwowych i partyjnych aniżeli członkowie zarządu wybierani przez zjazdy, a ten stan rzeczy sprzyjał manipulacjom politycznym, naciskom administracyjnym, i ograniczał w znacznym stopniu samorządność ZLP. Z drugiej jednak strony wyeliminowanie prezesów terenowych ze składu Zarządu Głównego część pisarzy z prowincji odczuwała, ze zrozumiałych przyczyn, jako groźbę uszczuplenia swoich praw i wpływów oraz obniżenie rangi pisarstwa w terenie. Mimo to poprawki do statutu, referowane przez Leszka Proroka i Andrzeja Szczypiorskiego, zostały przyjęte przez delegatów olbrzymią większością głosów, w tym również - rzecz jasna - głosów z terenu. Zjazd czuł, że środowisko pisarzy polskich, uchwalając swoją nową konstytucję, wkracza w nowy okres rozwoju, że nużące skądinąd głosowania nad poszczególnymi paragrafami statutu zamykają ciemny, ponury rozdział historii ZLP, zapoczątkowany na "pomarcowym" zjeździe bydgoskim w roku 1968. Niemal połowa drugiego dnia obrad poświęcona była tym kwestiom.

Olbrzymia większość delegatów stała na stanowisku jedności ZLP, wbrew dochodzącym raz po raz wiadomościom o rozmaitych zakulisowych działaniach, które zmierzały do rozbicie organizacji związkowej. Trudno twierdzić to z całą pewnością, ale wiele oznak wskazuje, że tzw. konserwa partyjna chciała zbojkotować wybory, aby następnie - rzekomo w obronie naruszonych, własnych "swobód" - przystąpić do montowania odrębnego stowarzyszenia pisarskiego, poddanego bez reszty dyspozycjom partii. Groźba takiego rozbicie miała stanowić rodzaj szantażu wyborczego. Jednakże zamysły te spotkały się z oporem wielu pisarzy - członków PZPR, myślących w sposób bardziej otwarty. Jest niemałą zasługą tych ludzi, że ostatecznie członkowie partii wyborów do władz nie zbojkotowali i w praktyce zadeklarowali lojalną współpracę z większością środowiska. W gruncie rzeczy taka postawa przyniosła korzyści wszystkim.

Przed głosowaniem znamienne przemówienia wygłosili: Wiktor Woroszylski, przewodniczący "komisji matki" /a jakże, była na zjeździe taka komisja/, oraz jej członek, Władysław Bartoszewski. Wiktor Woroszylski powiedział: "Przyjęliśmy zasadę, że wpisujemy na listę wszystkich kandydatów, których zgłosili koledzy /.../. Staraliśmy się, ażeby /.../ powstała lista reprezentacyjna, w tym sensie, że obejmująca różne środowiska, różne rodzaje uprawianej twórczości, a także różne ośrodki kraju". Władysław Bartoszewski dodał: "Myśmy często byli nieobecni w różnych ciałach związkowych, w życiu publicznym i literackim nie dlatego, żeśmy nie chcieli, ale tylko dlatego, żeśmy nie mogli. My dziś mówimy do wszystkich ludzi dobrej woli - bądźcie obecni, chciejcie razem z nami działać, jak uważacie za potrzebne dla siebie i dla naszego związku, i dla wspólnej sprawy. /.../ Ktoś musi uczyć, jak wygląda pluralizm. Jeżeli nie umie uczyć, to sam nie ma prawa domagać się pluralizmu".

Warto przytoczyć wyniki przeprowadzonych bezpośrednio potem wyborów wraz z liczbą głosów oddanych na poszczególne kandydatury.

Prezesem Związku Literatów Polskich wybrany został 127 głosami /na ogólną liczbę 136 głosujących, w tym 135 głosów ważnych/ Jan Józef Szczepański. Innej kandydatury na prezesa nie zgłoszono.

Członkami Zarządu Głównego zostali /w nawiasach liczba głosów/: Jacek Woźniakowski /118/, Kazimierz Dziewanowski /112/, Władysław Terlecki /111/, Marian Brandys /105/, Marek Nowakowski /103/, Andrzej Kijowski /104/, Lech Bądkowski /103/, Jacek Bocheński /103/, Urszula Kozioł /100/, Leszek Prorok /100/, Andrzej Braun /98/, Zbigniew Kubikowski /97/, Egon Naganowski /96/, Jan Błoński /94/, Tomasz Burek /94/, Leszek Elektorowicz /92/, Jerzy S.Sito /92/, Jacek Łukasiewicz /91/, Andrzej Jarecki /90/, Stefan Kisielewski /90/, Anna Kamieńska /89/, Julia Hartwig /88/, Edward Balcerzan /87/, Tadeusz Nowak /87/, Anna Trzeciakowska /86/, Marian Grześczak /85/, Kazimierz Orłoś /84/, Jan Pieszczachowicz /84/, Paweł Hertz /83/, Tadeusz Drewnowski /82/, Irena Jurgielewiczowa /77/, Stanisław Misakowski /76/.

Zastępcami członków Zarządu Głównego zostali: Piotr Wojciechowski /75/, Jan Józef Lipski /72/, Janusz Odrowąż-Pieniążek /69/, Jarosław Abramow /68/, Henryk Bardijewski /68/, Krzysztof Karasek /66/.

Na pierwszym zebraniu w dzień po zjeździe Zarząd Główny wyłonił spośród swych członków następujące Prezydium: prezes - Jan Józef Szczepański, wiceprezesi - Andrzej Braun, Tadeusz Drewnowski, Leszek Prorok, Jerzy S.Sito, sekretarz generalny - Zbigniew Kubikowski, zastępca sekretarza generalnego - Kazimierz Dziewanowski, skarbnik - Andrzej Jarecki, zastępca skarbnika - Marek Nowakowski, przewodniczący komisji zagranicznej - Marian Grześczak, przewodniczący komisji kwalifikacyjnej - Andrzej Kijowski, przewodnicząca Funduszu Literatury - Anna Trzeciakowska, członkowie prezydium - Julia Hartwig, Paweł Hertz, Władysław Terlecki, Jacek Woźniakowski.

Do Komisji Rewizyjnej wybrani zostali na zjeździe: Michał Głowiński /115/, Krystyna Tarnowska /107/, Przemysław Bystrzycki /105/, Andrzej Szczypiorski /105/, Julian Kornhauser /100/, Andrzej Drawicz /95/, Lech Jęczmyk /93/. Przewodniczącym został Andrzej Szczypiorski.

Do Sądu Koleżeńskiego wybrani zostali na zjeździe: Igor Newerly /113/, Janusz Maciejewski /99/, Jerzy Zagórski /86/, Zbigniew Żakiewicz /84/, Joanna Guze /83/. Przewodniczącym został Igor Newerly.

Nie jesteśmy w "Zapisie" zwolennikami klasyfikowania pisarzy na podstawie ich przynależności partyjnej czy jakiejkolwiek organizacyjnej, grupowej bądź terenowej. Jedynie w drodze wyjątku, ze względu na szczególne /ale nie nasze/ rozgorączkowanie tym tematem podajemy do wiadomości czytelników poniższe zestawienie liczbowe.

W 33-osobowym składzie Zarządu Głównego jest 6 członków PZPR. Są członkowie redakcji różnych pism, m.in. "Literatury" - 1, "Pisma" - 2, "Polityki" - 1, "Twórczości" - 2, "Tygodnika Kulturalnego" - 1, "Tygodnika Powszechnego" - 2, "Zapisu" - 3. /Autorów, którzy publikowali w "Zapisie", doliczyliśmy się ogółem 12/. W Warszawie mieszka 22 członków zarządu, poza Warszawą 11, m.in. prezes.

Do 16-osobowego Prezydium weszło 2 członków PZPR i po jednym członku redakcji "Literatury", "Polityki", "Twórczości", "Tygodnika Powszechnego". 14 osób mieszka w Warszawie, 2 poza Warszawą. "Zapis" jest w Prezydium nieobecny /chociaż ma tam kilku autorów i... jednego byłego współredaktora/.

Wśród 6 zastępców członków Zarządu Głównego nie ma żadnego członka PZPR. Jest 1 członek KSS "KOR". Żadna z wyżej wymienionych redakcji nie jest wśród zastępców reprezentowana. Wszyscy są mieszkańcami Warszawy.

Również w Komisji Rewizyjnej i Sądzie Koleżeńskim nie ma przedstawicieli PZPR ani innych organizacji czy redakcji wyżej wymienionych, z dwoma wyjątkami: w Komisji Rewizyjnej jest 1 członek redakcji "Pisma" i 1 - "Zapisu". Do 7-osobowej Komisji Rewizyjnej wchodzą 2 osoby spoza Warszawy, do 5-osobowego Sądu Koleżeńskiego 1.

Partia ma, oczywiście, w nowych władzach ZLP mniejszy udział niż kiedykolwiek w przeszłości, ale ci pisarze partyjni, których zjazd wybrał, cieszą się sympatią środowiska, reprezentują też na ogół godną uznania rangę w zawodzie. Potwierdziło to wymownie pogląd Jana Józefa Szczepańskiego, wyrażony w jego przemówieniu zjazdowym, że spory i konflikty między pisarzami nie są wynikiem waśni wewnętrznych - jak to próbował interpretować Andrzej Wasilewski - lecz rezultatem rozmaitych manipulacji politycznych, których mechanizmy znajdują się poza ZLP. Po XXI Zjeździe wiele zależy od władz państwowych i od partii. Jak powiedział Jan Józef Szczepański - po stronie pisarzy "dobrej woli nie brakuje".

Echa zjazdu w prasie

Prasa oficjalna, zgodnie ze starym zwyczajem skupiania uwagi na dygnitarzach oraz informowania tylko o tym, co wygodne, zamieściła wielokrotnie, w całości i we fragmentach, przemówienie ministra Józefa Tejchmy, tudzież exposée partyjne Andrzeja Wasilewskiego. Podobnego przywileju, choć w mniejszym zakresie, dostąpił Jan Józef Szczepański. No bo prezes, trudno. Poza

tym wolno było przedrukowywać wypowiedzi Tadeusza Drewnowskiego i częściowo Andrzeja Szczypiorskiego, a w postaci symbolicznych okrawków błąkali się po sprawozdaniach ze zjazdu Seweryn Jaworski, wiceprzewodniczący "Solidarności" regionu Mazowsze, i Lech Bądkowski. No bo "Solidarność", też trudno. Innych mówców prawie nie zauważono. Nawet w prasie literackiej ukazały się tylko bardzo niepełne i jednostronne omówienia dyskusji, ograniczone najczęściej do nazwisk wyżej wymienionych. Głuche milczenie panowało na temat uchwał zjazdu i panuje do dzisiaj. Za to niemal nazajutrz po zjeździe rozkwitła twórczość felietonowo-pamfletowa, w której tendencyjnie i złośliwie atakowano nowy zarząd. Jak się okazuje, nie znosi on krytyki, nie uznaje demokracji i nie ma swym gronie godnych uwagi znakomitości literackich.

A co u dziennikarzy?

Mimo że od Nadzwyczajnego Zjazdu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich upłynęły kolejne trzy miesiące, także i oni, podobnie jak literaci, wciąż jeszcze nie zdołali ogłosić drukiem swych uchwał, poza wydawanym w nakładzie 3400 egzemplarzy - co stanowi liczbę odpowiadającą mniej więcej połowie członków Stowarzyszenia - organem SDP "Prasa Polska" oraz fragmentarycznie "Kultura" i "Literaturą". Jedynie w "Gazecie Olsztyńskiej" i szczecińskiej "Solidarności" doczekał się publikacji List Rady SDP z 9 lutego 1981 "Do naszych współobywateli", w którym stwierdzono m.in., że "bez wiarygodnych środków przekazu niemożliwe jest wzajemne porozumienie się w społeczeństwie, niemożliwe jest również porozumienie się władzy ze społeczeństwem, a co za tym idzie - rządzenie Polską". Nie mogła ukazać się w prasie uchwała Walnego Zebrania Oddziału Warszawskiego SDP popierająca zasadnicze postanowienia i wytyczne Nadzwyczajnego Zjazdu.

Przed Stowarzyszeniem otworzyło się jednak dość szerokie, a przynajmniej mało przedtem znane pole działań o charakterze mediacyjnym. Oba zarządy, Główny i Oddziału Warszawskiego, wykazały w tej dziedzinie znaczną aktywność polegającą na ułatwianiu kontaktów i dyskusji między władzami a wzburzonymi środowiskami pracowniczymi. Skutki tych zabiegów ograniczają się na razie do lepszego rozpoznania każdej ze stron przez drugą i zaznajomienia władz z aspiracjami i argumentami dziennikarzy.

Pewne rozluźnienie cenzury można dostrzec tylko w części prasy regionalnej /należą tu "Gazeta Krakowska", "Gazeta Olsztyńska"/, co wynika zapewne z warunków miejscowych. Ogólnokrajowe kierownictwo propagandy przejął od Jerzego Waszczuka w grudniu 1980 Stefan Olszowski, uchodzący za jeszcze "twardszego", a w każdym razie bardziej konsekwentnego rzecznika walki z "anarchizacją życia", słynący również jako autor oświadczenia, iż "partia nie wyda z rąk środków masowego przekazu". W lipcu 1981 odpowiedzialność za prasę powierzono nowemu wicepremierowi Mieczysławowi F. Rakowskiemu, wieloletniemu redaktorowi naczelnemu "Polityki", który zresztą zapowiedział, że stanowisko kierownicze w tym tygodniku nadal utrzyma.

Poprzednio, już po Nadzwyczajnym Zjeździe, zarówno szef Biura Prasy KC PZPR Józef Klasa, jak i Stefan Olszowski, spotykali się z przedstawicielami nowych władz SDP dość często i chętnie. Osobliwością tych spotkań był fakt, że stroną aktywną stali się dziennikarze. Dawniej spotkania były rzedsze, aranżowane niemal wyłącznie przez władze i przeznaczane raczej dla dziennikarzy "funkcyjnych"; przedstawiciele KC wygłaszali na nich zbiór zaleceń i pouczeń. Dziś dziennikarze zgłaszają swoją listę postulatów i pretensji. Z reguły nie dochodzi do żadnych istotniejszych konkluzji i uzgodnień. Każda strona zachowuje swój pogląd, każda jednak uważa dalsze kontakty za celowe.

Mimo wszystko warszawskie środowisko dziennikarskie sądzi, że rozpoczął się proces rehabilitacji dziennikarzy w oczach społeczeństwa. Służy temu zorganizowane w stołecznym Domu Dziennikarza "Forum" - otwarty klub dyskusyjny, podejmujący co tydzień zasadnicze tematy społeczne; służą temu kontakty SDP z "Solidarnością" regionu Mazowsze i "Solidarnością" Poligrafów; służą temu wreszcie... publiczne wypowiedzi Stefana Olszowskiego, w których zarzuca on władzom SDP socjaldemokratyzm, rewizjonizm, a nawet skłonności kontrrewolucyjne!

Podjęły pracę nowe agendy ZG SDP, m.in. komisje: do rehabilitacji i obrony dziennikarzy szykanowanych za publicznie głoszone poglądy oraz do spraw naruszania etyki zawodowej. W związku z tymi ostatnimi wykroczeniami wpływają do rzecznika dyscyplinarnego wnioski personalne, jak na przykład przeciwko Tadeuszowi Samitowskiemu z warszawskiej telewizji, autorowi sławetnych reportaży o wydarzeniach roku 1976 w Radomiu i o konflikcie między NSZZ "Solidarność" w Olsztynie a tamtejszym I Sekretarzem KW, Wojnowskim. Do czasu ostatecznego rozpoznania sprawy Samitowski został zawieszony w prawach członka SDP, co być może nie ma dla niego znaczenia, ma jednak pewne znaczenie moralne dla środowiska dziennikarskiego.

Dzięki pośrednictwu władz Oddziału Warszawskiego /prezes - Jacek Kalabiński, jego zastępcy - Ernest Skalski i Maciej Wierzyński/ 24 stycznia 1981 odbyło się spotkanie kierownika Biura Prasy KC PZPR Józefa Klasy z przedstawicielami "Solidarności" Poligrafów. Miało ono przebieg kuriozalny, ponieważ drukarze przybyli na rozmowę wraz ze swymi doradcami, Janem Lityńskim i Adamem Michnikiem, a Józef Klasa uznał, że w takim towarzystwie nie może zasiąść do stołu. Wobec tego obie grupy dyskutowały przez pewien czas siedząc w dwóch osobnych pokojach, gospodarze zaś, czyli przedstawiciele Oddziału Warszawskiego SDP biegali między nimi i przekazywali z pokoju do pokoju, co kto powiedział. Gdy doradcy poligrafów wycofali się potem, doszło do bezpośredniego spotkania stron. Drukarze domagali się obszerniejszej i rzetelniejszej informacji o "Solidarności", w tym także "Solidarności Wiejskiej" /temat objęty był od tygodni zapisem cenzury/. Żądali też, aby miejsca ingerencji cenzuralnych w gazetach były ujawniane przez pozostawienie tam białych plam lub inne zrozumiałe dla czytelników oznaczenia graficzne. Realizację swoich postulatów zamierzali wyegzekwować uciekając się w razie potrzeby do strajku. Spotkanie z Klasą nie przyniosło skutków merytorycznych, zmusiło jednak przedstawiciela KC do wysłuchania poligrafów i uznania, że groźba strajku drukarzy nie jest mitem, skonstruowanym przez dziennikarzy jako środek nacisku i szantażu. Ułatwiło to później Stowarzyszeniu mediację między Krajową Komisją Porozumiewawczą NSZZ "Solidarność" a władzami partyjnymi w sprawie "Dnia bez prasy", przewidzianego na 13 II 1981, który to termin, zapowiedziany przez drukarzy wcześniej, zbiegł się przypadkowo a niefortunnie z pierwszym dniem rządów nowego premiera, Wojciecha Jaruzelskiego.

Forum strachu

Jedna z ciekawszych dyskusji w cyklu spotkań "Forum SDP" poświęcona była tematowi "Strachów towarzyszących pracy dziennikarza". Jako grupa specjalistów prowadzących to panelowe zebranie /26 stycznia 1981 r. w Warszawie/ wystąpili publicyści: Daniel Passent, Jerzy Urban, Piotr Wierzbicki, Stefan Kisielewski, Antoni Maciarewicz - redaktor niezależnego "Głosu" oraz profesor Goldfinger-Kunicki - mikrobiolog.

Otwierając dyskusję Daniel Passent przypomniał m.in. swoją podróż do Wietnamu w roku 1966 /o podróżach do Czechosłowacji w roku 1968 i do Afganistanu w 1980 - nie było mowy/ oraz poprosił publicystów "Tygodnika Powszechnego" o ustosunkowanie się do cenzury kościelnej. Piotr Wierzbicki zajął się swoim tematem koronnym, czyli postawą osobników "gnidopodobnych", którymi kieruje strach. Mówił także o straszeniu społeczeństwa interwencją. "Ja, Kisielewski i Wolna Europa możemy straszyć, ponieważ nie ukrywaliśmy swoich poglądów, ale dlaczego straszy na przykład Ryszard Wojna, skoro w jego poglądach przyjaźń ze Związkiem Radzieckim stanowi fundament?" Profesor Goldfinger-Kunicki zwrócił uwagę, że studenci nie w pełni włączyli się w proces odnowy. Jest to swoiste osiągnięcie systemu wychowawczego, który od lat uczył konformizmu. Stefan Kisielewski mówił o zatrważających przypadkach zmiany poglądów ze strachu, natomiast Antoni Maciarewicz twierdził, że sam system opiera się na strachu i dlatego całkowita zmiana postaw nie jest, jego zdaniem, możliwa.

W toku dyskusji zabrał głos m.in. Adam Michnik. Presję na piszących wywierają nie tylko strach i cenzura. "Najlepiej pisało mi się pod pseudonimem

w "Więzi" powiedział. Grzegorz Jaszuński przypomniał ze swojej długiej praktyki dziennikarskiej dwa momenty: jeden, kiedy uległ strachowi i napisał na życzenie redaktora naczelnego pochwałę Stalina-językoznawcy. I drugi, kiedy nie uległ i nie napisał pochwały napaści zbrojnej na Czechosłowację w roku 1968. Znaczenie tych dwóch wydarzeń określił zdaniem: "Pierwszego się wstydzę do dziś, z drugiego mam do dziś satysfakcję".

Zadano też kilka pytań milczącemu Jerzemu Urbanowi. Adam Michnik zapytał, dlaczego Urban nie bronił w roku 1976 aresztowanych robotników, jeśli broni obecnie aresztowanego Macieja Szczepańskiego. Jedna z dziennikarek zapytała, czy to prawda, że Urban pisze komentarze dla Dziennika Telewizyjnego - "te z ostatnich dni, wyjątkowo obrzydliwe". A jeśli tak, to dlaczego nie podpisuje komentarzy własnym imieniem i nazwiskiem? Jerzy Urban wyjaśnił, że istotnie pisze komentarze dla telewizji. Nie podpisuje, ponieważ mało kto uwierzyłby Jerzemu Rubanowi, natomiast nie podpisane komentarze mogą się cieszyć większym autorytetem. Michnik odpowiedział, że nie protestował przeciw aresztowaniu robotników, ponieważ nie były one zbyt groźne, a okres Gierkowski, jego zdaniem, był okresem względnego liberalizmu. Urban oklasków nie zebrał, zebrał je natomiast obficie Michnik.

Kilkugodzinne spotkanie kilkuset dziennikarzy polskich, prowadzone z werwą, pełne spięć i ostrych wypowiedzi, można jedynie przyrównać do koszmarnego snu Jerzego Łukaszewicza /sprzed sierpnia 80/.

Z życia PEN-Clubu

14 listopada 1980 dokonano wyboru nowego zarządu i komisji rewizyjnej PEN-Clubu oraz uchwalono lika rezolucji; m.in. wyrażono zadowolenie z powodu zarejestrowania NSZZ "Solidarność", natomiast zaprotestowano przeciw aresztowaniom Leszka Moczulskiego i Wojciecha Ziembińskiego "pod zarzutami dotyczącymi ich działalności publicystycznej".

W latach 1976-80 PEN-Club wielokrotnie protestował przeciw samowoli i bezprawiu, występował z memoriałami do Rady Ministrów zwracając uwagę na działalność Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, "który w znacznej mierze ogranicza i utrudnia ogłaszanie dzieł literackich i naukowych, ważnych dla kultury narodowej", protestował przeciwko uwięzieniu Mirosława Chojeckiego i Bogdana Grzesiaka, protestował też przeciw ograniczaniu kontaktów międzynarodowych pisarzy polskich z pisarzami w innych krajach /odmowy paszportów/.

Do nowego zarządu wybrane zostały następujące osoby: Władysław Bartoszewski /78 głosów/, Jan Józef Szczepański /74/, Marian Brandys /73/, Artur Międzyrzecki /72/, Andrzej Braun /71/, Leszek Prorok /70/, Juliusz Żuławski /69/, Zygmunt Kubiak /65/, Lech Bądkowski /64/, Paweł Hertz /64/, Jerzy Zagórski /63/, Karol Estreicher /62/, Egon Naganowski /62/, Jerzy Ficowski /58/, Stefan Kisielewski /55/, Władysław Czapliński /54/, Seweryn Pollak /53/. Do komisji rewizyjnej weszli: Maria Bechczyc-Rudnicka /68/, Zdzisław Najder /67/, Jacek Bocheński /64/. Prezesem PEN-Clubu pozostaje Juliusz Żuławski.

W toku obrad przyjęto "Deklarację praw pisarza", zgłoszoną przez PEN-Club Francuski i uchwaloną w roku 1977 przez czterdziesty drugi kongres PEN-Clubów w Sydney.

Oto pełny tekst:

"Pisarze - ze względu na to, że uosabiają rozległe bogactwo uczuć, myśli i języków ludzkiego świata - z reguły padają ofiarą prześladowań w wielu krajach o najrozmaitszych ustrojach, kiedy ich dzieła rozmijają się z systemem myślenia narzucanym przez autorytatywną władzę.

Zagrażając życiu i pracy pisarzy, te akty niesprawiedliwości i prześladowania stanowią niebezpieczeństwo dla moralnego i intelektualnego rozwoju ludzkości.

Właśnie dlatego - zgodnie z Powszechną Deklaracją Praw Człowieka - rządy wszystkich krajów winny stale czuwać nad zapewnieniem pisarzom wolności słowa, niezależnie od ich rasy, religii, narodowości, języka i wyrażanych opinii.

Rządy powinny powstrzymać się w stosunku do pisarzy, ich bliskich i ich dzieł od jakichkolwiek działań represyjnych i karnych, to jest od egzekucji, tortur, arbitralnych aresztowań i przymusowych skierowań do szpitali, od sekwestracji mienia, szykanowania rodzin, zastraszania, cenzury i niszczenia książek.

To, że zakresy ospowiedzialności prawnych pisarza i jego współobywateli są takie same, nie może ulegać wątpliwości".

Skonfiskowany Conrad

"Cenzor sztuk teatralnych" powinien był się znaleźć w tomie 21 wydanych przez Państwowy Instytut Wydawniczy "Dzieł" Josepha Conrada /Warszawa 1972-4 t. 1-27/. Ukazał się natomiast - razem z czterema innymi esejami Conrada, również pominiętymi w wydaniu zbiorowym - na Zachodzie, nakładem Polonia Book Fund Ltd. w zbiorze zatytułowanym "Szkice polityczne" jako tom 28 Dzieł", w identycznej co wydanie krajowe szacie graficznej.

W styczniu 1981 redakcja Tygodnika Studenckiego "Politechnik" podjęła próbę udostępnienia tego artykułu czytelnikom. Razem z esejem Czesława Miłosza z książki "Widzenia nad zatoką San Francisco" i fragmentami artykułu Marksa "O najnowszej instrukcji pruskiej w sprawie cenzury" miał "Cenzor sztuk teatralnych" stanowić pewien blok tematyczny - głos w dyskusji nad projektem ustawy o cenzurze i odpowiedź na niezrealizowanie w terminie przez rząd punktu trzeciego Porozumień Gdańskich. Marks i Miłosz okazali się dla urzędników z ulicy Mysiej strawni, Conrad - nie. A dlaczego to? Czyżby Conrad ujawniał tajemnice wojskowe, państwowe i gospodarcze albo może godził w sojusze? Rzecz napisana jest w roku 1907, dotyczy Anglii i cenzury obyczajowej, którą Conrad uważa za relikt średniowiecza, przejaw iście chińskiego konserwatyzmu, zawleczony widocznie z Dalekiego Wschodu. Ale dodaje: "Wędrowny potworek dotarł do nas zapewne przez Moskwę". Chyba więc godzi w sojusze.

Pisarze wyjeżdżają za granicę

Pisarze, którym do sierpnia 1980 odmawiano paszportów, mogą znów wyjeżdżać za granicę. Zezwolono na to m.in. Stanisławowi Barańczakowi, Władysławowi Bartoszewskiemu, Jackowi Bocheńskiemu, Stefanowi Kisielewskiemu, Ance Kowalskiej, Andrzejowi Szczypiorskiemu i Jackowi Woźniakowskiemu. Część z nich odbyła już podróże i wrócił, inni dopiero wyjadą. Dwaj członkowie zespołu redakcyjnego "Zapisu", Kazimierz Brandys i Wiktor Woroszylski, także otrzymali po poprzednich odmowach paszporty, wyjechali na dłuższe zaproszenia zagraniczne /obaj do Berlina Zachodniego/ i dlatego nie biorą obecnie udziału w redagowaniu naszego pisma.

Powrót Herberta

Wrócił do Polski na stałe po wieloletniej nieobecności Zbigniew Herbert, który przyjął zaproszenie do naszego grona i począwszy od bieżącego numeru uczestniczy w pracach redakcyjnych "Zapisu".

Filmowcy-dokumentaliści w Ustrzykach Dolnych i Rzeszowie

Strajk w Ustrzykach Dolnych rozpoczął się 29 grudnia 1980, gdy rolnicy domagający się zarejestrowania "Solidarności Wiejskiej" okupowali salę obrad w urzędzie gminnym. Na wiadomość o tym wyruszyła do Ustrzyk ekipa filmowców -dokumentalistów: reżyser Andrzej Piekutowski, operator Bronisław Baraniecki i kierownik produkcji Włada Dąbrowska. Po tygodniu jednak Naczelny Zarząd Kinematografii wydał decyzję, że ekipę należy odwołać. Interweniowało Stowarzyszenie Filmowców /zarząd Sekcji Dokumentalnej/ i decyzja została cofnięta. Wkrótce potem - 13 stycznia - do urzędu gminnego wkroczyła milicja, aby usunąć strajkujących. Scenę tę sfilmowano.

Z kolei ekipa udała się do Rzeszowa. I znów, po niespełna tygodniu, wydano decyzję, żeby filmowców odwołać, tym razem z Rzeszowa, ale filmowcy... nie posłuchali. Tymczasem decyzja straciła aktualność, ponieważ w Rzeszowie podjęła rozmowy z rolnikami delegacja rządowa.

Do Warszawy przyjechali dokumentaliści dopiero 10 lutego, aby uchwycić moment, gdy Sąd Wojewódzki będzie wydawał orzeczenie w sprawie rejestracji "Solidarności Wiejskiej". Wykonano zdjęcia w sądzie i przed sądem. Po trzech dniach ekipa zamierzała wyjechać ponownie do Rzeszowa i Ustrzyk Dolnych. Usiłowano nie dopuścić do tego wyjazdu i zatrzymać filmowców w Warszawie, powołując się na starą decyzję Naczelnego Zarządu Kinematografii.

Dokumentaliści jeszcze raz nie zastosowali się do zakazu. W drugiej połowie lutego kontynuowali pracę w Ustrzykach i Rzeszowie.

"Zapis" nadal "nie istnieje"

Rozpoczęta trochę niefortunnym i bałamutnym artykułem Adama Krzemińskiego pt. "Między fasadą a tyłami", następnie jednak poprowadzona znacznie solidniej, krytyczna i dla wszystkich pouczająca dyskusja "Polityki" o literaturze tzw. obiegu nieoficjalnego zdawała się zapowiedzią pomyślnego zwrotu w sposobie traktowania tej literatury przez oficjalną politykę kulturalną. Bądź co bądź temat został poruszony po raz pierwszy na łamach prasy cenzurowanej i można było mieć nadzieję, że odtąd przestanie obowiązywać niedorzeczny zakaz wymieniania w druku takich tytułów jak "Zapis".

Niestety, jedna jaskółka nie czyni wiosny. Okazało się, że można już nawet przedrukowywać teksty z wydawnictw niezależnych, byleby nie podawać źródła, skąd się je czerpie. Tak np. "Życie Warszawy" zaproponowało Kazimierzowi Orłosiowi druk opowiadania "Czerwone kalosze", ale odmówiło zamieszczenia informacji, że opowiadanie ukazało się przedtem w "Zapisie" nr 8. Wobec tego autor nie zgodził się na publikację. W bezprzykładnie skandaliczny sposób zachowała się "Literatura" wobec Jacka Bocheńskiego, co pisarz podał do wiadomości z trybuny XXI Zjazdu ZLP. "Literatura" wbrew wyraźnemu zastrzeżeniu Bocheńskiego" przedrukowała z "Zapisu" nr 12 jego wspomnienie "O Arnoldzie Słuckim" bez podania źródła, a za to ze skreśleniami fałszującymi myśl autora. W dopisku redakcyjnym zaznaczono, że publikuje się"obszerne fragmenty" tekstu Bocheńskiego.W rzeczywistości usunięto 82 słowa. Jak się dowiadujemy, sprostowania, które autor przesłał "Literaturze", redakcja nie zamieściła, na jego list w ogóle nie odpowiedziała.

W związku z "Zapisem" inna przygoda spotkała Jacka Bocheńskiego w telewizji. Zaproszony z Tadeuszem Drewnowskim, Andrzejem Kijowskim i Andrzejem Szczypiorskim /jednak ewenement!/ do udziału w "Rozmowach literackich" i uprzedzony przez redaktora programu J.A.Wieczorkowskiego, że w razie wymienienia słowa "Zapis" cenzura uniemożliwi emisję nagrania, wspomniał o swoim kilkuletnim udziale w redakcji "niecenzurowanego kwartalnika literackiego" i wyliczył kilku drukowanych tam autorów. Na antenie z "Rozmów literackich" znikł cały fragment o kwartalniku, chociaż pozostały nazwiska autorów, nie bardzo wiadomo co w tym kontekście znaczące.

Publicyści, krytycy i recenzenci w czasopismach stosują najdziwniejsze wybiegi stylistyczne, aby wspominając "Miazgę" Andrzejewskiego, poezje Baranczaka, eseistykę Burka, prozę Brandysa i Konwickiego, nie powiedzieć, gdzie też te dzieła "obiegu nieoficjalnego" przeczytali albo nawet jak się one nazywają /za wymienienie tytułu "Małej apokalipsy" w telewizji spadły represje dyscyplinarne na redaktorów/. A już całkiem niemożliwe jest "ujawnienie" wszystkim znanego faktu, że na przykład książki Miłosza wydawane były i są przez paryski Instytut Literacki w Bibliotece "Kultury". Pokazywano je w telewizji z zakrytą firmą wydawcy. Ciekawe, czy można by pokazać "Zapis" z zakrytym tytułem.

Seanse zarezerwowane

W pierwszych dniach stycznia 1981 - w wyniku licznych protestów zgłaszanych przez społeczeństwo i "Solidarność" - zezwolono na ograniczone pokazy filmu "Robotnicy'80" w niektórych kinach /np. w warszawskim kinie "Śląsk"/. Prasa podając repertuar kin z reguły nie wymienia tytułu "Robotnicy'80". Zamiast tego posługuje się formułą "seanse zarezerwowane". W połowie stycznia zniszczono część nakładu "Expressu Wieczornego", ponieważ gazeta złamała tę zasadę i umieściła w programie kin tytuł "Robotnicy'80".

Jeszcze raz wybory i obrady literatów

13 lutego 1981 odbyło się Walne Zebranie Sprawozdawczo-Wyborcze Warszawskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Prezesem został ponownie Józef Hen, który zebrał 174 głosy, a jego nieco przygodny konkurent i w pewnym sensie enfant terrible zebrania, pisarz młodszego pokolenia Andrzej Pastuszek, uzyskał 83 głosy. Prócz Hena do Zarządu Oddziału weszli: Krzysztof Karasek /193 głosy/, Jan Józef Lipski /191/, Michał Komar /187/, Janusz Maciejewski /186/, Piotr Wojciechowski /185/, Hanna Krall /184/, Camilla Mondral /184/, Marta Fik /183/, Janusz Głowacki /179/, Władysław Żesławski /165/, Kazimierz Dębnicki /151/, Andrzej Werner /144/. Komisję Rewizyjną wybrano w składzie: Zdzisław Najder /216/, Halina Skrobiszewska /177/, Irena Lewandowska /151/. Członkami Sądu Koleżeńskiego zostali: Jeremi Przybora /199/, Jerzy Ficowski /183/, Seweryn Pollak /181/, Anka Kowalska /159/, Eligia Bąkowska /134/.

W toku dyskusji poruszenie na sali wzbudziła wypowiedź Ryszarda Matuszewskiego, który przedstawił swoje wieloletnie dylematy i konflikty związane z przynależnością do partii. "Najwyższy niepokój - powiedział Matuszewski - wywołują we mnie wszelkie próby uczynienia odpowiedzialnymi za elementy anarchii w Polsce członków Komitetu Obrony Robotników, wśród których znam ludzi głęboko mądrych i szlachetnych, a także ludzi o tak wspaniałej, bystrej inteligencji, jak Adam Michnik, i o tak niezaprzeczalnych już dziś zasługach dla literatury polskiej - jak Mirosław Chojecki".

Najwięcej uwagi i kontrowersji skupił jednak wokół siebie projekt rezolucji wyrażającej poparcie dla osoby i programu premiera Wojciecha Jaruzelskiego /był to pierwszy dzień jego rządów/, wniesiony niejako w trybie nadzwyczajnym, z pominięciem komisji wnioskowej, przez Jerzego S.Sito. Krytykę wywołała nie tyle idea przewodnia projektu, czyli opowiedzenie się pisarzy za proponowanym "rozejmem społecznym", ile poszczególne sformułowania i niedostateczne, zdaniem wielu, podkreślenie warunków, od których zależałoby powodzenie rozejmu. Jednak ewentualność wprowadzenia korekt do rezolucji Sity spotkała się z gwałtownym sprzeciwem grupki partyjnych "twardogłowych", którzy domagali się natychmiastowego poddania jej pod głosowanie, chociaż było rzeczą jasną, że projekt w pierwotnej wersji nie ma szans na przejście. Jerzy S. Sito wycofał się wprawdzie, ale nie uciszyło to krzyków i zwischrufów w rodzaju "projekt nie jest już własnością Sity, jest naszą własnością, głosować!". Ostatecznie, celem opracowania nowego projektu powołano komisję ad hoc, do której weszli: Jacek Bocheński, Tadeusz Drewnowski, Gustaw Gottesman, Andrzej Jarecki, Andrzej Kijowski, Jan Józef Lipski, Zdzisław Najder i Jerzy S.Sito. Komisja ta zaproponowała Walnemu Zgromadzeniu tekst następujący:

"My - pisarze Warszawy - przyłączamy się do głosów opinii publicznej, domagających się szybkiej i rzetelnej realizacji umowy społecznej, podpisanej w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu.

Przeświadczeni o potrzebie rozejmu społecznego, rozumiemy apel Premiera Wojciecha Jaruzelskiego jako równoczesne zobowiązanie rządu do przestrzegania konstytucyjnych praw obywatelskich, zwolnienia ludzi więzionych za przekonania, osobistego bezpieczeństwa wszystkich obywateli, pełnego obiegu informacji, wolności druku i wypowiedzi, wolności zrzeszania się.

Konsolidacja państwa, uzdrowienie gospodarki i stworzenie warunków wy-

dajnej pracy zależą od zaufania społecznego; sprzyjać temu będzie prawne uznanie samorzutnie wyłanianych struktur społecznych na wsi, na uczelniach, w środowiskach twórczych i naukowych. Nie sprzyjają temu natomiast drażniące społeczeństwo poczynania administracyjne i propagandowe oraz gołosłowne oskarżenia.

Wyrażamy nadzieję, że program rządu doprowadzi do rzeczywistej reformy gospodarczej, do wprowadzenia w życie demokratycznych zasad funkcjonowania naszego państwa, do umocnienia suwerennego bytu narodowego".

Za rezolucją głosowali wszyscy uczestnicy zebrania prócz jednej osoby, która głosowała przeciwko, i jedenastu innych, które wstrzymały się od głosu.

Jeszcze raz Andrzej Wasilewski

W trzy dni po zebraniu warszawskich literatów wypowiedział się na plenum KW PZPR Andrzej Wasilewski malując groźny obraz totalitaryzmu, dyktatury i nietolerancji: "/.../ oto /.../ wyrasta na naszych oczach ugrupowanie /.../ o charakterze niemalże totalitarnym i głęboko antydemokratycznej strukturze, wymuszające wszelkimi metodami bezwzględny posłuch dla swych dyktatorskich rozkazów, prześladujące za odmienność przekonań, kierowane z ukrycia przez zaszyfrowane grupy. Żąda ono swobody głoszenia różnych poglądów, ale samo jest skrajnie nietolerancyjne. Żąda jawności życia publicznego, ale swoje sprawy maksymalnie utajnia /cytujemy według Biuletynu KW "do użytku wewnątrzpartyjnego" - przyp. red./. Żąda pełnej i prawdziwej informacji, ale nie ma żadnych zahamowań w fabrykowaniu na masową skalę materiałów kłamliwych i dezinformujących, świadomie manipulując nastrojami społeczeństwa. Żąda swobód dla spontanicznych ruchów, ale - na miarę swych sił - tępi i prześladuje wszystko, co nie zostało uzgodnione z zaszyfrowaną grupą przywódczą". Łatwo zrozumieć, że mowa o "Solidarności", a nie PZPR-ze.

"Jako człowiek żyjący i działający /.../ w środowiskach twórczych mam okazję obserwować z bliska działanie tych sił, które nazywam prawicą polityczną, a które inaczej nazywa się KOR-em czy siłami antysocjalistycznymi" - kontynuował Wasilewski. Cóż więc zaobserwował? "Na ostatnim forum warszawskiego środowiska literackiego znani działacze KOR-u wręcz oświadczali, że są działaczami "Solidarności", a nie KOR-u. Co więcej, zadbali nawet o to, by z przychylnej im rezolucji zniknęła nazwa KOR-u. Wydaje się, że w najbliższym czasie będziemy świadkami coraz powszechniejszego zwijania tego szyldu. Wraz z tym jednak kładzie się bardzo silny ogień zaporowy przeciwko wszelkim krytycznym atakom na KOR, zwłaszcza zaś rozwija się akcję protestacyjną przeciwko śledztwu wszczętemu przez prokuraturę generalną". W rzeczywistości Jan Józef Lipski /bo o niego tu chodzi/ powiedział na zebraniu literatów, że byłoby dla niego z przyczyn moralnych rzeczą niemożliwą do przyjęcia upominanie się w rezolucji tylko o ludzi z KOR-u jako ofiary prześladowań, gdy mimo wszystko są oni na wolności, a niektórzy inni działacze opozycyjni w więzieniu.

Wracając do Wasilewskiego, spostrzegł on jeszcze, że "rezolucją przygotowana przez pisarzy zbliżonych do Episkopatu i utrzymana w wyważonym duchu, właściwym tym kołom, została z prawdziwą furią zaatakowana przez przedstawicieli korowskiej prawicy za to, że jest 'hołdownicza', 'wypośrodkowana' i 'zbyt łagodna w stosunku do rządu', a wreszcie 'nie uzgodniona wcześniej z kolegami'". Co się tyczy premiera Jaruzelskiego, to "społeczeństwo ujęte jest faktem, że podaje mu dłoń szef rządu w generalskim mundurze", byleby tylko "nie była to dłoń wiotka i bezwładna, ale zdecydowana i mocna".

Nagroda londyńskiej "Oficyny" dla Ficowskiego

"Oficyna Poetów i Malarzy" ufundowała nagrodę, którą jury pod przewodnictwem Tymona Terleckiego przyznało Jerzemu Ficowskiemu za wydany w "Oficynie" zbiór wierszy pt. "Odczytanie popiołów". Niektóre wiersze tego cyklu były drukowane także w "Zapisie" nr 9. Ukazały się przekłady "Odczytania po-

piołów" na język hebrajski i ostatnio na francuski /"Déchiffrer des cendres"/ wydawnictwo Plasma, Paryż 1981 - w tłumaczeniu i z posłowiem Lucienne Rey/, a przygotowywane jest wydanie angielskie z ilustracjami Marca Chagalla i wstępem Zbigniewa Herberta. Uroczystość "wręczenia" nagrody odbyła się 21 II 1981 w dwudziestą rocznicę śmierci poety Tadeusza Sułkowskiego w londyńskim Instytucie Polskim im. Gen.Sikorskiego. Ficowski nie podjął nagrody osobiście, ponieważ był nieobecny, obecny był za to na sali urzędujący w Londynie Prezydent Rzeczypospolitej hr Edward Raczyński.

Czy wznawia się represje wobec pism niezależnych?

W nocy z 27 na 28 lutego milicja zatrzymała w Warszawie kolejno trzy samochody i skonfiskowała 1500 egzemplarzy przewożonego z drukarni, najnowszego wydania "Pulsu" /nr 9-10/ zawierającego m.in. teksty Czesława Miłosza /"List do polskich komunistów"/, Mariana Brandysa /przemówienie i opowiadanie "Królestwo Białorusi"/, Stanisława Barańczaka /poezje/, Janusza Andermana /opowiadanie i słuchowisko radiowe/, Piotra Wierzbickiego, Andrzeja Drawicza, Stefana Morawskiego, a także materiały dokumentalne z życia robotników w latach siedemdziesiątych, z działalności milicji oraz reportaże z Wybrzeża /w tym relację Tomasza Jastruna ze Stoczni Gdańskiej/. Jednym z samochodów jechał znany młody krytyk i publicysta Jan Walc. Wszystkie zatrzymane osoby zwolniono po dwóch godzinach, jednak nazajutrz przeprowadzono rewizję w domu, z którego samochody wywiozły były "Puls", i zabrano jeszcze pewną ilość czystego papieru. Mimo interwencji Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, który wystąpił w tej sprawie do wicepremiera Rakowskiego i do sejmowej komisji kultury, zarekwirowanego nakładu nie zwrócono. Na rzecz "Pulsu" interweniował też łódzki MKZ NSZZ "Solidarność" /"Puls" jest związany z Łodzią/. Z indywidualnym apelem do wicepremiera zwróciła się Ewa Milewicz, przedstawicielka Niezależnej Oficyny Wydawniczej.

Należy podkreślić, że poza niedawnym sekwestrem pism Zygmunta Żuławskiego, wydanych przez tę oficynę, rekwizycja "Pulsu" jest pierwszą od podpisania Porozumień Gdańskich poważniejszą szykaną tego typu wobec wydawnictw niezależnych.

Dejmek i Braun o Marcu

Z chwilą gdy zamykamy "Kronikę", trwa na Uniwersytecie Warszawskim wielodniowa sesja poświęcona Rocznicy Wydarzeń Marcowych. Obchody zorganizowali komitet utworzony przez uniwersytecką "Solidarność" oraz Niezależne Zrzeszenie Studentów UW i ATK. Początek obchodom dały: uroczystość wmurowania aktu erekcyjnego pod tablicę upamiętniającą historyczne wypadki na UW, rocznicowy wiec studencki i wykład inauguracyjny Jacka Kuronia.

11 marca wystąpili w ramach sesji dwaj prelegenci: Kazimierz Dejmek z tematem "Casus Dziady" i Andrzej Braun z tematem "Co się działo na Nadzwyczajnym Walnym Zebraniu Oddziału Warszawskiego ZLP" /chodzi, oczywiście, o zebranie z 29 lutego roku 1968/.

Kazimierz Dejmek w obszernej i udokumentowanej wypowiedzi ukazał okoliczności towarzyszące przedstawieniu "Dziadów" i polityczno-społeczną atmosferę wokół tego artystycznego wydarzenia. Premiera "Dziadów" w reżyserii Dejmka, entuzjastycznie powitana przez publiczność, wywołała żywy niepokój władz. Zarzucono reżyserowi tendencyjność i "antyrosyjskość" inscenizacji, pomimo gorącego jej przyjęcia przez obecnych wówczas w Polsce przedstawicieli teatru radzieckiego. Wkrótce po premierze polecono Teatrowi Narodowemu dokładnie informować władze o przebiegu przedstawień i reakcjach widowni na określone kwestie w Mickiewiczowskim tekście, a także odnotowywać, ile razy kurtyna szła w górę. Planowany wyjazd z "Dziadami" do Moskwy odwołano. Zażądano ograniczenia liczby przedstawień aż do zupełnego ich zawieszenia. Prelegent zacytował sprawozdanie kierownika widowni. Przed ostatnim przedstawieniem "Dziadów" dla opanowania tłoku wezwał on MO, co okazało się zresztą całkowicie zbyteczne: publiczność, również ta stojąca, zachowywała się wzorowo

Dalej Dejmek odczytał fragmenty z recenzji niektórych gorliwych, lecz niedość dokładnych krytyków, listę rzeczowych sprostowań swojego ówczesnego kierownika literackiego, wyjątki z przemówienia Gomułki dotyczące "Dziadów", a także tekst własnej rezygnacji ze stanowiska dyrektora Teatru Narodowego, którą władze kilkakrotnie odrzucały.

W ożywionej dyskusji zabrał głos m.in. Gustaw Holoubek, znakomity odtwórca roli Gustawa-Konrada w Dejmkowskich "Dziadach".

Po przerwie Andrzej Braun rozpoczął swoją oszczędną i rzeczową wypowiedź zacytowaniem formuły świadka w sądzie: "Będę mówił prawdę, samą prawdę i tylko prawdę". Komentarz osobisty, ograniczony do minimum, miał wstrząsającą wymowę /"byłem współautorem partyjnej rezolucji Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego"/. Mówca opisał wydarzenia, które doprowadziły do nadzwyczajnego zebrania pisarzy, scharakteryzował przemówienia m.in. Jasienicy, Kołakowskiego, Słonimskiego, Kisielewskiego, Andrzejewskiego, Międzyrzeckiego i Bocheńskiego, przypomniał rezolucję zgłoszoną przez Andrzeja Kijowskiego i przyjętą większością głosów, opowiedział wreszcie o nasłaniu pod dom ZAIKS-u, w którym odbywało się zebranie, autobusów z rzekomymi "robotnikami" celem zastraszenia i wywarcia nacisku. Kończąc odczytał najnowsze oświadczenie Prezydium Zarządu Głównego ZLP o marcu 1968, które publikujemy poniżej.

W dyskusji zadawano liczne pytania, Artur Sandauer wystąpił ze sprostowaniem /jego zwischenruf zwrócony w roku 1968 do Artura Międzyrzeckiego - "Literatura jest nieodpowiedzialna? co to znaczy?" - miano źle zrozumieć/. Andrzej Braun otrzymał publiczne podziękowanie za przemówienie wygłoszone na katowickim zjeździe pisarzy przed trzema laty.

Nowe władze Związku Literatów o Marcu

Prezydium Zarządu Głównego ZLP wydało 2 marca 1981 następujące oświadczenie:

"Trzynaście lat temu, w dniach lutego i marca 1968 roku doszło w naszym kraju do szczególnie jaskrawego pogwałcenia podstawowych zasad, na których przez wieki tworzyło się życie polskiego społeczeństwa i jego kultura. Ze sceny Teatru Narodowego zdjęto 'Dziady' Mickiewicza. Brutalnie rozproszono protestujących przeciw temu studentów. Pogwałcono autonomię uniwersytetów i innych szkół wyższych. W wyniku dalszych akcji protestacyjnych relegowano studentów i wykładowców, wyrządzając niepowetowaną szkodę polskiej nauce. Wszczęto kampanię nienawiści, zniesławień i oszczerstw przeciw pisarzom i ludziom nauki. Próbowano obrócić ludzi pracy fizycznej przeciw inteligencji. Rozpoczęto kampanię rasowej i narodowej nienawiści.

Prezydium Zarządu Głównego spełniając uchwałę XXI Zjazdu Delegatów Związku Literatów Polskich domaga się wyjaśnienia tła tych wydarzeń i naprawienia wyrządzonych krzywd."

Czytać rano w słoneczny dzień

Z gabinetu okulisty donieśli nam pacjenci, że wedle obserwacji lekarza ich wzrok pogarsza się w miarę jak rozwija się mała poligrafia i rośnie czytelnictwo druków wydawanych poza zasięgiem cenzury. "Jeśli tak dalej pójdzie, zupełnie popsujecie sobie oczy - powiedział lekarz. - Chyba, że będziecie czytać rano w dzień słoneczny".

Kronikę zamknięto 16 marca 1981

KSIĄŻKI I CZASOPISMA NADESŁANE

Stanisław Barańczak, "Tryptyk z betonu, zmęczenia i śniegu", Kraków 1980, Wydawnictwo "kos", ss. 77, 1 nlb. Ilustrował Wojciech Wołyński. Poezje.

Kazimierz Brandys, "Miesiące", Warszawa 1980, Niezależna Oficyna Wydawnicza, ss. 174, 2 nlb. Esej literacki. Setna pozycja wydawnicza "Nowej".

Zbigniew Brzeziński, "Jedność czy konflikty", tłum. z języka angielskiego /"The Soviet Block - Unity and Conflict"/, Niezależna Oficyna Wydawnicza, ss. 126. Przedruk z wydawnictwa ODNOWA /Londyn/.

Ludwik Dembiński, "Prawo i władza", Niezależna Oficyna Wydawnicza, ss. 35. Przedruk z "Aneksu" nr 20/1979.

Gustaw Herling-Grudziński, "Inny świat", przedruk z Biblioteki "Kultury", wydanie II krajowe, marzec 1980, Niezależna Oficyna Wydawnicza, ss. 253, 1 nlb. Esej literacki. /Informacja wydawcy: "Wydrukowana część stron nakładu wydania I została skonfiskowana przez policję"/.

Marek Hłasko, "Osmy dzień tygodnia", Niezależna Oficyna Wydawnicza, ss. 69, 3 nlb. Przedruk z wydania Instytutu Literackiego, Paryż 1963. Opowiadanie.

Wojciech Karpiński, "W Central Parku", wydawnictwo "Klin", ss. 152. Esej.

Ryszard Krynicki, "Niewiele więcej. Wiersze z notatnika 78/79", Kraków 1981, wydawnictwo "kos", ss. 39, 1 nlb. Rysunki: Leszek Sobecki. Poezje.

Czesław Miłosz, "Światło dzienne", wydanie II, listopad 1980, Niezależna Oficyna Wydawnicza, ss. 79, 3 nlb. Przedruk z wydania Instytutu Literackiego; Paryż 1953. Poezje.

Czesław Miłosz, "Zdobycie władzy", Niezależna Oficyna Wydawnicza, ss. 159, 1 nlb. Przedruk z Biblioteki "Kultury", Instytut Literacki, Paryż 1955. Powieść.

Jan Polkowski, "To nie jest poezja", Warszawa 1980, Niezależna Oficyna Wydawnicza, ss. 45 + ilustracje. Poezje.

Aleksander Sołżenicyn, "Jeden dzień Iwana Denisowicza". Tłumaczyli Irena Lewandowska i Witold Dąbrowski. Przedruk z tygodnika "Polityka". Bez wiedzy i zgody tłumaczy. Niezależna Oficyna Wydawnicza, ss. 65, 1 nlb. Opowiadanie.

Józef Światło, "Kulisy bezpieki i partii", Free Europe Commitee, wyd. 1 N nowa. Wprowadzenie Adama Michnika. Ss. 40. Przedruk

"1970 grudzień", redakcja Marian Terlecki i Antoni Pawlak, oprac. graficzne Jerzy Janiszewski, wydawnictwo "Młoda Polska", ss. 19. Wiersze Marka Bieńkowskiego, Marka Baterowicza, Kazimierza Biculewicza, Juliana Kornhausera, Ryszarda Krynickiego, Antoniego Pawlaka, Adama Zagajewskiego.

"1981 = Rzeczpospolita", Komitet Porozumienia na Rzecz Samostanowienia Narodu, ss. 14. Kalendarz ilustrowany. Z obrazem W.Kossaka przedstawiającym Piłsudskiego i fotografiami polskich mężów stanu i dowódców wojskowych.

"Biuletyn Informacyjny", nr 6/40/rok V, sierpień-wrzesień 1980, ss. 72 + XVII + 1 + ilustracje. Podpisani za komitet redakcyjny: Anka Kowalska, Joanna Szczęsna, Seweryn Blumsztajn, Euzebiusz Kloc, Jan Walc, Janusz Przewłocki, Przemysław Cieślak.

"Biuletyn Informacyjny", nr 7/41/rok V, październik listopad 1980, ss. 82 + XXIII + 1. Podpisani za komitet redakcyjny j.w.

"Puls", nr 8, Nieregularny Kwartalnik Literacki, 2/1980, ss. 122, 2 nlb. Redagują: Janusz Anderman, Jacek Bierezin, Tomasz Filipczak, Antoni Pawlak, Bartosz Pietrzak, Witold Sułkowski, Leszek Szaruga, Tadeusz Wałendowski.

"Res Publica", nr 6, rok 1980, redaguje zespół. Czasopismo.

"Wolna Polska", Poznański Biuletyn Społeczno-Polityczny, nr 1 styczeń-luty 1981, redagują Maciej Frankiewicz i Zdzisław Kamiński, ss. 29. Czasopismo.

NOTY O AUTORACH

STANISŁAW BARAŃCZAK
Urodzony w roku 1946. Poeta, eseista, tłumacz, teoretyk literatury, krytyk literacki. Od roku 1976 do niedawna objęty całkowitym zakazem druku.

MAREK BATEROWICZ
Urodzony w roku 1944. Poeta, prozaik, tłumacz-romanista. Debiutował w roku 1971 w "Tygodniku Powszechnym". Autor kilku zbiorów poezji własnej oraz tomików przekładów poetyckich. W "Zapisie" publikuje po raz pierwszy.

JACEK BOCHEŃSKI
Urodzony w roku 1926. Prozaik, eseista. Od roku 1976 do niedawna objęty całkowitym zakazem druku. Esej zamieszczony w niniejszym numerze "Zapisu" jest zagajeniem dyskusji, które w ramach imprez Towarzystwa Kursów Naukowych autor wygłosił 16 lutego 1981 na kolokwium poświęconym Marcowi 68.

ANNA BOJARSKA
Autorka tomów poezji: "Stulecie obłoków" /1970/, "Lakier" /1979/. Uprawia także krytykę literacką. W "Zapisie" publikuje po raz pierwszy.

ANDRZEJ BRAUN
Urodzony w roku 1923. Prozaik, eseista, publicysta, badacz życia i twórczości Josepha Conrada. Objęty zakazem druku w latach 1978-1980. Jego przemówienie wygłoszone na poprzednim XX Zjeździe ZLP w Katowicach ogłosił "Zapis" w numerze 7.

LESZEK BUDREWICZ
Urodzony w roku 1956. Poeta, absolwent wydziału filologii polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego. Wydał poza zasięgiem cenzury trzy tomiki poezji w Bibliotece "Agory". Wiersze jego kilkakrotnie publikował "Zapis".

ANDRZEJ DRAWICZ
Urodzony w roku 1932. Tłumacz, rusycysta, eseista, autor książki o literaturze rosyjskiej i polskiej. Od roku 19[illegible] do niedawna objęty zakazem druku.

LECH DYMARSKI
Urodzony w roku 1949. Poeta, krytyk. Debiutował w czasopiśmie "Student" w roku 1974. Wydał poza cenzurą zeszyt poezji pt. "Pierwsze zeznania"; próby wydania wierszy w wydawnictwach oficjalnych zostały udaremnione przez władze. "Zapis" drukował jego utwory kilkakrotnie.

ZBIGNIEW HERBERT
Urodzony w roku 1924. Poeta, eseista, dramaturg, tłumacz. Jego wiersz drukowaliśmy w 4 numerze "Zapisu". Obecnie - członek naszego zespołu redakcyjnego.

LOTHAR HERBST
Urodzony w roku 1940. Poeta, krytyk, pracownik naukowy, współzałożyciel i redaktor wrocławskiego pisma "Agora", zlikwidowanego w roku 1968.

TYMOTEUSZ KARPOWICZ
Urodzony w roku 1912. Poeta, dramaturg, tłumacz. Od roku 1978 przebywa w USA, gdzie na uniwersytecie w Chicago wykłada literaturę polską. W "Zapisie" publikuje po raz pierwszy.

JAN KELUS
Urodzony w roku 1942. Z zawodu socjolog. Autor oraz wykonawca ballad i piosenek, opublikowanych m.in. w "Śpiewniku ulicznym i domowym" i w "Śpiewniku warchoła" /wydania Niezależnej Oficyny Wydawniczej/. W "Zapisie" publikuje po raz pierwszy.

ANDRZEJ KIJOWSKI
Urodzony w roku 1928. Prozaik, eseista, krytyk, scenarzysta filmowy. Ostatni tom jego felietonów i esejów pt. "Niedrukowane" opublikowała Niezależna Oficyna Wydawnicza /dwukrotnie/. Tekst, który zamieszczamy, odczytany był przez autora na uroczystym zebraniu zorganizowanym przez PEN-Club dla uczczenia dziesiątej rocznicy śmierci Pawła Jasienicy.

PIOTR KROPOTKIN
Książę /1842-1921/, rosyjski myśliciel, działacz polityczny i geograf, twórca i teoretyk komunistycznego anarchizmu. Ogłosił m.in. dzieło pt. "Pomoc wzajemna" /1902/.

MAREK NOWAKOWSKI
Urodzony w roku 1933. Prozaik, scenarzysta filmowy. Jeden z założycieli "Zapisu", współtwórca pierwszych numerów pisma, b. członek zespołu redakcyjnego.

ZYTA ORYSZYN
Urodzona w roku 1940. Powieściopisarka, autorka trzech książek. W "Zapisie" nr 6 publikowała fragmenty nie wydanej powieści pt. "Czarna iluminacja".

JAN POLKOWSKI
Urodzony w roku 1953. Absolwent wydziału filologii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Poeta. Debiutował w roku 1978 w "Zapisie".

EUGENIA SIEMASZKIEWICZ
Urodzona w roku 1932. Autorka trzech powieści /m.in. "Protokolantów" - 1975/ przekładów poezji rosyjskiej /m.in. A.Achmatowej i J.Brodskiego/ oraz prozy /m.in. V.Nabokova i "Pamiętników Katarzyny II"/. W "Zapisie" publikuje po raz pierwszy.

TADEUSZ SOBOTA
Pseudonim.

ANDRZEJ SZCZYPIORSKI
Urodzony w roku 1924. Prozaik, publicysta. Autor szeregu powieści, m.in. "Mszy za miasto Arras" /1971/. Ostatnia powieść pt. "Trzej ludzie w bardzo długiej podróży" ukazała się w roku 1980 po dwuletnim wstrzymywaniu jej druku. Felietony "Długopisem na marginesach" były publikowane w kilku numerach "Zapisu".

NIEZALEŻNA OFICYNA WYDAWNICZA pragnie przełamywać państwowy monopol wydawniczo–informacyjny.

NIEZALEŻNA OFICYNA WYDAWNICZA nie reprezentuje żadnego kierunku politycznego,
chce służyć różnorodnym inicjatywom twórczym.

NIEZALEŻNA OFICYNA WYDAWNICZA spełni swoje zadania, jeśli społeczeństwo udzieli jej poparcia;
jej powodzenie zależy od dostarczanych nam tekstów,
pomocy w kolportażu,
zdobywaniu sprzętu i materiałów poligraficznych,
pomocy finansowej.

OD NAS SAMYCH
ZALEŻY LOS WOLNEGO SŁOWA W POLSCE!

157-ma pozycja wydawnicza NOWEJ – maj 1981

Książka ta była sprzedawana w punktach kolportażu po 200 zł.